

KONTROWERSYJNY,
SZOKUJĄCY
bestseller
w 31 krajach,
którego
w Polsce
przez 15 lat
nikt nie
ośmielił się
wydać.



RAY
KLUUN

**nasza MIŁOŚĆ
moja ZDRADA
twoja ŚMIERĆ**

nasza MIŁOŚĆ
moja ZDRADA
twoja ŚMIERĆ

RAY
KLUUN

Z niderlandzkiego przełożył
RYSZARD TURCZYN



Książkę tę dedykuję Juut i Naat

monofobia – lęk przed samotnością, w rozumieniu autora: lęk przed pozostawaniem w związku monogamicznym

Yesterday all my troubles seemed so far away.
(Jeszcze wczoraj wszystkie kłopoty były tak daleko.)

The Beatles, z utworu *Yesterday*
(album *Help*, 1965)

Część I
STIJN & CARMEN

What the hell am I doing here, I don't belong here.
(Co ja tu, u diabła, robię, to nie miejsce dla mnie jest.)

Radiohead, z utworu *Creep*
(album *Pablo Honey*, 1992)

Jeden

No to średnia im porządnie podskoczy, myślę sobie, przechodząc po raz trzeci w ciągu kilku dni przez obrotowe drzwi Szpitala św. Łukasza. Tym razem mamy się stawić na pierwszym piętrze, pokój 105, jak napisano na karcie Carmen. Korytarz jest pełen ludzi. Kiedy właśnie zamierzamy się jakoś w nim rozgościć, jakiś starszy człowiek z wyraźnym tupecikiem na głowie wskazuje laską drzwi.

– Musicie się państwo najpierw tam zarejestrować.

Kiwamy głowami i trochę niezdecydowani wchodzimy przez drzwi z numerem 105. Widnieje przy nich tabliczka: „Dr Scheltema, internista, World Heart Federation”. W środku znajduje się właściwa poczekalnia, korytarz jest dla tych ponadplanowych, jak się teraz orientuję. Wraz z naszym wejściem średnia wieku spada o kilka dekad. Inni pacjenci patrzą na nas badawczo, niemal ze współczuciem. Także w szpitalu obowiązuje hierarchia. Jesteśmy tu w sposób oczywisty nowi, jesteśmy turystami poczekalni, nie pasujemy tutaj. Tyle że rak w piersi Carmen jest zupełnie innego zdania.

Sześćdziesięcioletnia może kobieta na szpitalnym wózku inwalidzkim, trzymająca w kościstych dłoniach taką samą kartę w plastikowej koszulce jak Carmen, bezwstydnie taksuje nas wzrokiem od stóp do głów. Kiedy to zauważam, próbuję przybrać postawę wyższości – ja i moja żona jesteśmy młodzi, piękni i zdrowi, czego o was powiedzieć nie można, bando staruszków, niech wam się nie wydaje, że tu zostaniemy, jesteśmy jak najdalsi od tego rakowego syfu tutaj – ale mój język ciała nie chce się dostosować i zdradza niepewność. Zupełnie jak wówczas, kiedy wchodząc do kawiarni De Bommel w Bredzie, po kpiących spojrzeniach widzę, że jestem ubrany za bardzo po amsterdamsku. Z miejsca zaczynam żałować, że tego dnia włożyłem różową koszulę i buty z wężowej skóry. Carmen też czuje się nieswojo. I jest to prawdziwa chwila prawdy: od tego momentu po prostu jesteśmy już tutaj właściwymi osobami na właściwym miejscu.

W pokoju 105 jest też recepcja. Pielęgniarka siedząca za kontuarem chyba umie czytać w naszych myślach. Szybko pyta, czy nie wolelibyśmy jednak poczekać w pokoju obok. Robi to dosłownie w ostatniej chwili, bo widzę kątem oka, że Carmen zaraz się popłacze. Czuję wielką ulgę, że nie muszę siedzieć wśród przyszłych truposzów w poczekalni ani na korytarzu.

– To musiał być dla państwa potężny cios – mówi pielęgniarka, wracając z kawą.

Z miejsca dociera do mnie, że przypadek Carmen van Diepen musiał być omawiany w czasie konsylium po obchodzie. Pielęgniarka spogląda na Carmen. Potem na mnie. Udaję, że mnie to nie rusza. Pielęgniarka, którą pięć minut temu po raz pierwszy zobaczyłem na oczy, nie musi wiedzieć, jak żałośnie się teraz czuję.

*Wśród mężczyzn uganiających się za wielką ilością kobiet
możemy bez trudu dostrzec dwie kategorie.
Jedni szukają we wszystkich kobietach
swego subiektywnego i zawsze takiego samego snu o kobiecie.
Innych gna pragnienie, by osiąść nieskończoną
różnorodność obiektywnego kobiecego świata.*

Milan Kundera *Nieznosna lekkość bytu*
(1984, przeł. Agnieszka Holland)

Dwa

Jestem hedonistą, a zarazem ciężkim przypadkiem monofobii. Hedonistyczną część mnie Carmen uważała za wspaniałą – od razu stworzyło to naszą więź. Co do mojego panicznego strachu przed monogamią, to od samego początku już mniej to jej odpowiadało. Na początku uważała, że jakoś się to ułoży. Moje opowieści o poprzednich związkach, zawsze wiążące się ze zdradami, traktowała jak coś zabawnego, widząc w tym bardziej emocjonujący dodatek niż ostrzeżenie.

Aż do momentu, kiedy grubo ponad rok później – mieszkaliśmy już wtedy razem – odkryła, że przespałem się z Sharon, recepcjonistką BBDvW&R/Bernilvy, biura reklamowego, w którym wtedy pracowałem. Już wiedziała, że nigdy nie będę jej wierny i że nawet nie spróbuję nic zrobić w tym kierunku. Parę lat potem powiedziała mi, że po tej historii z Sharon zastanawiała się nawet, czy mnie nie zostawić, ale jednak za bardzo mnie kochała. Zamiast tego postanowiła więc milcząco pogodzić się z moimi zdradami i uznać je po prostu za brzydką cechę. Jedni faceci dźbią w nosie, inni zdradzają. Coś w tym sensie. W ten sposób emocjonalnie odgradziła się od myśli, że jej mąż „z dużą regularnością wsadza fiuta w cipy innych kobiet”.

Do mnie przez wszystkie lata mówiła, że natychmiast ode mnie odejdzie, jeśli kiedykolwiek spróbuję mieć coś z Sharon. W ten sposób chciała osiągnąć tyle, żebym od tej pory starał się ukrywać przed nią moje eskapady. Udało się.

Przez następne siedem lat uważaliśmy się za najszcześniejsze małżeństwo na zachodniej półkuli i okolicach.

Aż do chwili, kiedy trzy tygodnie temu Carmen zadzwoniła do mnie, kiedy razem z Frenkiem usiłowaliśmy nie zasnąć, słuchając głośno product menedżera Holland Casino.

It's the end of the world as we know it.
(To koniec świata, jaki znamy.)

R.E.M., z utworu *It's The End Of The World As We Know It*
(album *Document*, 1987)

Trzy

Do kasyn przychodzili Chińczycy, szpanerzy i kobiety w sukienkach z sieciówek. Jeszcze nigdy nie widziałem tam ładnej kobitki. Okropieństwo.

Kiedy product menedżer Holland Casino zadzwonił do nas i powiedział, że zastanawia się, czy nie zostać klientem creative & strategic marketing agency Merk in Uitvoering, od razu powiedziałem, że uwielbiam kasyna.

Myślimy sobie, że Holland Casino to dobra rzecz, wystarczy na kilkaset godzin w roku. W południe siedzimy już w kasynie przy Max Euwplein w Amsterdamie. Product menedżer koniecznie chciał, żebyśmy „rzucili okiem na sprawę od kuchni i obejrzeni sobie jeden z przybytków”. Tak jest, przybytków. Takich właśnie słów używają nasi klienci. Nic na to nie poradzę. Zdarza im się też mówić o „siedzeniu z nogami na biurku i główkowaniu”.

My, to znaczy Frenk i ja, żyjemy w Merk in Uitvoering z godzin. Ludzie, którzy nauczyli się prawdziwego fachu, wytwarzają rzeczy. Są też ludzie, którzy rzeczy sprzedają. Jest to już trochę mniej zaszczytne, ale wciąż jak najbardziej pożyteczne. My z Frenkiem nie sprzedajemy rzeczy, ale godziny. I wcale nie wytwarzamy ich sami. Większość roboty myślowej w Merk in Uitvoering wykonuje sześcioro chłopaków i dziewczyn około dwudziestki, wszyscy w typie „hurra i do przodu”, tak samo jak my byliśmy z Frenkiem jakiś czas temu, kiedy jeszcze nie zaczęliśmy na własną rękę. Tę myślową naszych sprytnych dwudziestolatków podrasowujemy my, to znaczy Frenk i ja, robimy z tego raport i przekazujemy naszej sekretarce Maud – wyjątkowo apetyczna laseczka – żeby to ładnie zakomponowała i opравиła w piękną okładkę, i z wielkim zadaniem przekazujemy klientom. Wszyscy bez wyjątku reagują entuzjastycznie, zasypują nas komplementami, a potem nic z tym nie robią. No to po jakimś czasie sporządzamy kolejny raport, za który klient płaci jak za zboże. Tak działa nasz model biznesowy.

Frenk zadaje pytania, o których wie, że robią dobre wrażenie na klientach, product menedżer stara się być mistrzem świata w udzielaniu zbędnych informacji, a ja udaję, że słucham. Tę umiejętność podniosłem wręcz do rangi sztuki. Klient myśli wtedy, że mój mózg aż do bólu zajmuje się jego problemami marketingowymi. W rzeczywistości myślę wtedy o seksie, o jak najszybszym wyjściu albo o moim klubie Ajax Amsterdam. Czasem nie mam nawet pojęcia, co klient właśnie powiedział, ale to bez znaczenia. To w moim zawodzie konieczność. Pomaga nawet utrzymać wysoką cenę za godzinę. Frenk zawsze powtarza, że wszystko jest do przyjęcia, pod warunkiem że uda mi się nie zasnąć.

Dzisiaj mam spory problem z tym niezasypianiem. Już dwa razy dyskretnie

ziewnałem, co wyraźnie wkurzyło Frenka. Dokładnie w chwili, kiedy moje powieki znowu nabrały dziwnej ciężkości, odzywa się mój telefon. Z ulgą przeproszam na chwilę i wyjmuję komórkę z kieszeni. Carmen.

– Cześć, kochanie – mówię, odwracając się od stołu.

Moje kochanie szlocha.

– Carm, co się dzieje? – pytam przestraszony. Frenk odwraca się w moją stronę i patrzy na mnie zaniepokojony. Product menedżer trajkuje radośnie dalej. Robię w stronę Frenka gest, mówiący: nie martw się, i odchodzę od stołu.

– Siedzę w szpitalu i oni mają obawy, że nie jest dobrze – chlipie Carmen.

Szpital. Zdążyłem już zapomnieć, że miała tam dzisiaj pojechać. Dwa dni temu, kiedy rano zapytała mnie, czy nie dostrzegłem czegoś dziwnego w jednej z jej brodawek sutkowych, bo jest taka rozpalona, próbowałem ją przekonać, że to dlatego, że w tym tygodniu będzie pewnie niedysponowana. Albo otarła ją sobie o szorstki brzeg biustonosza. Nic poważnego. Zupełnie jak pół roku wcześniej, kiedy też okazało się, że to fałszywy alarm. Powiedziałem, że jeśli nie wierzy, to musi po prostu znowu zgłosić się do doktora Woltersa, żeby się uspokoić.

Nie radzę sobie ze złymi wieściami i zazwyczaj reaguję w ten sposób, że sam sobie i wszystkim naokoło wmawiam po prostu, że wszystko będzie dobrze. Zupełnie jakbym się wstydził, że pewne rzeczy mogą być niezaprzeczalnie, w sposób nieunikniony i nieodwracalny do dupy. (Miałem coś takiego już wcześniej, kiedy ojciec mnie zapytał o wynik meczu drużyny NAC Breda, a ja musiałem mu powiedzieć, że przegrali 0:1 z Veendam. Czułem się wtedy tak, jakbym strzelił sobie samobójca. Dostawanie i przekazywanie złych wiadomości potrafi spieprzyć cały dzień).

– Carm, powiedz mi, proszę, spokojnie, co ci powiedzieli – mówię do telefonu, starannie unikając słowa „lekarz”, bo Frenk wszystko słyszy.

– Sami jeszcze nic dokładnie nie wiedzą. Uznał, że brodawka dziwnie wygląda i że jeszcze nie ma ostatecznej opinii.

– Hm... – mówię, co jak na mnie jest nadzwyczaj pesymistyczną reakcją. A dla Carmen sygnałem, żeby już całkiem wpaść w panikę.

– Mówiłam ci przecież, że pierś wydaje mi się taka dziwnie ciepła, nie? – krzyczy załamującym się głosem. – Wiedziałam, że coś jest nie tak! Wiedziałam!

– Spokojnie, skarbie, spokojnie, przecież na razie nic jeszcze nie wiadomo – staram się, jak mogę. – Przyjechać po ciebie?

Carmen zastanawia się przez chwilę.

– Nie. Nie ma sensu. Nic tu nie zdziałasz. Muszą mi pobrać próbki krwi i moczu, i powiedzieć, kiedy znajdzie się wolne miejsce na biopsję i będzie to raczej wcześniej niż później. – Jej głos jest trochę spokojniejszy. Mówienie o rzeczach praktycznych pomaga okiełznać emocje. – Byłoby fajnie, jakbyś mógł odebrać Lunę ze żłobka. Ja już nie wrócę dzisiaj do Brokers. Nie mam zamiaru pokazywać się tam taka skrzywiona. Mam nadzieję, że przed szóstą stąd wyjdę. Co zrobimy z jedzeniem?

Pełna nazwa Brokers brzmi Advertising Brokers. To firma Carmen. Wpadła na ten pomysł, kiedy pracowałem w BBDvW&R/Bernilvy – takim Realu Madryt świata reklamy, jak mówiliśmy o sobie. Carmen okropnie się wściekała na ten nasz światek.

„Egomańskie bufony, którzy sami dla siebie są ważniejsi niż klienci, koledzy i sam Pan Bóg”, mawiała. „Niby udają artystów, ale głównie chodzi im o to, żeby jeździć wypasioną bryką i zarabiać krocie”. Uznała, że fajnie będzie trochę w tym bagienku zamieszać. Na którymś z przyjęć organizowanych przez Bernilvy po cichu zagaiła jednego z naszych klientów (Centrala B. z miasta A.), czemu by nie mieli sprzedać praw do swoich kampanii promocyjnych i spotów reklamowych firmom w innych krajach, które w żaden sposób nie są dla nich konkurencją. „Coś w rodzaju maklerstwa na rynku pomysłów, tak jak to się już dzieje z książkami, filmami i programami telewizyjnymi”, powiedziała. Klient uznał to za znakomity pomysł i już następnego dnia przyszedł z tym do Ramona, dyrektora Bernilvy. Ten dla świętego spokoju, z pewnymi oporami, ale jednak wyraził zgodę. Carmen mogła zaczynać. W ciągu pół roku sprzedała prawa do spotów firmom w Afryce Południowej, Malezji i Chile. Rynek reklamowy podniósł krzyk. Mówiono, że to ordynarne. Że to jak handel bydłem. Carmen to zwiślało i powiewało. Odkryła kopalnię złota. Nagle wszyscy chcieli być klientami Advertising Brokers. Agencje reklamowe zwietrzyły interes. Dzięki Carmen zaczęły nagle zarabiać cztery albo pięć razy na tym samym kreatywnym materiale. A ich klienci, którzy przez całe lata, zgrzytając zębami, płacili wyśrubowane honoraria, wyśrubowane nawet bardziej niż w ekskluzywnym amsterdamskim burdelu Yum Yum dla biznesmenów, nagle zobaczyli, że ich kupione w pierwszym rzucie za ciężkie pieniądze kampanie reklamowe zaczynają przynosić zyski, ponieważ Carmen potrafiła je sprzedać tej czy innej firmie z jakiegoś Zadupiolandu. W ciągu dwóch lat Carmen miała już pod sobą dwudziestu pracowników i obsługiwała klientów na całym świecie. Korzysta z tej swojej *selfmade* kariery i jeśli ma ochotę, leci sobie czasem do któregoś z klientów i ma z tego superubaw, bo dla niej najbardziej liczy się, żeby coś się działo. „Ale jaja, co?”, mówi przy każdym nowo pozyskanym kliencie.

Aż się uśmiechnąłem. Nigdy nie przejmowaliśmy się jedzeniem. Jesteśmy takim małżeństwem, które dopiero wieczorem uświadamia sobie, że dobrze byłoby coś zjeść i każdego dnia od nowa ze zdumieniem stwierdza, że w domu nie ma nic do jedzenia, poza słóiczkami Gerbera dla Luny. Nasi przyjaciele nawet się z nas nabijają, tyle wydajemy tygodniowo na zamawiane do domu pieczone żeberka, Domino’s Pizza, chińskie jedzenie czy nocne sklepy.

– Zobaczymy, co będzie z jedzeniem. Na razie postaraj się jak najszybciej stamtąd wyjść, żebym mógł cię pocieszyć. I nie martw się na zapas, może i tym razem wszystko dobrze się skończy – mówię możliwie beztróskim tonem i rozłączam się. Ale plecy mam całe mokre od potu. Coś mi mówi, że do naszego życia zawitało nieszczęście. Gapię się tępo przed siebie. Muszę znaleźć coś pozytywnego. Najpierw trzeba się spokojnie nad tym wszystkim zastanowić. Poszukać jasnych momentów. Czegoś, co mogłoby jakoś pocieszyć Carmen, która siedzi teraz sama jak palec w tym pieprzonym szpitalu.

Potem wzdycham głęboko i wracam do stolika, przy którym siedział Frenk z product menedżerem. Tamten właśnie zaczął nam opowiadać o problemach, jakie napotyka Holland Casino, próbując robić z *first time visitors* stałych klientów.

*Byliście ze sobą beczelnie szczęśliwi,
i to się po prostu skończyło.*

Jan Wolkers *Rachatlukum*
(1969, przeł. Andrzej Dąbrówka)

Cztery

Parkuję chevroleta blazera naprzeciwko naszego domu przy Amstelveenseweg, na skraju Lasku Amsterdamskiego.

Nie cierpię Lasku Amsterdamskiego, nienawidzę Amstelveenseweg i nienawidzę naszego domu. Przez pięć lat mieszkaliśmy w centrum, przy Vondelstraat, na pierwszym piętrze. W dwa miesiące po urodzeniu się Luny Carmen zapragnęła się stąd wynieść. Miała dosyć targania po schodach trójkołowego hipsterskiego wózka po dwudziestu minutach krążenia w poszukiwaniu miejsca na zaparkowanie. A kiedy któregoś razu zainstalowaliśmy się na kocu w Vondelpark z koszykiem piknikowym i butelką wina rosé i okazało się, że Carmen – „przecież ty miałeś pamiętać, żeby je zabrać, Stijn” – zapomniała o pieluszkach, rozpoczęła intensywną kampanię na rzecz przeprowadzki na Amstelveen. Dom z własnym ogrodem. No i w końcu zrobił się z tego dom przy Amstelveenseweg.

Nasz dom jest pod numerem 872. To charakterystyczny przedwojenny budynek, wspaniale odrestaurowany przez naszych poprzedników. Frontowa fasada jest pomalowana na czarno, a całość przykrywa zielony drewniany dach, czterospadowy z białymi obramowaniami. Pośrednik określił go mianem „malowniczy”. Jaki znowu malowniczy, pomyślałem, przecież nie jesteśmy w mieście Zaandam, gdzie wszystko musi być malownicze. Ale parcie Carmen, żeby się przeprowadzić, z każdym dniem stawało się coraz większe i w końcu zacząłem się cieszyć, że nie wylądowaliśmy gdzieś poza Amsterdamem, w Gooi czy w Almere. Od samego początku nie czułem się tu u siebie. Gdy tylko wyjadę ze Stadionu pod wiadukt na A10, czuję się, jakbym był na safari. „O, patrz, zebra”, powiedziałem, kiedy po raz pierwszy jechaliśmy obejrzeć dom. Carmen udawała, że wcale jej to nie śmieszy. Nie ma tam żadnego tramwaju ani żadnego autobusu. No, ale to wiadomo. Trudno, to przecież tylko na parę lat, dopóki Merk in Utvoering oraz Advertising Brokers nie zaczną przynosić krociowych zysków, a wtedy będzie nas stać na dom w centrum Amsterdamu, więc niech tam będzie i zebra.

Widzę czarnego garbusa, stojącego z pięćdziesiąt metrów dalej, i wiem, że Carmen jest w domu. Wyjmuję Lunę z samochodu, idę do drzwi wejściowych, nabieram głęboko powietrza i wkładam klucz do zamka. Jestem strasznie zdenerwowany, co po raz ostatni zdarzyło mi się w roku 1995, kiedy Ajax do ostatniej minuty walczył o utrzymanie wyniku 1:0 w meczu z AC Milan^[1].

Luna to moje słoneczko. Ma urodziny dokładnie tego samego dnia co ja. Z chwilą jej narodzin w jednej chwili mogłem być pewny, że moi przyjaciele będą przychodzili na moje urodziny, nawet kiedy będę miał sześćdziesiąt lat. Bo nie będą chcieli stracić

możliwości pogapienia się na piękne i młode przyjaciółki mojej córki, które do niej przyjdą z życzeniami.

Na początek wszystko wygląda, jakby to był najzwyczajniejszy wieczór, jakich wiele. Gdy tylko Luna widzi Carmen, usta rozciągają jej się w uśmiechu, dzieląc jej twarz niemalże na pół. Carmen wykrzykuje swoje zwyczajowe wydłużone „Luuunaaa!”, robi głupią minę, podchodzi, przedrzeźniając kaczę kroczyki Luny i przytula ją, siedząc w kucki. Luna odpowiada gwałtownym „Mamaaa!”. Dzisiaj scena ta wzrusza mnie bardziej niż zwykle.

– Witaj, moje kochanie – mówię, kiedy Carmen się podnosi, i całuję ją w usta. Przytulamy się i Carmen od razu uderza w płacz. No i już po najzwyczajszym wieczorze. Przytulam ją mocno i patrzę nad jej ramieniem przed siebie. Mówię jej, że w końcu może się jednak okazać, że wszystko w porządku, tak jak to już było pół roku wcześniej. Od południa nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Wchodzi do łóżka i przyciągam ją do siebie. Zaczynamy się całować. Nie mówiąc ani słowa, przesuwam głowę całkiem w dół. Kiedy ma orgazm, przyciska mokrateńkie nagle krocze do mojej twarzy.

– Pieprz mnie, pieprz mnie! – szepcze.

Kochamy się ostro. Carmen wyczuwa, że zaraz dojdę i chrypi z płonącymi pożądaniem oczami:

– No już, już, spuszcza się, niech cię pocuję!

Kończę w niej kilkoma mocnymi ruchami, zagryzając wargę, zupełnie jak to robi Luna, która teraz jest w pokoju obok.

Kiedy Carmen rozbiera się w sypialni, patrzę na jej piersi. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ją nagą, patrzyłem na jej ciało szeroko otwartymi oczami. Wyjąkałem, że jeszcze nigdy nie byłem w łóżku z dziewczyną o tak pięknym ciele. Zaśmiała się i powiedziała, że nieco wcześniej, w Rosa's Cantina, gdzie byliśmy razem, widziała, jak bez przerwy wgapiam się w kanion między jej piersiami w czarnym, głęboko wyciętym T-shircie. Po urodzeniu Luny jej piersi leciutko opadły, ale nadal uważam je za piękne. Nadal nieziemsko mnie podnieca, kiedy Carmen po prostu się rozbierze i uwolni swoje fantastyczne piersi. Każdego wieczoru jest to dla mnie wielkie święto. Życie z Carmen w ogóle jest jednym wielkim świętem dla ciała i ducha.

Zaraz po moim orgazmie znowu wybucha płaczem.

– Przestań, moje kochanie – mówię szeptem. Całuję jej włosy i przez długie minuty leżę w niej i na niej.

– W przyszłym tygodniu wyprawimy wasze urodziny – mówi jakiś czas później, kiedy już zgasiłem światło. – Może to już ostatni raz, kiedy będę razem z wami.

*Een typisch kenmerk van spijt is dat het steeds
weer te laat komt en nooit op tijd.*

(Typową cechą żalu jest to, że zawsze przychodzi za późno,
a nigdy na czas.)

Extince, z utworu *Op de dansvloer*
(album *Binnenlandse funk*, 1998)

Pięć

O wpół do czwartej nad ranem ciągle jeszcze nie mogę zasnąć. Już widziałem, jak znowu przekazuję rodzinie i przyjaciołom złą wiadomość. Wyjdzie na to, że ich okłamaliśmy, kiedy pół roku temu powiedzieliśmy, że to fałszywy alarm. A teraz znowu do momentu biopsji musimy ich trzymać w niepewności. To będzie w piątek w przyszłym tygodniu. Za dziesięć dni. Dziesięć pieprzonych dni czekania na badanie. Wcześniej się nie da, powiedział Carmen doktor Wolters, zapewniając, że te dziesięć dni i tak niczego specjalnie nie zmienią. Kiedy dzisiaj wieczorem zacząłem się wściekać na to stwierdzenie, Carmen wściekła się na mnie.

– A co miałam na to powiedzieć, Stijn?! Że sami zrobimy biopsję w domu, czy jak?
No to się już zamknąłem.

Doktor Wolters. Od tamtego czasu minęło już pół roku, a ja widziałem go łącznie może z pół godziny, ale mam przed sobą jego twarz. Lat pewnie z pięćdziesiąt pięć, dystygowana siwizna, przedziałek z boku, okrągłe okulary, biała lekarska marynarka. Pół roku temu nasz koszmar trwał zaledwie tydzień. Zaczęło się od wizyty Carmen u naszego lekarza rodzinnego, doktora Bakкера. Zalecił, żeby na wszelki wypadek udać się jednak na badanie piersi do szpitala. Trochę nas to przeraziło. W Szpitalu św. Łukasza trafiliśmy na doktora Woltersa. Obejrzał pierś i powiedział, żeby Carmen jednak zgodziła się na biopsję. Przeraziło nas to jeszcze bardziej. Nie dlatego, żebyśmy wiedzieli, co to jest biopsja, ale dlatego, że jak mają człowiekowi w szpitalu zrobić coś, o czym nigdy wcześniej nie słyszał, to już z definicji znaczy, że jest niedobrze.

Wieczorem przed biopsją robiłem wszystko, żeby w półmroku sypialni Carmen nie zauważyła, że ciekną mi łzy. Wcześniej widziałem w jej oczach śmiertelne przerażenie. Doskonale ją rozumiałem. Na raka się przecież umiera.

Dzisiaj wieczorem nagle przypomniałem sobie znowu słowa doktora Woltersa, parę godzin po biopsji.

„Komórki są niestabilne, nie wiemy dokładnie, co to może oznaczać, ale w każdym razie są niezłośliwe”. Pamiętam dokładnie, że powiedział to dopiero, kiedy już wszyscy podnieśliśmy się z miejsc. Jakże wielką poczuliśmy ulgę i jak bardzo chcieliśmy stamtąd wyjść, wyjść z tego szpitala z powrotem do naszego szczęśliwego życia, w którym mieliśmy sobie być po prostu długo i szczęśliwie, tak jak planowaliśmy. Mając czas po swojej stronie i plany na następne sto tysięcy lat^[2]. Na ulicy padliśmy sobie w ramiona. Zupełnie jakby właśnie urodziło nam się piękne i zdrowe dziecko, tak bardzo byliśmy

szczęśliwi. Obdzwońłem radośnie wszystkich: matkę Carmen, Thomasa i Anne, Frenka i Maud, żeby im powiedzieć, że nie ma obaw i Carmen jest zdrowa.

Niezłośliwe. Czy nie powinniśmy wtedy skupić się bardziej na słowach Woltersa: „nie wiemy dokładnie, co to może oznaczać”? Czy jednak nie powinniśmy wymusić na nim skierowania do innego szpitala, żeby wykonać drugie badanie? Czy w tej sytuacji nie jest to nasza wina? Czy nie daliśmy się po prostu zbyć? To, że Carmen poczuła taką ulgę, że była już tylko szczęśliwa, można zrozumieć, ale jeśli idzie o mnie, to czy nie powinienem jednak dążyć dalej, upierać się, żeby nadal szukał, aż w końcu będzie wiedział, co to oznacza? To nie Wolters jest tutaj głupim fiutem, tylko ja sam. Bo to przecież chyba ja jestem jej mężem i chyba moim zadaniem jest ją ochraniać?

Może jednak temu wszystkiemu można było zapobiec..., tłucze mi się po głowie.

Tym razem już tak nie będzie. Kiedy w przyszłym tygodniu w piątek znowu spróbuje nas zapewnić, że wszystko będzie dobrze, to złapię go za ten biały fartuch i wytrę nim biurko. Może być tego pewny.

Een glimlach dat wordt pure parodie.
(Uśmiech, robi się z tego czysta parodia)

Rita Hovink, z utworu *Laat me alleen*
(album *Een rondje van Rita*, 1976)

Sześć

Na tabliczce nad drzwiami czytam, że onkologia w Szpitalu św. Łukasza ma oddział, gdzie wykonuje się biopsje. Onkologia. Słowo nie było mi obce, ale nie wiedziałem, że ma coś wspólnego z rakiem. A tak niewinnie brzmi. Bardziej jak nazwa nauki zajmującej się badaniem, dlaczego wyginęły mamuty, albo coś w tym rodzaju.

Szpital św. Łukasza. Są ludzie, dla których najbardziej deprymującym budynkiem w Amsterdamie jest Europarking. Dla innych będzie to gmach De Nederlandsche Bank. Albo bloki w dzielnicy Bijlmer. Wszystkich ich zapraszam do odwiedzenia kompleksu budynków Szpitala św. Łukasza. Wystarczy że widzę te budynki wzdłuż A10, a od razu dostaję wysypki.

Luna macha swoim pluszakiem Elmo, którego dostała w zeszłym tygodniu na urodziny. Carmen siedzi na skraju łóżka. Właśnie została zważona i pobrano jej krew. Na łóżku stoi jej czarna torba, do której dzisiaj rano zapakowała przybory toaletowe, kaptcie, różową koszulę nocną z jedwabiu – nawet nie wiedziałem, że taką ma – i ostatni numer Marie Claire. Siedzę przy niej, wciąż jeszcze w kurtce, i biorę do ręki dwie broszurki, które właśnie dostaliśmy. Jedna zielona – *Życie z rakiem* i druga niebieska – *Rak piersi*. Na każdej jest logo, które znam z autobusów. Chodzi o Fundację Królowej Wilhelminy. Zaczynam przeglądać niebieską broszurkę, tak jak przegląda się w samolocie broszurę z towarami *duty free*, żeby się czymś zająć. „Dla kogo jest ta broszura?”, czytam na pierwszej stronie u góry. Dowiaduję się, że ja i Carmen jesteśmy w grupie docelowej. Nie lubię być w żadnej grupie docelowej, a już na pewno nie tego rodzaju broszury. W spisie treści widzę tytuły w rodzaju *Co to jest rak? Protezy piersi czy Uśmierzanie bólu*. A tak w ogóle to po co dostaliśmy te broszurki? Przecież przyszliśmy tylko na biopsję? Czy nie moglibyśmy na razie zachowywać się tak, jakby wszystko miało być znowu dobrze, jakby chowająca się brodawka sutkowa czy zaczerwieniona pierś – przez ostatnie dni rzeczywiście zrobiła się bardziej czerwona i powiększona, nawet jak na moje niewprawne oko – była wynikiem działania, bo ja wiem, hormonów, albo czegoś w tym rodzaju?

Zrobiła się już dziewiąta i do pokoju wchodzi pielęgniarka. Ma ze sobą teczkę, na której jest imię i nazwisko Carmen.

– No proszę, już cię tu mają na dobre – żartuję, pokazując głową na teczkę.

Carmen się uśmiecha. Troszeczkę.

– Biopsja jest zaplanowana na dwunastą – oznajmia pielęgniarka.

Pielęgniarka może mieć z pięćdziesiąt lat. Stara się, jak może, żeby ta rutynowa rozmowa miała jak najbardziej osobisty charakter. Kładzie nawet kilka razy rękę na kolanie Carmen. Carmen jest bardzo przyjazna, jak to Carmen, która jest przyjazna dla każdego. Czuję się tutaj kompletnie nie na miejscu i w zasadzie to chciałbym jak

najszybciej się stąd wynieść, odstawić Lunę do żłobka i pojechać do firmy. Nie mam pojęcia, co robić tego dnia, jak już wyjdę ze szpitala. Powinienem się postarać, żeby wszystko było po prostu jak zawsze.

Carmen zauważa mój nastrój.

– Słuchaj, idź już może, co? Jakoś sobie sama poradzę. A kawa w twojej firmie na pewno jest lepsza niż tutaj – żartuje.

– Zadzwonimy do pana, jak już żona wybudzi się z narkozy – zapewnia pielęgniarka.

Przytulam się razem z Luną do Carmen i szepczę jej do ucha, że ją kocham. W drzwiach odwracam się i przesyłam jej pocałunek. Luna macha rączką.

Carmen robi, co może, żeby się uśmiechnąć.

I hide my tears behind a painted smile.
(Chowam łzy za malowanym uśmiechem)

Isley Brothers, z utworu *I Hide My Tears Behind A Painted Smile*
(album *Soul On The Rocks*, 1967)

Siedem

O godzinie dziesiątej otwieram drzwi wejściowe naszego biura. Znajduje się na Olympisch Stadion. Od dnia, kiedy dostaliśmy do niego klucze, czuję się tutaj bardziej w domu niż w domu. Część mojej młodości pozostała na tym stadionie. Jako szesnastolatek z Bredy uważałem buntowniczy Amsterdam z początku lat osiemdziesiątych za kompletny obłąd. Gdy tylko mogłem, jechałem w niedzielę pociągiem do Amsterdamu, żeby potem w poniedziałek móc w szkole opowiadać o rozróbach kiboli klubu Ojox!!! i o tym, co zdewastowali na linii „dziewiątki” do dawnego stadionu Ajaksu De Meer czy „szesnastki” na Olympisch Stadion. Oczywiście trzymam się od tego wszystkiego z daleka, tak samo jak lata wcześniej w kibolskim sektorze B na meczach NAC Breda, kiedy to o mało nie robiłem w spodnie ze strachu, ale o tym nikt w szkole nie miał prawa się dowiedzieć.

Frenk uwielbia piękno, a ja Ajax Amsterdam. Dlatego w naszym biurze – znajdującym się w strefie, gdzie zawsze był kibolski sektor F, kiedy Ajax grał na Olympisch Stadion – potrzebny był kompromis. Postawiłem warunek, że na bocznej ścianie na całej szerokości musi wisieć zdjęcie siedem metrów na półtora, na którym widać, jak zawodnicy wchodzą na murawę boiska przed ostatnim meczem Ligi Mistrzów rozegranym na Olympisch Stadion^[3], otoczeni morzem pochodni i czerwonego dymu. Biuro firmy Merk in Uitvoering wygląda jak moja sypialnia, kiedy miałem piętnaście lat, tylko jest dziesięć razy większe. I milion razy bardziej hipsterskie. To z kolei wpływ Frenka i projektanta wewnątrz, jego znajomego angielskiego geja w odlotowych okularkach. Jego zdaniem mój piłkarski fetysz nie pasował do całości. No to ja na to, że w takim razie ma pecha, i niech sobie robi co chce, tylko nie ma prawa ruszyć mojego zdjęcia. Kręcił nosem, ale się zgodził, z tym że zażądał, żeby mu dać wolną rękę co do reszty biura. „Proszę bardzo”, powiedziałem, chociaż czułem, co będzie. Angielski gej wymyślił sobie, że w naszym open space muszą się znaleźć trzy kolorowe ekrany z pleksiglasu trzy metry długie i półtora metra wysokie. Jeden czerwony, jeden żółty i jeden niebieski. Ponadto zdecydował, że oświetlenie będzie się składało z różowych świetlówek, dzięki którym jedna pięciometrowa ściana będzie miała kolor zielonego jabłka. Druga została pokryta fioletowymi filcowymi poduszkami. Jednym słowem – kolorowo. Jeśli idzie o budżet, był to kompletny brak odpowiedzialności. Frenk stwierdził, że to mnie nie powinno interesować, bo przecież mam swoją ścianę ze zdjęciem Ajaksu.

Poza tym jednym Frenk i ten jego znajomek od dizajnu nie są wcale tacy porypani. W ciągu tych paru tygodni, od których tu jesteśmy, Frenk śmiejąc się w kułak, oznajmił mi, że informacja o naszym biurze pojawiła się w gazecie „Het Parool”, trzech innych

międzynarodowych czasopismach, we wszystkich gazetach poświęconych marketingowi i reklamie, że przyszły nas odwiedzić dwie wycieczki architektów (w tym grupa z Danii z taką fantastyczną laską, że postanowiłem z miejsca przestać narzekać na przekroczenie budżetu; co było, to było) oraz jeden nowy klient. Wygląda na to, że prowadzenie własnego biura marketingowego to żadna specjalna filozofia.

– Cześć – mówię, wchodząc. Wszyscy już są. Idę prosto do kuchni, gdzie jest automat do kawy, żeby zejść im z oczu. Reszta naszego biura na stadionie jest do tego stopnia otwarta, że nie da się nawet podłubać w nosie, żeby ktoś nie widział. Ekspres do kawy to nabytek Frenka, więc skorzystanie z niego jest jak najbardziej uzasadnione, a od naciśnięcia guzika mija jeszcze całe pół minuty, zanim kawa jest gotowa. Dzisiaj mogłoby to, jak dla mnie, trwać w nieskończoność. Kiedy filiżanka jest już pełna, czekam jeszcze trochę. Potem zbieram całą odwagę i przechodzę obok biurka Maud. Staram się na nią nie patrzeć.

Frenk patrzy na mnie badawczo, kiedy siadam.

– Yyy, no więc... jest teraz w szpitalu – staram się mówić jak najbardziej lakonicznie. Maud staje przy mnie. Czuję na plecach spojrzenia pozostałych. – No, cóż. Się okaże – mówię i włączam kompa. Z trudem powstrzymuję łzy. Maud kładzie mi rękę na ramieniu. Kładę swoją na jej ręce i gapię się przez okno. Gdybym tak mógł być znowu dzieckiem. Mógłbym sobie wtedy zwyczajnie wmówić, że wszystkie kłopoty znikną, kiedy nie będzie się o nich wspominało.

*It ought to be easy ought to be simple enough,
man meets a woman and they fall in love
but the house is haunted and the ride gets rough.*
(To takie proste, to zwykle takie proste,
mężczyzna spotyka kobietę i zakochują się w sobie,
lecz dom jest nawiedzony i robi się ostro.)

Bruce Springsteen, z utworu *Tunnel Of Love*
(album *Tunnel Of Love*, 1992)

Osiem

O piątej po południu dodzwaniam się do Carmen. Właśnie jadę samochodem do żłobka. Nawet nie muszę pytać, jak ona się czuje. Słyszę to od razu po jej głosie.

– Był u mnie lekarz... Jest bardzo źle, Stijn.

– Już do ciebie jadę. Tylko zabiorę Lunę ze żłobka i zaraz będę.

Nie mam odwagi o nic pytać.

Z bijącym sercem idę z Luną na rękę korytarzem oddziału onkologicznego. Wchodzę do sali, gdzie dzisiaj rano zostawiłem Carmen samą. Jest ubrana, siedzi na łóżku z wymiętą chusteczką w rękę i gapi się przez okno. Oczy ma zaczerwienione i opuchnięte. Obok niej leżą jeszcze dwie chusteczki, w tym samym stanie. Widzi, jak wchodzimy, i zakrywa dłonią usta. Gest, jaki robi, kiedy zdarzy się coś bardzo złego. Bez słowa podchodzę do niej i przytulam. Opiera głowę na moim ramieniu i zaczyna rozdzierająco płakać. Nie mogę wydobyć z siebie słowa. Od kiedy weszliśmy do tego szpitalnego pokoju, Luna nie wydała jeszcze z siebie dźwięku.

Carmen całuje Lunę i udaje się jej nawet zmusić do uśmiechu.

– Cześć, kochanie – wita Lunę, gładząc ją po włosach.

Odchrząkuję.

– No to wal – mówię. I tak mnie to nie ominie.

– Rak. Bardzo niebezpieczna odmiana. Mówią, że rozsiany. Nie jakiś jeden guzek, tylko w różnych miejscach, zajmuje już całą pierś.

Bum.

– Są tego pewni? – Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

Carmen potakuje ruchem głowy, wydmuchując jednocześnie nos w chusteczkę, która zdecydowanie nie jest w stanie przyjąć więcej wilgoci.

– To jest *mastisis carcino*... cośtam...

Kiwam głową, jakbym wiedział, o czym mówi.

– Jeśli chcesz, to możesz wejść na chwilę do doktora Woltersa. Tak powiedział. Ma gabinet parę drzwi dalej.

Wolters. Już samo to nazwisko mi wystarczy. Przez ostatni tydzień ani razu o nim nie wspomnieliśmy. Jak najdalej odsuwaliśmy od siebie pytania Thomasa i Anne, i matki Carmen, czy pół roku temu nie popełniono aby strasznego błędu. Mówiliśmy sobie, że

być może już wtedy choroba była rozwinięta i tak było za późno. Wystarczy już sama myśl, że Carmen może umrzeć z powodu lekarskiego błędu...

Doktor Wolters siedzi za swoim biurkiem. Od razu go poznaję, chociaż widziałem go pół roku temu. On mnie nie. Pukam w otwarte drzwi.

– Tak...? – mówi, marszcząc brwi.

– Witam – odpowiadam krótko, żeby nie zapomniał, że to on jest wszystkiemu winien. – Jestem mężem Carmen van Diepen.

– A, tak, przepraszam – mówi doktor Wolters i szybko podrywa się z miejsca, żeby uścisnąć mi dłoń. – Proszę, niech pan siada.

– Raczej postoję. Żona na mnie czeka.

– Tak, oczywiście. Domyślam się, że chciałby pan poznać wyniki biopsji.

Nie, skąd, chodzi mi o wynik ostatniego meczu Ajaksu.

– Tak.

– Cóż. Nie są one niestety zadowalające.

– Tyle zrozumiałem – odpowiadam z cynizmem, którego on pewnie nawet nie zauważa. – Czy może mi pan dokładniej wyjaśnić, w czym rzecz?

Doktor Wolters wyjaśnia, dlaczego tym razem okazało się, że rak jest jednak złośliwy. Ja słucham jego wyjaśnień tylko jednym uchem i w dodatku połowy nie rozumiem. Pytam, na ile to jest pewne.

– Wysoce pewne... Musimy jeszcze zrobić dodatkowe badania, ale już teraz wygląda na to, że mamy do czynienia z *mastitis carcinomatosa*. Więcej na razie nie da się powiedzieć.

Kiwam głową. Doktor Wolters ściska mi dłoń.

– Cóż, proszę się jakoś trzymać. Jutro zgłóście się państwo do doktor Scheltemy. To internistka i ona państwu powie o wszystkim, co się może stać. Okej?

Ponownie kiwam głową. I nie wycieram nim biurka. Więcej nawet: nie odzywam się ani słowem. Ani jednym. Zamurowało mnie. Jeśli jakiś klient wyciąga palec, żeby cokolwiek zmienić w proponowanej przeze mnie strategii, to o mało mu go nie odgryzę, a przy tym dupku, którego błąd popełniony pół roku temu zaraził nasze życie rakiem, zachowuję się jak gracz prowincjonalnego klubu z Limburgii, który po raz pierwszy w życiu ma zagrać wyjazdowy mecz na amsterdamskim stadionie ArenA.

Kiedy wracam do pokoju, Carmen trzyma Lunę na kolanach i patrzy na prawie pusty parking przed szpitalem.

– Możesz jechać z nami czy masz tu jeszcze coś do zrobienia? – pytam.

– Chyba już mogę jechać – mówi Carmen i rozgląda się po pokoju, szukając czarnej torby. W milczeniu podchodzę do stołu, gdzie na oparciu krzesła wisi jej marynarka, i pomagam jej ją włożyć, czego normalnie nigdy nie robię. Wszystko po to, żeby mieć poczucie, że robię coś pożytecznego.

– Nie tak bardzo z tyłu – mówi Carmen, bo trzymam marynarkę dość daleko od jej pleców. – Przez tę ranę w piersi nie mogę tak bardzo odginać ramion do tyłu.

– Och, przepraszam. Chodź, Luna, idziemy – mówię do córki i podnoszę ją z łóżka. Cały czas jest uderzająco spokojna.

Carmen zagląda jeszcze na moment do pokoju pielęgniarek i mówi:

– To ja już uciekam.

Pielęgniarka, ta sama co rano, szybko odsuwa na bok tacę z jedzeniem, wstaje i podchodzi do Carmen, ujmując jej dłoń obiema rękami. Życzy nam dużo siły.

– Omówicie państwo wszystko dzisiaj wieczorem?

– Pewnie tak – mówię dzielnie, kiwając uspokajająco głową.

Idziemy we trójkę do windy. Nie odzywamy się ani słowem.

*The times are tough, just getting tougher.
I've seen enough, don't wanna see anymore,
turn out the light and block the door, come on and cover me.*
(To ciężkie czasy, a będzie ciężiej.
Widziałem dość i już mi starczy, zgaś wszystkie światła,
zarygluj drzwi, okryj mnie, proszę, okryj mnie.)

Bruce Springsteen, z utworu *Cover Me*
(album *Born In The USA*, 1985)

Dziewięć

Po powrocie do domu dzwonię do Frenka i mówię mu, że Carmen ma raka piersi.
– A niech to szlag – podsumowuje Frenk zwięźle całą sytuację.

Carmen dzwoni do Anne i mówi jej co i jak. W ciągu niecałej godziny Thomas i Anne stają w drzwiach. Anne obejmuje mnie serdecznie, a potem jeszcze w kurtce idzie do salonu i obejmuje Carmen, która od razu znowu zaczyna płakać.

Thomas niezgrabnie bierze mnie w objęcia.

– Chujowa sprawa, człowieku – mamrocze. Wchodzi do środka i nie ma odwagi podnieść na nią spojrzenia. Stoi, gapiąc się w ziemię, ramiona opuszczone, z rękami w kieszeniach. Jest jeszcze w garniturze i krawacie.

Thomas też pochodzi z Bredy i znam go od podstawówki. „We liked the same music, we liked the same clothes, we liked the same bands”^[4], śpiewa Bruce i doskonale pasuje to do mnie i do Thomasa. Kiedy mieliśmy po dwanaście lat, chodziliśmy razem na mecze drużyny NAC z Bredy, kiedy mieliśmy po szesnaście lat, chodziliśmy na koncerty punkowe, a jak mieliśmy po osiemnaście lat, to wspólnie chodziliśmy na podryw do kawiarni De Suikerkist. W tamtym czasie Thomas był niesłychanie popularny. Ja miałem przyszcze i grube okulary i musiałem się zadowalać resztkami po Thomasie.

Po szkole średniej poszliśmy obaj na studia do Wyższej Szkoły Ekonomii i Administracji, gdzie poznaliśmy też Frenka. Thomas jakoś przeczołgał się przez studia. Nie był specjalnie superinteligentny. Został przedstawicielem handlowym firmy sprzedającej sól do posypywania ulic i wciąż tam pracuje. Jego klientami są urzędnicy gmin i Królewskiego Zarządu Dróg i Gospodarki Wodnej. Thomas jest z nimi mocno zakolegowany, chyba dlatego, że tak jak oni uwielbia dowcipy o Belgach, Murzynach, blondynkach i babach, które przychodzą do lekarza i tak jak oni nosi pastelowe koszule *button down* z sieci Kreymborg.

Często dzwoniemy do siebie z Thomasem. Widujemy się rzadziej niż kiedyś. Poza karnawałem w Bredzie nie bardzo lubi wychodzić. W weekendy woli siedzieć w domu przy serze i winie i oglądać filmy z dużą ilością strzelania, cycków i helikopterów. Coraz mniejsza ochota na wychodzenie wiąże się u niego z tym, że parę lat temu zaczął łysieć a jego brzuch zaczął przybierać zastraszające rozmiary. „Stijn, cholera jasna, ja to już raczej nie winko, a ty też nie za bardzo do schrupania”, powiedział mi kiedyś, kiedy zrozumiał,

że jego malejąca popularność wśród „panienek” przybrała już formę strukturalną. Przy swoim pragmatyzmie Thomas od razu przedsięwziął odpowiednie środki. Kiedy któregoś razu zobaczył, że w jego biurze pojawiła się ładna, młoda stażystka, zaprosił ją na kolację i już nie wypuścił z rąk.

Tą praktykantką była Anne. Thomas i Anne dobrali się w korcu maku. Anne gardzi wszystkim, co jest trendy (czytaj: amsterdamskie), też ma hopla na punkcie dzieci, sera i wina, i podobnie jak Thomas wygląda tak, jakby permanentnie była w ciąży. Po urodzeniu trójki dzieci: Kimberley (4), Lindsey (3) i Danny’ego (1) Anne całkiem się zapuściła. Mówi, że rodzina i dom są dla niej ważniejsze od wyglądu zewnętrznego. Nosi legginsy i T-shirty od Miss Etam. Carmen nazywa to miarą upadku. Ale o tym Anne nie ma pojęcia, bo Carmen za nic nie chciałaby jej urazić. I całkiem słusznie. Bo Anne została najbliższą przyjaciółką Carmen. Dzwonią do siebie codziennie, a kiedy pół roku temu Carmen dygotała ze strachu przed biopsją, Anne prawie nie wychodziła od nas z domu. Chociaż maksymalnie mnie wkurzała jej ciągła obecność, kiedy wracałem z pracy, musiałem przyznać, że Anne wie, co to przyjaźń. Dzisiaj Carmen i Anne są ze sobą o wiele bliżej niż Thomas i ja. Carmen opowiada Anne wszystko. Ja Thomasowi nie. W każdym razie od momentu, kiedy odkryłem, że o wszystkim, co robię (a on chciałby robić) klepie swojej Anne. Ani się człowiek obejrzy, a już wszystko dociera do Carmen, a tego oczywiście nie chcemy. Wierność to przereklamowana cnota. Anne myśli na ten temat inaczej. Ale jej łatwo mówić. Jej wygląd niespecjalnie zachęca do podejmowania fizycznego współżycia^[5]. Anne nie mogłaby zdradzić, nawet gdyby bardzo chciała.

Anne jest rzeczowa. Radzi nam spisać wszystkie pytania, jakie jutro chcemy zadać lekarzowi. Uznajemy to za bardzo dobry pomysł. Wszyscy czworo zastanawiamy się, czego chcemy się dowiedzieć. Wszystko zapisuję.

To działa. Chwilowo sprowadzamy raka do rangi neutralnego obiektu, który krytycznie i niemal rzeczowo poddajemy analizie. Carmen już od godziny nie płacze.

O wpół do dziesiątej Thomas i Anne wychodzą. Dzwonię do Frenka, Carmen siedzi w Internecie. Kiedy odkładam słuchawkę, pyta mnie, czy pamiętam jeszcze angielską nazwę tej jej odmiany raka.

– Tego Wolters nie powiedział, tylko jakąś łacińską nazwę, *mastitis carcino...* cośtam...

– *Carcinomatosa*, właśnie. W takim razie angielska nazwa brzmi... – rzuca spojrzenie na ekran. – ...*inflammatory breast cancer*... Słowo *inflammatory* oznacza, że występuje przy okazji stan zapalny. To taki rodzaj guza, że jak się go za późno wychwyci, to jego komórki od razu przedostają się do krwi. Tak tu chyba piszą.

– Yyy... chyba tak – odpowiadam ostrożnie.

– No to w takim razie niezłe jaja, bo to oznacza, że... – głos jej się załamuje – ...moja szansa na przeżycie więcej niż pięciu lat wynosi niecałe czterdzieści procent.

Czterdzieści procent.

– A skąd wiesz, że to na pewno to? – reaguję nerwowo. – Na pewno dobrze przeczytałaś?

– No przecież nie jestem upośledzona umysłowo, Stijn! – wrzeszczy Carmen. – Wyraźnie tak piszą! A może nie?

Nawet nie patrzę na ekran, tylko naciskam wyłącznik iMaca.

– Dobra. A teraz idziemy spać.

Carmen patrzy zdumiona na czarny ekran, a potem na mnie. Z początku spojrzeniem, które może zabić, a potem zaczyna niewyobrażalnie gwałtownie płakać.

– Niech to wszystko jasny szlag! Gdyby ten palant wtedy lepiej się przyjrzał, to może dzisiaj nie byłoby za późno.

Łapię ją za rękę i ciągnę za sobą schodami na górę.

Po ataku płaczu, który wydaje się nie mieć końca, zapada w moich ramionach w sen. Ja długo nie mogę zasnąć i boję się myśleć, co będzie rano. Boję się tej chwili, kiedy się obudzę i uświadomię sobie, że to wszystko nie był sen, tylko dzieje się naprawdę.

Carmen ma raka.

Het regent harder dan ik hebben kann.
(Pada gwałtowniej, niż mogę wytrzymać.)

Bløf, z utworu *Harder dan ik hebben kan*
(album *Boven*, 1999)

Dziesięć

Pani doktor Scheltema ściska nam dłonie, prosi, abyśmy usiedli i sama też siada za biurkiem.

Zaczyna przeglądać dokumentację, która znajduje się w staromodnej brązowej teczce. Przyglądam się i widzę, że to te same papiery, które pielęgniarka miała już przedwczoraj. Są tam dwa zdjęcia rentgenowskie (pewnie Carmen) i widzę długi odręczny opis (doktora Woltersa?) oraz rysunek piersi ze strzałką i nieczytelnym tekstem obok. Doktor Scheltema czyta dokumentację, zupełnie jakby nas tu nie było. W gabinecie panuje przerażająca cisza.

Doktor Scheltema nie jest osobą, po której można by się spodziewać: o, będzie miło. Siwe włosy, mnóstwo długopisów w kieszonce na piersi i typowa twarz lekarza od pacjentów gorszego sortu. Między doktor Scheltemą a mną nie będzie nici porozumienia. Zobaczyłem to od razu po wyrazie twarzy, z jakim popatrzyła na moją skórzaną kurtkę à la lata sześćdziesiąte, koloru brązowej kupy, kiedy wszedłem do jej gabinetu.

Trzymam Carmen za rękę. Ona mruga do mnie i kiwa głową na boki jak Jaś Fasola, kiedy po upływie pół minuty doktor Scheltema nadal w milczeniu studiuje dokumentację, przewracając kartki to w jedną, to w drugą stronę. Szybko odwracam głowę od Carmen, żeby nie wybuchnąć śmiechem, bo spodziewam się, że nie wpłynęłoby to pozytywnie na stosunek pani doktor do mnie. Rozglądam się po gabinecie. Za plecami pani doktor wisi na ścianie oprawiona reprodukcja jakiegoś impresjonistycznego obrazu (nie pytajcie jakiego, pochodzę z Breda Noord i uważam za duży wyczyn, że w ogóle wiem, że to obraz impresjonistyczny), a na półce przy drzwiach widzę mnóstwo medycznych broszur, pośród których odczytuję najbliższej mnie stojące tytuły w rodzaju: *Prawidłowe odżywianie w chorobie nowotworowej*, *Rak a seksualność* czy *Terapia przeciwbólowa w chorobie nowotworowej* oraz znany mi już *Rak sutka*.

Pani doktor Scheltema podnosi wzrok znad dokumentacji.

– Jak się pani czuła przez ostatnie dni? – pyta.

– Nieszczególnie – stwierdza Carmen, mająca przesadną skłonność do nieuskarżania się.

– Wyobrażam sobie – mówi pani doktor. – To oczywiście przykre, że wtedy nie zostało to należycie dopilnowane. Niewątpliwie było to... karygodne niedopatrzenie.

– Dlatego, że teraz jest już za późno? – mamroce Carmen.

– Proszę w ten sposób nie myśleć – protestuje pani doktor. – Nadal mamy jeszcze całkiem sporo instrumentów, które możemy zastosować. Nie ma sensu wracać do tego, co było, musimy się skupić na tym, co można jeszcze zrobić.

Patrzę na Carmen, zdumiony sposobem, w jaki pani doktor zbagatelizowała oczywisty błąd kolegi, ale wygląda na to, że Carmen zaakceptowała takie podejście. W tej sytuacji postanowiłem się powstrzymać.

– Moja choroba nosi nazwę *inflammatory breast cancer*, zgadza się? – pyta Carmen.

– Oficjalna nazwa łacińska brzmi *mastitis carcinomatosa*, w nazwie angielskiej rzeczywiście występuje dodatkowe określenie *inflammatory*, czyli zapalny... a skąd pani to w ogóle wie?

– Wczytałam wczoraj w Internecie.

– Powinna pani tego raczej unikać – stwierdziła pani doktor zwięźle.

Tak, akurat, myślę sobie, bo przez to masz trudniej. Śmieję się w duchu i w przeciwieństwie do wczorajszego dnia, kiedy byłem wściekły na Carmen, że po przejrzeniu nie wiadomo ilu stron na temat najróżniejszych form raka, wmawia sobie najgorsze z najgorszych, dzisiaj jestem z niej dumny, że wie więcej, niż życzyłaby sobie pani doktor.

– Czy to prawda, że tylko czterdzieści procent kobiet z takim rozpoznaniem przeżywa pięć lat? – dąży dalej Carmen.

– Obawiam się, że jeszcze mniej – mówi doktor Scheltema lodowatym tonem, z wyraźnym nastawieniem, aby w ten sposób raz na zawsze zniechęcić nas do szukania czegokolwiek na ten temat w Internecie – ponieważ jest pani jeszcze młoda i komórki mnożą się w pani organizmie o wiele szybciej niż u osób starszych. Guz w pani lewym sutku mierzy w tej chwili trzynaście na cztery centymetry i najprawdopodobniej osiągnął takie rozmiary zaledwie w ciągu kilku miesięcy.

Trzynaście na cztery centymetry? Kabaczek tyle mierzy! I to zaledwie w ciągu paru miesięcy? Z pewnością tak właśnie musiało być, bo czegoś takiego nawet doktor Wolters nie byłby w stanie przegapić pół roku temu.

– Czy tego nie można usunąć? – pyta Carmen. – W razie konieczności nawet razem z całą piersią?

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Bez mrugnięcia okiem Carmen pyta, czy jej duma, jej znak firmowy może zostać amputo...

Doktor Scheltema kręci głową, że nie.

– Dokonanie zabiegu w tym momencie wiązałoby się z niebezpieczeństwem – mówi. – Guz jest zbyt duży. Nie wiemy na razie dokładnie, gdzie nastąpiły przerzuty. Jeślibyśmy cięli w tym stadium, to istnieje niebezpieczeństwo, że rak dostanie się do tkanki pozostałej po usunięciu piersi i wtedy tylko pogorszymy sprawę. Dopiero kiedy guz w pani piersi się zmniejszy, amputacja stanie się jedną z ewentualności.

Mówi to takim tonem, jakbyśmy się mieli z tego cieszyć.

– Innym środkiem, jaki stosuje się w celu wpłynięcia na guz, jest kuracja hormonalna... – tak, tak, właśnie kuracja hormonalna! Pamiętam, że coś na ten temat czytałem... – ale tutaj też nie można jej zastosować. W pani przypadku nie przyniesie to poprawy. Z badań pani krwi wynika, że mamy do czynienia z negatywną obecnością receptorów estrogenowych, co oznacza, że komórki rakowe nie zareagowałyby na hormony. Najgorsze jednak jest to, że biopsja wykazała... – no już, wyduś to z siebie...

– że guz jest rozsiany, co oznacza, że z pewnością komórki rakowe znalazły się już we krwi, co oznacza, że... sami państwo wiecie...

Nie, państwo nie wiedzą, bo chociaż nie jestem wcale z tych najgłupszych, to jednak jeszcze niedawno mijały całe dni, w czasie których ani przez chwilę nie myślałem o raku. Ponieważ również Carmen ma taki wyraz twarzy, który zdradza, że tego nie wie, pani doktor kontynuuje tonem, jakim w audycjach dla uczniów szkół podstawowych objaśnia się dzieciom, dlaczego dorośli prowadzą wojny.

– Sprawa wygląda tak. Krwinki przemieszczają się po całym organizmie, a więc pani komórki rakowe także. Markery rakowe we krwi nie mają jeszcze alarmujących wartości, ale mimo wszystko jest wielce prawdopodobne, że komórki rakowe są już rozsiane po pani organizmie.

Patrzymy na siebie z Carmen w milczeniu przez dłuższą chwilę. Głaszczę kciukiem jej dłoń. Doktor Scheltema też milczy. Do czasu.

– Jeśli nie podejmiemy żadnych kroków, to obawiam się, że wszystko potrwa kilka miesięcy. Najwyżej rok.

Chociaż to stwierdzenie jest tylko logiczną konsekwencją wszystkich wcześniejszych informacji, to jednak trafia nas jak grom. W końcu zostało to powiedziane. A więc tak to się odbywa. Przychodzi baba do lekarza i dowiaduje się, że ma przed sobą jeszcze tylko kilka miesięcy życia. Carmen zaczyna dygotać, zasłania dłonią usta i wybucha szlochem. Mnie ściska w dołku. Obejmuję ją ramieniem a drugą ręką trzymam jej dłoń.

– Trudno się z czymś takim pogodzić, to oczywiste – konstatuje pani doktor twardo. Nic na to nie odpowiadamy. Siedzimy, obejmując się ramionami. Carmen szlochając, ja nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

– I co teraz? – pytam po chwili.

– Zalecałabym jak najszybciej rozpocząć chemioterapię – podejmuje pani doktor temat, z wyraźną ulgą, że znowu może mówić o kwestiach technicznych. – Najlepiej jeszcze w tym tygodniu.

Chemioterapia. To słowo wisiało w powietrzu już od paru minut, ale i tak robi swoje. Chemioterapia. Czytaj: wyłysienie. Czytaj: śmiertelna choroba. Czytaj: wszyscy wiemy doskonale, że to gówno pomoże, ale nie ma innego wyjścia.

Doktor Scheltema mówi dalej:

– Chemioterapia dociera bowiem do całego organizmu, daje więc największe szanse na dopadnięcie raka.

– A naświetlania? – pytam. Carmen też podnosi wzrok. Właśnie, naświetlania, często też się je przecież stosuje, mówi jej pełne nadziei spojrzenie. Z jakiegoś powodu słowo „naświetlania” nie brzmi tak strasznie jak „chemioterapia”.

Pani doktor kręci przecząco głową. Głupie pytanie.

– Naświetlania mają wyłącznie efekt miejscowy. Ograniczają się więc do samej piersi. A my musimy spróbować wyrugować komórki rakowe z całego pani organizmu, a więc chemioterapia to najlepsza metoda – mówi wyraźnie poirytowana, bo przecież przed chwilą wszystko nam wyjaśniła.

– Czy może pani powiedzieć nam coś więcej na temat tej chemioterapii? – słyszę

swoje słowa wypowiedziane takim tonem, jakbym pytał o nawigację w nowym audi A4.

Pani doktor rozkwita. Widać wyraźnie, jaką radość sprawia jej, że wreszcie może wsiąść na swojego ulubionego konika. Natychmiast otrzymujemy przyspieszony kurs chemioterapii. Zasada wydaje się prosta. Organizm otrzymuje uderzeniową dawkę określonych substancji chemicznych, co stanowi większe obciążenie dla szybko dzielących się komórek rakowych niż dla komórek zdrowych. Komórki rakowe idą w rozsypkę, zupełnie jak piłkarska jedenastka pozbawiona rozgrywającego. Mogą zostać nawet całkowicie zniszczone, mówi pani doktor pełna uznania, dając się porwać własnemu entuzjazmowi. Niestety, zdrowe komórki organizmu, które podlegają szybkiemu podziałowi, również na tym cierpią.

– Na przykład pani komórki włosowe. Będzie pani musiała pogodzić się z przykrym faktem utraty włosów.

Pani doktor wyraźnie się rozkręca.

– Wydaje mi się, że najlepszym schematem leczniczym w pani przypadku będzie CAF, co jest skrótem od stosowanych wówczas substancji, czyli cyklofosfamidu, doksorubicyny i 5-fluorouracylu... – kiwamy oboje głowami, zupełnie jakbyśmy wiedzieli, o czym ona mówi – w połączeniu z lekiem zmniejszającym nudności oraz wymioty powodowane przez chemioterapię. – Znowu kiwamy głowami. – Mimo to niektóre osoby i tak wymiotują przez kilka dni po zabiegu. W takich przypadkach można podać leki doustne, przeznaczone do łykania po każdej turze chemioterapii, jeśli okaże się to konieczne... – Powoli przechodzimy w stan emocjonalnego zubożenia. – Dlatego zdarza się, że niektóre osoby znacznie mniej jedzą. Współwystępowanie wymiotów z upośledzeniem zmysłu smaku oczywiście nie wpływa na poprawę apetytu, co zrozumiałe... Jest też niebezpieczeństwo biegunek. Jeśli biegunka utrzymuje się dłużej niż przez dwa dni, trzeba się zgłosić do szpitala... – zupełnie jakby mówiła o przeciekającej pralce – ...może też dojść do zapalenia śluzówki jamy ustnej, do nieregularności lub całkowitego zaniku miesiączkowania. No i trzeba bardzo uważać, żeby nie pojawiła się gorączka. Jeśli coś takiego by się zdarzyło, trzeba od razu dzwonić, nawet w środku nocy.

Nie chcę już tego słuchać. W ogóle nie chcę już nic słyszeć. Carmen wyłączyła się już przy słowie wyłysienie. Ale pani doktor jest nie do zatrzymania.

– Cóż, jest też możliwe, że komórki rakowe w pani organizmie okażą się odporne na CAF, chociaż prawdopodobieństwo wystąpienia takiego zjawiska to tylko dwadzieścia pięć procent.

– I co wtedy?

– Wtedy próbuje się innej kuracji.

– O!

– Ale nie trzeba od razu zakładać najgorszego.

– Oczywiście.

– Chciałabym jeszcze państwu powiedzieć o jednej rzeczy – mówi doktor Scheltema, wyjmując z szuflady biurka żółtą broszurkę. – Jeśli uznacie to państwo za wskazane, możecie skorzystać z pomocy psychoterapeutycznej w naszym szpitalu. Udziela jej osoba wyspecjalizowana we wspieraniu pacjentów chorych na raka.

Carmen zagląda do broszury i mówi, że prawdopodobnie skorzystamy z takiej pomocy. Cóż. Skoro już musimy pogodzić się z obecnością raka w naszym życiu, to trzeba iść na całość, ze wszystkim, co do niego przynależy.

Patrzę na naszą kartkę z pytaniami. Pani doktor to zauważa i demonstracyjnie spogląda na zegarek. Widzę pytanie, które na pewno nie poprawi atmosfery w tym gabinecie.

– Czy nie byłoby lepiej dla mojej żony, gdyby podjęła leczenie w Szpitalu im. Antona van Leeuwenhoek, który chyba specjalizuje się w leczeniu raka?

Pani doktor Scheltema reaguje jak urażony trener piłkarski na konferencji prasowej.

– Nie ma to najmniejszego sensu. Konsultujemy z tym szpitalem każdy leczony u nas przypadek. Mamy co tydzień wspólne narady i omawiamy nawzajem dokumentację.

Spoglądam na Carmen. Kiwa gwałtownie głową, że w porządku. Nie chce konfliktu z lekarką, która ma ją leczyć. Decyduję, że nie będę zaogniać sytuacji. Raz jeszcze patrzę na kartkę. No, teraz to już na pewno zrobi się miło.

– I jeszcze ostatnie pytanie. Czy w Ameryce nie są w tej kwestii bardziej zaawansowani niż w Europie?

Pani doktor patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym był niesfornym uczniem, który odważył się zajrzeć pani nauczycielce pod sukienkę.

– To znaczy... proszę mnie źle nie zrozumieć, ja nie wątpię w słuszność pani diagnozy – śpieszę z wyjaśnieniem, chociaż oczywiście jak najbardziej wątpię, ale muszę coś powiedzieć, żeby mnie nie wyrzuciła z klasy – ale chcielibyśmy dla mojej żony czegoś najlepszego, rozumie pani?

Pani doktor nie rozumie, jak widzę po jej spojrzeniu, które nie pozostawia wątpliwości, że właśnie poczuła się dotknięta do żywego. Wzdycha ciężko i stara się mówić opanowanym tonem:

– Drogi panie, my tutaj czytamy wszelkie informacje na temat raka, jakie są dostępne na świecie. Jeśli jutro coś zostanie odkryte w Chicago czy w Los Angeles, my wiemy o tym jeszcze tego samego dnia. Od czasu, kiedy pojawił się Internet, wszystko jest powszechnie dostępne. Każdy może sobie sprawdzić. Pańska żona już się o tym przekonała...

Boże, jak ja nienawidzę tego ironicznego tonu i arogancji pani doktor Scheltemy, kiedy już definitywnie wiadomo, że jej koledze z tego samego szpitala zdarzyło się „karygodne niedopatrzenie”.

– Coś jeszcze?

Tak, dla mnie proszę pieczeń, głupia cipo.

Patrzę na Carmen, która kręci głową, że nie. Chce już stąd wyjść. To, co wczoraj było tylko możliwą ewentualnością, dzisiaj zmieniło się w smutną pewność, że nie da się uniknąć szpitala.

– Nie, to już wszystko – mówię.

Wstajemy i wkładamy kurtki.

– Czekam na wiadomość od pani, czy decyduje się pani na chemioterapię. Ja na pani miejscu bym to zrobiła – mówi doktor Scheltema, podając Carmen rękę, teraz niemal przymilnie.

– Dobrze... zastanowię się. Jutro zadzwonimy.

– W takim razie do widzenia – mówi znowu chłodnym tonem. Mnie też podaje rękę.

– Dziękujemy za pani czas. Do następnego razu – mówię.

Kiedy idziemy korytarzem, trzymam Carmen za rękę i na nikogo nie patrzę. Czuję na plecach spojrzenia ludzi czekających na korytarzu na swoją kolej. Zupełnie tak samo, jak kiedy człowiek przechodzi z ostrą laską w zbyt krótkiej spódniczce obok kawiarnianych ogródków – wiesz, że wszyscy się gapią, chociaż każdy udaje, że to nieprawda. Carmen nie ma na sobie zbyt krótkiej spódniczki, tylko zaczerwienione oczy i chusteczkę w dłoni. Ja obejmuję ją ramieniem, wzrok mam wbity w koniec korytarza. Oni pewnie trącają się nawzajem łokciami, pokazują ruchem głowy w naszym kierunku, szepczą coś do siebie. Boże jedyny, ta kobieta, jeszcze taka młoda i tak pięknie wygląda, a patrzcie, jak ona idzie. Pewnie właśnie się dowiedziała, że ma raka. I popatrzcie na tego młodzieńca przy niej, jaki on biedny. Odczuwam ich współczucie i żądę sensacji. Szkoda, że ci ludzie nie widzą, jak to jest, kiedy mamy ze sobą Lunę. Obraz byłby wtedy jeszcze piękniejszy.

*I don't believe in magic but for you I will,
darlin' for you I'm counting on a miracle.*
(Nie wierzę w magię, lecz dla ciebie uwierzę, kochanie,
dla ciebie zacznę liczyć na cud.)

Bruce Springsteen, z utworu *Countin' On A Miracle*
(album *The Rising*, 2002)

Jedenaście

Carmen czyta na głos, co jest napisane w broszurce, którą dostaliśmy od doktor Scheltemy. Psychoterapeutka korzysta z metody Carla Simontona. Jak wynika z broszurki, człowiek ten jest pionierem, jeśli idzie o techniki leczenia raka, w których ważną rolę odgrywa nie tylko ciało, ale też psychika.

– Jednym słowem kumpel naszego telewizyjnego coacha Emile Ratelbanda – stwierdzam ironicznie.

Pół godziny później wychodzimy z księgarni z dwiema książkami doktora Simontona pod pachą.

Kiedy już położyliśmy Lunę spać i wyłączyliśmy telefon, który tego wieczoru ani na chwilę nie przestawał dzwonić, każde z nas wzięło jedną z książek doktora Simontona. Carmen otwiera *Jak żyć z rakiem i go pokonać*, a ja zaczynam *Powrót do zdrowia*.

„Niektóre osoby mogą żywić obawy, że dajemy pacjentom fałszywą nadzieję. Lecz naszym zdaniem nadzieja jest w takiej sytuacji o wiele zdrowszą postawą niż rozpacz”^[6],
czytam.

Chwilę później egzemplarz *Jak żyć z rakiem i go pokonać* z impetem uderza w ścianę pokoju.

– I po co ja tu, kurde, siedzę i czytam o raku! Ja wcale nie chcę czytać o raku! – krzyczy Carmen. – To nie w porządku, to nie może być prawda! Przecież to się nie dzieje naprawdę!

Całkowicie zgadzam się z jej oceną, ale wszystko, co mogę zrobić, to zamknąć moją wydzierającą się, przerażoną Carmen w ramionach, głaskać ją, całować i szeptać jej do ucha: „spokojnie, kochanie, no już dobrze, już dobrze...”.

Jest wieczór przed Dniem Królowej. Podczas gdy całe miasto chleje na potęgę, w domu przy Amstelveenseweg 872 dwie kupki nieszczęścia rozpaczliwie tulą się do siebie.

*Dan wil ik dansen, dansen, dansen,
dansen op de Vulkaan.*
(A potem będę tańczył, tańczył,
tańczył na wulkanie.)

De Dijk, z utworu *Dansen op de vulkaan*
(album *Wakker in een vreemde wereld*, 1987)

Dwanaście

Piętnaście po dziewiątej rozlega się dzwonek i pod drzwiami stoi Frenk. Mało nie padłem ze zdziwienia, bo kiedy jest wolne, to Frenk uważa, że dzień nie ma prawa zacząć się przed dwunastą w południe.

Frenk jest leniwy, egocentryczny, poza tym jest snobem i moim najlepszym kumplem. W przeciwieństwie do Thomasa Frenk wie o mnie wszystko. Pracujemy razem całymi dniami. Frenk wie, o czym myślę, co lubię mieć na kanapce, wie, że w BBDvW&R/Bernilvy dymałem nie tylko Sharon, ale też Lies, Cindy i Dianne, i że kiedy jeszcze nie do końca byłem z Carmen, regularnie bzykałem się z Maud i wie też – ponieważ w czasie tych wszystkich lat mieszkał w pokojach hotelowych obok mojego – jakie dźwięki wydają z siebie, kiedy mam wytrysk.

W porównaniu ze mną Frenk ma dokładnie odwrotne libido. Kiedy go jeszcze dobrze nie znałem, myślałem, że na seks chodzi potajemnie do burdeli, ale dzisiaj wiem, że bzykanie po prostu go nie interesuje. Tak po prostu jest i już. Bardzo, ale to bardzo rzadko, zdarza się jakaś kobieta u jego boku i wtedy uprawia z nią seks. W ciągu tych piętnastu lat, jakie się znamy, zdarzyło się to wedle mojej wiedzy trzy razy. Wydaje mi się, że wiem, dlaczego tak się dzieje. Po prostu Frenk usytuował siebie samego pośrodku wszechświata i to mu w zupełności wystarcza. Do tego nie pasuje nic więcej. Żadna kobieta, żadna rodzina – nic. Jedyne, na co Frenk wydaje pieniądze, to Frenk. A wydaje ich cholernie dużo. Całe góry. Ale wydaje z pomysłem. Frenk ma styl i każdy musi o tym wiedzieć. Frenk chodzi na najnowsze premierowe przedstawienia. I do restauracji, które akurat są na topie. I ma najnowsze ciuchy od Prady, zanim jeszcze pojawią się w P.C. Hooft (o czym nigdy nie omieszka wspomnieć niby mimochodem w czasie lunchu w Merk in Uitvoering). Najwięcej kasy idzie na różne niezbędne rzeczy w jego penthousie przy Bloemgracht. Pethnouse jest wielki jak sala balowa i wszystko, co tam stoi, jest piekielnie drogie. Sama kuchnia kosztowała więcej niż całe umeblowanie naszego domu przy Amstelveenseweg. Nie dlatego, żeby Frenk specjalnie często do tej kuchni zaglądał, bo nawet nie umie gotować. Frenk nie umie też prasować, prać, robić zakupów ani załatać dętki od roweru. Frenk nie ma gospodyni, nie ma prawa jazdy i zielonego pojęcia, jak takie przyziemne sprawy załatwić. Od czasu do czasu przyjeżdża z Bredy jego ojciec i naprawia wszystko, co jest do naprawienia w jego penthousie, jego matka sprząta i pierze, dwa razy w tygodniu Frenk przychodzi do nas na kolację i uważa za oczywiste, że w dowolnym momencie może się z nami zabrać, kiedy jedziemy gdzieś samochodem.

Jednym słowem wszystko mu wolno, bo ma jedną rzecz, którą daje w zamian: Frenk jest moim przyjacielem.

– Nie mogłem was przecież zostawić samych w Dniu Królowej!

W przeciwieństwie do Thomasa Frenk nie wstydzi się mnie objąć i ucałować. Kiedy ja i Frenk wracamy do biura po urlopie, kiedy mamy urodziny i kiedy wygraliśmy konkurs na *new business*, serdecznie bierzemy się w objęcia. Cenię to sobie. Kojarzy mi się to z przyjaźnią, jaką znamy w zasadzie tylko z piosenek Bruce’a Springsteena czy spotów reklamowych piwa Amstel. Nastrój w domu, gdzie mieszkają Stijn & Carmen, nagle robi się radosny. Carmen jest mile zaskoczona, a Luna piszczy z radości. Uwielbia Frenka, a Frenk ją.

Kiedy siedzimy przy stole w kuchni i Frenk ochoczo przyjął zaproszenie Carmen, żeby poczęstować się croissantem, pyta, jak nam leci. Carmen zdaje mu relację, od czasu do czasu wspomagana przeze mnie. Za każdym razem, kiedy widać, że trudno jej mówić, Frenk kładzie dłoń na jej ramieniu. Frenk słucha uważnie tego, co mówimy na temat wszystkiego, co wczoraj usłyszeliśmy. Na temat wykładu doktor Scheltemy o chemioterapii i tego, jak się oboje czuliśmy, idąc szpitalnym korytarzem.

Z minuty na minutę coraz bardziej milknę. Już parę minut temu wstałem raz, żeby pójść do kibla, chociaż wcale nie musiałem, ale naprawdę nie wiem już, co robić. Na szczęście czuję brzydki zapach kupy.

– Zabiorę Lunę na górę i zmienię jej pieluchę.

Biorę córkę na ręce i idę z nią na górę. Z oczyma pełnymi łez wycieram Lunie pupkę i zakładam nową pieluszkę. Luna patrzy na mnie zdumiona z komody.

– Och, mój skarbeczku... Mój ty kochany skarbeczku...

Zapinam z powrotem zatrzaski jej śpioszków, podnoszę ją, biorę na ręce i gapię się przez okno, podczas gdy łzy płyną mi po policzkach. Wciąż jeszcze nie mogę tego pojąć. Mamy po trzydzieści sześć lat, cudowną córeczkę, każde z nas prowadzi własny biznes, żyjemy w Amsterdamie jak bogowie, mamy tabuny przyjaciół, robimy, co nam się żywnie podoba i nagle w Dniu Królowej siedzimy i przez pół dnia gadamy tylko o raku.

Kiedy już zamknąłem drzwi za Frenkiem (który pyta, czy naprawdę nie mamy ochoty gdzieś z nim pójść dzisiaj – Carmen nie jest w nastroju), robię się jeszcze bardziej zły. Carmen już rano dała mi do zrozumienia, że nie jest w nastroju, żeby wychodzić dzisiaj w świętujący tłum. Doskonale to rozumiem, ale teraz, kiedy perspektywa siedzenia w domu i rozpamiętywania wszystkiego przez cały dzień stała się całkowicie konkretna, o mało nie dostaję świra. Stijn i niepójście na imprezę to jeszcze gorsze niż zabranie Lunie smoczka. A w dodatku jest to już na sto procent pewne. Marzę tylko o tym, żeby wyjść, zalać się w trupa, chcę się bawić, chcę robić cokolwiek, byle tylko nie gadać dalej o raku.

Wzdycham demonstracyjnie, siadając z powrotem przy kuchennym stole.

– Mógłbyś trochę subtelniej dawać do zrozumienia, że coś ci nie pasuje – prycha Carmen. – Przecież to nie moja wina, że mam raka.

– No właśnie. Moja też nie – mówię wściekły.

*I want to run, I want to hide, I want to tear down
the Walls that hold me inside.*

(Mam ochotę gdzieś biec, mam ochotę się ukryć,
mam ochotę rozwalić te ściany, które mnie tu trzymają.)

U2, z utworu *Where The Streets Have No Name*
(album *The Joshua Tree*, 1987)

Trzyznaście

Po godzinie nie wytrzymuję. Carmen siedzi i przegląda magazyn o urządzeniu wewnątrz „VT Wonen”, a ja jestem przekonany, że nawet nie wie, co czyta.

– Do jasnej cholery, co my tu robimy o tej porze?! – wydieram się nagle.

Carmen patrzy na mnie i wygląda tak, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem. O, nie, tylko nie to, akurat potrzebny mi wybuch płaczu numer nie wiadomo który w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Zmuszam się do zachowania spokoju, podchodzę do niej i biorę ją w objęcia.

– Skarbie, uważam, że naprawdę będzie lepiej dla nas wszystkich, jak coś ze sobą zrobimy. Siedzenie w domu nic nam nie da. Zbierzmy się przynajmniej i pójdźmy sobie z Luną do Vondelpark.

Carmen ociera łzy i mówi:

– Okej, może tak rzeczywiście będzie lepiej...

W Dniu Królowej Vondelpark to dla dzieci z Amsterdam-Zuid prawdziwy raj. Nawet pokazy zapewniają dzieciaki z tej dzielnicy. Dwóch chłopaczków z radiowego chóru Dzieci Dzieciom sprzedają własnej roboty tradycyjne ciasteczka wypiekane z okazji Dnia Królowej. Jako dziecko nigdy tego nie robiłem i nie wyobrażam sobie, żeby robił to którykolwiek z moich przyjaciół z Breda-Noord. Jakieś dziecko z o wiele za poważną jak na swój wiek miną – „Jakbym miała takie dziecko, to rozważyłabym kwestię aborcji postnatalnej”, mówi Carmen – deklamuje wiersze. Kto dzisiaj jeszcze tak wychowuje dzieci? Poezja jest jak rock symfoniczny, jak boiskowy układ 4–3–3, jak jedzenie u Chińczyka – poza moim dawnym nauczycielem niderlandzkiego w szkole i recenzentem gazety „Het Parool” nie znam nikogo, kto czytałby poezję. Jesteśmy z Carmen coraz bardziej znużeni tymi wszystkimi dzieciakami, które deklamują, grają na skrzypcach, zonglują i denerwują pod okiem dumnych jak pawie rodziców. Jakaś dziewczynka z końskim ogonem i w pomarańczowej sukience prezentuje, czego się nauczyła na lekcji gry na skrzypcach.

– Jak Luna dorośnie, to wolałbym ją odbierać z komisariatu niż z lekcji gry na skrzypcach – mówię Carmen szeptem do ucha.

Carmen parska śmiechem. Matce dziewczynki w pomarańczowej sukience wyraźnie się to nie podoba.

– No i co, chyba fajnie było? – pytam, kiedy niosąc Lunę na barana, idę z Carmen przez Cornelis Schuytstraat w stronę przystanku przy De Lairessestraat.

Carmen całuje mnie w policzek i puszcza do mnie oko.

*Het is weer voorbij die mooie zomer, die zomer
die begon zowat in mei, je dacht dat er geen einde aan zou komen,
maar voor je het weet is heel die zomer alweer lang voorbij.*
(I znów minęło piękne lato, ta pora roku, co zaczęła się
już w maju, choć wydawało ci się, że nie będzie miała końca,
to nie wiadomo kiedy, a już na jesieni skraju.)

Gerard Cox, z utworu *Het is weer voorbij die mooie zomer*
(album *Het beste van Gerard Cox*, 1973)

Czternaście

Za trzy miesiące będzie już po lecie i chemioterapii, a Carmen będzie łyśa. W samochodzie w drodze do Szpitala św. Łukasza na pierwszą turę zabiegów przelatuje mi przez głowę wszystko, o czym tego lata mogę zapomnieć. Na niedzielę do Bloemendaal? Nic z tego, Carmen na pewno nie będzie chciała o tym myśleć, kiedy zaraz ma być łyśa. O naszych planach, żeby w okolicach majowego święta Wniebowstąpienia wybrać się do Nowego Jorku też możemy zapomnieć, bo wtedy chemia akurat zacznie zadomawiać się w jej ciele. Jakaś piłka w parku we wtorek wieczór? *Forget it!* W tym czasie muszę siedzieć w domu, żeby dać Lunie jeść i położyć ją spać, bo Carmen będzie leżała w łóżku i rzygała. I o tym, żeby zadzwonić do Frenka czy Maud i zapytać, czy nie wpadliby do nas i potem samemu pójść sobie z którymś z nich pograć...

A nawet jeszcze nie zdążyłem pomyśleć o życiu po tym lecie, po chemioterapii. Nie umiem wręcz ogarnąć tego wszystkiego, co jeszcze się wydarzy w najbliższych miesiącach – nie mam nawet odwagi patrzeć tak daleko w przód. To zupełnie jak mecz Ligi Mistrzów Ajax–Juventus na stadionie ArenA w czasach trenera Louisa van Gaala. Do przerwy 0:2 a potem przydałyby się jeszcze trzy połowy^[7].

Kiedy jesteśmy na obwodnicy, zaczyna mżyć. I dobrze. Jeśli o mnie chodzi, to tego lata może być nawet mróz. Wyłączam radio. Popowe piosenki Edwina Eversa są dziś jak dla mnie za wesołe. Naciskam przycisk odtwarzacza. Michael Stipe śpiewa, że musimy wytrzymać, kiedy dzień trwa stanowczo za długo, że musimy wytrzymać, kiedy już wiemy, że nie damy dłużej rady, kiedy wszystko jest nie tak. Oboje się nie odzywamy. Carmen też słucha. Ociera łzę z policzka. Zaciskam dłoń na jej udzie. „No, no, no, you’re not alone. I Hold on. Hold on”. Carmen kładzie dłoń na mojej dłoni. „Hold on. Hold on”^[8].

– Puuhh... – wzdycha Carmen, kiedy piosenka się kończy.

Idziemy obok gabinetu doktor Scheltemy na koniec korytarza. Najpierw pobranie krwi. Po co – nie mam pojęcia. Coś z białymi krwinkami. Czy może czerwonymi. Pobierają Carmen krew, dają watkę, którą przykładają do miejsca nakłucia w przedramieniu i wracamy. Czekamy. W ciągu paru tygodni wizyt w szpitalu nauczyłem się, że czekanie to tutaj najnaturalniejsza rzecz na świecie. Godzina widniejąca na karcie to nic więcej niż „poczynając od”. Gazeta „De Volkskrant”, którą kupiłem w kiosku w holu szpitala, po piętnastu minutach jest już przeczytana. Na stoliku w korytarzu widzę między

ilustrowanymi magazynami „Stories” i „Margrieten” egzemplarz Voetbal International, ale wynik meczu Holandia–Argentyna z Mistrzostw Świata we Francji z zeszłego roku już znam. Wreszcie zostajemy wezwani do gabinetu. Pani doktor sprawia wrażenie radośnie ożywionej.

– No, to możemy zaczynać od razu już dzisiaj! – mówi, zupełnie jakby była drużynową i stała z grupką swoich skautów u stóp wzgórza w Ardenach.

Krew Carmen jest w porządku. Można zacząć kurację. Pani doktor mówi, że możemy iść do sali do chemioterapii na trzecim piętrze.

Nigdy wcześniej w czymś takim nie byłem, ale coś mi podpowiada, że chemioterapia to nic przyjemnego. Obiecałem Carmen, że za każdym razem przy niej będę. Odetchnęła z ulgą i powiedziała, że to miłe z mojej strony, że tego chcę. „Chcę”, „chcę” – jedyne, czego chcę jeszcze mniej niż tego, to żeby Carmen musiała tam chodzić sama. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek chciał chodzić z kimś na chemioterapię.

Wygląda na to, że mam rację. Większość partnerów osób na chemioterapii siedzi w domu albo w pracy czy gdziekolwiek indziej, byle tylko nie w sali do chemioterapii.

Kiedy tam wchodzimy, otwiera się przed nami całkowicie nowy świat. Nie jest to zwykła sala szpitalna, o nie, aż za wyraźnie widać, że starano się stworzyć tutaj jak najbardziej „domową” atmosferę. Pod oknem stoi stół z dwoma dzbankami kawy, stoją filiżanki i miska z kromkami chlebka imbirowego. Połowa z nich jest już posmarowana masłem, połowa zaś łyśa, by pozostać przy nomenklaturze pasującej do chemioterapii. Stoją tu dwa niskie okrągłe stoliki przykryte obrusami. Na jednym tkwi mała roślinka (nie pytajcie jaka), trochę jakby zwiędnięta. Wokół obydwu stolików stoją niskie krzesła. Widać, że zrobiono wszystko, żeby dać pacjentom poczucie, że są w zwykłym pokoju. Szkoda tylko, że pacjenci trochę nie pasują do tego obrazu. Mają na rękach wielkie plastry, spod których wychodzą przezroczyste rurki i biegną w górę po czymś w rodzaju wieszaka na kółkach, na którym wiszą plastikowe torebki z czerwonym i przezroczystym płynem. Płyn skapuje do rurek i spływa w dół, jak teraz widzę, i znika pod plastrem, gdzie, jak się obawiam, wchodzi do ciała. Nie wygląda to zbyt zdrowo i kompletnie nie sprawia wrażenia czegoś normalnego i swojskiego.

Troje z czwórki pacjentów ma taki wieszak. Jeden mężczyzna, jowialny typek z wielkimi wyblakłymi tatuażami, nie ma wieszaka, więc jak przypuszczam nie jest pacjentem, podobnie jak ja. Przypuszczalnie przyszedł razem ze starszą grubą kobietą, która siedzi obok niego, trzymając go za rękę. Ona oczywiście ma wieszak z woreczkami jakichś płynów. Rzadziusięńkie, ufarbowane na ciemnorudy kolor włosy. Prześwituje przez nie skóra głowy. Na niskim krześle obok niej siedzi mężczyzna około pięćdziesiątki, łyśy zupełnie jak ten włoski sędzia piłkarski Collina. On też ma takie dziwne, wylupiate oczy. I też jest przypięty do wieszaka. Kiedy przyglądam mu się uważniej, widzę, że to nie przez oczy ma taki dziwny wygląd, tylko przez to, że brakuje mu brwi i rzęs.

Trzeci wieszak należy do wyluzowanego młodzieńca w kapeluszu jak z filmu *Wielki Gatsby*. Na moje oko ma dwadzieścia kilka lat. Przypominam sobie, że w zeszłym tygodniu widziałem go na korytarzu pod gabinetem doktor Scheltemy. Był wtedy ze swoją dziewczyną, drobną kobietką o włoskiej urodzie i czarnych kręconych włosach do ramion. Całkiem niezła laska. Pamiętam, że nawet byłem zadowolony, że nie jesteśmy jedynymi

młodymi ludźmi z rakiem. Ciekawe, gdzie dzisiaj podziwia się jego dziewczyna? Może go rzuciła, bo ma raka jąder, albo coś w tym rodzaju? A jeśli go nie rzuciła, to jeszcze większa z niej suka, bo czemu w takim razie nie ma jej tutaj, kiedy jej chłopak bierze chemię? No, nie, najwyraźniej nie jestem jeszcze taki najgorszy, stwierdzam z samozadowoleniem.

– Dzień dobry, jestem Janine – wita się z nami pielęgniarka, zezowata jak nie wiem co.

– Witam, jestem Carmen – mówi Carmen ujmująco.

– Dzień dobry. Stijn – mówię chłodno, ściskając dłoń Janine.

Zezowata pielęgniarka wskazuje w stronę nieporadnej dwudziestolatki, która też jest ubrana na biał.

– A to jest Jolanda, odbywa u nas staż.

Staż? Ona na stażu? Akurat jakaś beznadziejna dwudziestolatka podfruwajka musi brać udział w naszym chemioterapeutycznym chrzcie, kiedy czuję przez skórę, że nie obejdzie się bez płaczu, i to tak po prostu w ramach stażu? A potem wieczorem w knajpie będzie szczebiotała ze swoimi kumpelami studentkami i opowiadała: „Wiecie, dzisiaj była u nas na chemii taka kobitka, całkiem ładna, może ze trzydzieści pięć lat, ma na imię Carmen, czy jakoś tak, całkiem miła, ze swoim facetem, taki arogancki buc, nawet się nie odezwał, no i ta kobitka się rozryczała, ile ja z nią miałam zachodu, mówię wam... To co, jeszcze browarek? A jak tam u was na stażu? Dobrze pamiętam, że wy na rehabilitacji?”

Głupia cipa.

Zezowata Janine informuje nas, że preparaty do chemioterapii dla Carmen są już zamówione w szpitalnej aptece i niedługo powinny być, bo nie ma takiego ruchu. Dzisiaj zabieg mają tylko cztery osoby, Carmen jest ostatnia, a tamci już są, mówi Janine, ruchem głowy wskazując trójkę pozostałych. Czasami jest podobno osiem osób jednocześnie i wtedy już bywa różnie, bo apteka potrafi i do południa być zajęta przygotowywaniem preparatów dla wszystkich.

Nie do końca rozumiem, o co chodzi, ale podobno tego lata ma być jakaś ważna zmiana. Za trzy miesiące mamy zawsze dokładnie wiedzieć, o której godzinie trzeba przyjść, żeby od razu zacząć zabieg, tak jak ja dokładnie wiem, o której muszę zjawić się w Paradiso, żeby nie za długo czekać w kolejce, ale też żeby nie siedzieć w pustej sali.

Dzwoni telefon. Janine odbiera.

– Chemia dla pani Van Diepen jest już gotowa – mówi do stażystki, odkładając słuchawkę. – Mogę cię prosić o przyniesienie?

Dziewczyna kiwa głową i wychodzi z sali.

– Bardzo miła – mówi Janine, pochylając się trochę w naszą stronę. – A dzisiaj to różnie bywa ze stażystami.

– Zgadza się – potwierdza Carmen z uśmiechem. – Wiem coś o tym.

– Pani też ma stażystów?

Carmen i Janine zaczynają paplać w najlepsze na temat blasków i cieni zatrudniania stażystów. I znów Carmen zdumiewa mnie swoją umiejętnością prowadzenia w każdej sytuacji przyjaznych i spontanicznych rozmów z ludźmi, zupełnie jakby nigdy nic. Doskonale wiem, że jest piekielnie zdenerwowana, a jednak udaje się jej słuchać z

zainteresowaniem opowieści o poprzedniej dziewczynie, która była tu na stażu.

Ja nie potrafię. Wcale nie chcę zachowywać się jak gbur, ale za każdym razem, kiedy wchodzę do tego szpitala, dzieje się tak automatycznie. Nienawidzę raka i tego, co robi z naszym życiem. Nienawidzę mojego nowego statusu jako męża pacjentki onkologii. Jestem wściekły, sfrustrowany, bezradny. Zły na doktora Woltersa, na doktor Scheltemę, na pielęgniarki, na stażystkę, na resztę pacjentów, na człowieka, który wybudował ten przygnębiający Szpital św. Łukasza, na kierowcę samochodu, który stojąc dzisiaj rano przed nami na światłach, nie zauważył, że już od wieków pali się zielone, na Janine, która jest tak przyjaźnie nastawiona, że mimo najlepszych chęci nie mogę powiedzieć, że jest pipą.

I jestem wściekły na samego siebie za to, że jestem taki wściekły. Że nie potrafię odpuścić, nie potrafię zaakceptować faktu, że Carmen po prostu ma raka, a ja jestem jej mężem, na dobre i na złe. To oczywiste, że przyszedłem tu dzisiaj z Carmen, i to oczywiste, że byłem z siebie dumny, kiedy słyszałem wczoraj, jak Carmen w rozmowie ze swoją matką i Anne mówi, że jest mi taka wdzięczna, że z nią idę. I oczywiście cały czas powtarzam, że razem damy temu rakowi popalić, że nie damy się stłamsić, oczywiście, że tak mówię! A co mi innego zostało? Mam powiedzieć Carmen, że wszystkie te przytulania, słowa otuchy, całusy w policzek i czoło, głaskanie kciukiem jej nadgarstka, kiedy trzymając się za rękę, idziemy korytarzem, biorą się tylko stąd, że świadomie staram się być dla niej miły? Że robię to z poczucia obowiązku, na zasadzie: masz być miły dla żony, która ma raka? Nie, to moja najprawdziwsza potrzeba, moje poczucie, że tak należy – dlatego jestem dla niej miły. Ale to się nie bierze z niczego. Muszę do tego zmobilizować całą moją miłość.

Wchodzi stażystka ze sporych rozmiarów próżniowym pojemnikiem, którego wieczko przytrzymują dwie metalowe klamry.

– O, proszę, jak szybko – mówi Janine uradowana. – Zaraz zadzwonię po lekarza, żeby podłączył panią do kroplówki.

Lekarz, który przedstawił się jako Frans, podaje Carmen rękę i czerwieni się. Prawda, że to zupełnie co innego niż te wszystkie stare purchawki, co? Na szczęście dla niego Carmen ma dzisiaj na sobie luźne spodnie, bo inaczej okularki całkiem by mu zaparowały. Za każdym razem, kiedy widzę, że Carmen jest atrakcyjna dla innych mężczyzn, jestem dumny jak stado paw i okazuję to w typowy dla mnie sposób, patrząc na takiego faceta w możliwie obojętny sposób. Tak, tak, o tej ostrej lasce, na którą się gapisz, palancie, możesz sobie tylko pomarzyć! I wtedy o mało nie pęknę z dumy, że to ja jestem mężem Carmen.

Zostaję brutalnie wyrwany z moich wizji, bo nagle Carmen zaczyna płakać, a Frans, który staje się coraz bardziej nerwowy, że musi powtórzyć wkłucie, bo tą swoją komicznie grubą igłą – będzie z pół centymetra średnicy, jak konstatuje z przerażeniem – trafił nie w tę żyłę, co trzeba. Mam ochotę go zabić, ale on tego nie widzi, ponieważ razem z Janine jest zajęty tamowaniem krwi, która płynie z dziury w rękę Carmen.

Druga próba wygląda na udaną. Wnioskuje to z uspokajającego „no, to już wygląda znacznie lepiej”, któremu towarzyszy delikatne poklepanie Carmen po rękę.

– Udało się – mówi Janine z ulgą. Trzyma ją za lewą rękę i głaszcze delikatnie,

podczas gdy ja – z trudem powstrzymując łzy – siadam z drugiej strony i przytulam głowę Carmen do swojej piersi, żeby nie musiała patrzeć, jak majstrują przy jej ręce.

– Przepraszam, że to tyle trwało. Dość trudno wkłuć się w pani żyły – usprawiedliwia się Frans. Niezgrabnie ściska lewą dłoń Carmen, nawet na nas nie patrząc, mamrocze pod nosem coś w rodzaju „do zobaczenia” i zmywa się najszybciej, jak można.

Janine pyta, czy usiądziemy razem z innymi, którzy wcale nie wyglądają na zakłopotanych tym, że Carmen płacze – widać pacjentów onkologicznych niewiele rusza – przy którymś ze stołów, czy wolimy raczej przenieść się do osobnego pomieszczenia obok. Patrząc na Carmen, która ociera ostatnią łzę tą dłonią, w której nie ma wenflonu.

– Nie, nie, usiądziemy razem ze wszystkimi. Będzie raźniej – mówi z uśmiechem.

No, nie wiem, czy będzie mi raźniej. Stwierdzam, że trochę się tych ludzi wstydzę. Ten młodzieniec z kapeluszem jak z filmu *Wielki Gatsby*, facet bez brwi i kobieta w białych spodniach razem ze swoim jowialnym mężusiem będą mogli się bez przeszkód gapić, jak obsypuję pocałunkami czoło mojej płaczącej Carmen. I na pewno widzą, ile wysiłku mnie to kosztuje, żeby samemu jako tako się trzymać. Pocieszać kogoś z oddaniem to zupełnie jak ściągnąć publicznie gacie. Człowiek pokazuje się od intymnej strony. Ale może Carmen ma rację. Spróbujmy się wtopić w to towarzystwo. Musimy się przecież przyzwyczaić. Jak się nie da tak, jak ma być, to musi być tak, jak się da^[9]

Podchodzę do stolika przy oknie, na którym stoją termosy z herbatą. Carmen staje przy mnie i czeka, aż naleję. Czuję, że nie chce siedzieć sama wśród reszty nieszczęśników.

– Trudna sprawa, prawda? – mówi gruba kobieta w białych spodniach i o przerzedzonych włosach.

– No... – potwierdza Carmen.

– Pani pewnie pierwszy raz dostaje chemię?

– Tak.

– Przywyknie pani.

– Mam taką nadzieję...

– No, ale przyjemne to i tak nie będzie.

– Płacenie podatków też nie jest przyjemne – rzuca dowcipnie jej małżonek, mówiący z ciężkim, amsterdamskim akcentem.

– Oby tylko dbali o nas lepiej niż o te rośliny – mówi gruba kobieta, ruchem głowy wskazując na marny kwiatek na stole. Wszyscy wybuchają śmiechem. Carmen też się śmieje, więc i ja muszę. Patrząc na nią i postanawiam, że dzisiaj będę robił wszystko, żeby była zadowolona. Któryś z aparatów, chyba ten od chłopaka w kapeluszu, zaczyna popiskiwać.

– Ktoś coś włożył do mikrofalówki? – pytam, próbując, jak najbardziej dostosować się do poziomu humoru grubej kobiety.

– Tak, tak, to ja! Krokiecik i suflet serowy – wtóruje mi chłopak.

Znowu śmiech. Carmen też się przyłącza. Stażystka podchodzi do chłopaka i majstruje coś przy aparacie. Widzę, że dwa z trzech woreczków na jego wieszaku są już puste.

Siadam z Carmen przy stoliku. Krzesła przy drugim stoliku są zajęte. Szkoda. Nie

będzie do końca różnie.

Carmen dostaje własny wieszak, na szczęście robi to Janine. Niech sobie będzie zezowata, ale lepiej ona niż stażystka. Bóg jeden wie, co taki dzieciuch może zrobić nie tak. Janine wiesza dwa woreczki z przezroczystym płynem („jeden jest przeciwko wymiotom, od tego zaczniemy”) i jeden z czymś czerwonym („to adriamycyna”). To czerwone cholerstwo wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem. Gęste. Trujące. Dobrze jeszcze, że nie śmierdzi. A więc tak to wygląda. Chemia. Płyn, który wisi teraz w woreczku na wieszaku obok Carmen i niedługo popłynie do jej ciała, płyn, który może znacznie niszczyć raka, ale na pewno sprawi, że Carmen wyłysieje.

Wenflon w rękę Carmen zostaje połączony z przezroczystą rurką, która dochodzi do aparatu, na którym widać czerwone cyferki i strzałki, umieszczonego mniej więcej w połowie wieszaka. Przezroczysta rurka jest podłączona do jednego z dwóch woreczków z przezroczystym płynem i dochodzi do skrzynki z cyferkami. Janine objaśnia, że roztwór soli spływa w ciągu dwudziestu minut i naciska jakieś przyciski na skrzynce, który posłusznie pokazuje w okienku „20”.

– Kiedy kroplówka się skończy, aparat zapiszczy i wtedy proszę mnie zawołać, gdybym przypadkiem sama nie zauważyła.

Znam już tę procedurę, bo jakiś czas temu zapiszczał aparat chłopaka w kapeluszu.

– No, mój osobisty patrol chemiczny – mówi Carmen, puszczając oko.

Niezbyt udany ten dowcip.

– Jezu, jaka ona zezowata – mówię Carmen szeptem do ucha.

Carmen przytakuje ruchem głowy i przygryza policzek, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Może nazwiemy ją Zezowate Szczęście? – pytam bez sensu.

Carmen krztusi się herbatą i parska śmiechem. Udaję, że z przestachu potykam się o nogi jej wieszaka, odwracam się niby zdziwiony i kiedy Janine nie patrzy, robię minę Jasia Fasoli i udaję, jakbym chciał go za sobą pociągnąć.

– Opanuj się, Stijn! – chichocze Carmen.

Janine uśmiecha się do Carmen i jest zadowolona, że ta się śmieje.

– Wygląda na to, że troszkę już pani lepiej – mówi do Carmen i puszcza do mnie oko. Czerwienię się, bo czuję, że chce mi dać w ten sposób do zrozumienia, że doskonale wie, że to, co powiedziałem szeptem do Carmen, było na jej temat. I uświadamiam sobie, że zezowata Janine jest gotowa zrobić wszystko, żeby tylko życie jej pacjentów było mniej nieznośne, chociaż na jeden poranek, jedną godzinę, jedną minutę nawet. A jeśli w tym celu miałyby stać się obiektem kpin, to proszę bardzo. Nagle poczułem się nikim przy zezowatej Janine.

Siadam przy Carmen. Całuje mnie i szepcze do ucha, że mnie kocha. Patrzę na nią zakochanym wzrokiem i jestem dumny z nas obojga. Pierwszy kryzys chemioterapeutyczny został zażegnany dzięki sile komedii.

Don't speak, don't tell me cause it hurts.
(Nie odzywaj się, nie mów mi nic, bo to boli.)

No Doubt, z utworu *Don't Speak*
(album *Tragic Kingdom*, 1996)

Piętnaście

Gdy tylko wchodzę do firmy, Maud od razu pyta, jak nam dzisiaj poszło.

– Nie było źle. Nawet się trochę śmialiśmy.

– Szczęściarze. I jak Carmen się teraz czuje?

Maud to moja była. Byliśmy ze sobą w sezonie 88/89. Maud była kiedyś modelką, aż do chwili, kiedy – kilka lat później niż jej agent – zrozumiała, że nigdy tak naprawdę się nie przebije. Wtedy skończyła z modelingiem i dietą. Jej talia gdzieś zniknęła, miseczki powiększyły się ze dwa razy i Maud zaczęła pracować w branży gastronomicznej. Kiedy Merk in Uitvoering szukało sekretarki, poprosiłem Frenka, żeby dał jej szansę. Maud jest spontaniczna i niegłupia, ale to jej miseczki, na które zwrócił uwagę nawet Frenk, okazały się zasadniczym atutem w procesie decyzyjnym dyrekcji naszej firmy. Maud została przyjęta.

W pierwszych latach trwania Carmen & Stijn od czasu do czasu jeszcze się z Maud potajemnie spotykaliśmy, ale w pewnym momencie zaczęła mnie hamować. Uznała Carmen za zbyt fajną. Teraz od czasu do czasu *for old times sake* zdarza nam się pocałować, a w zeszłym roku po firmowej wigilii trochę się zapomnieliśmy na dostarczonych przez wspomnianego wcześniej angielskiego geja designerskich poduszkach w wypoczynkowym kąciku w naszym biurze, ale na tym się skończyło. Ostatnimi czasy zaczyna mnie nawet nagabywać o moje zdrady, czego nie robiła nawet wtedy, gdy byliśmy razem. Ostatnio też „niechący” chlapnęła winem na białą sukienkę Sharon, kiedy ta trochę zbyt intymnie się ze mną witała w De Pilsvogel. W zasadzie jak najbardziej podzielam argumenty Maud, dlaczego powinienem dać sobie teraz spokój ze zdradzaniem Carmen. Jej zdaniem ryzykuję utratę najpiękniejszego związku, jaki miałem w życiu. Ale, jak to jest moim zwyczajem, nie zrobiłem nic, żeby zrobić z tego użytek. Psy szczekają, karawana idzie dalej. Nadal pozostaję monofobiczny.

Maud była załamana, kiedy się dowiedziała, że Carmen ma raka piersi.

– Ujdzie. Dostała całą górę tabletek przeciwwymiotnych.

– Gdzie jest teraz?

– W domu. Przyjechała jej matka.

W tym czasie zdążyłem już włączyć mojego peceta. Nie chcę dłużej gadać o raku.

– Dzwonili już z Holland Casino, czy akceptują budżet?

Frenk kręci głową, że nie.

Znakomicie. To mi daje okazję, żeby się na kimś porządnie wyżyć.

– Nich to szlag, Frenk, to czemu jeszcze do nich nie zadzwoniłeś? Ile będziemy czekać na tych dupków? Jak nie dzwonią, to sam dzwoń do palanta, jaki problem? Jezus,

czy ja tu, kurwa, wszystko zawsze muszę robić sam?

Frenk bez słowa znosi tę kanonadę.

W tym czasie klikam na mejla od Carmen, którego przysłała mi jakieś dziesięć minut temu, jak widzę po nagłówku.

Nadawca: carmenvandiepen@xs4all.nl

Data: wtorek, 4 maja 1999, 14.29

Adresat: stij@creativeandstrategicmarketingagencymerkinuitvoering.nl

Temat: Mój ty przyjacielu...

Cześć, kochany.

Trochę mi się robi niedobrze, ale da się wytrzymać. Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo się cieszę, że ze mną poszedłeś i że nie musiałam tam siedzieć sama, jak inni.

Buziaki, Carmen

PS

Kocham cię, mój ty przyjacielu

Wstaję szybko od biurka i nie patrząc na Frenka, idę do toalety. Tam wybucham wreszcie płaczem, który przez cały czas udawało mi się dzisiaj powstrzymać.

Po paru minutach ocieram łzy, wydmuchuję nos, obmywam wodą twarz, sprawdzam w lustrze, czy wyglądam w miarę normalnie – ale nie wyglądam – więc domykam drzwi, jakbym miał postawić klocka, po jakimś czasie wzdycham raz jeszcze i wychodzę.

Osiem osób udaje, że nic nie zauważyło.

*When I get old and lose my hair many years from now,
will you still be sending me a valentine, birthday
greetings, bottle of wine. Will you still need me,
will you still feed me, when I'm sixty four.*

(Gdy będę stary i stracę włosy za ładnych parę lat,
czy nadal będziesz mi przysyłała walentynki
i urodzinowe kartki z butelką wina?
Czy nadal będziesz mnie potrzebowała?
Czy nadal będziesz mnie żywiła, gdy będę miał lat
sześćdziesiąt cztery.)

The Beatles, z utworu *When I'm Sixty-Four*
(album *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band*, 1967)

Szesnaście

Odbiera matka Carmen.

– Halo?

– Cześć, mówi Stijn. Jak tam Carm?

– Okropnie dziś rano wymiotowała. Teraz śpi.

– Dobra. To odbiorę Lunę ze żłobka i podjadę po coś do jedzenia. Na co miałabyś ochotę?

– Cokolwiek, kup coś gotowego.

– Myślisz, że Carmen też by coś chciała?

Matka Carmen wybucha śmiechem.

– Może dodatkową miskę?

Matka Carmen to prawdziwy skarb, nie człowiek. Dorastała w okolicach Jordaan w centrum Amsterdamu i przypomina trochę teściową piosenkarza André Hazesa, tyle że bez okularów do czytania. Ojca Carmen nigdy nie poznałem. Odszedł od nich dziesięć lat temu, po dwudziestu jeden latach małżeństwa. Kartka na stole w kuchni, te sprawy. Matka Carmen nie posiadała się ze szczęścia. W ciągu miesiąca miała już nowego przyjaciela. Carmen twierdziła, że pamięta tego gościa, jak remontował ich dom. (Fajna anegdota z tym związana: kiedy matka Carmen (wtedy lat 54) przedstawiła swojego nowego przyjaciela (wtedy lat 60) Carmen (wtedy lat 27), ona spytała: „A czym zajmuje się twój ojciec?”). Bob Budowniczy to już w tej chwili też przeszłość. Kilka miesięcy po tym, jak wyremontował dom, do którego przeniosła się matka Carmen, zaczęła mieć wątpliwości, czy wystarczająco jej na nim zależy. *Exit* Bob. Matka Carmen znowu mieszka sama w superodnowionym domu w Purmerend w zachodniej Holandii. Raz na jakiś czas zdarza jej się mieć jakiegoś fagasa, ale na więcej niż jedną wigilię czy sylwestra się nie załapują. „Przecież dom będzie wymagał remontu dopiero za jakieś dziesięć lat”, powtarza matka Carmen.

W domu towarowym Albert Heijn przy Groot Gelderlandplein przyglądam się

parze staruszków, gdzieś tak pod osiemdziesiątkę. Trzymając się pod rękę, drepcą wzdłuż półek z winami. On pokazuje laską na czerwone wino w promocji. Jego żona bierze butelkę i wkłada do trzymanego w ręku koszyka. On mówi do niej coś, czego nie słyszę. Staruszka wybucha śmiechem i szczypie go w ramię. Ściskam rączkę Luny trochę mocniej i szybko odwracam wzrok.

Zakochane starsze małżeństwo budzi we mnie piekielną zazdrość. My z Carmen nigdy już czegoś takiego nie dożyjemy.

*Now all them things that seemed so important,
well, mister they vanished right into the air.*
(A teraz wszystkie rzeczy, które wydawały się tak ważne,
cóż, kolego, rozplynęły się po prostu w powietrzu.)

Bruce Springsteen, z utworu *The River*
(album *The River*, 1980)

Siedemnaście

Lekarstwa przeciwwymiotne nic nie pomagają. Przez dwa dni Carmen rzyga jak kot.

Dopiero we czwartek wieczorem czuje się trochę lepiej. Tego wieczoru żadne z nas nawet nie płakało.

W piątek Carmen idzie znowu do swojej firmy. Powrót do codzienności. Przez następne trzy tygodnie, jakie dzielą nas od kolejnej chemioterapii, staramy się działać tak, jakby nic się nie stało, chociaż obydwójce zdajemy sobie sprawę, że sami się oszukujemy.

Nie ma już raju.

In your head do you feel what you're not supposed to feel.
(A w duchu czujesz to, czego nie powinienesz czuć.)

Oasis, z utworu *Sunday Morning Call*
(album *Standing On The Shoulders Of Giants*, 2000)

Osiemnaście

Witam. Jestem Gerda. A więc zdecydowaliście się przyjść we dwójkę? – pyta psychoterapeutka, kiedy już uściśnieła nam dłonie, długo przytrzymując każdą w swojej. Już widzę. Gerda to taki typ, co zawsze siada na stole, chociaż w pokoju jest aż za dużo krzesel.

– Tak, uznaliśmy, że tak będzie lepiej – odpowiada Carmen.

Ja wcale tak nie uważam. Uważam, że to gorsze od chemioterapii. Nigdy w życiu ani przez sekundę nie myślałem, że kiedykolwiek wyląduję u psychoterapeuty.

Gabinet Gerdy to klitka dwa na trzy metry. Są tam dwa niskie fotele – „lepiej się na nich rozmawia niż na wysokich” – puf, stara lampa z abazurem i niski stolik. Stoi na nim stary magnetofon kasetowy. Na moje oko taki sam jak mój pierwszy kasetowiec. Na pierwszej kasecie, jaką nagrałem, było chyba, jeśli dobrze pamiętam *I Love The Sound Of Breaking Glass* Nicka Love. Tak, tak, a do tego *Psycho Killer* Talking Heads.

Gerda przeprasza za ten gabinet.

– Niedługo mam dostać inny pokój, trochę większy, z oknem, żeby było dzienne światło, będzie tam na pewno o wiele przyjemniej, ale na razie musimy poprzestać na tym, co mamy. Nie mam kawy, bo sama nie bardzo lubię, wolę herbatę. Cukru?

Podaje nam po herbacie i siada na fotelu przy stoliku. Carmen siedzi na fotelu naprzeciwko, ja na pufie.

– No – otwiera Gerda naszą sesję w, jak miemam, zgodny ze sztuką psychoterapii sposób.

– Taaa... – odpowiada Carmen.

– No to jesteście tu sobie.

– No, tak jakby.

Carmen grzecznie dostosowuje się do poziomu rozmowy. Ja trochę mniej. Robię, co mogę, żeby nie wyjść na niegrzecznego, ale już po mojej minie na pewno widać, że jeśli o mnie idzie, to Gerda może spadać na drzewo. Ale ona niezrażona brnie dalej i moja ledwie skrywana pogarda nie robi na niej najmniejszego wrażenia. Gerda cały czas jest we wkurzający sposób przyjemna.

– Czy to nie jest dla ciebie trudne, że siedzisz właśnie u psychoterapeutki, żeby porozmawiać o chorobie, na którą najprawdopodobniej umrzesz? Czegoś takiego człowiek nawet nie bierze pod uwagę, kiedy jest w kwiecie wieku, co, dziewczyno?

Hola, hola! No, bez jaj! Gerda dokładnie wie, który guzik nacisnąć. Przestraszony patrzę na Carmen. No, tak, już widzę, jak zbiera jej się na płacz. Od razu biorę ją za rękę i zaczynam ją gładzić. W ciągu tych paru tygodni, od kiedy wiadomo, że Carmen ma raka,

częściej głaskałem ją po rękę niż w ciągu siedmiu poprzednich lat. Gerda nic nie mówi. Spoglądam na dłoń Carmen w mojej dłoni. Czuję się niezręcznie. Zupełnie jakbym właśnie miał zdać egzamin z tego, czy to dla mnie wystarczająco straszne, że moja żona ma raka i prawdopodobnie na niego umrze. Staram się postąpić zgodnie z wymogami społecznymi i udać, że też płaczę, ale mi się nie udaje. Pochylony w stronę Carmen czuję na plecach spojrzenie psychoterapeutki, która niewątpliwie dawno już wyrobiła sobie o mnie własne zdanie: on jej nie kocha, bo nie uronił ani jednej łzy.

– Nie duś tego w sobie, Carmen – mówi Gerda po chwili.

Carmen mówi, że w ciągu ostatnich tygodni spadliśmy z nieba do piekła. Że wszystko było świetnie, że byliśmy we trójkę tacy szczęśliwi, a potem nagle trzask-prask i w jednej chwili wszystko się skończyło.

– Nie ma ani jednej minuty w ciągu dnia, żebym o tym nie myślał – mówię do Gerdy.

To dla mnie coś nowego, ale oczywiście nie daję Gerdzie tego po sobie poznać. Są całe godziny, kiedy mój umysł się tym nie zajmuje. Przez większą część dnia, czyli od chwili, kiedy rano przekraczam próg biura, zupełnie o tym nie myślę. Myślałem, że Carmen ma to samo. Weźmy taki wczorajszy dzień. Nasz wieczór wyglądał jak dla mnie zupełnie tak samo, jak w czasach przed rakiem. Luna w łóżku, „zaparzysz herbaty?”, Carmen wyciągnięta na kanapie czyta „Elle”, ja siedzę przed telewizorem, całkiem po staroświecku nie mając nic do roboty. No dobrze, to prawda: kurczowo unikam wszelkich ryzykownych tematów i zadaję wyłącznie neutralne emocjonalnie pytania w rodzaju: „Karmelowego wafelka czy kawałek ciasta, skarbie?”, „Woda mineralna, czy jakieś winko?”, „To co sobie obejrzymy: *Rodzinę Soprano* czy jakiś film na Canal Plus?”.

– Czy ostatnio zdarzyło ci się robić coś, co jak zauważyłaś, wewnątrznie cię uspokaja? – pyta Gerda.

Carmen się zastanawia.

– Może, kiedy się bawisz z Luną albo kiedy ją kąpiesz? – próbuję podpowiadać w ramach zawziętej próby wywalczenia zmiany mojego wizerunku w oczach Gerdy z faceta, który nie uronił ani jednej łzy nad losem żony, w konstruktywnie współmyślącego, czulego partnera życiowego.

– Nie – kręci uparcie głową Carmen – wtedy za każdym razem myślę, że przypuszczalnie nigdy nie zobaczę, jak ten mój skarbek dorasta.

Pudełko z papierowymi chusteczkami na stoliku u Gerdy wyrabia nadgodziny. Kurwa, jak ja mogłem w ogóle powiedzieć coś tak płaskiego. Aż zaciskam pięści ze wstydu. Lepiej się nie wychylaj, Stijn.

– Chociaż, kiedy się tak dobrze zastanowię: w zeszłym tygodniu, kiedy robiłam coś w ogrodzie, to trochę mnie to uspokoiło – mówi Carmen.

Teraz to Gerda sprawiła, że Carmen zalała się łzami. Z tą różnicą, że ona robi to świadomie, a ja przez niezdarność.

– Ale wtedy na pewno myślisz sobie: żebym tak jeszcze mogła zobaczyć w przyszłym roku, jak ta roślinka rośnie...

Jeeezu. Carmen puszczają już teraz wszystkie tamy. Gerda wypowiada coś, o czym my nie mamy odwagi nawet pomyśleć: a może za rok Carmen już nie będzie? Decydując

się na chemioterapię, kompletnie wyparliśmy ten katastroficzny scenariusz z naszego myślenia.

Teraz moja kolej. Gerda najwyraźniej idzie na zderzenie czołowe.

– A ty, Stijn, powiedz tak szczerze, czy nie zdarza ci się pomyśleć: czym ja sobie na to wszystko zasłużyłem?

Szok.

To, co nie udało się Carmen, Frenkowi, Maud, Thomasowi i Anne, udaje się Gerdzie za pomocą pierwszej uwagi skierowanej bezpośrednio do mnie. Gerda wbija gwóźdź w czułą strunę^[10]. Nikomu o tym nie mówiłem, nie daję tego po sobie poznać, ale to prawda: czuję, że ten rak dotyczy mnie tak samo mocno jak Carmen. Czuję się przygwożdżony.

Pochylam głowę, przytakuję i czuję, jak wilgotnieją mi oczy. *Shit*. Czemu teraz, już przy pierwszym ataku Gerdy na moje emocje? Przecież dopiero co wyprodukowałem atak płaczu, kiedy wyglądało to dobrze wizerunkowo. Żeby pokazać Gerdzie, jak bardzo kocham Carmen. Czemu zaczynam się mazać, kiedy Gerda przystąpiła do gmerania w moich uczuciach, czemu do jasnej cholery zaraz zaczynam cierpieć na nietrzymanie łez? Mogę się założyć, że Gerda uważa mnie za egoistycznego kutasa, który udaje, że tak bardzo mu żal żony, ale właśnie został przyłapany na gorącym uczynku złamania niepisanego kodeksu partnerów osób chorych na raka, który mówi: nie będziesz użalać się nad sobą. Z pochyloną głową, trzymając w ręku chusteczkę, którą podała mi Carmen, zalewam się łzami.

– Czy czujesz się winny, że uważasz, że to jest takie straszne także dla ciebie? – pyta Gerda.

– Tak... Trochę tak... – chlipię zawstydzony. Już od tygodni słyszę ten głos w głowie, który zadrecza mnie mówieniem, że to kompletnie nie ma znaczenia, że czytam razem z Carmen te pieprzone książki Simontona, że chodzę na wszystkie wizyty lekarskie i że byłem z nią na dwóch turach chemioterapii, jakie miała dotychczas. Ostatnim razem, poza Carmen, w sali chemioterapii żaden z pacjentów nie miał przy sobie partnera. Tej grubej pani o rzadkich włosach tym razem nie było – wakacje? wyzdrowiała? zrezygnowała? umarła? – a więc jej męża też. A tamten chłopak znowu miał na głowie kapelusz jak z *Wielkiego Gatsby'ego* i znowu nie było przy nim jego dziewczyny. Czuję się zupełnie tak, jakby te wszystkie dobre rzeczy, które robię, w żaden sposób nie równoważyły mojej brudnej potrzeby hedonizmu, potrzeby sprawiania sobie przyjemności. Zupełnie jak pedofil, który przez całe lata skutecznie powściąga swoje instynkty, ale i tak czuje się winny, że ma takie brudne myśli o dzieciach.

– Całkiem niepotrzebnie, Stijn. Dla ciebie to jest może nawet znacznie gorsze niż dla mnie – wtrąca się niespodziewanie Carmen.

Mija dobra chwila, zanim dociera do mnie, co właśnie powiedziała. Patrzę na nią zdumiony.

– No, tak – kontynuuje Carmen. – Jesteś zdrowy, nic nie zawiniłeś i nagle musisz siedzieć z kobietą, która całymi dniami tylko płacze i narzeka i... i... – przełyka ślinę i dopiero po chwili kończy – ...i która zaraz będzie łysa.

Widzę po niej, że naprawdę tak myśli. Uważa, że ta sytuacja jest dla mnie straszna.

Dla mnie.

Trudno o bardziej idiotyczną sytuację. Po dwóch tygodniach raka status naszej relacji psycho-emocjonalnej jest następujący:

Kobieta chora na raka ma kompleks winy, że zrobiła to swojemu mężowi.

Mąż kobiety chorej na raka ma kompleks winy, ponieważ uważa, że za bardzo użala się nad sobą.

A potem chlapiemy sobie trochę we dwójkę, trzymając się w objęciach.

– Bardzo dobrze – stwierdza Gerda.

Mówi, że następnym razem rozpoczniemy ćwiczenia medytacyjne Simontona.

– Myślę, że to dobrze ci zrobi. Te ćwiczenia nauczą cię, jak angażować psychikę w walkę z rakiem.

Carmen przytakuje, jakby to było coś najbardziej oczywistego na świecie.

– Posłużymy się w tym celu technikami wizualizacyjnymi – objaśnia Gerda.

Na wszelki wypadek gryzę się w język.

– Ale one pomagają też odzyskać spokój.

– No, to chyba bardzo ważne – Carmen kiwa głową.

Ja też kiwam głową. Chociaż Carmen nie była specjalnie spokojna, kiedy rzucała książką Simontona o ścianę.

– Nasze ćwiczenia nagram na taśmę i dostaniecie ją ode mnie – mówi Gerda, pokazując na magnetofon kasetowy. – I wtedy przez następny tydzień będziecie mogli ćwiczyć w domu.

– No, tak... dobry pomysł – przytakuje Carmen.

– Mam do was jeszcze jedną prośbę, a mianowicie, żebyście w ciągu najbliższego tygodnia wykonali rysunek – wy, ona mówi wy – na którym postaracie się zwizualizować guz w twojej piersi... – Przydaje mi się teraz wieloletnia wprawa w wysłuchiwanie bez mrugnięcia okiem najbardziej bezsensownych briefingów i niekończącej się marketingowej paplaniny klientów. – Możesz się w to włączyć, Stijn, wyobraź sobie po prostu guz w piersi Carmen – aha, tak po prostu – ...a potem narysuj, jak chemioterapia atakuje komórki rakowe... – kabaret! Jestem w jakimś surrealistycznym kabarecie! – ...i zwizualizuj to, posługując się tym, co czujesz... – Jedyne, co czuję, to to, że ktoś próbuje tu zrobić ze mnie idiotę. – Wyczuwasz, w czym rzecz, Carmen?

– No, tak... chyba tak.

– Ty też, Stijn?

– Tak, tak, wydaje mi się, że to całkiem niezły pomysł.

– No, dobrze, to w takim razie do zobaczenia za tydzień!

– Okej, do zobaczenia za tydzień.

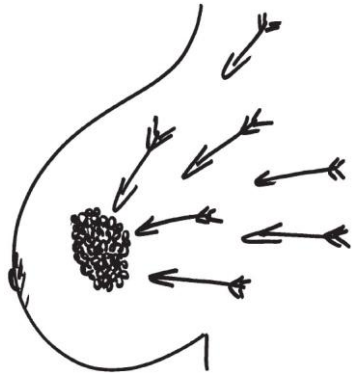
Żegna się z nami uściskiem dłoni.

– Do widzenia, Carmen! Do widzenia, Stijn!

– Do widzenia! – odpowiadamy przez ramię.

W windzie patrzę na Carmen badawczo. Wybucho śmiechem na całe gardło.

Co za szczęście. To znaczy, że jej mózg jeszcze działa.



Seems kinda funny sir to me, that at the end of every hard day, people find some reason to believe.

(A dla mnie to zabawne proszę pana, że na koniec bardzo ciężkiego dnia ludzie widzą jakiś powód, żeby wierzyć.)

Bruce Springsteen, z utworu *Reason To Believe*
(album *Nebraska*, 1982)

Dziewiętnaście

Muszę jednak przyznać mimo wszystko, że rozmowa z Gerdą dobrze nam zrobiła.

Było to dla Carmen i dla mnie znakomitym impulsem, żebyśmy trochę bardziej informowali się nawzajem o tym, co czujemy. Dzięki temu zbieram się na odwagę i mówię Carmen, że trochę się wpieniam na myśl, że tego lata nie mamy szans pojechać nad morze do Bloemendaal, że życzę doktorowi Woltersowi, żeby dostał galopującej gruźlicy lewej zastawki i że strasznie się cieszę, że każdego dnia, idąc do firmy, spędzam czas w strefie wolnej od raka. Carmen z kolei całkowicie szczerze mówi, że chwilami w ogóle nie widzi sensu życia i że już na parę dni przed chemioterapią słabo jej się robi na samą myśl.

Tabu nadal pozostają wszystkie sprawy, które po chemii mają się stać rzeczywistością – wysypka, amputacja piersi i śmierć, żeby wymienić tylko niektóre. Otrzymujemy w tym wsparcie z zupełnie niespodziewanej strony: doktor O. Carl Simonton pisze w swojej książce, że negatywne myślenie ma niekorzystny wpływ na przebieg choroby. Simon, jak go ochrzciła Carmen, nie znosi sprzeciwu. Nadając rozdziałom swojej książki tytuły w rodzaju: *Sily psychiczne są w stanie wywrzeć wpływ na raka*, *Przejmij władzę nad swoim zdrowiem* czy *Naukowy dowód słuszności naszego podejścia*, Simon jest prawdziwym Louistem van Gaalem nauk medycznych.

Czasami jednak życie okazuje się łatwe: kiedy wszelkie statystyki sprzysięgają się przeciwko nam, a Simon wszelkie statystyki określające szanse przeżycia po amerykańsku ignoruje, to Simon jest naszym przyjacielem. Dlatego przez cały zeszły tydzień opowiadaliśmy każdemu, kto zechciał tego wysłuchać, że metoda Simona, polegająca na walce z rakiem za pomocą pozytywnego myślenia, medytacji oraz technik wizualizacyjnych jest dowiedziona naukowo (choć mówię szczerze, że nie wychylaliśmy się z naszym zadaniem rysunkowym, które zaleciła nam Gerda). A jeśli ktokolwiek jest mistrzem pozytywnego myślenia, to na pewno Carmen.

I każdy to potwierdza.

Jeśli ktokolwiek to potrafi, to na pewno jest to Carmen.

Opowiadamy wszystkim, że duch potrafi być silniejszy od ciała. Co ja gadam, on jest silniejszy od ciała! I my to udowodnimy! Każdy, kto nas choć trochę lubi, niech nas wspiera w naszej walce nawet wbrew rozsądkowi i wspólnie z nami chwyta się tego źdźbła słomy! Alleluja, Simon!

Blonde haren, blauwe ogen, uit een sprookjesboek gevlogen.
(Blond włosy, niebieskie oczy, wyskoczyła prosto z bajki.)

Bloem, z utworu *Even aan mijn moeder vragen*
(album *Vooral jong blijven*, 1980)

Dwadzieścia

Carmen zaczynają błyskawicznie wypadać włosy. Każdego ranka po przebudzeniu pełno ich na poduszce. Od wczoraj może sobie bez bólu wrywać całe pukle.

– Popatrz – mówi wieczorem, kiedy wracam do domu i unosi palec w poważnym geście. – Trenowałam cały dzień...

Staje przede mną, robi taką minę, jakby się czegoś śmiertelnie przeraziła, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, zagryza wargi, żeby stłumić udawany krzyk, łapie się obiema rękami za głowę i jednym ruchem wrywa sobie dwie garście włosów. Nowy żart z repertuaru Jasia Fasoli. – Dobrze, co? – pyta, śmiejąc się na całe gardło.

Wieczorem w sypialni stoi przed lustrem, z lekko pochyloną głową.

– Robią się rzadkie, nie?

– Da się wytrzymać. Bez przesady.

– Nie, no nic z tych rzeczy. Popatrz tutaj – mówi i odsuwa kosmyk na czubku głowy. Widzę parocentymetrowy łysy placek.

– No przecież, jak je zaczniesz rozgarniać, to pewnie, że będzie widać...

Carmen ledwie mnie słucha.

– Moim zdaniem nie ma na co dłużej czekać. Strasznie się boję, że będę siedziała w pracy albo w knajpie i nagle każdy to zobaczy.

Jest gdzieś między wybuchem złości a wybuchem płaczu. Jaś Fasola opuścił pomieszczenie.

– To co chcesz zrobić? – pytam.

Właśnie niepostrzeżenie zawitała do nas ta chwila, której bałam się już od tygodni.

– Może po prostu zgolę? – pyta Carmen z wahaniem.

– Zrobić to za ciebie? – pytam, patrząc na nią w lustrze.

Przetykam ślinę. Naprawdę dam radę?

– Miałbyś odwa... dałbyś radę to zrobić? – pyta Carmen z wahaniem, niemal zakłopotana.

Nie mam pojęcia, jak mi się to udaje, ale kiwam głową, że tak, i jeszcze się uśmiecham.

– Oczywiście, że to dla ciebie zrobię.

Carmen raz jeszcze spogląda na siebie w lustrze, nieruchomieje na moment, a potem mówi:

– Dobra, to zaczynaj.

– W porządku – mówię i wyjmuję golarkę z szafki przy lustrze.

– Jak chcesz to zrobić? – pyta Carmen niepewnym głosem.

– Najpierw z nakładką do trymowania, a potem całkiem?

– Dobra. Tak będzie chyba najlepiej, co? Musi być całkiem na gładko. Nie chcę, żeby mnie swędziało pod peruką.

Biorę biały ręcznik i zakrywam jej ramiona. Carmen ciągle patrzy na siebie w lustrze. Spoglądam na czubek i boki jej głowy, przechylając głowę na prawo i lewo jak rasowy fryzjer. Gdzie tu należy zacząć, na Boga, czy ktoś może mi to powiedzieć? Może najlepiej z tyłu głowy, żeby nie tak od razu widziała gołą skórę, jak przejadę jej po głowie golarką? Chyba tak. Najpierw tył głowy.

– No to lecimy, skarbie.

Biorę głęboki wdech, przykładam golarkę do skóry Carmen i jadę od dołu do góry, wygalając pasek szerokości mniej więcej czterech centymetrów. Całuję ją w policzek. Carmen widzi długie pasma włosów spadające na ręcznik, zakrywa dłonią usta i zaczyna płakać. Przęłykam ślinę, ale twardo golę dalej, co parę sekund całując ją w głowę. Nie odzywamy się ani słowem.

Dziesięć minut później Carmen jest całkiem łysa.

*You can hide neath your covers and study your pain,
waste your summer praying in vain.*

(Możesz się ukrywać, ile chcesz i rozpamiętywać ból,
tracić lato na daremne modlitwy.)

Bruce Springsteen, z utworu *Thunder Road*
(album *Born To Run*, 1975)

Dwadzieścia jeden

Grrrrrrrrrr! Ależ to swędzi, jeszcze trochę, a oszaleję!

Aż podskakuję, zatopiony w lekturze magazynu muzycznego „Oor”.

Na tarasie za naszym domem jest ciepło. Przez dobudówkę na działce sąsiadów i wysoki żywopłot od drugiej strony nigdy tu nie wieje. Tylko całkiem z tyłu ogrodu, przy strumyku oddzielającym Lasek Amsterdamski od miasta, zdarza się czasem jakiś podmuch wiatru, ale tam prawie nigdy nie siedzimy, bo człowiek się czuje, jakby był w środku lasu. Kompletnie nienaturalne. Siedzimy pod wielkim kwadratowym parasolem. Nawet mnie jest ciepło, a przecież nie mam peruki

Od wczoraj Carmen nazywa ją „perukodrap”. Nosi perukę już od tygodnia, ale wczoraj było po raz pierwszy ponad dwadzieścia stopni. Wcześniej lato było jak wymarzone dla perukowców: co najwyżej szesnaście stopni, dużo deszczu i ani jednego plażowego dnia.

– Przecież możesz ją zdjąć.

– A jak przyjdzie Maud? Przecież niedługo będzie z Luną.

Luna spędziła noc u Maud i dzisiaj rano miała jeszcze iść z nią do zoo. Byłem przeschęśliwy, kiedy Maud to zaproponowała. W zeszły wtorek Carmen znowu miała chemię, a wtedy pod koniec tygodnia, kiedy Carmen zaczyna się trochę lepiej czuć, jestem wykończony. Trzy dni zajmowania się *full time* Carmen i Luną, a pomiędzy tym parę godzin w firmie, trochę mnie wycieńczają. Dzięki Maud mogłem się dzisiaj wyspać i mam tyle energii, że może spróbuję jeszcze pojechać na koncert *Muzyka na plaży* do Bloemendaal. Nic jeszcze nie wspomniałem Carmen o moim perfidnym planie.

– No i co z tego? Przecież to twój dom. Wszyscy muszą się przyzwyczaić, że nie masz włosów – mówię, a potem dodaję tak obojętnym tonem, jak to tylko możliwe: – Maud nie zostanie za długo, bo chciała jeszcze dzisiaj pojechać na *Muzykę na plaży*, wiesz, w Bloemendaal. Dzisiaj się zaczyna, jak co roku.

– Ani mi to w głowie – mówi Carmen. Najwyraźniej dziś nie jest jej najbardziej towarzyski dzień. – I nie chciałabym też, żebyś ty tam jechał, a ja żebym została sama z Luną.

– Nie, no coś ty, nawet o tym nie myślałem, skarbie – kłamię jak z nut. Niech to szlag.

– Dobrze, że się nie szykowałeś – rzuca Carmen, nawet nie podnosząc głowy znad swojego magazynu o sztuce „Blvd”.

– No, przecież mówię, że nawet o tym nie myślałem.

Cisza.

– Kurrwa, co za pieprzona peruka! – wrzeszczy Carmen i drapie się palcami po głowie.

– Do jasnej cholery, Carmen, to ją zwyczajnie zdejmij!

– Nigdy w życiu! Nie będę tu siedziała jak jakiś łysy chuj! Zrozum to wreszcie!

No to rób, jak uważasz, mówię do siebie w duchu.

Parę minut później rozlega się dzwonek do drzwi. Wstaję i idę otworzyć.

– Ależ słodka ta wasza dzidzia – mówi Maud i głaszcze po główce Lunę, która zasnęła w wózku.

Maud zostaje na godzinkę, a potem zaczyna się zbierać do domu. Przeszępuje z nogi na nogę, bo chce zdążyć do Bloemendaal. Carmen paple i co chwila wybucha śmiechem. Ja też próbuję wykrzywić twarz w uśmiechu.

– Frenk i jeszcze parę osób z Merk in Uitvoering też się wybierają – mówi Maud.

– Raczej zostaniemy w domu – odpowiada Carmen.

*Ik doe niks en ik doe niks/ik hang alleen maar rond,
ik kijk eens uit de ramen, en ik krab wat aan mijn kont,
ik staar wat voor me uit, ik neem nog maar een biertje,
en ik speel wat op mijn fl uit.*

(Nic nie robię i nie robię nic, tylko łażę bez celu,
wyjrzę sobie przez okno, podrapię się po jajach,
pogapię się przed siebie, walnę jeszcze jedno piwko
i pogram na flecie.)

De Dijk, z utworu *Bloedend hart*
(album *De Dijk*, 1982)

Dwadzieścia dwa

I co teraz? – pytam.

Na łóżku leżą nożyczki, coś w rodzaju pudełka na pizzę, gdzie są grube płyty żelowych opatrunków i kilka pociętych już mniejszych kawałków. Leży też na nim młoda, naga, łysa kobieta o pięknej zdrowej piersi i drugiej pełnej bąbli, ranek i na wpół oderwanych kawałków spalonej skóry w kolorach żółtym, różowym, fioletowym, czerwonym i bordo. Czarne linie, które pięć tygodni temu narysowano przed naświetlaniem, wciąż jeszcze są widoczne w tym wulkanicznym krajobrazie.

Carmen podnosi głowę i patrzy na bok tej części piersi, która nie jest jeszcze opatrzona. Opatrunek ma od spodu warstwę żelu, żeby zapobiec sytuacji, że przy zmianie opatrunku oderwą się całe kawały spalonej skóry. Jedną ręką Carmen przytrzymuje kawałek, który przyłożyła już we właściwym miejscu, a drugą pokazuje, żebym go odciął.

– Pielęgniarka zrobiła już chyba gdzieś nacięcie. Inaczej opatrunek nie dopasuje się do piersi i się pomarszczy.

– Tak, tak, oczywiście. Ile mam tego obciąć?

– Bo ja wiem? Myślę, że gdzieś z pięć centymetrów.

Doktor Scheltema była całkiem zadowolona po serii chemioterapii, którą wzięła Carmen. Markery rakowe w jej krwi miały wartości budzące nadzieję, a guz w piersi nieco się skurczył. Pani doktor odważyła się nawet bardzo ostrożnie użyć terminu operacja.

– Ale najpierw spróbujmy doprowadzić do tego, żeby guz zmniejszył się jeszcze bardziej, bo inaczej powstaje ryzyko, że kiedy zdecydujemy się ciąć, to przetrzuci się do tkanki skórnej. A wtedy znowu będziemy w lesie – powiedziała.

Ściągnięto radiologa ze Szpitala im. Antona van Leeuwenhoek, który zgodził się z doktor Scheltemą. Naświetlania. Przez sześć tygodni, każdego dnia w jego macierzystym szpitalu. A potem się zobaczy.

Przez pierwsze cztery tygodnie naświetlań nic się specjalnego nie działo, w porównaniu z tym, co mieliśmy po każdej chemii. Ale po dwudziestu naświetlaniach, zgodnie z zapowiedzią radiologa, zaczęła schodzić skóra.

– Jak myślisz, uciąć trochę dalej?

– Yyy... nie, tak jest dobrze... – mówi Carmen lękliwie. – Już, już, mówię!

Carmen śmiertelnie się boi, że niechcący dotknę bolącej, spalonej skóry na jej piersi. Odkładam nożyczki i czubkiem wysuniętego języka unoszę w górę skraj odciętego opatrunku i bardzo delikatnie, nie dociskając, opuszczam na skórę drugi. Potem na to drugi kawałek i po robocie. Piers jest hermetycznie zamknięta.

Carmen dokonuje inspekcji mojego dzieła sztuki.

– Dobrze – kiwa głową. – Zgadza się. Dziękuję ci.

Ocieram krople potu z czoła, wkładam pozostałości żelu i nieużytego opatrunku z powrotem do pudełka po pizzy i idę do łazienki, żeby wyrzucić całe to świństwo do kubła. Kiedy wracam, Carmen już śpi. Naświetlania zaczynają robić swoje.

Na radiobudziku widzę, że jest dopiero wpół do dziewiątej. Na dworze jest jeszcze jasno. Wczoraj Carmen zasnęła o ósmej, piętnaście minut po Lunie. Chciałem być solidarny i też poszedłem do łóżka. O północy wciąż jeszcze nie spałem.

Cichutko podchodzę do niej i całuję ją w czoło.

– Dobranoc, kochanie – mówię szeptem. Carmen dalej śpi.

Na dole wydaję butelkę piwa z lodówki. Tak naprawdę mam ochotę raczej na wino rosé. Odkładam piwo i otwieram butelkę wina. Z szafki wyciągam torebkę japońskich krakersów ryżowych. Patrząc, czy przysły jakieś esemesy. Tylko jeden od Ramona.

Frenk i ja znamy Ramona z BBDvW&R/Bernilvy. Ramon dołączył tam jako asystent Frenka ds. obsługi klienta do pomocy. Co dla Frenka jest już przesadnie stylowe, dla Ramona jest jeszcze za mało. Jest napakowany od chodzenia na siłownię, a takie coś oznacza, że albo jest się prostym faciem albo gejem, a gejem Ramon na pewno nie jest. Jest dumny ze swojego ciała i muszę przyznać, że całkiem słusznie. Dzięki temu jest bardziej pewny siebie, niż powinien. Potrafi być agresywny, jak się wkurzy albo jak ktoś niechcący dotknie jego samego (albo jego auto, albo jego piwo). Ramon zachowuje się tak, jakby cały świat należał do niego, a świat najczęściej się do tego przystosowuje. W dodatku Ramon ma jeszcze wielkiego kutasa, a to dodatkowo pozwala mu emanować pewnością siebie i to w stopniu większym, niż miałby do tego podstawy.

Prawdziwym przyjacielem, tak jak Frenk i Thomas, to Ramon w zasadzie nie jest, ale mamy dużo wspólnego. Ramon uwielbia miejscówki takie jak La Bastille, Het feest van Joop czy Surprise Bar. Znam tylko jedną osobę, która ma ten sam odchył i to jestem ja. Kolejna wspólna właściwość to to, że Ramon też jest wszystkożerny, jeśli chodzi o kobiety. Obaj bierzemy wszystko, jak leci i nie zważamy przy tym na jakieś racjonalne zobowiązania. Razem z Ramonem jesteśmy zdania, że umiarkowanie jest cnotą praktykowaną wyłącznie przez tych, którzy ciągle próbują łapać ryby za siecią^[11]. Ostatnia nasza wspólna cecha: obaj pochodzimy z południa. Ja z Bredy, a Ramon z Chile. Kiedy miał dziewięć lat, jego ojciec wraz z całą rodziną uciekł do Holandii. Ojciec Ramona uczył w szkole i zdaniem reżimu Pinocheta był zbyt niepokorny. Rodzina osiedliła się w Bijlmeer. Jego przyjaciele poszli w kokę i podobne substancje, czy to jako konsumenci, czy to jako dealerzy, a Ramon poszedł na studia. Twierdził, że chce zrobić karierę. Dziesięć lat później to nie Frenk, tylko właśnie Ramon został mianowany dyrektorem biura reklamy BBDvW&R/Bernilvy. Frenk nie potrafił zrozumieć, jak to

możliwe, żeby taki parweniusz został nagle mianowany jego szefem, i odszedł. Od tej pory, gdy tylko Ramon jest w pobliżu, Frenk nie potrafi się powstrzymać od przechwałek, jakie to osiągnięcia w dziedzinie marketingu ma jego agencja Merk in Uitvoering. Ramon za to powtarza, że ma głęboko w dupie, co uważa Frenk (i każda inna osoba na tej planecie).

Pyta, czy wyskoczmy jeszcze w piątek zakosztować nocnego życia na placu Leidseplein. No pewnie, he, he, he... To jakbyś pytał, czy papież jest katolikiem.

Od czasu, kiedy Carmen bierze chemię, musiałem sobie odpuścić cotygodniowe granie w piłkę w Vondelpark, nie chodzę już na firmowe popijawy, no ale przynajmniej Piątkowe Wyjścia Stijna zostały utrzymane w mocy.

Ale dzisiaj jest dopiero wtorek, a mnie roznosi energia. Nastawiam telewizor. Na jednym z kanałów powtórka *Big Brothera* z dzisiaj wieczór. Już to widziałem, bo teraz oglądamy razem o siódmej. Coś trzeba przecież robić. Na RTL-u film w sam raz dla Thomasa. Jean Kloc van Damme. Ujdzie. Piszę esemesa do niego, czy ogląda. Na kanale sportowym mecz Everton–Southampton przed Pucharem Anglii. Oglądam przez jakiś czas. Gówniana gra. Na Canal Plus jakiś francuski film. Też do kitu. Przełączam na MTV. No, nie: rhythm & blues. Wiadomości sportowe na 3 kanale zaczynają się dopiero piętnaście po dziesiątej.

Biorę gazetę „Het Parool” z przedpokoju i jednak czytam ten artykuł o klubie piłkarskim GVB, zamieszczony w dodatku. Dochodzę do połowy. W szufladzie stolika leży *Odkrycie nieba* Harry’ego Mulischa, z którego w ciągu dwóch miesięcy udało mi się przeczytać 67 stron. Biorę do ręki z niechęcią, otwieram, doczytuję do strony 71. i z westchnieniem odkładam. O, przyszedł esemes! Od Thomasa, że istotnie siedzi i ogląda. Pyta, jak się czuje Carmen. Wstukuję na klawiaturze, że już śpi, bo jest wykończona po naświetlaniach i że nudzę się jak mops. Przed wysłaniem kasuję jednak tę część o nudzeniu się. Thomas od lat spędza czas w domu na kanapie. A Anne i tak nawet by tego nie zrozumiała.

Nalewam sobie jeszcze wina i włączam teletekst, strona 601. Mało wiadomości. 703. W tym tygodniu będzie pogodnie. Tego jeszcze brakowało. Wracam na kanał sportowy. Dalej 0:0. To może wiadomości z Amsterdamu na AT5? No nie, jakaś pipa wylicza wszystkie objazdy, jakie będą w mieście w tym tygodniu. W tym czasie włączyłem kompa i otworzyłem Outlooka. Cztery mejle z amerykańskiej grupy dyskusyjnej na temat *inflammatory breast cancer* zostawiam nieotwarte. Otwieram mejla od Anne. Pyta, jak dzisiaj czuje się Carmen. Jutro Carmen sama jej odpowie.

Hakan mejluje do Frenka, Ramona i do mnie, że leci z nami do Miami na ostatni tydzień października.

Hakan. Turek w drugim pokoleniu. Człowiek sukcesu i to widać. *Dress to impress* jako motto życiowe. Wspólna przeszłość w BBDvW&R/Bernilvy oraz przesadne zainteresowanie piłką nożną i kobietami to wszystko, co nas łączy. U facetów to wystarczająco dużo, żeby jak najbardziej serio uważać to za przyjaźń.

Odpowiedź od Frenka, że w takim razie szybko musimy zabukować bilety i sprawdzić na stronie pelicanhotel.com, bo to hotel Renzo Rosso, tego od dzinsów Diesel, i jest podobno spoko. Kolejna odpowiedź jest znowu od Hakana. Słyszał, że The Pelican

już wyszedł z mody. Mejluję do wszystkich, że wisi mi kompletnie, w jakim będziemy hotelu, najważniejsze, żebyśmy w ogóle polecieeli. Przegapiam wiadomości sportowe, bo dzwoni matka Carmen, żeby spytać, jak ona się czuje. Kończymy rozmawiać dopiero za piętnaście jedenasta. Za nic nie chce mi się spać. Wchodzę na stronę sklepu Bol.com. Właśnie wyszła nowa płyta *Manic Street Preachers*. Klikam i zamawiam. Czytam na ekranie recenzję z płyty *The Prodigy*. Zamawiam. I jeszcze CD *Eagle Eye Cherry*'ego, bo Carmen bardzo podobał się na niej jeden utwór. Też zamawiam. Biorę kartę kredytową i wpisuję dane. Proszę, jakby ktoś nie wierzył, że taniej jest wyjść, niż siedzieć w domu. Nalewam sobie jeszcze jeden kieliszek wina i chowam z powrotem torebkę japońskich krakersów ryżowych, zanim zeżrę wszystkie z nudów. Piętnaście po jedenastej. Za pół godziny na Canal Plus będzie pornos. Przeglądam stary numer miesięcznika „HP/De Tijd” i czytam przedruk fragmentu *Powrotu do zdrowia* Simontona. Udaje mi się wytrzymać piętnaście minut. Carmen przeczytała już obie książki. Odstawiam butelkę wina, która w trzech czwartych jest już pusta, z powrotem do lodówki, sprzątam ze stołu, wyjmuję naczynia ze zmywarki, przygotowuję talerz na śniadanie dla Luny i wracam do dużego pokoju. O, już leci. Włoski pornos na dzisiaj wieczór. We włoskich pornosach najczęściej grają fajne dziewczyny z prawdziwymi cyckami. Nie lubię nadymanych sztucznych cycków w amerykańskich pornosach. Jeśli o to chodzi, to jesteśmy z Carmen wzruszająco zgodni: lepsze duże cycki, które są prawdziwe i trochę wiszą, niż sztuczne cyce, które cały czas sterczą i nawet nie drgną przy pieprzeniu. Minęło już sporo miesięcy, kiedy ostatni raz oglądaliśmy razem pornosa w telewizji. Kiedy teraz Carmen przerzucając kanały, trafi przypadkiem na pornosa na Canal Plus, to czym prędzej przełącza na inny kanał. Dla Carmen porno jest już passé. Dla mnie nie. Oglądam ze dwie sceny, doprowadzam się do wytrysku, odrywam kawałek kuchennego ręcznika, wycieram brzuch, kładę mokry papier pod stos starych gazet i idę do łóżka. Po jakichś dziesięciu minutach zasypiam przy Carmen.

*I do declare that there were times when
I was so lonesome, I took some comfort in.*
(Przyznaję, że był taki czas, gdy byłem tak
samotny, że szukałem tam pocieszenia.)

Simon and Garfunkel, z utworu *The Boxer*
(album *Bridge Over Troubled Water*, 1970)

Dwadzieścia trzy

Carmen prawie nie zna Ramona. Widzieli się zaledwie parę razy, na imprezach BBDvW&R/Bernilvy. Ramon był pod wielkim urokiem Carmen. („Hej, amigo, co ty na to, żeby się kiedyś zamienić partnerkami?” „Chyba ci odbiło. Ani mi to w głowie, żeby ci obciągać”, żartuję.)

Ramon nigdy nie przychodzi do nas do domu. Zawsze umawiamy się przy Leidesplein, w klubie Palladium.

Palladium. Reprezentacja Ajaksu od niepamiętnych czasów wyrywa stąd przyjaciółki. Chodzą plotki, że nawet Wim Jonk^[12] coś tutaj zaliczył.

Tam gadamy pół godziny o sprawach Bernilvy i Merk in Uitvoering i gapimy się na młode, jędrne dziewczyny, których tu pełno, a potem przenosimy się na rewir myśliwski, na którym jako zaawansowani trzydziestolatkowie czujemy się znacznie bardziej komfortowo: do La Bastille.

„Podaruj mi noc, a ja ci oddam poranek”, słychać już na ulicy. W La Bastille ludzie uświadamiają sobie, że nie ma w życiu rzeczy ważniejszej niż regularność, dlatego minimum raz na kwadrans puszczają tutaj coś André Hazesa. Klientela składa się głównie z kobitek z odzysku (30–40 lat, rozwiedzione, łatwe do poznania dzięki potężnym inwestycjom w kosmetyki i solarium, żeby jeszcze była na coś szansa). Wysokie prawdopodobieństwo zaliczenia czegoś.

Po wejściu do środka idziemy już zgodnie z planem dnia. Taksujemy kobiety pijące klubowy koktajl przy barze. Ramon zaczyna gadkę z jakąś dziewczyną z paskiem od Moschino. Ja z kolei z taką, której bluzkę Carmen uznałaby za zbyt powycinaną (ja uważam, że pasuje), a pośladki za duże jak na spódniczkę, którą ma na sobie (temu nawet ja nie mogę zaprzeczyć). Ale jak na La Bastille nie jest to nawet takie całkiem ordynarne. Po półgodzinnej gadce szmatce zaczynamy się lizać. Po godzinie pytam po raz trzeci, jak ma na imię i po raz drugi, czy jest z Amsterdamu. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że zaczynam tracić na atrakcyjności. Ona mówi nagle, że ma kogoś i że jest z kumpelami. Potem zaczyna nawijać, że tu straszny tłum, że trzeba czekać dziesięć minut w kolejce do toalety i jeszcze za nią płacić. O, nie, narzekań to ja mam na co dzień po kokardę. Pytam Ramona, czy nie miałby ochoty razem ze swoją panią przenieść się ze mną do Surprise. Ramon kręci głową, że nie. Wzruszam ramionami i wychodzę.

Surprise to przedsionek La Bastille. O ile La Bastille zapełniają głównie kobitki z odzysku, o tyle w Surprise średnia wieku jest o dziesięć lat niższa. Są tu dziewczyny,

które właśnie z kimś zerwały i weszły w krótki, ale gwałtowny okres poszukiwań. Zawsze z koleżanką, która przeważnie jedzie na tym samym porozstaniowym wózku. Razem wychodzą dwa, trzy razy w tygodniu do Surprise (a po trzecim razie do Cooldown albo do Hete Feest van Joop). Tam bardzo szybko stają się rozpoznawalne dla będącego zawsze w dobrym humorze personelu, dostają stałe miejsce przy barze i – jako symbol statusu damskich gości Surprise – mogą zdeponować torebkę i żakiet za barem. Przy każdej wizycie takiej dziewczyny z przyjaciółką barman serwuje im gratisowego drinka i puszczenie oka. Nadzwyczaj profesjonalne podejście, bo im więcej tego rodzaju kobitek przy barze, tym więcej też facetów. Taka dziewczyna bardzo szybko zakochuje się w jednym z męskich gości Surprise, para przychodzi jeszcze dla formy przez jakiś czas w coraz większych odstępach do Surprise i ląduje w końcu na kanapie swojego nowego domu w mieście młodych – Almere. Parę lat później dochodzi do rozwodu i przychodzi kolej na La Bastille. W ten sposób odbywa się ze wszech miar rozsądny recykling klienteli placu Leidesplein.

W barze Surprise wytrzymuję dziesięć minut. Najwyraźniej nawet jak na warunki tego baru za bardzo wyglądam na napalonego pawiana. Żadna dziewczyna nawet nie raczy zwrócić na mnie uwagi. Mam wrócić do Paradiso i pokręcić się samotnie w rytm muzyki po parkiecie? A może trzeba... A co mi tam.

– Na Ruysdaelkade – mówię do taksówkarza.

Ze wstydu każę się zawieźć nie na tę stronę, gdzie stoją prostytutki, tylko na drugą, przy kanale i udaję, że wchodzę do jednego z domów. Kiedy taksówka znika z pola widzenia, przechodzę na drugą stronę, żeby po trzykrotnym przemierzeniu rewiru dokonać przykrego odkrycia, że tutejsze panie nie należą do najładniejszych. Wreszcie decyduję się na jedną z ciemnoskórych. Ma na sobie cieniutką sukienkę, zbyt kusą na jej jędrne piersi. Kiedy się rozbiera, piersi opadają o jakiś decymetr w dół, ale cóż, przynajmniej są dwie i nie są poparzone.

Pół godziny później rozbieram się po raz drugi w domu. Zostawiam ubranie w dużym pokoju i najciszej, jak potrafię, wchodzę po schodach. Ostrożnie wślizguję się do łóżka.

– I co, fajnie było? – pyta Carmen zaspanym głosem.

– Taaa. Pogadaliśmy, potańczyliśmy. Miło było z Ramonem.

– Mm – mówi ciepłym tonem. – Fajnie. Zasłużyłeś sobie.

W ciemnościach całuję ją w policzek.

– Dobranoc, miłości mojego życia.

– Dobranoc, najlepszy przyjacielu na świecie.

*O co facetom chodzi z tymi piersiami?
Co was w nich tak interesuje?
No, mówię serio, to przecież tylko piersi.
Co druga osoba na świecie je ma.
Wszystkie wyglądają tak samo, służą do dawania mleka.
Twoja matka też ma takie.
Musiałeś je widzieć tysiące razy.
O co tyle krzyku?*

z filmu *Notting Hill* (1999)^[13]

Dwadzieścia cztery

Kto by w ogóle pomyślał, że kiedykolwiek wyjadę aż na tydzień do kompleksu wypoczynkowego Center Parcs, w Port Zélande. Potrafię to jak najbardziej logicznie uzasadnić sobie samemu i każdemu, kto o to zapyta, nie o to przecież chodzi. Oto niepodważalna logika tego kroku.

Dla Carmen jest to zbyt ryzykowne, żeby wyjeżdżać gdzieś daleko, przy tej chemii, która cała czas siedzi w jej ciele.

Ze względu na perukę Carmen niewskazane są wszelkie miejsca o przewidywanych temperaturach powyżej dwudziestu pięciu stopni.

Wędrówki, zwiedzanie, wycieczki objazdowe i temu podobne nie wchodzą w grę ze względu na wiek Luni (roczek) i kondycję Carmen (zerowa).

Kompleks wypoczynkowy Center Parcs jest klientem Merk in Uitvoering, toteż część należności za pobyt mogę sobie odliczyć jako „rekonesans służbowy”.

Poza tym za miesiąc z kawałkiem lecę z kumplami do Miami, więc pomyślałem sobie, że tydzień w Port Zélande jakoś przetrzymam.

I to błąd. W Port Zélande wcale nie jest fajnie. Wszystko nie tak. Wkurzają mnie ci ludzie tutaj, pogoda jest przepiękna, co oznacza za duży upał jak na perukodrapa, Carmen jest tak samo drażliwa jak jej skóra pod peruką, a żeby już niczego nie zabrakło do kompletu, to Luna od niedawna odmawia nawet godzinnej drzemki w ciągu dnia, przez co później jest zmęczona i nie do wytrzymania, co ma dodatkowy negatywny wpływ na resztę rodziny, czyli na nas dwoje.

Niezbyt pomaga też w tym wszystkim okoliczność, że za trzy dni Carmen ma dzwonić do doktor Scheltemy, żeby się ostatecznie dowiedzieć, czy konieczna będzie amputacja piersi, czy nie. Tak wygląda sytuacja.

Doktor Scheltema razem z radiologiem i doktorem Woltersem wymyślili to tak: Porównajmy całą sprawę z „kontrolowanym wypalaniem”, techniką stosowaną w zwalczaniu wielkopowierzchniowych pożarów lasu. W takich sytuacjach strażacy jak najszybciej wypalają kawałek lasu, żeby właściwy pożar zatrzymał się na pozbawionym drzew pasie ziemi. Jeśli się to uda, to pożar już się dalej nie rozprzestrzenia. Naświetlania miały dać ten sam efekt. Chemioterapia sprawiła wcześniej, że guz trochę się zmniejszył.

Naświetlania miały potem zmniejszyć go jeszcze bardziej, żeby można było bez większego ryzyka przystąpić do realizacji zasadniczego celu wszystkich tych starań: operacyjnego usunięcia samego guza. Czyli „kontrolowanego wypalenia” piersi Carmen.

Doktor Scheltema powiedziała, że w przypadku Carmen dochodzi jeszcze jeden plus, a mianowicie to, że ma takie duże piersi. Wówczas istnieje bowiem większa szansa, że amputując pierś, chirurg całkowicie amputuje też guz, który zaczyna się przy brodawce sutkowej.

Za trzy dni, we czwartek, ma się odbyć konklawe z udziałem Scheltemy, Woltersa, radiologa i chirurga.

Nie tylko cały medyczny Amsterdam, ale też pełny krąg naszych przyjaciół i rodzin intensywnie uczestniczy w wielkiej społecznej dyskusji na temat piersi mojej żony. Wszyscy mają nadzieję, że lekarze dadzą zielone światło dla operacji (nikt nie używa słowa amputacja).

– Słyszałem, że Carmen może będzie jednak poddana operacji?

– Tak.

– Rany... to chyba mimo wszystko dobry znak, co?

– Tak, w zasadzie tak, bo początkowo nie chcieli się na to zdecydować, a teraz wygląda na to, że może tak, więc to pozytywna oznaka.

– Och, ale byłoby dobrze! Może w końcu wszystko będzie jednak w porządku!

Ba! Kurczę, ale byłoby dobrze i jaką ulgę poczułaby wtedy Carmen. Ulgę, że nie może już robić takich dowcipów, jak ostatnio, kiedy wyszedłem z łazienki i zobaczyłem ją, jak leży nago na łóżku z szerokim uśmiechem na twarzy i dwiema samoprzylepnymi karteczkami na piersiach: jedną z napisem „ładna” a drugą „a ta?”. Ulgę, że nie będzie już mogła mówić o sobie żartobliwie, że jest skrzyżowaniem blondynki z Betty Boop, bo nie jest już blondynką i nie będzie już miała jednej piersi. No, a ja też poczuję naprawdę niezmierną ulgę!

Ulgę, bo poza piersią amputowane zostanie coś jeszcze. Umiejętność Carmen okazywania w sposób niepohamowany, bezwstydnym i ordynarnym, jaka jest podniecona. Proces, który został już zapoczątkowany w momencie, kiedy Carmen straciła włosy. Nie pytajcie mnie, jak to możliwe, ale odkąd Carmen nie ma włosów, uważa się za mniej atrakcyjną. Chociaż bez przerwy powtarzam jej, że nawet bez włosów jest piękna. Co więcej, dla uhonorowania jej łysiny zgolilem jej też tę resztkę włosów łonowych, jakie zostały jej po chemioterapii, i kiedy ją tam lizałem, cały czas mówiłem, jaka piękna jest teraz jej cipeczka. Carmen też tak uważała. Przynajmniej pierwszego wieczoru. Ale potem jej niezadowolenie z łysej głowy zwyciężyło w łóżku z ekscytacją łysą cipką. Koniec seksu. Super, nie?

Po amputacji to już w ogóle w sypialni będzie jedno wielkie święto. Obojętnie, jak często będę jej powtarzał, że dla mnie nadal jest atrakcyjna, to za każdym razem, kiedy spojrzę w lustro, sama zobaczy, że nie jest już tą dawną Carmen.

Carmen boi się stracić pierś, a ja boję się stracić Carmen. Bardzo samotny to strach, którego nie mam odwagi dzielić z nikim. Od razu by sobie ktoś pomyślał, że dla mnie ważniejsza jest pierś Carmen niż jej życie.

My też rzadko kiedy rozmawiamy ze sobą o operacji, która coraz bardziej się zbliża.

Obydwoje doskonale wiemy, o czym każde z nas myśli, kiedy jemy małże w ośrodkowej restauracji, kiedy opalamy się na plaży, kiedy bawimy się z Luną, kiedy rozmawiamy o duperelach, kiedy kłócimy się bez powodu, kiedy wieczorami w naszym domku oglądamy *Late Show with David Letterman* – o każdej godzinie każdego dnia myślimy o jej piersi. A kiedy śpimy, to śni nam się pierś. Oboje to wiemy i oboje to przed sobą przemilczamy.

Wieczorem przed Dniem Telefonu leżymy w łóżku. Całuję Carmen na dobranoc i kładę się po mojej stronie.

– Zgasić światło?

– Tak, proszę.

– Dobranoc, kochanie.

– Dobranoc, przyjacielu.

Pstryk.

Mija kilka minut.

– Stijn?

– Tak?

– Śpisz już?

– Nie.

– O.

– Czemu pytasz?

– Jak myślisz, co oni jutro powiedzą?

– Nie mam pojęcia, skarbie.

– A jak myślisz?

– Mam nadzieję, że jednak się zdecydują.

– No ale Stijn, przecież ty masz hopla na punkcie cycków, a tu niedługo będziesz miał łysą żonę z jednym cyckiem.

Odwracam się do niej i mocno przytulam.

– Naprawdę mam nadzieję, że się zdecydują, Carmen.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Czuję, jak z jej oczu kapie mi na ramię łza.

– A ty na co masz nadzieję? Że co powiedzą?

– Też mam nadzieję, że będzie taka decyzja.

– No to dobrze.

– Ale to przecież straszne, nie?

– ...

– Stijn?

– Zgadza się... to straszne, skarbie. Ale wolę mieć ciebie z jedną piersią, niż nie mieć cię w ogóle.

Następnego dnia leżymy na plaży. Jest już południe. Od czasu do czasu patrzę na Carmen, ale nie mam odwagi zapytać, czy nie powinniśmy już zadzwonić.

– Wyskoczę na chwilę do domku, żeby zadzwonić – mówi nagle Carmen.

– Nie chcesz zadzwonić stąd? – pytam, pokazując na komórkę.

Carmen kręci głową, że nie.

– Wolę nie. Chcę słyszeć dokładnie, co mówi Scheltema, a tu strasznie wieje.

To oczywiste, że ona nie chce stąd dzwonić, pacanie. Kto by miał ochotę siedzieć na pięknej plaży i dowiedzieć się, że muszą amputować mu pierś.

– Nie chcesz, żebyśmy poszli razem?

– Nie, wolę pójść sama. Zostań tutaj z Luną.

Nakłada sukienkę na bikini i oddala się w stronę skraju plaży.

Odprawdzam ją wzrokiem, aż dochodzi do skraju lasu i znika mi z pola widzenia.

Mijają prawie trzy kwadransy, zanim wróciła. W tym czasie zabawiałem Lunę łopatkami, wiaderkami i wodą. Czuję się zupełnie tak, jakbym siedział w poczekalni, podczas kiedy moja żona rodzi.

– Cześć – rozlega się niespodziewanie za moimi plecami.

– O, już jesteś! – mówię i próbuję odczytać z wyrazu jej twarzy, co mogła jej powiedzieć doktor Scheltema.

– Jeszcze nie wiedzą.

– Jeszcze nie wiedzą?

– Nie. Scheltema mówi, że chirurg jeszcze raz chce obejrzeć moją pierś, zanim podejmie ostateczną decyzję.

– Jezu – wzdycham. – I kiedy to ma być?

– W przyszłym tygodniu. Mam umówioną wizytę na poniedziałek.

I kolejne cztery dni nerwówki.

– Hm. A czemu to tak długo trwało? Nie było cię prawie godzinę.

– Scheltema miała przerwę na lunch.

*We zullen doorgaan in een loopgraaf zonder licht,
om weer door te gaan.*
(Musimy przejść korytarzem pozbawionym światła,
żeby dalej iść.)

Ramses Shaffy, z utworu *Wij zullen doorgaan*
(album *Wij zullen doorgaan*, 1972)

Dwadzieścia pięć

Chirurg ma na nazwisko Jonkman. Jego gabinet znajduje się obok gabinetu Woltersa, na oddziale onkologii. Przystojny facet, widzę to po Carmen, która za jego plecami oblizuje językiem wargi i puszcza do mnie oko.

– Co, pasuje ci? – szepczę jej cicho do ucha. Carmen z zapalem kiwa głową.

– Jak zaczniesz dotykać twoich cycków, to mu przywalę – szepczę jej do ucha.

Carmen się śmieje.

Doktor Jonkman jest jak doktor z lekarskich powieści. Około czterdziestki, młodzieńcza twarz, trochę dłuższe włosy i siwizna na skroniach. Wcisnąć go w garnitur od Paula Smitha i spokojnie może być specjalistą do spraw klientów w biurze reklamowym. Potrafi się bardziej wczuć w naszą sytuację niż doktor Scheltema czy doktor Wolters, którzy są od niego starsi o jakieś piętnaście lat. Pewnie też ma żonę mniej więcej w wieku Carmen i – zważywszy jego wygląd – z pewnością też ostra z niej laska. To stwarza więź.

Ale jednak pozostaje lekarzem. Gdy tylko otwiera dokumentację Carmen – którą rozpoznaję już z daleka na pierwszy rzut oka – i przełącza się z trybu człowiek o imieniu Carmen w tryb pacjenta pani C. van Diepen, od razu zaczyna mówić jak europarlamentarzysta. Posługując się ostrożnymi sformułowaniami, tłumaczy, że podejmie się operacji jedynie wówczas, jeśli będzie pewien, że w ten sposób w sposób znaczący zwiększy jej szanse przeżycia.

– Jest pani piękną, młodą kobietą, a po mastektomii... – patrzymy na niego nierozumiejącym wzrokiem – ...yyy... znaczy po amputacji... a więc po amputacji będzie pani miała bliźnię długości dziesięciu centymetrów, biegnącą poziomo w miejscu, w którym teraz znajduje się pierś... – To rzeczywiście nie zapowiada się za ładnie, o, nie. – Oczywiście można będzie potem spróbować implantu piersi, ale i tak nigdy już nie będzie to wyglądało tak jak teraz. – Robi krótką pauzę i patrzy Carmen prosto w oczy. – To straszne okaleczenie.

Straszne okaleczenie. Przerazają mnie jego słowa, ale uświadamiam sobie, że on świadomie mówi tak bez ogródek. Chce mieć pewność, że Carmen jest na to gotowa. Chyba go lubię. Jonkman jest pierwszą osobą, która kapuje, że pierś jest dla młodej kobiety i jej męża czymś więcej niż tylko wybrzuszeniem na ciele z – w przypadku Carmen – guzem w środku.

– To może teraz obejrzymy pani pierś.

Carmen zdejmuje bluzkę i stanik i kładzie się na wąskiej leżance. Doktor Jonkman zaczyna obmacywać piersi mojej żony. Carmen puszcza do mnie oko, ja się uśmiecham.

– Cóż... – mówi Jonkman po chwili. – Cóż. Proszę, może się pani ubrać. – Doktor myje ręce. – Według mojej oceny guz ma w tym momencie mniej więcej sześć na dwa centymetry.

– Czyli, że...?

Carmen nie ma odwagi dokończyć pytania.

– Wydaje mi się, że powinniśmy zaryzykować i aby zwiększyć u pani szanse przeżycia, powinniśmy dokonać amputacji piersi.

Na zewnątrz Carmen nie reaguje specjalnie emocjonalnie, ale widzę, że był to dla niej potężny cios. Doktor Jonkman szybko przechodzi dalej.

– Mastektomię możemy wykonać w trzecim tygodniu października – mówi, patrząc na kalendarz wiszący na ścianie gabinetu. – Z tym że ja będę w tym czasie na urlopie, więc zabieg wykona doktor Wolters.

Samo brzmienie nazwiska Wolters w połączeniu ze słowem „operacja” wystarczy, żeby Carmen zalała się łzami.

– Nie, raczej nie – mówię z zawziętością w głosie.

– Nie rozumiem? – pyta doktor Jonkman przestraszony. Po jego minie widzę, że o niczym nie wie. Łajdaki. Wolters i Scheltema próbują zamieść sprawę pod dywan.

– Jakiś rok temu doktor Wolters pomylił się, diagnozując moją żonę i z tego powodu tu u pana siedzimy. Moja żona i ja nie życzymy sobie, żeby cokolwiek jeszcze przy niej robił.

Carmen pochlipując, patrzy w podłogę. Doktor Jonkman szybko odzyskuje profesjonalizm.

– Dobrze. W takim razie ja przeprowadzę operację tydzień później.

Carmen kiwa głową i szepcze ledwie słyszalnym głosem:

– Zgoda... Bardzo panu dziękuję.

– Moja asystentka ustali zaraz z państwem dokładny termin.

Operacja zostaje wyznaczona na czwartek, 31 października.

Cztery dni po Miami, przelatuje mi nagle przez głowę. A więc mogę się pożegnać z wyjazdem. Pierdolony rak. W ciągu jednej rozmowy pożegnałem się z jednym cyckiem i najfajniejszym weekendem w całym roku.

*When I'm out in the streets, I talk the way I wanna talk,
when I'm out in the streets, I don't feel sad and blue,
when I'm out in the streets, I never feel alone, when I'm
out in the streets, In the crowds I feel at home.*

(A kiedy chodzę ulicami, mogę mówić jak mi się podoba,
Kiedy chodzę ulicami, nie czuję się smutny ani przygnębiony,
kiedy chodzę ulicami, w tłumie czuję się jak w domu.)

Bruce Springsteen, z utworu *Out In The Streets*
(album *The River*, 1980)

Dwadzieścia sześć

I ósmego dnia stworzył Bóg Miami.

Tak, tak, jestem tutaj! Ocean Drive, Miami Beach, Floryda.

W taksówce przy Ocean Drive Ramon, Hakan i ja nie wiemy już, jak szybko obracać głowami, żeby zobaczyć te wszystkie cudowności naokoło. Prawdziwy sklep z łakociami, przyznaje nawet Frenk.

Carmen sama mi to zaproponowała.

– Jedź ze swoimi kumplami, póki jeszcze możesz. Zaraz będę miała operację, a wtedy będziesz mi bardzo potrzebny – powiedziała. Podskoczyłem z radości do samego nieba i następnego dnia wykupiłem wszystkie róże z kwiaciarni naprzeciwko Olympisch Stadion. Carmen była do tego stopnia pod wrażeniem, że zaproponowała, żebym może co miesiąc wyjeżdżał na weekend.

Wysiedliśmy pod hotel The Pelican. Budynek jest koloru zielonej mięty. Ten przed nim jest różowy, a ten za nim jasnobłękitny. Kelnerka o ciemnoblond włosach i gigantycznych buforach w białym T-shircie Diesla z wycięciem w kształcie litery V zbiegła po schodach na taras. Zobaczyła, że na nią patrzę, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Hej!

– Hej! – odpowiedziałem.

Za kontuarem recepcji siedziała młoda Portorykanka. Ja cię kręcę, takiej nie zobaczy się w Ibisie.

– Panie Boże, czym sobie na to zasłużyłem – mamrocze Ramon. Dziewczyna uśmiecha się, pokazując białe zęby i daje nam klucze. Czuję się tak, jakby wszystko działo się dwadzieścia lat temu, kiedy po raz pierwszy byłem w Lloret de Mar w Hiszpanii.

Ponieważ wygląda na to, że Ramon i ja mamy te same nocne potrzeby, Frenk przydziela nam wspólny pokój. Dostajemy Best Whorehouse Room. Frenk i Hakan biorą Me Tarzan, you vain Room. Pokoje nie są za duże, ale tutaj chodzi o to, co jest trendy, a nie o wygodę, objaśnia mi Frenk.

Każdy z nas ma za zadanie wziąć szybki prysznic i najpóźniej za pół godziny zameldować się z powrotem na dole. Frenk zarezerwował miejsca w The Delano, a tam trzeba przyjść punktualnie.

I być dobrze ubranym, jak stwierdzam, patrząc na Frenka i Hakana. Frenk ma na sobie czarny tenisowy garnitur jakiegoś japońskiego projektanta, którego nazwisko z dumą wymienia, chociaż ja w życiu o gościu nie słyszałem. Wspomina mimochodem, że kupił go przy Madison Avenue na Manhattanie. Hakan przyznaje, że garnitur jest w porzo, ale że garnitury innej marki – której również nie znam, ale Hakan przypadkowo ma dzisiaj na sobie także koszulę i buty z tym logo – mimo wszystko są trochę lepsze. Ja oczywiście pozostaję przy moich ukochanych butach z wężowej skóry. A moje białe spodnie i fioletowa koszula cenowo być może pozostają daleko w tyle za zestawem Frenka, ale osobiście uważam, że wyglądam wystarczająco atrakcyjnie, żeby sprawdzić moją wartość rynkową wśród kobiet w Miami. Ramon ma na sobie zwykły T-shirt. Wygląda w nim cholernie dobrze. Z punktu widzenia konkurencyjności dobrze dla mnie, że założył swoje czarne skórzane spodnie, które były modne, kiedy Ajax grał jeszcze na stadionie de Meer, a więc z pięć lat temu.

W czasie posiłku na świeżym powietrzu pod palmami przy basenie hotelu Delano zaczynają się pierwsze głębokie rozmowy: czy Holandia może zdobyć mistrzostwo Europy (ja: tak; Ramon i Hakan: nie; Frenk: nie wie); jaka jest sytuacja firmy Merk in Uitvoering (Frenk: znakomita!; ja: ujdzie); który z nas w BBDvW&R/Bernilvy sypiał z Sharon (ja: ja; Ramon: no pewnie; Hakan: tylko mi obciągnęła; Frenk: niech was szlag!); czy St. Martin's Lane w Londynie jest bardziej hipsterska niż The Delano (ja: nie wiem; Ramon: nie wiem; Frenk: nie; Ramon: tak); czy zarzucimy dzisiaj wieczorem ecstasy, którą wziął ze sobą Ramon (ja: tak!; Ramon: o, myślałem, że nic o tym nie wiecie?; ja: nie rób sobie jaj, tylko dawaj; Hakan: dziś wieczorem nie; Frenk: oczywiście, że nie). Ramon daje mi tabletkę. Jestem trochę nerwowy. Do tej pory piłem wyłącznie alkohol. Carmen jest przeciwna wszystkiemu, co pachnie narkotykami. Przełykam tabletkę, popijając piwem. Frenk patrzy na mnie, kręcąc głową.

Delano – wymawiaj Delano, a na pewno nie Delaaano, tak jak ja – jest jeszcze droższe niż The Pelican. To dlatego, że to jeden z hoteli Iana Schagera, mówi Hakan. Wypowiada to nazwisko z takim namaszczeniem, że nie mam odwagi zapytać *who the fuck is that guy*. Gośćmi Delano są maklerzy z Ocean Drive, ludzie reklamy i *business groepies*. Tutaj nie ma żartów. Jedzenie, koktajle, wystrój i kobiety w The Delano kosztują krocie. Ale umówiliśmy się, że w ten weekend pieniądze nie grają roli.

Idziemy na Washington Avenue, za Ocean Drive. Tutaj właśnie znajduje się większość klubów i dyskotek w Miami Beach, tak przynajmniej mówi Frenk, który takie rzeczy po prostu wie. Skąd, pozostaje to dla mnie zagadką, ale wie. Wygląda na to, że powinniśmy iść do klubu Chaos, gdzie zdaniem Frenka dużo się dzieje. Hakan kręci nosem. Mówi, że słyszał od barmana w The Delano, że Washington Avenue jest już niemodna i teraz chodzi się do klubu Tantra, w zupełnie innej dzielnicy. Razem z Ramonem odrzucam jego zastrzeżenia, bo z zadowoleniem zobaczyliśmy, że w długiej kolejce czekających aż roi się od fajnych dziewczyn. Za aksamitnym sznurem trzyma wartę z rękami założonymi na piersi rodzony brat Mr T. z serialu *Drużyna A*. Nie mam pojęcia, z czego to wynika, ale aż przebieram nogami, żeby tylko dostać się do środka. Ramon najwyraźniej też. Przeciska się do przodu i próbuje nabrać bramkarza na sztuczkę, że niby sam jest DJ-em w De RoXy.

De RoXy. Świętej pamięci De RoXy. Coś jak Marco van Basten życia towarzyskiego. Z powodu ciężkich obrażeń (poważne oparzenia w wyniku pożaru) przedwcześnie zamknięty. Dzięki temu zyskał – podobnie jak Marco van Basten – status czegoś ponadczasowego. Dużo o nim słyszałem, ale do spotkania nie doszło^[14]. Nie poznałem tego klubu. Carmen też tam nigdy nie była. Mnie również się jakoś nie udało, chociaż muszę przyznać, że nawet byłem tym zainteresowany wskutek lirycznych opowieści Frenka, jakie tam przychodzą laski. Ramon też tam bywał raz w tygodniu, po obskoczeniu ze mną placu Leidseplein. Ja szedłem wtedy do Paradiso, żeby w towarzystwie brzydkich kobiet tańczyć do muzyki The Cure. Teraz jest już za późno. Muszę się zadowolić opowieściami Ramona i Frenka.

Nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem, Mr. T ruchem głowy daje mu do zrozumienia, że ma to głęboko w swojej czarnej dupie i żebyśmy spadali na koniec kolejki i modlili się, żeby zechciał nas wpuścić, kiedy już do niego dojdziemy.

A kiedy doszliśmy, okazało się, że nic z tego.

– Jesteście we czterech?

– Tak.

– To nic z tego.

Ramon chce mu skoczyć do gardła, ale na szczęście w porę uznaje, że to nie najlepszy pomysł. Mnie wcale nie jest do śmiechu. Po prostu muszę dostać się do jakiegoś klubu. Nie daję tego po sobie poznać, przede wszystkim przed Frenkiem, ale jak przyjdzie mi jeszcze pięć minut stać gdzieś w jakiejś kolejce, to przypuszczalnie zacznę skakać na wszystkie strony jak Tygrysek z książeczki Luny o przygodach Kubusia Puchatka.

Niedaleko Chaosu jest Liquid. Frenk przypomina sobie, że kiedy przyjechaliśmy tu taksówką, w kolejce stało co najwyżej pięć osób. Teraz kolejka ma długość obwodu boiska na stadionie ArenA. Kurwa. Ja pierdolę, pigułka najwyraźniej zaczyna działać. Hakan próbuje nas namówić, żebyśmy pojechali taksówką do klubu Tantra. Nie odpowiadamy i idziemy wzdłuż Washington Avenue. Przy każdym lokalu, który mijamy, Hakan protestuje. Za tłoczno, za pusto, nie wygląda najlepiej, nijaki i tak dalej. Na szczęście Frenk grozi, że natychmiast wraca do hotelu, jeśli nie wejdziemy zaraz do pierwszego klubu, na jaki trafimy. Trafiamy do Bash. Nie ma żadnej kolejki i gadka Ramona, że jest DJ-em w klubie De RoXy, odnosi skutek w przypadku tutejszego bramkarza. Tyle że w inny sposób, niż planowaliśmy.

– RoXy?

– Tak, człowieku! W Amsterdamie.

– A co tam grasz w tym RoXy?

– Głównie house’owe klimaty. Co środę.

– Co środę?

– No! W zeszłym tygodniu grałem nawet pięciogodzinny set!

– Powaga?

– A jak!

– Czy ja dobrze pamiętam, że RoXy się spalił jakiś czas temu?

– ...

– Hahaha, no dobra, włąćcie, kutafony.

Nawet Ramon nie wie, co odpowiedzieć. Płacimy po dwadzieścia dolców wstępu od osoby, co nie jest specjalnie dużo jak na Miami. Trochę podejrzane, że bez problemu wpuścili czterech facetów.

W kiblu ustawiamy kołnierze koszul we właściwej pozycji, sprawdzamy, czy fryzury są okej, przybijamy po piątce i zagrzewając się okrzykami „yeah!” i „no to do dzieła!”, wchodzimy pełni oczekiwań i ekstazy przez czarne drzwi do głównej sali. W środku jest dziewięć osób. Wliczając w to nas.

Hakan z miejsca zaczyna marudzić, Ramon skanuje dwie dziewczyny przy barze, ja wchodzę samotnie na parkiet, a Frenk wraca na sztywnych nogach do panienci przy wejściu. Po powrocie oznajmia nam, że podobno za pół godziny będzie większy ruch.

To prawda. Po półgodzinie jest już trzynaście osób. Hakan naciska, żebyśmy się jak najszybciej wynosili z tej nędzy. Frenk mówi, że zaczyna odczuwać skutki różnicy czasu. Ja z Ramonem nic takiego nie czujemy. Jesteśmy żądni zabawy za wszelką cenę.

Dopiero o siódmej w Bash zapalają się światła. Ramon znika z jakąś dziewczyną, ja kompletnie mokry od potu, z uśmiechem od ucha do ucha, wracam Washington Avenue do Ocean Drive. Jestem na nogach bez przerwy od ponad trzydziestu godzin. Mam za sobą wspaniały wieczór, nie zdradziłem Carmen i pozbyłem się, lekko licząc, czterystu dolców. A, co mi tam. Wyjmuję z minibaru puszkę piwa, padam na łóżko i próbuję zwalić konia. Przez głowę przelatują mi sceny ze mną i z Sharon, z Maud i z Carmen sprzed roku. W połowie tego wszystkiego zasypiam z na wpół wzwiedzionym fiutem w ręce i do połowy pełną puszką piwa na designerskim nocnym stoliku przy łóżku.

You think that I'm strong, you're wrong.
(Myślisz, że jestem silny, i mylisz się.)

Robbie Williams, z utworu *Strong*
(album *The Ego Has Landed*, 1999)

Dwadzieścia siedem

Półtorej godziny później już nie śpię. Nie mogę się już doczekać rozpoczęcia dnia. Ramona jeszcze nie ma. Biorę telefon i wybieram numer Thomasa i Anne, u których Carmen miała spędzić ten weekend.

– Halo? Mówi Anne.

– O, cześć, Anne! Tu Stijn – witam się entuzjastycznie.

– Cześć, Stijn! Zaraz poproszę Carmen – mówi Anne z trochę mniejszym entuzjazmem. Czyżbym ją obudził moim telefonem? Nieee, w Holandii jest południe.

– Cześć – słyszę głos Carmen. Czuję dystans, ale udaję, jakby nigdy nic i mówię, że hotel jest trochę wariacki i przez cały dzień słysząc w nim house'ową muzykę, nawet w kiblu. Ze śmiechem opowiadam o jedzeniu w The Delano i o wczorajszym wyjściu i kłamię, że jestem strasznie zmęczony. Carmen prawie w ogóle nie reaguje. Pytam, jak jej się mieszka u Thomasa i Anne. Takim tonem, którego u niej jeszcze nie słyszałem, mówi, że siedzą sobie miło w domu, że jest przyjemnie i że dobrze im się rozmawia. Przez chwilę zaczynam wątpić, czy na pewno dodzwoniłem się do tej Anne, o której ona mówi.

Nie wytrzymuję długo i pytam ją wprost, co się dzieje i czy zrobiłem albo powiedziałem coś nie tak. Słyszę, jak Carmen pyta Thomasa, czy może rozmawiać z telefonu w sypialni. Przez chwilę w słuchawce panuje cisza, a potem słyszę stuk i znowu głos Carmen.

– Czuję się kompletnie do dupy, Stijn – mówi, wydmuchując przy okazji nos. – Jednak jest gorzej, niż się spodziewałam... Jak sobie pomyślę, że ty sobie tam balujesz wśród tych wszystkich lasek o wielkich cycach, a ja tu siedzę sama z łysą głową i poparzoną piersią...

Mówię jej, że nie bardzo wiem, co na to odpowiedzieć i że nie tknąłem żadnej dziewczyny.

– Mówisz to tak, jakby to był jakiś wyczyn – stwierdza Carmen uszczypliwie. Słyszę jej westchnienie, a potem mówi nieco bardziej przyjaznym tonem: – Dobra, nieważne... będzie dobrze... to baw się i przekaż Frenkowi pozdrowienia ode mnie.

Stara się, żeby zabrzmiało to najzwyczajniej, jak się tylko da. Mówię, że ją kocham i żeby pozdrowiła ode mnie Thomasa i Anne. Przez chwilę panuje cisza.

– Nie wiem, czy to specjalnie dobry pomysł, Stij – mówi Carmen i odkłada słuchawkę.

Na dole Hakan i Frenk siedzą już w kąpielówkach na tarasie i jedzą śniadanie. Dołączam do nich. Jemy razem, a potem idziemy na plażę. Tam natykamy się na Ramona z tym jego denerwująco wyrzeźbionym ciałem. Z lubieżnym uśmiechem opowiada nam,

że w nocy i dzisiaj rano próbował ze swoją zdobyczą wszystkiego, co się da w jej sypialni i że nie spał ani minuty.

Na plaży Frenk czyta „Wallpaper”, magazyn, o którego istnieniu nie miałem pojęcia. Widzę w nim dużo rzeczy, które Frenk ma w swoim penthousie. Hakan, Ramon i ja rozmawiamy o życiu. Czy Ajax powinien się trzymać ustawienia 4–3–3 czy też nie, jaki jest procent kobiet, które polykają, procent kobiet i mężczyzn, którzy zdradzają, dlaczego faceci zdradzają i dlaczego zdradzają kobiety. Peroruję zawzięcie na cały głos, wygłaszając jedną ze swoich teorii za drugą. Potem Ramon zmienia temat rozmowy i pyta, jak często uprawiamy seks z żonami. Hakanowi wychodzi, że cztery razy w tygodniu. Ramonowi, że sześć. (Hakan: „Dobra, dobra, miał być tylko seks z własną żoną!”). Kiedy właśnie miała przyjść moja kolej, mówię, że strasznie zachciało mi się sikać i muszę iść do wody.

– Stijn, napijemy się jeszcze czegoś? – pyta Frenk, kiedy wracamy do hotelu. Ramon i Hakan poszli się zdrzemnąć dla urody. Frenk zamawia dwie margarity u Naszej Ulubionej Kelnerki. – Niepotrzebnie się zmyłeś, kiedy przyszła twoja kolej – mówi.

Patrzę na krągłe piersi kelnerki, kiedy się pochyla do naszego stolika, żeby postawić margarity.

– Nie mam ochoty mówić tu w Miami o raku.

– Kapuję. Dzwoniłeś już do Carmen po przyjeździe?

– Dzisiaj rano – mówię z westchnieniem. – Nie była specjalnie zadowolona. Anne zresztą też nie.

– Wcale się nie dziwię – stwierdza Frenk. – Anne uważała, że to idiotyczne, żebyś z nami jechał do Miami. Thomas zresztą też. Nie może zrozumieć, że ty się w ogóle nie przejmujesz i tak dobrze sobie radzisz.

– Gówno prawda! – wybucham. – Wcale dobrze sobie nie radzę!

Frenk obejmuje mnie ramieniem i mówi:

– Mnie nie musisz tego mówić.

Nagle czuję, że muszę z siebie wszystko wyrzucić. Opowiadam Frenkowi, jakie to dla mnie straszne, że Carmen nie chce już ze mną nigdzie wychodzić, nawet do restauracji i że już nie uprawiamy ze sobą seksu. Frenk kiwa głową.

– A wyobrażasz sobie, jak to będzie, jak straci pierś? – pytam. – Nawet jeśli uda się jej pozbyć tego raka, Carmen nigdy już nie będzie taka sama. I mam wielkie obawy, że wtedy to już całkiem się między nami popsuje...

Frenk bierze mnie za rękę. Patrzymy sobie w oczy. Widzę, że jego zrobiły się wilgotne. Nic nie mówimy. To najpiękniejszy moment mojego pobytu w Miami.

Wznosimy toast i pijemy łyk drugiej margarity, którą bez pytania postawiła nam przed nosem Nasza Ulubiona Kelnerka.

– Nie przeczę, że to ostra laska, ale Carmen mimo wszystko ma większe cycki – mówię, kiedy dziewczyna schodzi po schodach, kołysząc biodrami. – Przynajmniej na razie...

Frenk o mało nie dławi się margaritą.

*I'll be home on a Monday, somewhere around noon,
please don't be angry.*

(Będę w domu w poniedziałek, gdzieś tak koło południa,
Proszę, nie bądź zła.)

*The Little River Band, z utworu Home On A Monday
(album Diamantina Cocktail, 1977)*

Dwadzieścia osiem

Na ten wieczór udało nam się przez chłopaka z The Pelican załatwić stolik w Tantrze. Podają tam tureckie jedzenie, to w tej chwili najnowsza moda w Miami, jak usłyszeliśmy od barmana w The Pelican. Hakan promienieje.

Po zakończeniu *dinner time* w Tantrze w ogóle ma się dzisiaj wieczorem dziać. Hakan rozmarzony mówi, że DJ-em będzie Roger Sanchez. Frenk reaguje entuzjastycznie. Nigdy w życiu o koleśku nie słyszałem. Na DJ-ach znam się tak samo, jak Clarence Seedorf^[15] na karnych. Żarcie w Tantrze jest wyśmienite, to trzeba przyznać. Roger Sanchez też. A laseczki to już w ogóle. Tabletki dopełniają reszty. Palę się do zabawy jeszcze bardziej niż wczoraj. Opowiadam kumplom, jak strasznie mi się tu podoba i że musimy tu przyjeżdżać co roku, a w przyszłym to polecimy do Barcelony albo do Nowego Jorku. Eee tam, do Tel Awiwu, mówi Hakan, to teraz jest na absolutnym topie. Gdzie tam, chyba Rio, mówi Ramon. Tak jest, Rio, zgadzam się z nim. A potem mówimy sobie, że zawsze będziemy się trzymać razem i nigdy żaden nie zostawi drugiego na lodzie, a potem Ramon mówi, że się umówił z tą dziewczyną z wczoraj i wychodzi. Frenk prawie zabija go spojrzeniem. Ja gapię się na korpulentną dziewczynę w czarnej przezroczystej bluzce. Kiedy wymieniliśmy już trzy przyjazne spojrzenia, podchodzę do niej. Pod bluzką ma czarny biustonosz (misceczka C).

– Cześć, jak ci na imię? – zaczynam z właściwą sobie oryginalnością.

– Linda. A tobie?

– Stijn – mówię i za nic nie potrafię wymyślić, co by tu jeszcze powiedzieć. Nie mam pojęcia, czego mógłbym chcieć się o niej dowiedzieć.

– Skąd jesteście ty i twoi kumple? – pyta Linda. O, to, to. O takie pytania chodzi.

– Emsterdem – mówię, siląc się na amerykański akcent.

– O, rany, moja siostra tam była! Mówi, że Dania to strasznie fajny kraj.

– Tak, zgadza się... – odpowiadam, wstydząc się zamiast niej i ciesząc się, że chłopaki nie słyszą tej rozmowy. Ale uznaję, że jest nieźle, bo przy jednakowej zręczności obydwu stron, ograniczona inteligencja jest dzisiaj wieczorem wskazana. – A ty skąd jesteś? – pytam. Lepiej dobrze podpatrzeć, niż źle wymyślić.

– Z Karoliny Północnej, ale tego lata przeniosłam się do Miami. Uwielbiam tutejszą pogodę i plaże.

– Nooo... ja myślę! – odpowiadam. Jezu, po co ja tu przyszedłem?

Nagle Linda kładzie mi rękę na karku i całuje w policzek.

O, tak. Właśnie po to. Teraz już znowu wiem. Przytulam ją mocno. Ma jędrne ciało. Jej przyjaciółka puszcza do niej oko z podziwem. Właśnie przeszedłem sprawdzian przed komisją. Czy ona spodoba się Hakanowi i Frenkowi, nie mam na razie pojęcia, więc na wszelki wypadek szybko popycham ją przed sobą w jakiś ustronny kąt lokalu. Po drodze zauważam, że dupsko ma takie wielkie, że trzeba całego urlopu, żeby ją obejść naokoło. Kiedy już znikam chłopakom z pola widzenia, zaczynam się z nią całować. Moja dłoń prześlizguje się po gładkim materiale jej czarnej, przezroczystej bluzki. Ona wywija się z moich objęć i zawstydzona mówi, że nie jest taka szybka. Akurat, myślę sobie, ale mówię, że nie lubię chudych kobiet i szczypię ją w tyłek. Linda śmieje się zakłopotana. Wtedy biorę ją za rękę, przykładam wewnętrzną stronę dłoni do ust i zaczynam intensywnie lizać jej nadgarstek. Kiedy dociera do niej, co tym samym sugeruję, zaczyna chichotać.

– Masz brudne myśli – mówi, kręcąc głową.

– Dzięki – odpowiadam. Czas ją stąd zabrać.

– Jesteś żonaty? – pyta w taksówce do The Pelican.

– Nie – mówię, chowając dłoń z obrączką za jej plecami. Potem wsadzam jej język w usta i całuję tak intensywnie, jakby tylko śmierć mogła przerwać nasze seksualne zapamiętanie. W tym czasie mocuję się za jej plecami z obrączką i chowam ją do kieszeni spodni.

W windzie rozpinam jej przezroczystą bluzkę i podsuwam biustonosz w górę. Linda ma duże brodawki sutkowe. Uwielbiam to. I jest podniecona. To też uwielbiam. Dysząc, rozpinam mi spodnie i klęka przede mną. Kiedy bierze głęboko w usta mojego kutasa, który zdążył zrobić się twardy jak siedzenia krzesełek na stadionie Arena, otwierają się drzwi windy i... patrzę prosto w oczy Frenka. Frenk patrzy niżej, na poruszającą się w dół i w górę głowę Lindy. Linda czuje, że zeszywniałem, odwraca się przestraszona i robi się na twarzy czerwona jak burak. Niezgrabnie podciągam spodnie, chowając sztywnego fiuta.

– Linda, to jest Frenk, Frenk to jest Linda – przedstawiam ich sobie nawzajem.

– Hej, Linda – mówi Frenk, gapiąc się na jej piersi.

– Hej, Frenk – odpowiada Linda, zapinając guziki przezroczystej bluzki.

– Dobra, to dosyć się już nagadaliśmy – mówię szybko do Frenka. – Widzimy się rano!

Frenk kiwa głową, że dobrze.

– Bye, Frenk – mówi Linda.

– Bye, yyy...

– Linda.

– Bye, Linda.

Idę korytarzem, obejmując Lindę ramieniem. Czuję, że Frenk patrzy za nami. Wyjmuję klucz od mojego Best Whorehouse Room i przez całą noc dogadzam w nim Lindzie z Tamy na Florydzie.

Budzi mnie Ramon, wracający do pokoju. Z przestachem patrzę na miejsce obok. Co za szczęście. Linda już sobie poszła. Ramon by mnie wyśmiał, że przyszedłem z taką pućką. Wali się na łóżko, na które jeszcze niedawno wyciekały z Lindy jej i moje soki. Ramon jest zbyt zmęczony, żeby poczuć, że łóżko jest wilgotne i zasypia. Ja już nie mogę

zasnąć. Wstaję, biorę spodnie z przedpokoju i sięgam do lewej kieszeni.

Z przerażenia zamiera mi serce. Obrączki tam nie ma. Zlewam się potem. Szukam w kieszeniach z tyłu. Też nic. Kładę się na brzuchu i zaglądam pod łóżko i pod kaloryfer. Budzi się Ramon i pyta, co wyprawiam. Mówię, że szukam soczewek kontaktowych. Ramon znowu zasypia. Raz jeszcze przeszukuję kieszenie. I jeszcze raz. Szuflady nocnej szafki. Całą sypialnię. Nigdzie nic. Fuck! Myśl, Stijn, myśl! Gdzie ja ją mogłem podziać? Ta dziewczyna! Linda. To ta cipa doprowadziła mi obrączkę! Jezu! Tylko nie to! Carmen mnie przecież...

Znowu kładę się na brzuchu i przeszukuję całą podłogę. Potem kładę się na łóżku. No, nie. Prawdziwa narodowa katastrofa. Koniec Carmen & Stijna. Jestem gotów popełnić samobójstwo, ale nawet nie muszę, Carmen mnie zabije. Zgubiłem obrączkę. Nijak nie dam rady tego wytłumaczyć.

Hakan i Frenk znowu są już na dole i jedzą śniadanie.

– No i jak? Długo balowałeś? – pyta Hakan. – Jakoś mi w pewnym momencie zginąłeś.

To nic w porównaniu z tym, co mnie zginęło.

– W miarę – mówię, czując ulgę, że najwyraźniej Frenk nikomu nie opowiedział o tym, co zastał w windzie. Ramon schodzi na dół i opowiada barwnie i ze szczegółami, co tej nocy wyprawiał znowu z tą poznaną dziewczyną. Śmiejemy się. Ja też, chociaż tak naprawdę chce mi się płakać. Ciekawe, co gorsze? Ramon, który zdradza przyjaciół, nie pokazując się przez pół weekendu, bo woli się pieprzyć z jakąś dziwką, czy ja, który zdradzam Carmen, zdejmując obrączkę ze strachu, że nie uda mi się przelecieć jakiejś dziwki? Wolno zgadywać trzy razy.

Ostatnie godziny przed wyjazdem na lotnisko Hakan, Frenk i Ramon chcą spędzić na plaży. Niechętnie, ale idę razem z nimi. Kładziemy się. Ramon i Hakan gadają o samochodach, Frenk czyta magazyn „Man”. Ja gapię się w morze i czuję, że jeszcze chwila, a się rozryczę.

– Pójdę się jeszcze trochę przejść.

Ramon kiwa głową, Hakan gada dalej, a Frenk nie podnosi głowy znad gazety. Nawet on nie zauważył, co się ze mną dzieje? Może to i lepiej. Nie mam ochoty gadać. Sto metrów dalej oglądam się za siebie, czy mnie nie widzą. Siadam na gorącym piasku i czuję się najbardziej samotnym i godnym pożałowania facetem na świecie. Trzy dni zabawy z kumplami prawie minęły, alkohol i ecstazy się skończyły, zostałem okradziony przez kobietę, której chwilę wcześniej zrobiłem tak dobrze, że aż krzyczała, a jutro zostanę zamordowany w domu. Widzę swoje łyzy, jak kapią na piasek.

Na lotnisku Schiphol żegnamy się. W taksówce zlewam się potem ze strachu. Jeszcze dziesięć minut i będę w domu. Co mam powiedzieć? Że zdjąłem obrączkę, wchodząc do morza? Albo z powodu wykrywacza metali w dyskotece? Taksówka skręca w zjazd przy uniwersytecie. Jeszcze parę minut. Na szczęście stajemy na czerwonym. A może lepiej będzie powiedzieć, że...

Dostaję esemesa. Frenk.

„Sprawdź w lewej kieszeni marynarki”.

Szybko sprawdzam. Nic. Kolejny esemes.

„Miałem na myśli prawą :-)”

Gorączkowo sprawdzam drugą kieszeń. I czuję... Tak! Moja obrączka! Moja obrączka! Moja własna, ukochana, piękna, misterna ślubna obrączka.

„Znalazłem ją w windzie w The Pelican. Stijn, Stijn... Nie rób tego więcej. Dużo siły dzisiaj. Buziaki”.

*Meisjes, ze maken ons kapot meneer,
ze maken ons zo zot meneer, meisjes.*
(Dziewczyny, one nas wykończą proszę pana,
one doprowadzają nas do szaleństwa proszę pana, dziewczyny.)

Raymond van 't Groenewoud, z utworu *Meisjes*
(album *Nooit meer drinken*, 1977)

Dwadzieścia dziewięć

Nie jestem pewien, czy kobieca intuicja rzeczywiście jest tak wysoko rozwinięta, jak obawiają się mężczyźni. Po moim powrocie Carmen nawet żartem nie spytała, czy ją zdradziłem. Wprost przeciwnie – sama mnie przeprosiła, że była taka nieprzyjemna przez telefon.

Tylko raz zostałem zdemaskowany. Wtedy, z Sharon.

Sharon była recepcjonistką BBDvW&R/Bernilvy. Blondynka, odrobinę wyzywająca i miała naprawdę wspaniałe piersi. Miseczka D, strome jak czarna trasa^[16]. Od pierwszego dnia marzyłem o tym, żeby je zobaczyć na żywo. Sharon nie miała z tym najmniejszego problemu, dla niej w ogóle prawie nic nie stanowiło problemu. Czy to Ramon, czy to Hakan, jak się niedawno dowiedziałem. Dobra, ale kim ja w końcu jestem, żeby to oceniać.

Byłem na tyle głupi, żeby umieścić w terminarzu anonimowy numer telefonu przy dacie, kiedy miałem „spotkanie z klientem”. Błędy początkującego. Carmen zadzwoniła dzień później pod ten numer, usłyszała: „Tu Sharon, słucham”, rozłączyła się, sprawdziła na liście telefonów w moim terminarzu, czy jakaś Sharon pracuje w Bernilvy i porównała numery. Trafiony, zatopiony. Wieczorem zapytała mnie zupełnie niespodziewanie, która z dziewczyn u nas w biurze to Sharon. Robiłem, co mogłem, żeby się nie zaczerwienić i powiedziałem, że Sharon to ta blondynka w recepcji.

– No proszę – powiedziała Carmen i podstawiła mi pod nos terminarz z numerem Sharon. – Czyli że to ta ordynarna raszpla z wielkimi cycami, które o mało jej się nie wyleją z biustonosza, tak? I to z nią poszedłeś do łóżka?

Teraz to już się zaczerwieniłem. Nie było się co zapierać.

– Yyy... tak...

– Ile razy?

– Yyy... tylko raz.

Typowo Clintonowska prawda, no bo biurko mojego szefa, toaleta w Pilsvogel i kanapa u niej w domu to przecież nie jest łóżko.

De Pilsvogel. Fajny lokal (zakamuflowana jako tradycyjna kawiarnia miejscówka do flirtowania, bo tutaj przychodzą dziewczyny z dzielnicy de Pijp, mekki studentów i yuppis), fajny ogródek (lunch w promieniach słońca do wpół do trzeciej, między piątą a szóstą jeszcze godzinka słońca z drugiej strony ogródka), fajna klientela (tylko należy unikać pory tradycyjnego piątkowego koktajl party, bo wtedy lokal jest konfiskowany

przez krawaciarzy z biznesowego Zuidas).

Carmen wściekła się jak diabli, co mnie jeszcze w mojej naiwności zdziwiło. Czyżbym jej nie opowiadał, że regularnie sypiam z innymi? No, dobra, to było oczywiście na naszej pierwszej randce i nigdy potem o tym nie rozmawialiśmy, no ale chyba wiedziała, jak to ze mną jest? Frenk powiedział mi kiedyś, że to nie jest żadne usprawiedliwienie. To samo powiedziała mi Maud. Ale żadne z nich ani słowem nie wspomniało Carmen o moich przygodach, także o tej z Sharon.

Jeśli idzie o Thomasa, to przez ostatnie lata stałem się ostrożniejszy. On nie ma pojęcia, że jakieś całowanie i macanki z obcymi dziewczynami zdarzają się każdego tygodnia. Nie mówiąc już o tym, żeby wiedział o moich regularnych zdradach. Wie tylko o Sharon, bo to było w czasach, kiedy i jemu zdarzało się to i owo zaliczać. Anne oczywiście też wie o Sharon. Kiedy Carmen się o wszystkim dowiedziała, wyniosła się na parę dni z domu właśnie do nich.

Ramon też jest monofobiczny. Różnica między nim a mną jest taka, że on nie widzi granicy, za którą zdrada nie jest już zwykłym hobby, tylko uzależnieniem. Domagającym się, żeby zawsze mieć coś pod ręką. Adresy, numery telefonów, mejle. Zupełnie jak alkoholik, który nie chce się przyznać przed samym sobą, że jest uzależniony, ale na wszelki wypadek trzyma w szufladzie biurka butelkę wódki, żeby jakoś przetrwać dzień. I którą ukrywa przed otoczeniem. Podobnie jak Carmen o mnie, tak samo żona Ramona nie ma pojęcia nawet w części, jak to naprawdę z nim wygląda.

Facet z monofobią jest uzależniony od dreszczyku, jaki daje zdrada. Emocje takie jak żal i poczucie winy – dla normalnych ludzi jest to wbudowany w psychikę hamulec, który chroni ich przed zdradzaniem – są czymś, czego się oduczył. Facet z monofobią (kobietka też, ale to rzadsza sprawa) wmawia sam sobie, że nie wyrządza swojej partnerce żadnej krzywdy, kiedy pieprzy się z kimś za jej plecami. Mówiąc rzeczy w rodzaju: „dopóki ona o niczym nie wie”, „naprawdę wcale jej przez to mniej nie kocham, że uprawiam seks z kimś innym”, czy „potrafię oddzielić seks od miłości”, mydli tylko oczy sobie i innym. Głęboko w środku taki monofobiczny facet doskonale wie, że to wszystko tylko po to, żeby nie mieć moralnego kaca i żeby móc nadal dobrze o sobie myśleć. Bo nikomu nie udałoby się utrzymać takiego stylu życia, gdyby uważał siebie za kompletnie zakłamanego. Facet z monofobią w żadnym razie nie uważa, że jest nie w porządku.

U mnie to się zaczęło zmieniać. Ta akcja z obrączką to było najgorsze, czego się dotąd dopuściłem. Moja monofobia, którą zawsze uważałem za przyjemne, niewinne i absolutnie dające się kontrolować odstępstwo od normy, zaczęła stawać się obsesją.

Przez ostatnie miesiące, od kiedy Carmen i ja niemal co wieczór siedzimy tylko w domu, odliczam dni, kiedy wreszcie będzie piątek. Piątkowe Wyjście Stijna. A kiedy już nadejdzie i na początek wieczoru pijemy sobie w firmie budweisera czy siedzimy w restauracji przy jedzeniu, robię się niespokojny i nie mogę się doczekać, kiedy zrobi się północ, czyli pora, kiedy w Van Zuid, Bastille, Paradiso czy Hotel Arena robi się tłoczno. Dopiero wtedy czuję się dobrze. Wyrwanie lasek staje się wręcz przymusem i przychodzi mi coraz łatwiej. Nawet Frenk, który przez całe lata wiedział o każdej mojej przygodzie, nie wie, jakie to przybrało rozmiary. Dlatego ostatnio wolę wychodzić z Ramonem. Nie dlatego, żeby nagle stał się moim najlepszym przyjacielem, ale przynajmniej przed nim

nie muszę się wstydzić.

Tranen op haar wangen, verdriet op haar gezicht, radeloze ogen, glanzend in het licht, kom hier en stop met huilen, ik kus je tranen weg, veilig in mijn armen, geloof me als ik zeg, we hebben altijd nog elkaar, toen zei ze ssssssst, en ze fluisterde door haar tranen heen, je hebt alles al gezegd.
(Łzy na jej policzkach, smutek na jej twarzy, bezradność w oczach, błyszczących w świetle, chodź tu i przestań płakać, mówię, przecież wciąż mamy siebie, a wtedy ona mówi ciiiiii, i szepcze przez łzy, wszystko już powiedziałaś.)

Tröckener Kecks, z utworu *In tranen*
(album *Met hart en ziel*, 1990)

Trzydzieści

Bąble już prawie zeszły.

Carmen ogląda się przed lustrem w sypialni. Unosi pierś, odchyła ją nieco w lewo, potem na prawo i sprawdza ją ze wszystkich stron. Leżę na łóżku i patrzę, co robi. Najgorsze oparzenia już zeszły, skóra na piersi zaczyna się odnawiać. Carmen przygląda się raz jeszcze, wkłada biustonosz, i poza tym naga, kładzie się przy mnie do łóżka. Jutro ma się zgłosić w Szpitalu św. Łukasza. Tam amputują jej pierś.

To ostatnia noc, kiedy śpię obok żony, która ma jeszcze dwie piersi. Obydwoje nie wiemy, czy chcemy o tym rozmawiać, czy już nie. W każdym razie po obu stronach brakuje potrzeby uczczenia tego dobrą porcją seksu, w ramach wieczoru pożegnalnego dla jej piersi. Carmen leży z głową na moim ramieniu. Chwilę później przerywa ciszę, wydmuchując nos. Nie mija długa chwila i czuję, jak jej łzy skapują na moje ramię, po raz nie wiadomo który, od kiedy w naszym życiu pojawił się rak. Przytulam ją jeszcze mocniej i oboje milczymy.

Bo i o czym tu mówić. Prawdziwa miłość w czasach raka^[17].

*I don't want to spread any blasphemous rumours
but I think that God has a sick sense of humour.*

(Nie chciałbym rozsiewać obrazoburczych plotek,
lecz Bóg ma chyba dosyć chore poczucie humoru.)

Depeche Mode, z utworu *Blasphemous Rumours*
(album *Some Great Reward*, 1984)

Trzydzieści jeden

Pod czujnym okiem Luny wspólnie z Maud ozdabiam salon świątecznymi girlandami.

– Jak tam było wczoraj? – pyta Maud.

– Leżała jak kupka nieszczęścia pod takim niebieskim prześcieradłem. Od czasu do czasu budziła się, najczęściej po to, żeby wymiotować. Trzymałem jej głowę i podstawiałem takie naczynie, no wiesz, jak taki wygięty pojemnik na jajka.

Maud obejmuje mnie ramionami.

– Czy ona... yyy... już widziała... jak to wygląda?

– Nie. Lekarz zasugerował, żebyśmy razem zdjęli opatrunek. To podobno pomaga w całym procesie godzenia się z sytuacją.

– Jezu... nie boisz się?

Kiwam głową, że się boję.

– Strasznie się boję, że jak to zobaczę, to się śmiertelnie przestraszę i że Carmen to zauważy.

Patrzę na Maud mokrymi oczami. Ona przytula mnie i całuje w czoło. Kładę głowę na jej ramieniu. Głaszczę mnie dłońmi po plecach.

– No już, Stijn – szepcze do mnie czule. – No już, kochany...

Po pewnej chwili biorę się w garść i całuję ją w usta. Ona wybucha śmiechem, daje mi lekkiego kuksańca w nos i ociera łzę z policzka.

– Dobra, to będę już szedł – mówię. – Będziesz mogła dać Lunie niedługo słoiczek olvaritu?

Carmen jest już ubrana. Siedzi w sali telewizyjnej w czarnych, szerokich spodniach i w golfie. Różnica między jej prawą a lewą piersią od razu rzuca mi się w oczy. Carmen widzi moje spojrzenie i mówi, że tę amputowaną stronę uzupełniła zwiniętymi rajstopami, do których wsadziła trzy pary zrolowanych skarpetek. Do czasu, kiedy będzie mogła zacząć nosić biustonosz z protezą, te zwinięte rajstopy będą rozpaczliwą próbą możliwie skutecznego zatuszowania różnicy między Cup D a Ground Zero. To domowy sposób, nie całkiem od rzeczy.

Doktor Jonkman mówi, że operacja przebiegła pomyślnie. Zaraz po zdjęciu szwów Carmen powinna zacząć nosić specjalny biustonosz z protezą. Doktor mówi, że powinna to zrobić jak najszybciej, ponieważ przy tak dużych piersiach (chyba chciał powiedzieć „piersi”) istnieje ryzyko wykrzywienia kręgosłupa. Czyli nie dość, że rak, to jeszcze

wypadnięcie dysku.

Biustonosz ma specjalną, przypinaną na rzepy torebkę, w której zostanie umieszczona proteza. Sama proteza to silikonowy worek w kolorze ciała w kształcie przeciętej w połowie kropli deszczu. Pod warunkiem że są krople deszczu w rozmiarze D. Pośrodku kropli jest mały punkcik imitujący brodawkę sutkową. W dotyku proteza jest jak balon wypełniony żelam. Kiedy Carmen dostała go do ręki, kwicząc ze śmiechu, zaczęliśmy w sypialni rzucać nim do siebie, tak jak w upalne letnie dni robi się z balonem napełnionym wodą.

Doktor Jonkman pyta, czy chcemy razem zdjąć opatrunek teraz w szpitalu. Mówię, że tak.

Zanim Carmen zdejmie biustonosz, pyta jeszcze, czy jestem pewien.

– Zdejmuj, zdejmuj – mówię uspokajająco. Ledwo mam odwagę patrzeć. Za chwilę się to stanie. Zobaczę moją żonę z jedną piersią.

Carmen rozpiną biustonosz i opuszcza ramiączka. W możliwie najmniej zauważalny sposób biorę głęboki wdech.

A więc to tak.

Wygląda to okropnie. Obok znajomej, wielkiej i jakże pięknej piersi pojawiło się płaskie miejsce zakryte wielkim opatrunkiem. Chociaż tak właśnie wyobrażałem sobie to puste miejsce, to jednak boję się patrzeć na klatkę piersiową Carmen. Duże piersi są piękne, ale kobiece ciało z jedną dużą piersią wygląda jak sadystyczny żart Stwórcy. Patrę dosyć długo, z jednej strony, żeby Carmen odniosła wrażenie, że nie boję się patrzeć, z drugiej zaś strony, bo cieszę się, że dzięki temu nie muszę jej patrzeć w oczy. Czuję, że powinienem coś powiedzieć.

– Co by tu powiedzieć, Carm...

W każdym razie na pewno nie, że wszystko w porządku, bo nie jest w porządku.

– Płasko, nie...? – mówi Carmen, patrząc w lustrze na opatrunek.

– Zgadza się. Płasko.

Stoję przy niej, kiedy odkleja plaster, którym opatrunek przytwierdzony jest do ciała. Powoli go odchyła.

To, co pojawia się pod spodem, jest brzydkie w sposób uwłaczający godności kobiety. Jest to największe okaleczenie, jakie kiedykolwiek widziałem na żywo. Przez klatkę piersiową Carmen biegnie poziomo wielkie cięcie długości może dziesięciu, dwunastu centymetrów. Przy szwach skóra jest nierówno ściągnięta, przez co w niektórych miejscach powstają fałdy, wyglądające jak pierwszy dziecięcy haft wykonany na zajęciach w przedszkolu.

– Te fałdy znikną, kiedy zrobi się blizna – mówi Carmen, jakby czytała mi w myślach.

– ...

– Brzydkie, co, Stijn?

Nie ma innego wyjścia, muszę być szczery. Gorączkowo szukam innego, mniej bolesnego, ale szczerzego określenia.

– No... nie jest... ładne...

– To prawda, nie jest ładne. Wygląda fatalnie – mówi, wciąż patrząc na swoją byłą

pierś.

Potem patrzy na mnie. Po jej spojrzeniu widzę, że czuje się do głębi upokorzona. Upokorzona przez raka. Boże, jakie to strasznie. Kto chce być piękny, musi cierpieć ból. Kto chce żyć, ten najwyraźniej musi być brzydki.

Takie są prawa raka.

*So here it is merry X-mas,
everybody's havin' fun.*
(I właśnie nadeszły bożonarodzeniowe święta,
wszyscy się cieszą.)

Slade, z utworu *Merry X-mas Everybody*
(album *The X-mas Party Album*, 1973)

Trzydzieści dwa

Po godzinie oglądania z Luną wideo z Teletubisiami mam już dosyć. Zanim się człowiek obejrzy, sam zaczyna gadać jak Tinky Winky.

Jest pierwszy dzień świąt, wpół do jedenastej. Zaglądam do sypialni. Carmen śpi jeszcze głębokim snem.

– Luna, pójdziemy się razem wykąpać?

– Taaaaaak!

Bawimy się Tygrysiem i Kubusiem i moją nogą jako zjeżdżalnią tak długo, aż woda robi się całkiem chłodna. Wycieram Lunę i siebie i wkładam jej odświętną sukienkę.

Nie przywiązuję wielkiej wagi do Bożego Narodzenia, ale dzisiaj mam ochotę, żeby było świątecznie. Postanowiłem, że skoro już nie możemy używać życia poza czterema ścianami naszego domu, to róbmy to przynajmniej w środku. Kupiłem dla Carmen dwie buteleczki olejku do kąpieli doktora Kneippa. W jednej jest melisa („uspokaja ducha i ciało”), a w drugiej pomarańcza i kwiat lipy („zapewnia całkowite odprężenie”). Od Luny Carmen dostanie nową płytę Madonny. Splatam jasne włoski Luny w dwa warkoczyki, dołączając do nich gumki recepturki z przywieszonymi małymi bombkami, które kupiliśmy w tym tygodniu. Luna jest zachwycona.

Kiedy znowu zaglądam do sypialni, widzę ku swemu zadowoleniu, że Carmen nie ma już w łóżku.

– Chodź, zejdziemy na dół, do mamy! – mówię z entuzjazmem do Luny.

– Hulllaaa. Do mami, do mami!

– Trzymasz mocno prezent dla mamy?

– Tsymam – zapewnia Luna.

– I pamiętasz, co masz powiedzieć, jak będziesz go dawała?

– Wesoly świo?

– Mniej więcej – mówię, uśmiechając się z rozczeniem.

Na dole Carmen siedzi w swojej długiej szarej podomce przy stole i czyta gazetę. Nie ma na głowie peruki, widzę też, że nie założyła biustonosza z protezą.

Przed nią stoi kubeczek z deserem śniadaniowym.

– Ty już jesz? – pytam zdumiony.

– Tak, zgłodniałam – mówi Carmen, niczego nie podejrzewając. – Coś nie tak? – pyta po krótkiej chwili, wkładając do ust kolejną łyżkę deseru.

– No, jakby święta... – mówię zbity z tropu.

Luna dumnie wyciąga przed siebie rączki, żeby wręczyć mamie zapakowaną w ozdobny papier płytę i swój własnoręczny rysunek. Ja trzymam te dwie buteleczki. Są zapakowane w złoty papier i przewiązane czerwoną wstążeczką.

W oczach Carmen widać przestach.

– O, Boże... A ja zupełnie nic dla was nie kupiłam...

– To nie ma znaczenia – kłamię czule.

Luna pomaga mi rozpakować płytę. Siadam przy stole i rozglądam się. W pokoju burdel na kółkach. Wszędzie poniewierają się płyty CD i kolorowe magazyny „Bij” i „Flair”, jest też jakaś gazeta i terminarz wizyt w Szpitalu św. Łukasza. Na stole leży połówka pokrojonego razowego chleba z wczoraj i dwa plastikowe opakowania wędliny. Stoi też napoczęty karton mleka i słoik masła orzechowego. Biorę kromkę chleba i idę do lodówki po masło, smaruję chleb i kładę na wierzch plaster mielonego kotleta. Carmen rozpakowuje prezent ode mnie, a jednocześnie patrzy, co robię. Dopiero wtedy dostrzega to, co ja zobaczyłem.

– Pewnie powinnam zrobić jakieś świąteczne śniadanie, co? – pyta zawstydzona.

Nie mam co zaprzeczać, bo i tak zdradziłyby mnie łyzy.

– No... – mamroczę rozczerowany, z ustami pełnymi czerstwego chleba i mielonego kotleta – ...pewnie byłoby miło, jasne...

– Boże, a niech to... że też nie pomyślałam... Jezu... – mamrocze teraz ona, kompletnie zmieszana. – Tak cię przepraszam, Stijn...

Robi mi się jej żal, biorę ją za rękę i mówię, że nie ma sprawy. Obejmujemy się i pocieszamy nawzajem, a Luna patrzy na nas wesoło.

– Mam pomysł – mówię. – Zadzwoń do Frenka i zapytam, czy nie miałby ochoty dzisiaj do nas wpaść. Pojadę po niego i zajedziemy razem do jakiegoś sklepu, żeby kupić smakołyki. Coś powinno być otwarte. A potem przyjadę z nim tutaj i zaczniemy po prostu od nowa.

Frenk całuje mnie trzy razy w oba policzki, kiedy wchodzę do jego penthouse’u.

– Wesółych świąt, przyjacielu! – mówi wesoło.

– Dzięki i nawzajem – odpowiadam zgaszony.

Frenk patrzy na mnie badawczo.

– Nie jest dobrze, tak?

Ze spuszczoną głową potwierdzam. Wypłakuję mu się w ramię.

W samochodzie nastawiam *Right Here, Right Now* Fat Boy Slima, podkęczając potencjometr na 18. W sklepie przy Rijnstraat kupujemy wszystko, co uznajemy za smakołyki. W kwaciarni na rogu kupuję bukiet róż. Mając pełne ręce jedzenia, picia i kwiatów, ze śpiewem na ustach wparowujemy do salonu.

Carmen ma na sobie czarne spodnie i biały sweterek, w którym moim zdaniem najbardziej jej do twarzy. Jest umalowana i ma perukę. Podchodzi do mnie i obejmuje.

– Wesółych świąt, skarbie – mówi promiennie. – A wieczorem zrobię ci taką laskę, jakiej nikt jeszcze nikomu nie zrobił w pierwszy dzień świąt – dodaje szeptem.

They say two thousand zero zero party over, oops.
(Powiadają, że w dwutysięcznym zabawa się skończy, ups.)

Prince, z utworu *1999*
(album *1999*, 1982)

Trzydzieści trzy

Świętujemy nowe tysiąclecie w Maarssen. Thomas i Anne zorganizowali zabawę. Strasznie nie mam ochoty tam iść. Od czasu wypadu do Miami Thomas ani razu do mnie nie zadzwonił, a Anne prosi Carmen do telefonu, ledwie usłyszy mój głos w słuchawce. Na szczęście mają też być Maud i Frenk i kilkoro naszych przyjaciół jeszcze z Bredy.

Kiedy wybija północ, ogarnia mnie i Carmen wzruszenie. Przez długie minuty trzymamy się w objęciach. Nie mamy pojęcia, czego sobie życzyć. Potem podchodzę do Frenka i obejmuję go serdecznie. Życzy mi, żeby nowy rok był lepszy od poprzedniego. Maud całuje mnie w usta i gładzi po policzku.

– Bardzo byłam z ciebie dumna w tym roku, wiesz? – mówi szeptem.

Po chwili podchodzi do mnie Thomas. Klepie mnie po ramieniu, życzy szczęśliwego nowego roku i pyta, jak tam u nas. Patrę na niego badawczo. Czyżby naprawdę nie wiedział? Czy może nie chce tego wiedzieć? Waham się przez chwilę. Mam udawać przed nim, że wszystko jest cacy, czy raczej powiedzieć mu, że w domu jest całkiem do dupy i rzucić mu prosto w twarz, że jest mi przykro, że od Miami do mnie nie zadzwonił? W końcu znamy się już trzydzieści lat. Chyba mam prawo jasno powiedzieć mu, co czuję.

– Nie zawsze wszystko gra, Thomas – zaczynam.

– Jasna sprawa. Jak to w życiu, nie? Fajne mieliście święta?

Podejmuję kolejną próbę.

– Niespecjalnie. Strasznie nas zdołowały. Okazuje się, że są nawet bardziej symboliczne, niż mi się wydawało i...

– No i jeszcze te wszystkie dodatkowe obowiązki – przerywa mi szybko. – U nas też to samo: pierwszy dzień świąt u rodziców Anne, drugi u moich. Zawsze mówię, że to narodowe święto rozpieszczania rodzinki, ha ha ha.

– Wiesz, właściwie to miałem na myśli co innego – mówię, żeby spróbować od drugiej strony. – Słuchaj, wiem od Frenka, że nie bardzo ci się podobało, że pojechałem z nimi do Miami, chociaż Carmen ma raka.

Widzę przestach w jego oczach. Rozgląda się nerwowo.

– Yyy... no, wiesz... o, szlag, muszę... muszę... wyjąć w tej chwili kulki mięsne z oleju, bo inaczej zrobią się czarne jak Zwanko Kanu^[18] i nikt nie będzie ich chciał jeść, ha ha ha. Sorry na chwilę. Zaraz... yyy... wracam...

I już go nie ma. Patrę za nim i omal nie zgniatam w rękę kieliszka z szampanem. To nie jest tak, że moja żona ma grypę, co do której wiadomo, że za tydzień przejdzie i wszystko będzie znowu dobrze, ona ma raka, fiucie! Raka. Jest śmiertelnie chora, łysa, z

uciętym cyckiem, przerażona, że może wykitować. To jak ci się wydaje, że jak może być u nas w domu, szmaciarzu?

Thomas roznosi mięsne kuleczki. Częstuję się jedną, biorę ze stołu butelkę szampana i uciekam na dwór. Z całej siły rzucam mięsną kulą w ogrodzenie. Przez okno widzę, jak Thomas z uśmiechem na twarzy obchodzi wszystkich z miską kulek. Siadam na drewnianej ławeczce. Gapiąc się na ostatnie sztuczne ognie, rozmyślam na temat minionego roku.

– Kochasz mnie jeszcze? – spytała Carmen wieczorem pierwszego dnia świąt, kiedy dostałem już od niej bożonarodzeniowy prezent.

– Oczywiście, że cię kocham, skarbie – odpowiedziałem z uśmiechem.

Kłamałem.

Prawda jest taka, że kompletnie nie wiem tak do końca, czy ją jeszcze kocham. To prawda, przejmuję się, kiedy widzę, jak Carmen płacze, kiedy jest chora, coś ją boli albo jest czymś przestraszona. Ale czy na tym polega „kochanie kogoś”? Czy też może to tylko współczucie? Nie, absolutnie nie chcę jej zostawić na łasce losu. Ale czy to jest miłość? Czy raczej poczucie godności?

A zresztą, nie moglibyśmy się rozstać, nawet gdybyśmy chcieli. Carmen chce widzieć przy sobie tylko mnie i nikogo innego, kiedy znowu źle się będzie czuła. Nikt mnie tak nie rozumie, jak ty, powtarza.

Słyszę, jak w środku Prince śpiewa, że „party is over”. Dobra, pieprzyć to, mamroczę do siebie pod nosem. Przez całe życie postępowałem zgodnie z maksymą Stijna: jak coś mi w życiu nie pasuje, to to zmieniam. Czy to pracę, czy to związek, wszystko. Teraz, na starcie w nowe tysiąclecie, po raz pierwszy w życiu jestem głęboko nieszczęśliwy. I kompletnie nie mogę nic w tym zmienić.

Szczęśliwego nowego roku, Stijn.

Ik voel me keigoed, ik voel me keigoed, de wereld is te gek en ik oké, dus praat niet langer over honger, kanker en geweld, zet een hoedje op en zing maar mee, ik voel me keigoed, ik voel me keigoed.

(Czuję się czadowo, czuję się czadowo, świat jest zwariowany, ja jestem okej, więc nie ma co gadać o głodzie, raku i przemocy, włóż kapelusz na głowę i śpiewaj wraz ze mną, czuję się czadowo, czuję się czadowo.)

Hans Teeuwen, z programu *Hard en Zielig* (1995)

Trzydzieści cztery

Rany, Carmen, to niewiarygodne, jak ty sobie z tym wszystkim radzisz – słyszę, jak Maud mówi do Carmen, kiedy wchodzi do pokoju. – Wszystko sama robisz, jesteś taka aktywna i jeszcze normalnie chodzisz do pracy...

Thomas przytakuje, kiwając głową.

– Ach, wiadomo, że można się poddać i zwiesić głowę, ale to przecież nie jest żadne rozwiązanie – mówi w odpowiedzi Carmen coś, co ludzie lubią słyszeć. – W zasadzie nie mam już żadnych obowiązków jak na razie.

Dzisiaj pojawiła się w świecie żywych dopiero o wpół do pierwszej.

– Jesteś tak pozytywnie nastawiona do wszystkiego, to urocze, naprawdę – mówi Thomas. Frenk patrzy na mnie i puszcza do mnie oko, a Carmen przegina jeszcze bardziej i mówi:

– Zresztą, jak można inaczej? Im bardziej człowiek jest pozytywny, tym mu łatwiej. Jeszcze trochę i zaczniesz spacerować po rozżarzonych węglach.

Tyle że chyba już nie dzisiaj wieczór. Widzę, że jest wykończona tym długim siedzeniem.

– Słuchaj, skarbie, czy nie powinniśmy się już powoli zbierać? – pytam.

Carmen jest bardzo zadowolona, że nie musiała sama tego proponować.

Luna śpi po prostu dalej, kiedy wyjmuję ją z łóżeczka i niosę do samochodu. Frenk pomaga mi nieść rzeczy.

– Trzymaj się, chłopie – mówi mi szeptem. – Ona cię potrzebuje.

– Czemu, do cholery, jak rozmawiasz z ludźmi, to udajesz, że nic się nie dzieje? – mówię wkurzony, kiedy tylko skręcamy za róg. – Jestem pewien, że teraz wszyscy tam z podziwem rozmawiają o tobie. Że jesteś taka pozytywnie nastawiona, że nigdy się nie skarżysz. Niby wiesz, co robisz, ale to są przecież nasi przyjaciele, nie? Mają prawo wiedzieć, że przez trzy czwarte dnia jest z tobą bardzo źle!

Carmen nic nie mówi. Właśnie szykuję się do kontynuowania wywodu, kiedy pęka tama. Carmen zaczyna nagle histerycznie płakać i walić rękami w deskę rozdzielczą. Przestraszyłem się nie na żarty, skręcam szybko na stację Shella, do której właśnie dojeżdżamy, i zatrzymuję samochód na pustym parkingu. Próbuję ją objąć, ale mnie

odpycha. Patrę na Lunę, która – o dziwo – spokojnie śpi dalej.

– Ale kiedy ja wcale nie chcę, żeby ludzie myśleli, że u mnie wszystko świetnie! Bo ze mną wcale nie jest dobrze! Czuję się do dupy! Zwyczajnie i po prostu do dupy! Czy oni tego nie widzą? Jestem łysa, ucieli mi, kurwa, cycka i... i... i tak się boję, że już nigdy nie będzie dobrze... i że mnie będzie bolało... i że wreszcie zdechnę...! Ja nie chcę, kurwa, umierać! No chyba nietrudno to zrozumieć?

Szłocha niepowstrzymanie.

– Już dobrze, kochanie, już dobrze – mówię czule. W końcu pozwala się objąć i przytulić.

– Ja już sama nie wiem, Stijn – chlipie. – To co, mam tylko chodzić i narzekać? Ale jak to będzie wyglądało... Wtedy to już pies z kulawą nogą nie zapyta, jak się czuję, bo każdy będzie sobie myślał: O, to znowu ta maruda.

– Carm, przecież to żaden wstyd, że czasami masz nie najlepsze samopoczucie. Nie możesz oczekiwać wsparcia od innych, jeśli nie będą wiedzieli, co naprawdę się w tobie dzieje i co tak naprawdę czujesz.

– Hm... Może tak właściwie w ogóle powinnam być bardziej szczerą wobec ludzi...? – Patrzy na mnie. – Tak chyba byłoby lepiej, co?

Kiwam głową, że tak. Przysuwa się do mnie i kładzie mi głowę na ramieniu.

– Nie miałam ci odwagi dotąd powiedzieć – mówi po jakimś czasie – ale... yyy... zastanawiam się też, czy nie przestać pracować w Advertising Brokers.

– Bardzo słuszna decyzja – mówię bez chwili wahania.

Carmen aż się prostuje w fotelu i patrzy na mnie zdumiona.

– Tak jest. Dawno już powinnaś to zrobić. To twoja firma. Jak się lepiej poczujesz, zawsze możesz zacząć znowu.

Carmen gapi się na deskę rozdzielczą. Widzę, że coś rozważa.

– No tak – mówi nagle energicznym głosem – zacznę chodzić na fitness... i... będę zostawiała Lunę na jeden dodatkowy dzień w domu... i będę chodziła na zakupy, i będę czytać... no i w ogóle zacznę myśleć o sobie. – Jeszcze raz wali dłonią w deskę rozdzielczą. – Tak jest! Kończę z robotą. A co mi tam!

Uśmiecham się zadowolony.

I tak właśnie doszło do tego, że w pierwszym dniu nowego tysiąclecia Carmen (lat 35) przestała pracować.

Część II
STIJN & CARMEN I STIJN & ROOS

*Był karnawał, i miłość tak wrzała i władała miastem,
jakby agenci jakiegoś olbrzymiego sprzysiężenia,
które omotało wszystkie klasy społeczne,
podburzali i niepokoili dusze.*

Sándor Márai *Żar*
(1942, przeł. Fryderyk Nietsch)

Jeden

Ulice Bredy są zatłoczone pijanymi żabami, roześmianymi wieśniakami, śpiewającymi pastorami, tłumem lubieżnych kurczaków, napalonych elfów i najróżniejszych innych postaci, jakich nie spotyka się w Amsterdamie. Razem z Maud wyemigrowaliśmy tutaj na trzy dni. Carmen, Frenk i Ramon nie przyjechali. Carmen nie lubi karnawału (skłamałbym, gdybym powiedział, że to mi przeszkadza), Frenk ma styl, a Ramon pochodzi z Chile. Czy Thomas w tym roku się pojawi, nic mnie nie obchodzi.

Maud i ja mamy bardzo wielką ochotę na zabawę. W drodze na południe puszczaliśmy sobie płytę z kawałkami programów komika Huuba Hangopa, zatytułowaną *Najgorsze momenty z Huuba Hangopa*. Dałem sobie do zrobienia superstylowy tygrysi garnitur, mam czarną riuszkową koszulę i spryskałem włosy srebrnym sprayem. Maud jest przebrana za pielęgniarkę i ma taką spódniczkę, jakiej nigdy nie widziałem u żadnej pielęgniarki w Szpitalu św. Łukasza. Przebieramy się w hotelu Van Ham i szybko idziemy do De Bommel.

De Bommel to najlepszy lokal w granicach naszego państwa. „Bommeln” mówi się w Bredzie na chodzenie, wazon to w Bredzie „bommel”. De Bommel cieszy się w Bredzie większym uznaniem niż środkowy napastnik klubu piłkarskiego NAC. I oni o tym wiedzą. „Dajcie nam, na Boga, spokój” było wydrukowane na karteczce, którą dostałem któregoś wieczoru, kiedy panował tam wyjątkowy tłok, a ja śmiałem zawracać barmanowi głowę czymś bardziej trywialnym niż zamówienie. W czasie karnawału tutaj właśnie przychodzi każdy szanujący się (eks)mieszkaniec Bredy, żeby zobaczyć i zostać zobaczonym. Publika jest w czasie tych dni fajniejsza i bardziej żądna zabawy niż w jakimkolwiek lokalu w Amsterdamie. I to jest właśnie Brabancja: tutaj ludzie są prawdziwi.

Roos też mieszka w Amsterdamie. Przynajmniej zawsze mi tak mówiła. Niestety, jakoś nigdy nie udało mi się tam na nią natknąć. Widuję ją tylko w czasie karnawału. Każdego roku znowu na trzy dni się w niej zakochuję. I każdego roku ona ze śmiechem daje mi kosza. Nie mam pojęcia dlaczego.

Roos też jest w tym roku. I znowu ma ten swój kapelusik. Szaroniebieski żołnierski kapelusik. Mniej więcej taki, jaki mają figurki sierzantów w wojennej grze planszowej Stratego. Tyle że u niej wygląda to znacznie bardziej sexy. W zeszłym roku, jak byłem porządnie nawalony, to się nie mogłem o nim nagadać. Że od czasu *Nieznośnej lekkości bytu* nie widziałem takiego seksownego kapelusika. Ale też na nic się to zdało.

W tym roku jestem w takim odlotowym stroju, że moim zdaniem powinno się udać.

Trzeba korzystać z okazji, póki się da.

– Cześć, Roos – *te blond włosy...*

– Yyy... – *te błękitne oczy* – ... yyy... Stijn, tak? – *te rzęsy...*

– Tak jest – *te namiętne wargi...*

– Stijn z Amsterdamu... – *widzę, że gapi się na mój strój, czyli że zadziało* – ...który był żonaty. – Roos łapie mnie za rękę i pokazuje obrączkę. – Poprawka. Który jest żonaty.

No tak. To po sprawie. Ona ma zasady. Nienawidzę zasad^[19].

– No i? – pyta, żeby się ze mną podrażnić. – Dzisiaj wieczorem też będziesz próbował mnie podrywać?

– Nie, skąd, wiem, że nie kręcą cię obrączki. Wiesz co, zaproszę cię na drinka w Amsterdamie. Taki jestem towarzyski. – Demonstracyjnie chowam ręce za plecami. – I na sto procent będzie absolutnie platonicznie.

Roos wybucha śmiechem.

Dobra nasza!

Wyjmuję wizytówkę z mojej tygrysiej marynarki, piszę na niej „*Doskonały, żeby wyjść z nim na platonicznego drinka*” i wręczam jej.

Uśmiechając się dumnie, że jestem taki luzak, wracam do Maud. Ona akurat całuje się namiętnie z jakimś wielkim misiem w koszulce z emblematem NAC. Kiedy skończyła obdukcję jego języka, widzę jego twarz.

A więc Thomas też jest.

*Ich bin so geil, Ich bin so toll,
Ich bin der Anton aus Tirol.*
(Ja jestem super, najlepszy w polu,
to ja, nikt inny, Anton z Tyrolu.)

DJ Ötzi, z utworu *Anton aus Tirol*
(album *Das Album*, 1999)

Dwa

Karnawałowe szaleństwo jest tak porywające, że przed wyjazdem zawsze się boję tej załamki po zakończeniu, którą właśnie mam. Leżę samotnie w hotelowym pokoju. Łóżko Maud jest nietknięte. Z trudem tylko udaje mi się powstrzymać, żeby nie wysłać Anne esemesa, że jeśli szuka swojego męża, to najlepiej będzie, jak zadzwoni na komórkę Maud. Z najlepszymi pozdrowieniami od Stijna.

Wstaję i gapię się przez okno. Na ulicy pełno pozostałości po wczorajszej paradzie. W bramie leży zalany w trupa klaun i widzę, jak mija go żyrafa, obejmująca wydymaną pewnie przed chwilą czarownicę.

Karnawałowy wtorek w Bredzie to taka *twilight zone*: oficjalnie karnawał jeszcze trwa, ale miasto zaczyna już wykazywać symptomy zespołu odstawieniowego. Dzisiaj bawią się już tylko ci, którzy za nic nie mają jeszcze dosyć oraz ci, którzy mają ochotę pobyć jeszcze trochę z dala od domu. Normalnie podpadam pod tę pierwszą kategorię, w tym roku pod obydwie. Nie chcę wracać do codzienności. Chcę tu zostać. Dzwonię do Carmen.

– Cześć, skarbie!

– O, cześć!

– I co tam u ciebie?

– Całkiem dobrze. – W jej tonie nie słyhać nic nieprzyjemnego.

– A jak tam mała?

– Wszystko w porządku. Ostatnio bardzo dobrze śpi. A jak tam było w Bredzie?

– Znakomicie. Znowu było odlotowo w tym roku.

– To fajnie, że się dobrze bawiłeś! O której będziesz w domu?

– Yyy... tak sobie pomyślałem, że może bym tu został jeszcze z jeden dzień. Do pracy i tak idę dopiero we środę. Myślisz, że to dobry pomysł?

– ...

– Carmen?

– *Tuuuttuuuttuuut...*

Wzdycham ciężko. Odroczenie egzekucji. Ale jutro będzie gorzej niż w dzień po finałach z 1974 roku.

*I'm so excited, I'm about to lose control,
and I think I like it.*
(Jestem taka przejęta, prawie wychodzę z siebie
i chyba mi się to podoba.)

The Pointer Sisters, z utworu *So Excited*
(album *So Excited*, 1982)

Trzy

Dzisiaj rano zobaczyłem się jeszcze z Maud, kiedy przyszła po swoje rzeczy.

– No i? – spytałem złośliwie. – Thomas jeszcze nie zapomniał wszystkiego?

Maud wzruszyła ramionami.

– Błagał mnie na wszystkie świętości, żebym ci tylko nie wspominała, że z nim
byłam – powiedziała.

Niesmak w jej głosie dobrze mi zrobił. Powiedziałem, że właśnie uszczęśliwiłem
Carmen moją decyzją, że zostanę tu jeszcze na jeden dzień.

– Czym to się człowiek nie zajmuje – zaśmiała się Maud, kręcąc głową i wyszła do
pociągu jadącego do Amsterdamu.

Godzinę później stałem sam jak palec w De Bommel. W środku było trzech facetów
i ktoś z głową żyrafy. Dopiero pod wieczór lokal wypełnił się może do połowy. Z nudów
lizałem się namiętnie z dziewczyną mającą wielki nos czarownicy. Chociaż wcale nie była
za czarownicę przebrana.

Teraz jest środa. Znajduję się w opustoszałej sali jadalnej hotelu, gdzie sprzątacze
i stolarze zajęci są usuwaniem ostatnich pozostałości karnawału. Zaraz będę jechał
samiuteńki do Amsterdamu, żeby wieczorem pokazać się na oczy Carmen.
Zaesemesowałem do niej, że posiedzę jeszcze trochę w pracy i koło szóstej będę w domu.
Nie odpisała.

W Amsterdamie idę wprost do firmy. Właśnie trwa lunch. Wparowuję do środka i
zaczynam opowiadać o karnawale, oczywiście tylko to, co się nadaje do opowiedzenia.
Potem siadam do komputera i otwieram pocztę. Holland Casino, firma telekomunikacyjna
KPN, Centerparcs, jakieś tam bzdury i jeden mejl od kogoś, kogo nie znam:
roseanneverschueren@hotmail.com. Otwieram go i na mojej twarzy pojawia się uśmiech.
Roseanneverschueren to Roos!

Nadawca: roseanneverschueren@hotmail.com

Data: środa, 8 marca 2000, 11.47

Adresat: stijnt@creativeandstrategicmarketingagencymerkinuitvoering.nl

Temat: Wyspany?

Cześć, tygrysku, właśnie znalazłam twoją wizytówkę...

Siedzę i trzęsę się cała przy czwartej filiżance kawy i osiemdziesiątym papierosie
w otoczeniu narzekających i o wiele za poważnych ludzi. Marzy mi się, żeby wrócić na
południe! A ty? Miałeś fart? Znalazłeś jeszcze jakieś dziewczyny, które chciały się z tobą

całować?

Pozdrowionka, Roos

PS: Chyba chciałeś się wybrać na jakiegoś platonicznego drinka? No to do dzieła. Możesz ewent. w piątek?

Yes, yes, yes! Cel został skutecznie trafiony! Mój dzień jest uratowany! Czytam mejla trzy razy i starannie formułuję odpowiedź. Żadnego zbędnego zapału. Potwierdzić spotkanie bez większych nalegań i zdradzania zbyt dużych oczekiwań. Męczę się z tym mejlem prawie godzinę, zanim uznaję, że osiągnąłem właściwą równowagę pomiędzy nonszalancją a entuzjazmem, platoniczną radością i niewinnym oczekiwaniem. Czytam raz jeszcze, specjalnie robię literówkę, żeby wyglądał na pisany w pośpiechu i naciskam „wyślij”.

Nadawca: stijn@creativeandstrategicmarketingagencymerkinuitvoering.nl

Data: środa, 8 marca, 2000, 15.26

Adresat: roseanneverschueren@hotmail.com

Temat: RE: wyspany?

Piątek jest OK!

Pozdrowionka, Stijn

A potem wlokę się nogą za nogą do domu.

Luna jest dla mnie miła. Carmen nie. Na razie nie będę jej nawet wspominał o moich planach, żeby w piątek znowu wyjść.

*I'm driving in my car, I'm pullin you close, you just say no,
you say you don't like it, but girl I know you're a liar,
'cause when we kiss... fire.*

(Prowadzę wóz, przyciągam cię do siebie, ty mówisz nie,
mówisz, że tego nie chcesz, ale dziewczyno ja wiem,
że kłamiesz, bo kiedy się całujemy... ogień.)

Bruce Springsteen, z utworu *Fire*
(1978, z albumu *Live 1975–1985*, 1986)

Cztery

To widzimy się wieczorem, zaraz po kolacji. Dzisiaj jest w Amsterdamie mój kuzyn z Bredy, wyskoczę z nim najpierw na piwko – mówię możliwie obojętnym tonem do Frenka w czasie lunchu. – Pchnę esemesa, żeby się dowiedzieć, dokąd poszliście. O której jesteście umówieni z Hakanem i Ramonem?

– O siódmej w Club Inez – mówi Frenk.

Club Inez. Jedzenie tutaj jest do tego stopnia trendy, że w każdym daniu na karcie jest co najmniej jeden składnik, o którym w życiu nie słyszałem. Na szczęście przeważnie jestem tu z Frenkiem.

Wysyłam Roos mejla i pytam, czy miałyby dzisiaj ochotę wpaść obejrzeć nasze biuro, a potem wyskoczyć ze mną do Vak Zuid. I żeby zadzwoniła, gdyby miała być wcześniej. Głupio by mi było, gdyby zjawiała się nagle pod drzwiami biura o wpół do szóstej, a ja, czerwony jak burak, musiałbym wyjaśniać wszystkim, kim jest ta pani.

Wszystko idzie jak z płatka. Jest za piętnaście szósta i wszyscy już poszli do domu. Frenk też mówi, że zaraz idzie. Potem dzwoni Roos, że przyjdzie pół godziny później. Wszystko pięknie ładnie, tyle że akurat byłem w kiblu i Frenk odebrał telefon na moją komórkę.

Frenk śmieje się, kręcąc głową, kiedy wkłada kurtkę.

– To miłego wieczoru z kuzynem... – mówi wychodząc.

Trochę czasu mija, zanim przestaję być czerwony na twarzy. Puszczam głośno płytę Daft Punk i wyjmuję budweisera z lodówki. Jestem bardzo ciekaw, jak ona wygląda bez stroju karnawałowego. Nie wyobrażam sobie, żebym miał się rozczarować.

I słusznie. Rozlega się dzwonek, idę do szklanych drzwi i oto na progu biura stoi ona: Blond Bogini z Bredy. Ma długi czarny płaszcz i czarną czapeczkę na długich blond włosach. Uśmiecha się. Otwieram drzwi szeroko i też się uśmiecham.

– Dzień dobry pani.

– Dzień dobry panu.

Najbardziej platonicznie, jak potrafię, całuję ją trzy razy w oba policzki. Podaję jej piwo, oprowadzam po naszym biurze i jak najbardziej nonszalancko opowiadam o firmie. Bawi ją to. To doskonale.

W Vak Zuid jest tłoczno. Jeśli uznam, że Roos nie da się zaciągnąć do łóżka,

postanawiam dołączyć do Frenka i pozostałych gdzieś koło dziewiątej.

Vak Zuid. Hm, cóż. Ponieważ knajpa znajduje się dokładnie naprzeciwko naszego biura na Olympisch Stadion, z geograficznej konieczności została naszym stałym lokalem. W zasadzie to lokal dla korpuldków. Co piątek o piątej po południu zapełnia się facetami w koszulach w paski i laskami w damskich garniturach. Za pierwszym razem wydało mi się to okropne. Do chwili, kiedy się przekonałem, że laski w damskich garniturach po pięciu breezerach są tak samo napalone jak każda przeciętna blondyna z zakładu kosmetycznego z paskiem firmy Moschino w Bastille. Od tego czasu całkiem mi się tam podoba.

Takie wrażenie zaczynam mieć bardzo szybko. To znaczy Roos jak najbardziej dałaby się zaciągnąć do łóżka, ale nie mnie z obrączką. Mówię jej, że zaczynam mieć poważne obawy, że będę musiał przenieść jej imię z segregatora „do zrobienia” do segregatora z nalepką „platonicznie”.

– Jesteś zupełnie jak młody psiak – śmieje się Roos.

– Młody psiak?

– No tak: skory do zabawy, skacze na każdego i wszystko chce polizać...

– Coś mi się wydaje, że lubisz takie młode psiaki – mówię, patrząc jej głęboko w oczy. Rumieni się. Jeszcze może być moja!

– No, może... ale zaobrączkowane młode psiaki to już trochę gorzej.

Przelatuje mi przez głowę, że trzeba się będzie zaraz zmyć do swoich. Co tu po mnie? Powiem jej po prostu, że za pół godziny muszę być w domu. Tak, tak jej powiem.

– Słuchaj, Roos...

– Tak?

Ach, te włosy. Te oczy. Te boskie zęby.

– Może pójdziemy gdzieś coś przekąsić?

Idziemy do De Knijp przy ulicy Van Baerlestraat. Tam chodzą wyłącznie osoby udające się do budynku Concertgebouw albo stamtąd wracające i nie ma obawy, żebym kogokolwiek tam znał. Zamawiamy po befsztyku z frytkami. Roos opowiada o swoim ostatnim związku z jakimś chłopakiem z Fryzji. Mówi, że ma nadzieję, że jakoś im się znowu ułoży.

– A ty? Opowiedz coś o swojej żonie.

Sam się o to prosiłeś.

– Jesteś gotowa usłyszeć szczerą opowieść?

– No, pod warunkiem że nie będzie to opowieść z cyklu „moja żona mnie nie rozumie”.

– Nie, nic z tych rzeczy – mówię trochę wkurzony. Zaczynam opowiadać. O raku. O chemioterapii. O strachu. O amputacji piersi. I o naszym związku.

Roos słucha i w pewnym momencie kładzie dłoń na mojej.

Kiedy wychodzimy, widzę na wyświetlaczu wiadomość od Ramona.

„I co, już się bzykasz, napalony pawianie? Idziemy teraz do klubu NL. Będziesz?”

Odpisuję, że nie dam rady, chociaż zdaję sobie sprawę, że bardziej prawdopodobne jest, że Zinedine Zidane podpisze kontrakt z Ajaksem, niż że uda mi się dzisiaj przespać z Roos.

Gadamy sobie dalej przy stoliku w małej sali na górze. Roos kładzie rękę na moim kolanie. Zupełnie naturalnie, tak jakbyśmy się znali od lat. Ja kładę swoją na jej kolanie i robię wszystko, żeby ten gest nie wyglądał na ordynarną próbę podrywu.

Niektórzy ciągle jeszcze nie wierzą, że człowiek postawił stopę na Księżycu. Ja mam to samo z Paradiso. Konsekwentnie nie kupuję plotek, że Stonesi, Prince a nawet mój ulubiony Springsteen występowali tu dla żartu po koncercie na stadionie Feyenoordu „De Kuip” i każdego, kto twierdzi, że był na takim improwizowanym koncercie podejrzewam, że Paradiso mu zapłaciło, żeby roznosił takie fake’i. Albo że chce się ze mną podroczyć, bo jestem szczęśliwy, jak uda mi się załatwić bilety na popowy zespół De Dijk.

– Zatańczymy? – pytam.

Schodzimy na dół, na parkiet. Więcej gadamy, niż tańczymy. Bardzo szybko już tylko stoimy z boku i gadamy. Gadamy i gadamy. O tym i owym. Ale nasze oczy już od dłuższego czasu nie biorą udziału w rozmowie. One płoną pożądaniem. Tego się już nie da zatrzymać. To silniejsze od nas. W połowie zdania przyciskam Roos do ściany i zaczynam całować. Jej ciało wiotczeje. Roos poddaje się. I tak właśnie po tym, zaczęło się owo^[20]. Całujemy się. I całujemy. Przez całe minuty. Potem spoglądam na nią i wzruszam ramionami, żeby dać jej do zrozumienia, że nie wiem, co się dzieje. Roos kręci głową. Ona też nie wie. Znowu zaczynamy się całować. Potem wychodzimy.

Roos mieszka przy Eerste Helmersstraat w dzielnicy Oud-West. Parkuję na wolnym miejscu, odsuwam zamek błyskawiczny jej spodni i wsuwam jej dłoń w rozporek. Czuję, że jest tam mokra. Nagle zabiera moją rękę. Patrzy na mnie wzrokiem półprzytomnym z pożądania, ale mówi:

– Nie możemy.

Kładę jej dłoń na swoim kroczu. Mój kutas o mało nie wyskoczy ze spodni. Roos śmieje się i zabiera rękę. Wzdycham głęboko. Nawet nie mielibyśmy szansy tego zrobić. Jest już dziesięć po czwartej. Nigdy nie wracam do domu później niż piętnaście po. Carmen wie, że wszystkie lokale, w których bywam, zamykają o czwartej.

Całuję Roos raz jeszcze, ona wysiada, patrzę za nią, posyłam jej całusa przez szybę i jadę do domu.

Kompletnie się zagubiłem.

*Red alert red alert, it's a catastrophe,
but don't worry, don't panic.*
(Czerwony alarm, czerwony alarm to katastrofa,
ale nie przejmuj się, nie panikuj.)

Basement Jaxx, z utworu *Red Alert*
(album *Remedy*, 1999)

Pięć

Siedzę w samochodzie. Roos mówi, że jest w domu. Przez ten tydzień dużo ze sobą mejlowaliśmy. W poniedziałek napisała, że jej się bardzo podobało, ale raczej musi się trzymać z daleka. Nie żałuje tego, co się stało, ale powtórzyła, że nie chce się wdawać w romans z żonatym facetem. Nie uwierzyłem w ani jedno słowo, ale nie wdawałem się w dyskusję mejlową. Teraz, kiedy do niej dzwonię, czuję, że dobrze zrobiłem. Cieszy się, że dzwonię. Jest czwartek wieczór. Paplamy o różnych niewinnych sprawach. Opowiadam o pracy i o Lunie, ona o swoich kolegach. Cały czas rozmawiając, wysiadam z samochodu z kwiatami, które kupiłem w nocnym sklepie przy Stadionplain.

– Pod którym to dokładnie numerem Eerste Helmersstraat mówiłaś, że mieszkasz?

– Yyy... pod siedemdziesiątym dziewiątym. A czemu pytasz?

Naciskam dzwonek.

– Poczekaj chwilę – mówi Roos. – Ktoś dzwoni do drzwi.

– OK, czekam.

– Tak, słucham? – słyszę jej głos w domofonie.

– Cześć – mówię przez domofon i przez komórkę.

Przez chwilę panuje cisza.

– Co?!

– Otwórz, proszę.

– To... ty?

– Nie, Harry Belafonte.

– Jezu...

Roos naciska przycisk i wchodzę na klatkę.

– Całkiem zwariowałaś... – mówi Roos, patrząc, jak z uśmiechem wchodzę po schodach. Po jej oczach widzę, że to dobry ruch z mojej strony.

Kładę kwiaty na stoliku i całuję ją. Jest w szlafroku kąpielowym i ma mokre włosy. Wciąż ją całując, popycham ją delikatnie w tył, aż lądujemy na kanapie. Jej szlafrok lekko się rozchyła. Widzi, jak się gapię, ze śmiechem otula się szczelnie i przysuwa bliżej do mnie. Gładzę ją po włosach i całuję w czoło. Dawno już tak nie siedziałem z Carmen. Napawam się tym.

Całujemy się. Coraz bardziej dziko i niepohamowanie. Moja dłoń wślizguje się pod szlafrok. Roos nie protestuje. Pieszczę jej piersi. Są miękkie. Z miejsca się w nich zakochuję. Całuję Roos w kark i delikatnie gryzę w szyję.

Nagle Roos zrywa się z miejsca.

– Yyy... napijesz się kawy? – pyta.

– Jeśli nie masz lepszego pomysłu, to chętnie – mówię ze śmiechem.

Przełądam płyty na półce i widzę *Ray Of Liht* Madonny. Roos przynosi dwie filiżanki mokki i siada przy mnie, znowu szczelnie otulona szlafrokiem. Rozmawiamy trochę o muzyce i innych bzdurach. Znowu ją do siebie przyciągam. Wszystko powtarza się od początku. Madonna śpiewa. *Wanted it so badly, running rushing back for more... the face of you... my substitute for love*^[21]. Pieszczę ją delikatnie. Roos leży już na kanapie z głową na mojej piersi. Odpinam jeden guzik jej szlafroka, na co ona z zamkniętymi oczami szepcze: „Proszę, nie...”. Dwa utwory Madonny dalej znowu mnie całuje. Ponownie przesuwam dłoń w stronę jej piersi. *And I feel like I just got home...*^[22] A potem niżej. Roos z westchnieniem odrzuca głowę w tył. Tym razem mnie nie powstrzymuje, kiedy moja dłoń zsuwa się po jej brzuchu w dół. *Put your hand on my skin... I close my eyes... I need to make a connection... touch me I'm trying... to see inside of your soul... I close your eyes... Do I know you from somewhere...*^[23] Klękam między jej kolanami. Tułowiem dotykam jej krocza. Roos, kręci głową, że nie.

– Nie mogę się od ciebie oderwać. Wyrzuc mnie stąd, bo inaczej nie przestanę – sapię. Jestem tak napalony jak Patrick Kluivert^[24] po wieczorze z serialem *The Sinner*.

Roos patrzy na mnie przez chwilę, a potem chwyta mnie za kołnierz koszuli i przyciąga do siebie. Szlafrok zsunął jej się z ramion, jest teraz zupełnie naga. Rozpina mi koszulę, ja pośpiesznie pozbywam się spodni i rozchylam jej kolana. Jestem straszliwie zdenerwowany. Przez chwilę czekam jeszcze, żeby miała szansę mnie odepchnąć.

– *Watching the signs as they go...* – Już nie kręci głową, że nie. Patrzy na mnie półprzytomnym wzrokiem i kiwa głową, ledwie zauważalnie. – *...I think I'll follow my heart...* – Powoli w nią wchodzę. – *...It's a very good place to start...*^[25] – To cudowne być w niej.

Stwierdzam to potem jeszcze raz na jej łóżku, a w sobotę po południu znowu trzy razy, kiedy niby jestem w mieście. Nie ma już odwrotu.

Co ja, na Boga, wyprawiam?

*She says her love for me could never die,
that would change if she ever found out about you and I, oh,
but it's so damn easy making love to you, so when it gets too much,
I need to feel your touch, I'm gonna run to you.*

(Ona mówi, że jej miłość do mnie nigdy nie umrze,
to by się zmieniło, gdyby kiedykolwiek dowiedziała się o mnie i o tobie,
och, ale to takie cholernie proste kochać się z tobą,
więc jak mi już tego będzie za wiele i będę potrzebował twojego dotyku,
to przybiegnę do ciebie.)

Brian Adams, z utworu *Run To You*
(album *Reckless*, 1984)

Sześć

Zdrada to nic takiego. To zupełnie jak masturbacja, z tą tylko różnicą, że całkiem przypadkowo bierze w tym udział jakieś kobiece ciało.

Romans to już całkiem inna broszka. Wtedy zamiast bzykania nagle mamy kochanie się. Przestaje już chodzić wyłącznie o kobiece ciało, w które lubisz wsadzić fiuta, nie, wtedy nagle zaczyna chodzić o kobietę. Zawsze starałem się tego unikać. Już sam mój neodparty przymus fizycznej zdrady był wystarczająco kłopotliwy. O ile moje ciało i psychika były monofobiczne, to serce jednak miałem monogamiczne. Ono było dla Carmen. Roos wie, że nigdy nie mielibyśmy romansu, gdyby nie to, że Carmen zachorowała. Ale Carmen zachorowała. W roku przed przejściem w nowe tysiąclecie, roseanneverschuren@hotmail.com, przydomek Bogini, imię Roos, komórkowe imię Boris, została pierwszą prawdziwą kochanką, jaką kiedykolwiek miałem w życiu.

Idealnie się uzupełniamy. Od Roos dostaję to, czego brakuje mi w domu i w ten sposób – chociaż nie w pełnym wymiarze – odzyskuję radość życia. Rozpieszcza mnie całą kobiecością, jaką ma w sobie, jest dokładnie tą kobietą, jakiej mi potrzeba na ten rakowy czas. Roos jest moją zamienniczką królowej.

Ja ze swej strony odpłacam jej całym uwielbieniem, jakie mam w sobie. Dostaje najlepsze, co jest w Stjynie, ze mną czuje się bardziej kobietą niż kiedykolwiek wcześniej. „Nazywasz mnie Boginią, i tak też się przy tobie czuję”, mówi z zachwytem, kiedy pojawia się z różą i bonem do sklepu z bielizną. Cieszy się swoją rolą, całkowicie się w niej spełnia. Pozwala mi decydować, co będziemy robić i gdzie, kiedy i jak. Pyta mnie, co ma założyć, kiedy wychodzimy. Pyta, jakiego koloru bieliznę kupić. Goli sobie włosy łonowe w taki kształt, który mnie podnieca.

Taki romans jest jak narkotyk. W ciągu paru tygodni uzależniam się od Roos, uzależniam się od poczucia, jakie mi daje. Staram się być z nią, kiedy tylko jest to możliwe. W ruch poszły wszelkie znane schematy zdrady. Od czasu do czasu wychodzę „wcześniej do pracy”. Wychodzę do miasta „posłuchać nowości w sklepie muzycznym”. Wykorzystuję jako przykrywkę uzgodnione od zawsze piątkowe wieczorne wyjścia. Albo

mecze Ajaksu na własnym stadionie. Sprawdzam potem na teletekście sprawozdanie z meczu i uczę się go na pamięć przed powrotem do domu. Zdarza mi się dłużej zostać z klientem na kolacji. Raz w tygodniu albo najwyżej dwa razy spędzamy ze sobą cały wieczór. Wychodzimy wtedy do knajpy albo restauracji, gdzie jest najmniejsza szansa spotkania kogoś znajomego i przegadujemy cały ten czas. Rozmawiamy najczęściej o seksie. O seksie, który właśnie mieliśmy i o tym, jaki jeszcze będziemy mieli, i o takim, na temat którego fantazjujemy. A kiedy nie rozmawiamy o seksie, to go uprawiamy. Kochamy się jak szaleńcy. U niej w domu, w moim samochodzie, w biurze Merk in Uitvoering, w parku Vondel, w Lasku Amsterdamskim – wszędzie, gdzie się da.

W dzień bez przerwy ze sobą mejlujemy. Dziesiątki razy dziennie. Mejlujemy o tym, jak tam u mnie w domu, o kolejnym spotkaniu, na które czekamy, o jej pracy, o mojej pracy, o jej pociągu, który miał spóźnienie. A więc o rzeczach, o których w normalnym związku gada się przy jedzeniu. Połowę czasu spędzam na sprawdzaniu, czy jest już nowy mejl od niej. Moja efektywność w biurze spadła do poziomu reprezentowanego przez Bryana Roya^[26].

W weekendy, kiedy nie mogę do niej mejlować, piszę esemesy. Dziesięć, dwadzieścia dziennie. Kiedy idę do ubikacji, kiedy Carmen idzie do ubikacji, kiedy wychodzę na chwilę do samochodu, bo „czegoś zapomniałem”, kiedy kąpię Lunę, kiedy myję zęby. W każdej minucie, kiedy jestem sam.

„Moja ty Bogini, śniłem ci się? Zadzwoń, jak tylko wyjdę ze żłobka”.

„Hej... Czy mogę cię przedstawić do Nagrody Nobla w robieniu lodu? Byłaś boska. Miłego weekendu, Bogini”.

„Niestety z dzwonięcia na razie nici. Carmen w domu. Juuutro znowu będę cały twój. Dogadamy się jeszcze mejlowo. Buziaki”.

Roos ze swej strony też nie robi nic innego, tylko czeka. Czeką, aż zadzwonię, czeka, czy nasze spotkanie dojdzie do skutku, czy też w ostatniej chwili trzeba je będzie odwołać, czeka na esemes.

Ustaliliśmy precyzyjne zasady: Roos za nic nie wolno do mnie dzwonić i tylko jeśli na końcu esemesa postawię znak zapytania, wolno jej odpowiedzieć esemesem, ale tylko w ciągu pięciu minut od otrzymania mojego.

„Buziaki. Jesteś w domu?”

Chybabym umarł, gdyby to się wydało. W komórce Roos przez jeden miesiąc jest „Borisem”, od imienia chłopaka, który jest u nas na stażu, przez drugi „Arjanem KPN”, od nazwiska klienta. Po każdym telefonie czyszcę listę „ostatnio wybieranych numerów”. Każdy esemes, jaki od niej dostanę, usuwam zaraz po przeczytaniu. Kilka razy w ciągu dnia kasuję wszystkie mejle, jakie od niej dostałem. Nigdy nie mejluję do niej z naszego domowego kompa.

Kiedy o to poproszę, pojawia się natychmiast. O każdej porze dnia i w dowolnym miejscu, które podam. Kiedy wracam od klienta w Eindhoven, ona jedzie pociągiem do Utrechtu, żeby posiedzieć ze mną przez niecałą godzinę w jakiejś kawiarni i wrócić ze mną samochodem do Amsterdamu.

Rezygnuje ze spotkań z przyjaciółkami, bo nie wie, jak długo potrwa moja kolacja z klientem i o której będzie szansa, żebyśmy się spotkali. To może być o wpół do

jedenastej wieczorem albo później.

Moje spotkanie z Roos zawsze kończy się tak samo. Biorę prysznic, gruntownie myję fiuta i twarz, i wychodzę z ciepłego łóżka Roos prosto na chłód ulicy. Sam. W samochodzie, wciąż jeszcze płonąc z podniecenia, napawając się dopiero co doznaną bliskością i seksem z Roos, przygotowuję się na powrót w domu. To są najobrzydliwsze chwile w całym tygodniu. Ze ściśniętym żołądkiem szukam miejsca do zaparkowania przy Amstelveenseweg. Zanim wysiądę, czekam czasem parę minut, żeby przeanalizować jeszcze raz przygotowaną wymówkę, sprawdzić, czy nie ma w niej luk, umierając z przerażenia, że moje alibi na ten wieczór mogłoby okazać się dziurawe.

Potem rozbieram się na dole, żeby narobić jak najmniej hałasu, zakradam się schodami na górę, wyjątkowo dokładnie myję zęby, wślizguję się po cichutku do łóżka i przez co najmniej pół godziny nie mogę zasnąć, leżąc z otwartymi oczami, odwrócony plecami do Carmen. Denerwując się, że coś przegapiłem i że pachnę Roos. Zwłaszcza jeśli zdarzy mi się w ciągu tygodnia wrócić później niż piętnaście po pierwszej, kiedy Carmen wie, że wszystkie knajpy zamykają o pierwszej.

Rano odprężam się dopiero wtedy, kiedy czuję, że atmosfera w domu jest OK i moje alibi najwidoczniej znowu zadziałało. Wtedy staram się, jak mogę. Jestem miły dla Carmen, bawię się z Luną, jestem pełen energii i radości, niezależnie od tego, ile wypilem i jak późno wróciłem do domu.

Moja wrodzona radość życia znowu robi swoje.

*It's you and the things you do to me,
now I'm living in ecstasy.*
(Jesteś ty i to, co mi robisz,
a ja żyję teraz w ekstazie.)

Sister Sledge, z utworu *Thinking Of You*
(album *We Are Family*, 1979)

Siedem

Czekałem na to już od tygodni i przygotowałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Luna jest na weekend u teściowej, dzięki dealerowi Ramona zarzuciłem trochę witamin i wybadałem, dokąd wybierają się w sobotę Frenk z Maud i Ramonem, czyli których miejsc mam z Roos unikać.

Carmen jest na dorocznym wyjeździe integracyjnym Advertising Brokers w Monako. Dziewczyny były przeszczęśliwe, kiedy się dowiedziały, że Carmen jednak pojedzie. Jak jest Carmen, to jest zabawa – każdy to wie. Zaraz po tym, jak odprowadziłem ją na lotnisko, poszedłem prosto do Roos.

Kiedy wchodzę, Roos woła z kuchni, że mam się położyć do łóżka. Nie wydaje mi się to specjalnie przykre, dla odmiany pozwolę sobą trochę podyrygować. Po chwili Roos wchodzi do sypialni. Ma na sobie koszulę nałożoną na gołe ciało i tacę, która jest tak wielka, że prawie nie chce przejść przez drzwi. Widzę bagietki, łososia, awokado, kremowe serki, różne owoce i butelkę szampana obwiązaną wstążeczką.

– To wszystko na twoje urodziny w przyszłym tygodniu – mówi Roos. – Nie mogę ci dać prezentu do zabrania do domu, więc pomyślałam, że dam ci to... – Patrzy na mnie figlarnie i powoli rozpina koszulę. – To co chcesz najpierw?

Jestem wzruszony i napalony zarazem.

– Najpierw jedzenie – mówię i nurkuję ustami między jej uda, żeby przez parę minut się stamtąd nie ruszyć. Po całym przedpołudniu kochania się, jedzenia, spania, rozmawiania, śmiania się, kochania, spania i znowu kochania czuję się najszczęśliwszym facetem na świecie.

Na krótko przed tym, kiedy wychodzę z Roos pospacerować po mieście, dostaję esemesa od Carmen. Píše w nim, że jest jej wspaniale i właśnie trafiła w Monte Carlo sukienkę dla Luni i nieprzyzwoicie drogie buty, i kurtkę Diesla z ćwiekami dla siebie. Uśmiecham się, mówię Roos dlaczego – ona uśmiecha się ujmująco – i odpisuję:

„Jestem z ciebie dumny i cieszę się, że dobrze się bawisz, miłości mojego życia. Całuski!”

Z rozpędu pokazuję Roos, co napisałem do Carmen. Błąd.

– Hm. To miłe, że tak ją nazywasz – mówi zgaszona. – Przynajmniej znam teraz swoje miejsce.

Mógłbym oczywiście wygłosić cały wykład na temat miejsca i czasu, że Carmen była miłością mojego życia do tej chwili, i że nigdy nie wiadomo, jak przebiegnie czyjeś

dalsze życie, ale tego rodzaju wywody w tym momencie wydały mi się niewskazane. Jak to naprawić, że tak idiotycznie, akurat w czasie tego jedynego weekendu, kiedy jestem tylko dla niej, ściągnąłem ją z różowego obłoczka na ziemię?

– Ach – mówi Roos niby obojętnym tonem, kiedy siedzimy w kawiarni Weber przy Marnixstraat – taki esemes, niczego nie zmienia. Przecież wiem, że i tak nigdy nie będzie między nami tego, co jest między tobą a Carmen.

– Ale przecież wiesz, jaka jesteś dla mnie ważna...

– No, wiem. Ale poza mną nie wie nikt. Twoi przyjaciele nie wiedzą nawet, że istnieję. Ani jako kobieta, ani jako osoba. Jak myślisz, jak ja się mogę z tym czuć? – Patrzy na mnie przenikliwie. – Nie mogę o tym opowiedzieć nawet własnym rodzicom. Romans z żonatym mężczyzną, którego żona choruje na raka. Już to widzę, jak by zareagowali. Moja siostra nie chciała mnie nawet słuchać, kiedy próbowałam jej dać coś delikatnie do zrozumienia. Z miejsca ucięła rozmowę. A przyjaciółka, której o tym powiedziałam, uważa, że to skandal. W ogóle nie potrafi zrozumieć, że coś takiego robię, i nawet nie dociera do niej, co to może znaczyć dla faceta, którego żona jest chora.

– Puuuuh... – robię i wypijam ostatni łyk mojego porto.

– No właśnie „puuuuh”. Dobrze ci mówić. A ty jeszcze do tego wszystkiego każesz mi czytać swoje esemesy do Carmen. Takie coś bardzo pomaga, panie mądrało... – mówi, puszczając do mnie oko. – A więc, żebyś mi się nie ważył dzisiaj wcześniej wracać do domu. Przynajmniej raz będziesz cały czas ze mną.

Lux i/albo Weber. Kawiarnie z kanapami przy Marnixstraat. Nigdy nie wiem, czy jestem w tej, czy w tamtej, tak bardzo są do siebie podobne. Po raz nie wiadomo który dochodzę do wniosku, że nie wiem, o co chodzi z tymi kanapami. Jak ktoś chce poleżeć na kanapie, to lepiej mu będzie w domu!

Ponieważ nie muszę być o czwartej w domu, mamy dla siebie morze czasu. Idziemy do Lux, gdzie kiedyś chodziłem z Carmen. Na szczęście, tak jak się spodziewałem, nie natykamy się na żadnych znajomych. W tej sytuacji wolę nie chodzić do Bastille. Nie mam ochoty natknąć się tam na barczystą postać Ramona. Jako moje stałe alibi doskonale wie o moich skokach w bok, ale nie wie, że przez ostatnie miesiące robię to stale z tą samą dziewczyną. I bardzo mi zależy na tym, żeby tak zostało. Na szczęście Roos woli tańczyć, niż słuchać André Hazesa. W Paradiso też nie chcę się dzisiaj pokazywać. Niewykluczone, że siedzi tam Maud. More też nie wchodzi w grę, bo tam jest Frenk. Proponuję hotel Arena. O ile wiem, nikt z Merk in Uitvoering tam nie chodzi.

Hotel Arena jeszcze parę lat temu był terenem zakazanym dla modnego Amsterdamu. Muzyka z lat osiemdziesiątych, turyści z plecakami i stałe bywalczyńnię z torebkami z tanich sklepów. Często tu przychodziłem. Teraz to prawdziwie hipsterskie miejsce, grają tu house, a cena piwa jest dwa razy wyższa. Na to, że wraz z metamorfozą lokalu dokonał się też odpowiedni upgrade lasek, postanowiłem patrzeć tym razem przez palce.

– Co ty na to, żebyśmy spędzili ze sobą całą noc? – pytam Roos, podając jej cukierek.

– O? Mhm, niezły pomysł...

Godzinę później DJ Roog daje czadu, a ja uznaję moją Boginię za piękniejszą niż

wszystkie dziewczyny piłkarzy Ajaksu razem wzięte. Daję jej to wyraźnie do zrozumienia mając nieustającą erekcję i w rzadkich chwilach, kiedy nie trzymam języka w jej ustach, szepcząc jej do ucha, jaka jest piękna, jaka subtelna, jaka kobieca, jaka miła, jaka mądra i ile razy ją zaraz wezmę i w ogóle, i w szczególności :-)

Kiedy spoglądam na zegarek, mój błogi uśmiech staje się jeszcze szerszy. Taki naprawdę od ucha do ucha. Dopiero trzecia! Kiedy ma się romans, człowiek uczy się doceniać wartość czasu. Zwłaszcza nocą. Normalnie o tej porze muszę wybierać między dalszym chlaniem/tańczeniem/pieprzeniem o niczym albo bzykaniem, żeby najpóźniej piętnaście po czwartej nad ranem być w domu. Ale dzisiaj czas jest po naszej stronie. Dopiero w okolicach zamknięcia lokalu udajemy się wyciągniętym kłusem w stronę czekających taksówek. Chociaż czasu mamy pod dostatkiem, nie ma czasu do stracenia. Niedługo potem leżymy u Roos na łóżku, wykorzystując moją erekcję na najróżniejsze sposoby i wypełnia nam to całkowicie najbliższe godziny.

Jest już jasno, kiedy nie czując zmęczenia, a tylko zaspokojenie, wracam do domu. Około pierwszej przychodzi matka Carmen z Luną. Ach, po uczcie z Roos, tatuś jest znowu prawdziwym tatusiem. Wypaść mogę się jutro.

Po powrocie do domu dzwonię do Carmen. Cieszy się z mojego telefonu.

– Mówię ci, tu jest fan-ta-stycz-nie – szczebiocze. Opowiada, że za chwilę będą mieli lunch w ogrodzie pałacu, który wychodzi na zatokę Monte Carlo i że potem jada jeszcze do Cannes. Ja opowiadam, że do czwartej rano tańczyłem w hotelu Arena. Przemilczam tabletki i Roos. Carmen nienawidzi narkotyków i nienawidzi zdradzania.

Kiedy wieczorem razem z Luną wyjeżdżam po nią na lotnisko, od razu widzę, że jest kompletnie wykończona. Żegnając się z pozostałymi, trzyma jeszcze fason. Całuje się z każdym i sypie żartami. Szeroki uśmiech ani na moment nie schodzi jej z twarzy. Aż do momentu, kiedy nikt nas już nie może zobaczyć.

– Och, Stijn... jestem nieżywa... Daleko postawiłeś samochód?

Powiedziałem, że stanąłem na miejscu dla niepełnosprawnych, zaraz przy wyjściu z terminalu. W podzięcie dostaję całusa.

Tego wieczoru Carmen już o wpół do dziewiątej leży w łóżku. Nawet mi to nie przeszkadza. Zасыpiam uradowany razem z nią. Budzę się o dziewiątej rano, a Carmen przesypia prawie do południa.

Jej znajomi mogli nacieszyć się w ten weekend Carmen w najwyższej formie. Roos nacieszyła się mną. Ja nacieszyłem się Roos.

Tak, Carmen i ja wciąż jeszcze umiemy korzystać z życia.

Tylko niestety już nie razem.

*Now everyone dreams of a love lasting and true,
but you and I know what this world can do.*

(A teraz każdy marzy o miłości trwałej i prawdziwej,
lecz ty i ja wiemy, co ten świat potrafi zrobić.)

Bruce Springsteen, z utworu *If I Should I Fall Behind*
(album *Lucky Town*, 1992)

Osiem

Wygląda na to, że Carmen pogodziła się z tym, że uciekam w pracę i samotne wychodzenie z domu. Nie jest z tego zadowolona. Nie jest z tego zadowolona, ale godzi się z tym i nawet wyciągnęła z tego jakąś naukę. Robi mianowicie dokładnie to samo.

Kilka tygodni przed wyjazdem do Monako była z Anne na weekendowym relaksie w Parku Narodowym w Schiermonnikoog. Tydzień wcześniej pojechała z matką na zakupy do Londynu. A majowe święto Wniebowstąpienia spędziła z Maud w Nowym Jorku.

Carmen nigdy się nie nudzi. Kiedy Luna jest w domu, robią razem różne fajne rzeczy. Kiedy Luna jest w żłobku, Carmen wychodzi na kawę do Advertising Brokers albo na lunch z Maud. Albo wyjeżdża na dzień do swojej matki do Purmerend. I ucieka w zakupy. *Zakupy są zdrowe*, brzmi jej nowe motto. Nie zdziwiłbym się, gdyby portret Carmen wisiał na poczesnym miejscu w dyrektorskich gabinetach takich firm jak DKNY, Diesel, Replay czy Gucci.

Na moje drugie urodziny od czasu, kiedy Carmen ma raka, dostałem od niej rower. Seksu nie. Nie robiliśmy tego od czasu, kiedy podarowała mi prezent na święta Bożego Narodzenia. Już zapomniałem, jak to jest być w jej dłoni, jej ustach czy całkiem w niej. No i, bądźmy szczerzy, coraz rzadziej o tym myślę. Obydwoje zresztą niespecjalnie się o to staramy. Carmen ma raka i jedną pierś, a ja mam Roos.

Nadal jesteśmy razem, ale już bardziej jak brat z siostrą^[27]. Wiemy, że ze względu na sytuację nie możemy się rozstać i staramy się możliwie unikać kłótni. Carmen robi wszystko, żeby jej rak nie zdominował naszego życia i stara się być pogodna także w domu. Tylko od czasu do czasu ma dosyć raka, protezy piersi czy mojego zachowania i wtedy to ja jestem ten najgorszy. Zresztą, jak najbardziej to rozumiem. I tak się cieszę, że – nawet jak przy tym trochę zrzędzi i się zżyma – daje mi swobodę regularnego znikania z domu. Zdaję sobie sprawę, że jest to dla niej wyrzeczenie.

Ja ze swojej strony staram się dołożyć wszelkich starań, żeby Carmen nie dowiedziała się, co takiego wyprawiam, kiedy nie ma mnie w domu. Nie mam pojęcia, czy Carmen mi wierzy, kiedy mówię, że do czwartej nad ranem byłem z Ramonem albo że znowu muszę wyjść z klientem, kiedy coraz częściej muszę pracować od ósmej rano i coraz częściej wyjeżdżam do nocnego sklepu – ale rzadko kiedy o cokolwiek pyta.

Jedno co wiem na pewno to to, że tak na dalszą metę się nie da. Nie wydolę. Merk in Uitvoering, Roos, Carmen, Luna, moje poczucie winy: każda rzecz i każda osoba chce,

żebym się nią zajmował. Muszę porozmawiać z Carmen, chociaż zupełnie nie mam pojęcia, jak coś w naszej sytuacji zmienić. Nie mogę jej zostawić na łasce losu i powiedzieć, że mam romans, bo wtedy musiałbym zakończyć nasze małżeństwo. A wtedy już po mnie.

Mimo wszystko musimy jednak porozmawiać. Może w przyszłym tygodniu, kiedy wyjedziemy z Luną na tydzień do Club Med na południu Francji. Daleko od Roos, daleko od Amsterdamu, daleko od piętrzących się spotkań w firmie. Tylko my: Carmen, Luna i ja. Tak. W przyszłym tygodniu. Wtedy musi się to stać.

Boję się całego tygodnia bez Roos, ale z drugiej strony bardzo mi tego potrzeba.

Boję się rozmowy z Carmen, ale wiem, że to konieczne.

Coś musi się zmienić. Albo rak, albo bez raka.

Rakowy rak.

So need your love, so fuck you all.

(Tak bardzo chcę waszej miłości, tak bardzo mam was gdzieś.)

Robbie Williams, z utworu *Come Undone*
(album *Escapology*, 2002)

Dziewięć

Przed wyjazdem z Carmen i Luną na terapię małżeńską do Club Med, mam jeszcze w planie jedno wieczorne wyjście. Sławetne okresowe koktajl party Merk in Uitvoering, które organizujemy zawsze, żeby coś uczcić. Tym razem będą to moje urodziny, które były miesiąc temu. Jedziemy do Rotterdamu i będziemy wszyscy nocować w hotelu.

Pojawia się problem. Przez to koktajl party grozi mi, że przez prawie dziesięć dni nie zobaczę się z Roos. Muszę coś wykombinować. Nie mogę wyjść na cały wieczór dzień wcześniej, bo nie zapunktuję u Carmen.

Kombinuję jak wariat i w końcu mam. Po prostu zrezygnuję ze snu w nocy z piątku na sobotę.

Mejluję do Roos, że cały wieczór w tym tygodniu nie jest możliwy, ale że w piątek w nocy specjalnie dla niej wrócę z Rotterdamu i będę miał dla niej czas od wpół do szóstej do za piętnaście dziewiąta rano. Niechętnie, ale się zgadza.

Obiecuję Carmen, że na sto procent będę w domu pół godziny przed wyjazdem na lotnisko. Ona też nie jest specjalnie zadowolona z mojego precyzyjnego planu. Notuję sobie w głowie:

DZIEŃ/GODZINA	RODZAJ DZIAŁALNOŚCI	MIEJSCE
CZWARTEK		
19.00–22.00	mąż/ojciec	A'veenseveeg (salon)
22.00–8.00	spanie (sypialnia)	A'veenseveeg
PIĄTEK		
8.30–18.00	praca	Merk in Uitv. (Olymp.Stad.)
18.00–4.30	jedzenie/wyjście z Merk	R'dam (De Engel, Baya)
SOBOTA		
4.45–5–30	jazda samochodem/ picie redbulla	A4 R'dam/ A'dam (auto)
5–30–8.45	seks z Roos/śniadanie/ prysznic	A'dam (łóżko)
8.45–9.00	jazda samochodem/jedzenie mięty	Overtom/ A'veenseweg (auto)
9.00–9.45	pakowanie walizek, uga- dywanie Carmen	A'veenseweg (salon)
10.00–10.50	check in/czarna kawa	Schiphol
11.10	lot/spokój	A'dam–Nicea (samolot)

Po pracy jadę z Frenkiem odebrać Lunę ze żłobka i spakować w domu rzeczy. Frenk gada z Carmen, a ja na górze pakuję torbę. Dobiegają mnie strzępy rozmowy. Słyszę, jak Carmen mówi, że wcale nie jest pewna, że będę spał dzisiaj w hotelu w Rotterdamie. Frenk ją uspokoja, mówiąc, że ma wspólny pokój ze mną.

Całuję Lunę i mówię, że jutro tata znowu będzie w domu i że wyjeżdżamy we trójkę na wakacje. Kiedy całuję Carmen, ta nawet na mnie nie patrzy.

– Na pewno będziesz jutro na czas? Byłoby fajnie, gdybyśmy nie przegapili lotu – mówi zgryźliwie.

Kiedy już jestem w samochodzie, wydaję z siebie takie samo westchnienie, jak w ostatniej minucie finału Pucharu UEFA '92^[28] między Ajaksem a Torino Calcio, kiedy piłka przeleciała nad bramkarzem Stanleyem Menzo^[29] i odbiła się od poprzeczki z powrotem na boisko. Frenk ściska mnie za rękę, puszcza Fun Loving Criminals na cały regulator i włączamy się w piątkowy korek na A4. Wisi mi to. Grunt, że udało mi się wybyć z domu.

Party kończy się katastrofą. Znowu zarzuciłem procha i jestem strasznie napalony. Wszyscy mogą się do woli przyglądać, jak na środku klubu Baya wpijam się w usta Natasji.

Natasja (23) to nasza nowa stażystka. Ma kolczyk w pępku i wyjątkowo dobrze to u niej wygląda.

Baya Beach Club. Personel baru (m/ż) o klatkach piersiowych godnych Miami, w ciągu dnia siedzi w siłowni, a wieczorami w strojach plażowych serwuje koktajle, trzymając się ściśle obowiązującej w klubie zasady, że patrzeć wolno tylko oczami. Nawet jak na zwyczaje rotterdamskie jest tu dosyć ordynarnie.

Maud mówi mi szeptem do ucha, że lepiej będzie dla mojej reputacji, jeśli przestanę. Zgadza się. Jest prawie wpół do piątej i czeka na mnie Roos. Zanim Maud zdążyła się zorientować, co robię, szybko przysysam się do jej ust. Odciąga mnie Frenk. Śmieję mu się w twarz.

– Chodź, wracamy do hotelu – mówi do mnie.

– Nie idę do żadnego hotelu. Wracam do Amsterdamu.

– Przecież jesteś nachlany i zarzuciłeś jakieś prochy, człowieku!

– Jestem umówiony. – Patrzę na Frenka wyzywająco. – Z dziewczyną.

– Niech zgadnę. Spotykasz się z kimś.

– Zgadza się. Już od czterech miesięcy. A ona ma na imię Roos. Jeszcze coś chcesz wiedzieć?

– Nie. Już wszystko wiem. To ta dziewczyna, od której odebrałem telefon w firmie, kiedy siedziałeś w kiblu i z którą od tego czasu bez przerwy mejlujesz.

– Zgadza się. I co z tego? *Jak chcesz, to możesz mi teraz nawrzucać, mięczaku.*

Frenk wcale nie ma zamiaru mi nawrzucać.

– Mam nadzieję, że dostaniesz od tej Roos, czego ci trzeba, żeby jakoś to wszystko przeżyć – mówi.

Niedługo potem pędzę A4 nawet 180 na godzinę w stronę Amsterdamu. W połowie drogi dostaję esemesa. MAUD KOM.

„Stijn, wiedziałam już wcześniej. Ta dziewczyna z karnawału. Postaraj się, proszę, żeby Carmen się nie dowiedziała. Thomas i Anne też. Siły na wakacjach z Carmen. Buziaki”.

God have mercy on the man, who doubts what he's sure of.
(Boże, zmiłuj się nad facetem, który wątpi w to, czego jest pewny.)

Bruce Springsteen, z utworu *Briljant Disguise*
(album *Tunnel Of Love*, 1987)

Dziesięć

Z dźwiękiem brzęczyka i radosnym „cześć” otwierają się drzwi wejściowe. Gnam po schodach na górę i widzę, że drzwi jej mieszkania są już dla mnie otwarte. Kiedy wchodzę, ona leży w łóżku, wyciągając do mnie ręce na powitanie. Jej miękkie piersi wynurzają się spod kołdry. Błyskawicznie zrzucam ubranie, moje oczy ani na sekundę nie odrywają się od jej oczu. Kiedy się na niej kładę, znowu czuję, jaka jest miękka i ciepła. Robimy to, nie tracąc czasu na grę wstępną. Potem kładzie mi głowę na piersi i chwilę później oboje zasypiamy.

Kiedy się budzę, czuję, jak ktoś coś stawia na łóżku. Otwieram oczy i całkiem jeszcze zaspany widzę, jak Roos zdejmuje szlafrok. Kładzie się przy mnie i całuje mnie w czoło. Na łóżku stoi taca z croissantami. Czuję przypływ wzruszenia.

– Co się dzieje, skarbie? – pyta Roos.

– Kiedy tak patrzę, ile ty dla mnie robisz... u ciebie jest tak miło, jesteś taka ciepła.

– Zaslugujesz na to – mówi Roos czule.

Bum. Rozklejam się zupełnie. Mój żal nad samym sobą dostał to, czego mu potrzeba. Zaczynam płakać. Po raz pierwszy dzieje się to w obecności Roos. Ona siada przy mnie, przytula i nalewa herbaty. Nie mam odwagi powiedzieć jej, jaka jest prawdziwa przyczyna, dlaczego tak podle się czuję. A chodzi o to, że nawet w stosunku do niej nie potrafię się zdobyć na wierność. Albo przynajmniej na uczciwość. Ani słowem nie wspominam o tym, co było dzisiaj ze stażystką i z Maud. Zamiast tego zaczynam mówić o Carmen.

– Chyba w tym tygodniu powiem Carmen, jaki jestem nieszczęśliwy. A może nawet i to, że przez cały czas ją zdradzam. Nie mogę już tego dłużej ukrywać, po prostu dalej się tak nie da. Czuję do siebie coraz większe obrzydzenie.

Roos w zamyśleniu wpatruje się w swoją filiżankę z herbatą.

– Jednak radziłabym ci się mocno zastanowić, czy powinieneś zdobyć się na taką szczerłość – odzywa się po chwili. – Myślisz, że Carmen się ucieszy, że nagle powiesz jej prawdę? Że będzie zadowolona, że po tych wszystkich latach nagle zaczniesz mieć poczucie winy? Po co jej to? Nie możesz jej tego zrobić. Nie w tej sytuacji.

Wzruszam ramionami.

– Może nawet jej powiem, że mam romas. Wtedy przynajmniej będzie miała prawdziwy powód, żeby mnie znienawidzić.

Roos jest wyraźnie przestraszona.

– Ale... tego to już naprawdę nie wolno ci zrobić! To by...

– To prawda, przypuszczalnie byłby to koniec mojego małżeństwa. No i co z tego?

Może tego tak naprawdę chcę? Wydaje mi się, że już jej nie Kocham.

W końcu to ze mnie wyszło. Po raz pierwszy powiedziałem to na głos.

Roos patrzy mi prosto w oczy.

– Oczywiście, że Kochasz Carmen – mówi spokojnie. – Przecież widzę, jak o niej mówisz, z jaką dumą pokazujesz mi esemesy od niej. Rozdzielasz miłość od szczęścia. Nie jesteś teraz szczęśliwy, ale jak najbardziej ją Kochasz. Inaczej nie dałbyś rady robić tego wszystkiego, co dla niej robisz.

– Na przykład spotykać się z tobą – mówię cynicznie.

– Bzdura – odpowiada Roos szorstko. – To nie ma nic wspólnego z twoimi uczuciami dla Carmen. Dostajesz ode mnie ciepło, którego Carmen nie potrafi ci już dać. Dlatego uciekasz do mnie. Nie potrafisz żyć bez tego ciepła. – Widzę, jak zaczyna jej drgać dolna warga. – I mnie też bez tego coraz trudniej... na początku całkiem mi to odpowiadało, taka rola osoby w tle. Ale teraz coraz bardziej zaczyna mi na tobie zależeć...

– Roos przełyka ślinę. – Chyba musimy się mocno zastanowić, czy nie powinniśmy jednak przestać się spotykać, póki jeszcze... – Opiera głowę na moim ramieniu. Czuję, jak z jej oczu płyną łzy.

– Ja nie chcę z tobą zrywać, Roos – mówię czule. – Bez ciebie...

Nagle dzwoni moja komórka. Patrzę kto i serce podchodzi mi do gardła.

CARM KOM.

– O, kurwa! To Carmen! – Gwałtownie odpycham od siebie Roos. – Kurwa, kurwa, kurwa! – powtarzam mechanicznie. Komórka znowu dzwoni.

– Może lepiej odbierz!

– Nie! Nie mam pojęcia, co powiedzieć! Yyyy.... niech pomyślę...

Komórka znowu dzwoni.

– Czemu jej nie powiesz, że...

– Cicho bądź! – mówię ostro. – Daj pomyśleć...

Komórka dzwoni po raz czwarty.

– Dobra, niech dzwoni! Potem do niej oddzwonię. Najpierw muszę coś wymyślić.

Piąty raz. Szósty raz. Wreszcie komórka milknie.

Goły łączę po sypialni tam i z powrotem, gorączkowo starając się coś wymyślić. Co by tu... W każdej chwili spodziewam się sygnału, że ktoś nagrał mi wiadomość na poczcie głosowej.

Zamiast tego komórka znowu zaczyna dzwonić.

FRENK KOM. Uffff.

– Frenk?

– Tak – mówi Frenk. Wygląda na przybitego. – Właśnie dzwoniła do mnie Carmen. Chyba powinienes jak najszybciej do niej zadzwonić, bo inaczej będziesz miał problemy.

– Co jej powiedziałaś?

– Że wyszedłeś, jak jeszcze spałem, i nie mam pojęcia, o której to było.

– OK... wielkie dzięki... Która to właściwie godzina?

– Po ósmej. Słuchaj, Stijn...

– Tak?

– To nie jest w porządku.

– Rozumiem, stary... Przepraszam.

Roos zdążyła tymczasem włożyć szlafrok. Siedzę na brzegu łóżka i apatycznie gapię się przed siebie, wciąż trzymając komórkę w ręku.

– Zadzwoń do niej od razu – mówi Roos nerwowo.

Wstaję z łóżka i kręcę głową.

– Nie. Teraz szybko wyjdę i po drodze coś wymyślę. – W tym czasie jestem już prawie ubrany.

– Nie lepiej jednak, żebyś jeszcze wziął prysznic? – pyta Roos ostrożnie.

Zanim wsiadam do samochodu, raz jeszcze patrzę w górę. Roos stoi w szlafroku na balkonie. Przesyła mi całusa. W jej oczach widzę lęk.

W samochodzie mój mózg zaczyna pracować na pełnych obrotach. Zanim wjeżdżam w ulicę Overteoom, wiem już, co powiedzieć Carmen. Dzwonię do niej.

– Cześć, kochanie! Widzę, że niedawno dzwoniłaś? – mówię tak swobodnie, jak tylko potrafię.

– Tak, a gdzie byłeś? Do Frenka też już dzwoniłam.

– Wpadłem jeszcze na kawę do tej restauracji przy A4, koło lotniska, pamiętasz? O mało nie zasnąłem za kierownicą. Zapomniałem telefonu w samochodzie.

– Hm.

– Było wspaniale, wiesz? Jednak ten Rotterdam to fajna sprawa.

– Ciekawe. Będziesz na czas?

– Tak, prawie dojeżdżam. Jadę właśnie wzdłuż lotniska – mówię, podczas kiedy naprawdę jadę ulicą Overtoom. – To do zobaczenia niedługo, kochanie.

– Do zobaczenia – prycha Carmen i wyłącza się.

*Laat mij maar alleen, ook al valt het soms niet mee,
de eenzaamheid is soms erger met zijn twee.*
(Zostaw mnie samego, chociaż czasem nie jest to łatwe,
to jednak samotność we dwoje bywa czasem gorsza.)

Klein Orkest, z utworu *Laat mij maar alleen*
(album *Het leed versierd*, 1982)

Jedenaście

Byliśmy razem już wszędzie. W Afryce Południowej, w Kenii, w Meksyku, na Kubie, w Kalifornii, Nepalu, Indiach, Wietnamie, Malezji, żeby wymienić tylko niektóre miejsca. Nawet zaraz po tym, jak urodziła się Luna, polecieliśmy z Thomasem i Anne na Dominikanę, żeby sobie ponurkować. Od kiedy mamy raka, Carmen była beze mnie w Nowym Jorku i w Londynie. A ja bez niej w Miami. Kiedy jesteśmy razem, wszystko, co wymaga wysiłku, wydaje się za dużo.

Nawet wybór miejsca wyjazdu. Jeśli idzie o tydzień w Centerparcs w zeszłym roku i na początku tego roku weekend na wyspie Texel czy Terschelling, to wolałbym zapomnieć. W każdym razie więcej tam było krów niż ludzi i bardzo długa pusta plaża.

A teraz siedzimy w Club Med. Niedaleko Cannes, to prawda. Ale już wiem, że przez cały tydzień nie wyściubimy nosa poza tutejszy pieprzony park.

Kiedy niesiemy walizki do pokoju, przy basenie stoi dwójka animatorów i ćwiczy aerobik z grupką gości. Wszyscy patrzą w ich stronę.

Carmen nie. Cały czas jest jeszcze w trybie „a niby czemu miałabym być dla ciebie miła”. Nie zwracam na to uwagi i jestem miły przez cały czas. Rano przyjąłem sobie założenie, że jak prawdziwy buddysta będę się tylko uśmiechał i koniec. Nawet gdyby ktoś nasrał mi na głowę.

Luna też ma humory. Kompletnie wykończyła ją podróż i jest taka upierdliwa, jak nie przymierzając Mido^[30]. Na szczęście, kiedy rozkładamy się w pokoju, szybko zasypia. Bierzymy z Carmen babyfon i idziemy coś zjeść. Aż nie chce nam się wierzyć, jakie typy się tu pojeżdżały. Normalnie jak z parku rozrywki w Efteling. Carmen powoli się odpręża. Wspólne wyśmiewanie się z ludzi zbliża. W łóżku dostaję przynajmniej pocałunek na dobranoc. Zapowiadało się znacznie gorzej.

Drugiego dnia jest nawet jeszcze lepiej. Leżymy na leżakach przy basenie, idziemy coś zjeść, bawimy się z Luną. Na basenie jest parę kobiet topless, nawet niezłych, więc wizualnie nie mam się na co skarżyć. Kiedy idę na chwilę do pokoju, żeby przynieść czapkę dla Luni, wysyłam szybko esemesa do Roos:

„Dużo tu kobitek, ale o to mniejsza; to ty masz najpiękniejsze cycuszki i laska z ciebie najostrzejsza”.

Mam jedną wiadomość w telefonie. Proszę, proszę, od Thomasa. Życzy nam przyjemnych wakacji. Pfff... No dobra, miło z jego strony. Po powrocie do niego zadzwonię.

Wieczorem oglądamy w świetlicy przedstawienie na podstawie wyciskacza łez *Titanic* (jeśli trzymać się wymowy francuskich animatorów, to był to film *Tietaanieek*). Lunie strasznie się podoba. Carmen i ja splukujemy drinkami nasze zawstyżenie. Staramy się być dla siebie mili. Bez przerwy sięgam ręką za plecami Luny i szukam kontaktu z Carmen. Po przedstawieniu kładziemy Lunę spać, wypijamy jeszcze co nieco i oglądamy jakiś film w telewizji. Trzymam Carmen za rękę. Kiedy kładziemy się spać, gładzę Carmen po policzku.

- Całkiem przyjemny wieczór, nie?
- Tak – mówi Carmen gładząc mnie po piersi.
- Dobranoc, kochanie.
- Dobranoc, przyjacielu.

Trzeciego dnia zaczynam się troszkę nudzić. Carmen i Luna śpią w pokoju. Ja leżę przy basenie i esemesuję z Hakanem, który informuje mnie, jak holenderska jedenastka wypadła w meczu z Turcją – za dwa tygodnie zaczynają się mistrzostwa Europy! Z nudów wysyłam Ramonowi esemesem świński dowcip, który w piątek usłyszałem od kogoś z Merk in Uitvoering. A, no i jeszcze przede wszystkim do Thomasa. On lubi ten typ humoru. Potem piszę esemesa do Roos.

„Mam ochotę najpierw ostro cię zerznąć a potem być dla ciebie bardzo delikatny. Buziaki”

Klikam kciukiem „opcje”, „szukaj”, „kontakt”, „wyślij” – i poszło.
Do Thomasa.

Widzę to w ułamku sekundy. Kurwa, tylko nie to! Robię się czerwony na twarzy. Serce wali mi w gardle. Próbuję anulować wysyłanie. Za późno. Ikonka „wysyłanie” zmieniła się już na „wysłane”. Zlewam się potem. Mam ochotę zapaść się pod ziemię.

Zastanawiam się właśnie, czy nie zadzwonić od razu do Thomasa, żeby nie czytał tego esemesa, ale w tym momencie sam dostaję esemesa. THOMAS KOM.

„Fajnie, że między tobą a Carmen znowu wszystko OK. :)”

Śmieję się. Łatwowierny Thomas. W tym momencie widzę, jak Carmen idzie z Luną w stronę basenu. Obie wesoło uśmiechnięte po okołopołudniowej drzemce. Uśmiecham się z rozczuleniem. Machają do mnie z daleka. Jesteśmy jak normalna, szczęśliwa, niemająca raka rodzina. Carmen całuje mnie i puszcza do mnie oko. Czuję przypływ szczęścia. I prawie mnie to przeraża. Na miłość boską i w imię miłości^[31] – czyżbyśmy jednak powinni dać nam szansę? Nie ulega przecież wątpliwości, że wciąż jesteśmy Stijn & Carmen! No chyba nie damy się pogrzebać z powodu mojego rozbuchanego popędu płciowego czy odrobiny jakiegoś tam raka?

Kiedy Luna już leży w łóżku, podłączyliśmy babyfon i idziemy do baru przy basenie. Zamawiam kieliszek amaretto i armagnac. Carmen pije łyk amaretto i patrzy na mnie. Już czuję, co zaraz będzie. Właśnie to – Rozmowa. Aż się boję spojrzeć jej w oczy.

- Stijn, co się z tobą ostatnio dzieje? Czuję, że mi się wymykasz.
- Wydaje mi się, że nie wychodzę częściej niż dotąd?
- A mnie się wydaje – mówi Carmen spokojnie – że robisz wszystko, żeby tylko nie być w domu. A jak już wychodzisz, to od razu tego nadużywasz.
- Zaraz, o co ci teraz chodzi?

– Kto to jest Natas?

Szok.

– Natas? Yyy... pewnie Natasja. Nasza nowa stażystka. A co?

– Kiedy w sobotę rano nie odbierałaś telefonu, nie wierzyłam w twoje tłumaczenia. A kiedy akurat pakowałaś walizki, usłyszałam, że na twoją komórkę przyszedł esemes i go przeczytałam. Sam zobacz.

Trzęsącymi się rękami otwieram wiadomości przychodzące. Znajduję tam numer, którego nie znam. Otwieram wiadomość i robię się purpurowy na twarzy.

„Stijn, fajny jesteś... to wczorajsze... chciałoby się więcej. Buziaki. Natas”

Carmen uznaje mój rumieniec za potwierdzenie, przez co esemes zyskuje jeszcze na wyrazistości. W jej oczach pojawiają się łzy.

– Dobra jest w łóżku? Fajne ma cycki?

– Carmen, nie spałem z nią. Daję słowo.

– Przestań ściemniać – mówi, szlochając. – Przecież dobrze wiem, jak to jest. To oczywiste, że wolisz się pieprzyć z napaloną Moniką Levinsky niż z żoną, która ma tylko jedną pierś i jest łysa.

Właśnie chcę coś powiedzieć, ale Carmen daje znak, że jeszcze nie skończyła.

– Ale nie to jest jeszcze najgorsze – mówi dalej roztrzęsionym głosem. – Najbardziej boli mnie, kiedy widzę, że najlepiej jest ci chyba, kiedy mnie nie ma przy tobie. Zdaję sobie doskonale sprawę, że już nie jest tak przyjemnie ze mną żyć, jak kiedyś. Bardzo chciałabym znowu umieć cię uszczęśliwić, ale jakoś nie potrafię i wariuję od tego. I robię się zrzędliva. A tego nie chcę. Nie chcę być wredną żoną.

– Wcale nie jesteś wredną żoną – mówię.

Carmen zupełnie nie zwraca na to uwagi.

– Niezależnie od tego, gdzie leży przyczyna, czy w tobie, czy we mnie, czy w tym pieprzonym raku: jest ci ze mną źle. Uciekasz. Czy możesz spojrzeć mi prosto w oczy i powiedzieć, że mnie kochasz?

– Ja... ja... sam już nie wiem, Carmen...

Carmen przez chwilę milczy.

– Tak też myślałam, że taka będzie twoja odpowiedź. Słuchaj, Stijn, bardzo długo się nad tym zastanawiałam, co chcę teraz powiedzieć...

Czuję się strasznie mały wobec tej jej odwagi. Nie spodziewałem się tego po niej. Zupełnie jakby przeciwnik zaskoczył mnie, wystawiając trzech napastników, zamiast spodziewanych dwóch. Rozłożyła mnie na łopatki.

– Nawet nie chcę wiedzieć, co robisz, kiedy szlajasz się gdzieś do wpół do piątej nad ranem. Nie chcę wiedzieć, od kogo dostajesz esemesy i nie chcę wiedzieć, gdzie jesteś, kiedy nie odbierasz telefonów. Od dawna już mam podejrzenia, że mnie zdradzasz na potęgę. Gdybyś ty zachorował, być może ja robiłabym to samo. Może już dawno miałabym innego faceta.

Patrzę na nią z przestrawieniem. Czyżby coś wiedziała? Szukam czegoś w wyrazie jej twarzy, co powiedziałoby mi, co wie, a czego nie wie. Ale nie daje mi na to czasu, tylko wali dalej.

– Ale ja nie jestem tobą. Jestem kobietą, która zachorowała na raka, ma już tylko

jedną pierś i kto wie, czy nie zaledwie parę lat życia przed sobą. Przez te parę lat, które mi zostało, wolę być sama niż z facetem, który nawet nie wie, czy mnie jeszcze kocha. Byłoby to dla mnie straszne, ale wiem na pewno, że dałabym radę...

Przerywa na moment, patrzy na mnie, a potem naprawdę to mówi:

– Może powinniśmy wziąć rozwód, Stijn.

Powiedziała to. To straszne słowo na „R”. Rozwód.

To, co ja przez cały czas wypierałem jako jedną z możliwych opcji, ona podaje mi jak na tacy. Stawia piłkę przed pustą bramką. Wystarczy tylko, żebym do niej podszedł.

Nagle wszystko naraz przelatuje mi przez głowę. Jaka czuję ulgę za każdym razem, kiedy zamykam za sobą drzwi domu, żeby iść do pracy. Jaki jestem szczęśliwy, kiedy znowu mogę wyjść. Jak mi dobrze, kiedy jestem u Roos. Jak jestem strasznie spięty, kiedy wracam do domu, nie mając pojęcia, jaka będzie akurat atmosfera. Ile to już razy byłem gotowy na ślepo podpisać wszelkie papiery, żeby tylko na dobre móc uciec z domu.

A teraz właśnie dostałem taką możliwość. Jeśli teraz powiem „tak”, w krótkim czasie uwolnię się od chłodu. Od braku intymności. Od raka.

– Nie.

Mówię nie. *Czy to ja mówię NIE?!*

– Nie. Nie chcę rozwodu. – *No jak to? Przecież chcesz!*

– Cholera jasna, Stijn, powiedz wreszcie, czego tak naprawdę chcesz! Chcesz jeszcze więcej swobody? Powiedz, na Boga, czego tak naprawdę chcesz. – *No właśnie! Powiedz jej, czego tak naprawdę chcesz!*

– Wiesz, czego tak naprawdę chcę? Żeby nie było tego raka – odpowiadam gniewnie.

– Jak ode mnie odejdiesz, to pozbędziesz się też raka – mówi Carmen sucho.

– Ale kiedy ja nie chcę od ciebie odejść!

Musiało mi całkiem odbić, bo czuję całym sobą, że to prawda, że z całego serca tego nie chcę.

Carmen milczy przez chwilę, a potem bierze mnie za rękę.

– Przemyśl sobie to wszystko dokładnie przez ten tydzień, Stijn. Nie mam ochoty siedzieć i czekać, kiedy w końcu będziesz potrafił powiedzieć, czy mnie jeszcze kochasz, czy nie. Oczywiście chciałabym zostać z tobą, ale coś musi się zmienić. Inaczej każde z nas będzie musiało pójść własną drogą. I ty i ja jesteśmy za dużo warci, żeby tkwić w takim bagnie.

– Jezu, Carmen, że też w ogóle mogło do czegoś takiego dojść – mówię z czułością, gładząc kciukiem skórę na jej nadgarstku.

– To już dzisiaj wieczorem nie będziemy o tym myśleć, tylko zwyczajnie poszalejemy – mówi Carmen z uśmiechem. – Zobaczmy, czy jeszcze to potrafimy.

– Dobra – śmieję się. – W takim razie idziemy do klubu się uchlać.

Dobry plan, Batmanie!

Dawno już nie byliśmy we dwójkę w lokalu. Carmen bierze gin z tonikiem, a ja francuskie piwo kronenbourg. Jest nam super, bawimy się świetnie, śmiejemy się, pijemy, tańczymy. Jest nam dobrze. Razem!

Zataczając się, wracamy do naszego pokoju. Na wyłożonych wykładziną schodach

niedaleko naszych drzwi Carmen zdejmuję spódnicę i figi, i siada szeroko rozkraczona na stopniu. Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakiego dawno u niej nie widziałem. I mamy tam najbardziej szalony seks od lat.

*Have I got a little story for you
and I'm glad we talked...*

(Miałem ci coś do powiedzenia
i cieszę się, że pogadaliśmy...)

Pearl Jam, z utworu *Alive*
(album *Ten*, 1992)

Dwanaście

Carmen jest pobudzona. Bez przerwy robi aluzje do naszego wczorajszego seksu i co chwila mruga do mnie porozumiewawczo. Ani razu nie wróciliśmy do naszej wczorajszej rozmowy. Nawet kiedy Luna poszła spać. Siedzimy i czytamy na małym tarasie należącym do naszego pokoju. Carmen trzyma mnie za rękę i głaszcze ją. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mieli się rozstać. *No fucking way!*

A jednak jestem spięty. Mam jeszcze pod stołem jedną kartę, którą będę musiał wyłożyć, żebyśmy mogli rozpocząć drugą rozgrywkę. Za każdym razem, kiedy Carmen na mnie patrzy, mam zamiar zacząć mówić. Ale za każdym razem się wycofuję. W pewnym momencie jednak zbieram całą moją odwagę i mówię:

– Właściwie jest jeszcze jedna sprawa, o której muszę z tobą porozmawiać, chociaż tak naprawdę pewnie nie powinienem. – Teraz nie ma już odwrotu. – Chodzi o moje... yyy... zdrady...

– Spodziewałam się tego – uśmiecha się Carmen. – Myślę, że dobrze będzie, jak o tym pogadamy. Dawaj.

Jezu, jaka ona jest silna. Ja nie. Czuję, jak zjadają mnie nerwy.

Carmen prostuje się w fotelu.

– No? *Give it to me, baby!*

Śmieję się i postanawiam zacząć od czegoś innego.

– A ty pewnie nigdy mnie nie zdradziłaś? – pytam.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – pyta Carmen.

– Tak – odpowiadam, niczego się nie spodziewając, w myślach przygotowując się do wyznania grzechów.

– Oczywiście, że zdradziłam.

Widzi, że zupełnie nie dociera do mnie to, co właśnie powiedziała, więc mówi jeszcze raz:

– Tak, jak najbardziej zdarzało mi się zdradzić cię, Stijn.

Patrząc na nią zbaraniały. Carmen, która od incydentu z Sharon zawsze powtarzała, że mnie zostawi, jeśli jeszcze raz coś takiego zrobię, ta sama Carmen na pytanie, które miało służyć tylko jako początek, jako przełamujące lody pytanie, jakie zadaje się kandydatowi przy wejściu na egzamin, żeby raźniej się poczuł, ta właśnie Carmen prosto w oczy mówi mi, że ona też pieprzyła się za moimi plecami.

– Yyy... znaczy... ja... no nie wiem... yyy... niby kiedy? – jąkam bez ładu i

składu.

– Parę lat temu w nocy przed Dniem Królowej. Z takim chłopakiem, którego wypatrzyłam w kawiarni Thijssen. Nikt tego nie widział. Wyszliśmy na dwór i tylko się całowaliśmy.

– Co za szczęście.

– Ale z Pimem to już zrobiłam to naprawdę.

– Yyy... niby co zrobiłaś?

– No „to”.

– Aha. A kiedy?

– Parę lat temu. On już nieraz mnie namawiał, żebym z nim poszła na kolację. Zawsze jednak odmawiałam. Ale kiedy poleciałeś do Tajlandii, zadzwoniłam do niego. I wtedy się to stało.

– U nas w domu?

– Tak. I jeszcze w jego samochodzie i... yyy... raz w toalecie.

– Niech to szlag. – *Posłuchaj tylko, jak to brzmi.* – I to wszystko tego jednego wieczoru?

– Nie. Spotkaliśmy się jeszcze dwa razy.

– W ciągu tych czterech tygodni, które spędziłem w Tajlandii?

– Tak – mówi to takim tonem, jakby informowała mnie, że właśnie opróżniła zmywarkę.

Powinienem się tego domyślić. Notabene w Miami sam przecież tłumaczyłem kumplom, że kobiety zdradzają z zemsty. Tak strasznie zależało mi, żeby wyjechać z Frenkiem na wyspę Phangan i tam świętować założenie Merk in Uitvoering. Carmen nie była zbyt zadowolona, bo pewnie domyślała się, że nie jadę tam po to, żeby polerować pomniki Buddy. Kiedy po czterech tygodniach zobaczyłem ją na lotnisku, rozplakała się i padła mi w ramiona. Godzinę później już się kochaliśmy, a ja udawałem, jakbym od tygodni nie miał seksu. Widać z tego, że Carmen udawała to samo. Suka jedna.

– A ty? – pyta.

– Co ja?

– Ile razy?

– Hm. – Wciąż jeszcze jestem przy tym zasranym Pimie, który robi to w samochodzie i w toalecie. Jakież to tanie. Że też moja żona mogła w coś takim uczestniczyć. Buee.

– Halo! Ziemia do Stijna! – pogania mnie Carmen niecierpliwie.

Że co? A, tak. Teraz moja kolej. Od czego by tu zacząć? Na początek pewnie wszystkie były, z którymi to robiłem, będąc już z Carmen. Raz czy dwa z Merel. Przez pół roku prawie w każdy piątek z Emmą, kiedy na nią wpadłem na placu Leidseplein. Od czasu do czasu z Maud po imprezach, na których nie było Carmen. Yyy... czyli... nie, no Jezus, tak to się nie da... powtarzające się razy moim zdaniem nie powinny się liczyć. Dzięki temu cała sprawa robi się trochę łatwiejsza. *A więc trzy.*

Tych trzech razy z prostytutkami też nie będę liczył. To była siła wyższa. Ale te dwie wtedy z Ramonem w saunie nie były zawodowymi prostytutkami, a więc muszę je policzyć. *Pięć.*

Teraz w pracy. Lies i Cindy w BBDvW&R/Bernilvy i parę razy z Sharon. O, i jeszcze Dianne. Policzmy... *Pięć i cztery to dziewięć*. W Merk in Uitvoering znowu tylko Maud po spotkaniu wigilijnym. Ale ją liczyłem już przy byłych. A z Natasją jeszcze tego nie robiłem. A więc wciąż jeszcze dziewięć. O, *shit*, jeszcze ta asystentka przed Maud, z tatuażem w pachwinie, którą musieliśmy zwolnić po trzech miesiącach. Już zapomniałem, jak miała na imię. *Dziesięć*.

Urlopy. Ta zwariowana dzidzia z Hagi, w czasie weekendu z Ramonem na Kanarach, parę lat temu. *Jedenaście*. Potem Tajlandia. Uhhh, niech pomyślę. Może spróbuję wyspami. Ko Samui: ta Irlandka z krostami na cipie i ta brzydka stara Niemra. Rany, ale się Frenk ze mnie nabijał. Sam się do dzisiaj wstydzę. *Yyy... trzynaście*. Samet: ta Szwedka. Chociaż nie, ona zgodziła się tylko zrobić mi laskę. Potem Phangan: Fińska laseczka. *Razem czternaście*. Kurcze jaka to była ostra...

– Ile razy, Stijn?

– Jeszcze liczę.

A więc czternaście. Miami, Linda. *To razem piętnaście*. Coś jeszcze? Na tym zimowym wyjeździe z Ramonem nic nie było. Z Frenkiem w Nowym Jorku? Nie, też nic. *Aaa*, jeszcze Turcja z Hakanem. Ta kelnerka. *Szesnaście*. Hm. To tyle, jeśli idzie o urlopy.

Teraz moje wyjścia. *Dzizaz*, już teraz naliczyłem szesnaście. *Yhm*. Ta dziewczyna ze świątecznej imprezy w Vak Zuid. *Siedemnaście*. Eefje, siostra Thomasa, w zeszłym roku w czasie karnawału. *Osiemnaście*. Ta dziewczyna z Surinamu w Paradiso i ta z kolczykiem w brwiach z De Pilsvogel. *Dwadzieścia*. Dobrze że nie liczę lizania się z języczkiem w Bastille, Surprise, De Bommel i Paradiso, bo zajęłoby mi to jeszcze z godzinę. A, zaraz, jeszcze ta po koncercie Basement Jaxx, z nią to chyba poszedłem nawet do niej do domu. Kurwa, ile tego już było? A, tak, dwadzieścia. Plus może jeszcze jakaś, to *dwadzieścia jeden*. I może jakieś trzy czy cztery, które wyleciały mi z głowy. No i oczywiście Roos. *To może na wszelki wypadek zaokrąglę do dwudziestu pięciu*. Patrzę na Carmen. *Prosimy o zapięcie pasów*. Witamy w świecie monofobii.

– No i?

– *Yyy...* pewnie trochę więcej niż można policzyć na palcach jednej ręki.

– Na palcach jednej ręki?

– No, może dwóch... – *pięciu rąk, fiucie jeden!*

– Niech to szlag.

– A czego się spodziewałaś?

– Miałam nadzieję, że jednak trochę mniej. Ech, Stijn, Stijn... – mówi, kręcąc głową. Nawet nie jest taka zła. – Znam je?

Przełykam ślinę.

– *Yyyy..* naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– No, moje były. Merel, Emma...

– No proszę! – Carmen uderza otwartą dłońią w blat stołu, niemal triumfalnym gestem. – Wiedziałam, no przecież, że wiedziałam... Ta świętoszkowata Emma! Wiedziałam, że dalej to robicie. O Merel też wiedziałam. Cieszę się, że się już z nimi nie widzimy. – *Na wszelki wypadek postaram się przemilczeć Maud*. – Kiedy to wszystko

było?

– Wszystko na samym początku, kiedy jeszcze nie mieszkaliśmy razem.

– No nieee, Stijn! Dżizaz, przecież wtedy pieprzyliśmy się dosłownie jak... jak... jak króliki! Po co ci wtedy były potrzebne te inne?!

– Nie mam pojęcia. Po prostu nie potrafiłem żadnej przepuścić... – *nie potrafiłem?!*

Nie potrafisz, fiucie!

– Jezu, Stijn, przecież to już normalne uzależnienie.

Potakuję ze spuszczoną głową.

– Jeszcze jakieś, które znam?

– Yyy... Eefje.

– Eefje?

– No, siostra Thomasa.

– CO TAKIEGO? Eefje? Kiedy?!

– W zeszłym roku, w czasie karnawału.

– Przypuszczam, że Thomas o niczym nie wie?

– No pewnie, że nie! Zrobiłem wszystko, żeby tak się nie stało – mówię szybko.

Od razu sobie przypomniałem, jak się wydzierał na siostrę, wtedy w De Bommel, kiedy jeszcze się tylko całowaliśmy.

– Twoje szczęście. Inaczej mógłbyś równie dobrze napisać o tym od razu na pierwszej stronie w gazecie. Domyślam się, że Frenk wie o wszystkim?

– O większości tak.

– Kurwa. Niech to szlag, to już mnie trochę wkurza, Stijn.

– Frenk na pewno nikomu tego nie powtarza...

– Przecież nie o to chodzi! Jak ty byś się czuł, jakby twoi kumple wiedzieli, że puściłam się z Pimem? No tak, na szczęście Thomas o niczym nie wie. A Maud? Ona też nie wie? Zaraz, zaraz... – *o, niee, nie zadawaj tego pytania, błagam...* – Chyba nie powiesz mi, że z nią też to robiłeś, co? – *Auć!*

– Z Maud? No coś ty!

– Twoje szczęście. Ale ona wie, że mnie zdradzałeś z innymi?

– No tak, to wie...

– *Shit...* no tak, jak byłeś z Maud, to też ją pewnie zdradzałeś na potęgę, nie?

Potakuję.

– I oczywiście zawsze bez gumki?

– Prawie zawsze z – kłamię. – A ty? Z Pimem?

– Bez.

– O, kurwa.

– No chyba nie będziesz mi miał teraz tego za złe? – mówi rozniewana.

Pośpiesznie zaprzeczam ruchem głowy. Carmen wybucha śmiechem. – No cóż. Myślę, że da się to jakoś wytrzymać – mówi ze śmiechem. – Mój napalony mężulek... Cieszę się, że mi o tym wszystkim powiedziałaś. Chociaż jestem pewna, że o paru dodatkowych zapomniałaś.

– Bo ja wiem... no... niewykluczone...

– Dobra, nieważne. Ale teraz musisz mi przyrzec jedno, Stijn.

– To znaczy? – *O rany, już czuję, na co się zanosi. Nie, błagam, nie, tylko nie to...*

– Że od tej chwili nie będziesz mnie już zdradzał przez te parę lat, które będę jeszcze żyła.

Shit! Shitshitshitshit! Żegnaj, Roos.

– Przyrzekam – mówię pozornie bez wahania, z możliwie najbardziej uspokajającym uśmiechem na twarzy.

*It's raining but there ain't a cloud in the sky,
must have been a tear from your eye.*

(Pada, choć nie widać na niebie ani chmurki,
to pewnie była twoja łza.)

Bruce Springsteen, z utworu *Waiting On A Sunny Day*
(album *The Rising*, 2002)

Trzyńście

Carmen powiedziałem, że wychodzę dzisiaj wieczorem z Ramonem. Ucałowała mnie i życzyła miłej zabawy. Dzień po naszej rozmowie o zdradzaniu jeszcze się popłakała, ale powiedziała, że postara się jakoś z tym wszystkim oswoić. Była ze mnie dumna, że w ogóle miałem odwagę się przyznać. Carmen znowu mi ufa.

Ja sobie nie. Dlatego umówiłem się z Roos w Vertigo, a nie u niej w domu. Wolałbym umrzeć, gdybym wiedział, jak skończy się ten wieczór. Czyżbym miał się pożegnać z moją seksmaszyną, moim okresowym zastrzykiem radości życia, moją dostarczycielką croissantów, moim psychologiem?

„Em-es-gie-de” to termin ukuty przez Ramona. Znaczy tyle, co Miseczki Super Głowa Dupna. Cóż, Vertigo jest tego odpowiednikiem w branży HORECA (hotele, restauracje, kawiarnie), bo można ten lokal nazwać Miejsce Super Kawiarnia Dupna, czyli „em-es-ka-de”. To nawet nie jest typowa kawiarnia kanapowa, a mimo to nudna jak flaki z olejem. Gdyby ją przenieść w inne miejsce, pies z kulawą nogą by nie zajrzał.

Czuję ściskanie w żołądku, kiedy przesuвам wzrokiem po wnętrzu Vertigo, żeby sprawdzić, czy Roos już jest. Zupełnie jakby to była nasza pierwsza randka. Tam siedzi, przy barze. Macha do mnie ręką, uśmiechając się nerwowo. Pytam, czego się napije.

– Może białego wina? Bo coś mi się wydaje, że to nasz ostatni wieczór, prawda? – mówi lękliwie.

– Słodkie czy wytrawne? – pytam.

Nie mam odwagi na nią popatrzeć. Ona na mnie tak. Czuję, że wzrok cały czas ma skierowany na mnie, kiedy patrzę, jak barman napełnia kieliszki. O wiele za szybko mu to idzie. Biorę swój kieliszek i stukam się z Roos.

– Na zdrowko!

– No to słucham, jaki wyrok? – mówi Roos.

– Chcemy z Carmen jeszcze raz spróbować.

– To świetnie. Bardzo się cieszę. Naprawdę.

– I przyznałem się, że przez całe życie zdradzałem.

– A więc jednak. I jak zareagowała?

– Da się wytrzymać. Ale musiałem jej przyrzec, że od tej chwili już jej nie zdradzę.

– A więc jednak ostatni wieczór – mówi Roos ironicznie i unosi w górę kieliszek.

– Ale chyba będziemy mogli się widywać? – pytam i jak każdy zręczny dostarczyciel złych wieści próbuję trochę wszystko złagodzić, dodając ze śmiechem: –

Teraz to już wszystko jasne z obu stron: ty masz sekretny romans z żonatym mężczyzną, z którym nie możesz iść do łóżka, a ja przyjaciółkę od serca, z którą mogę zawsze pogadać, ale muszę trzymać jej istnienie w tajemnicy, bo inaczej musiałbym w domu wyjaśniać, jak się poznaliśmy.

Roos wcale nie jest do śmiechu. Dla niej nie ma w tym nic zabawnego. Jej twarz chmurnieje.

– Dla mnie to nie jest zabawne, Stijn – mówi szorstko. – Nie udawaj naiwnego! Naprawdę nie dociera do ciebie, że już nie możemy się widywać? To chyba oczywiste? Ty na pewno nie będziesz umiał się ode mnie oderwać, a ja nie będę umiała ci się oprzeć. I zaraz całe twoje życie wypełni się poczuciem winy, a ja przez całe życie będę się czuła jak ostatnia szmata.

Nic dodać, nic ująć. Niewidywanie się to jedyna szansa, żebym dotrzymał przyrzeczenia. Za dobrze siebie znam. W zasadzie to powinienem się cieszyć, że sama to powiedziała. Kładę dłoń na jej udzie. Ona bierze ją i odkłada z powrotem na moje udo.

– Lepiej będzie, jak się teraz rozejdziemy, zanim wszystko pójdzie nie tak.

– Czy będę mógł od czasu do czasu zadzwonić albo zamejlować? – pytam ją, zakłopotany jak uczeń, kiedy już stoimy na ulicy i trzymam w dłoniach kierownicę roweru.

– Lepiej nie – mówi Roos cichym głosem, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Pochylam się do niej i po raz ostatni całuję ją z językiem. Potem wsiadam na rower. Odwracam się i widzę Roos, jak stoi przy swoim rowerze.

Płacze.

It's the final countdown.
(To już ostatnie odliczanie.)

Europe, z utworu *The Final Countdown*
(album *The Final Countdown*, 1986)

Czternaście

Tydzień później dowiadujemy się, że Carmen umrze.

– Proszę pokazać, gdzie dokładnie boli – mówi doktor Scheltema.

Carmen pokazuje miejsce tuż poniżej żeber, to samo, które pokazała mi dzień wcześniej. Nieco na prawo od środka, dla patrzącego na lewo.

– Tam jest wątroba, prawda? – spytała mnie wtedy. Żebym to ja wiedział. Wiem, gdzie mam serce, i mniej więcej płuca, znam umiejscowienie żołądka, bo mnie boli, kiedy się za bardzo objem, ale nie mam pojęcia, gdzie mieści się reszta. Kończyłem profil matematyczno-fizyczny.

– Hm – mówi doktor Scheltema. – Bardzo proszę się rozebrać w pomieszczeniu obok.

Zostaję na swoim miejscu. Pani doktor przegląda dokumentację Carmen. Panuje nieprzyjemna cisza. Potem pani doktor wstaje, nie patrząc w moją stronę i wychodzi do Carmen.

– No to zobaczmy – mówi i od razu zamyka za sobą drzwi, więc przypuszczam, że mówiąc „my”, ma na myśli samą siebie.

Chwilę później wraca, myje ręce pod kranem, siada, znowu nie odzywa się ani słowem i ponownie zaczyna wertować dokumentację. Dołącza do mnie Carmen. Pani doktor zamyka dokumentację, zdejmuje okulary i patrzy na nas.

– To, co daje się pani we znaki, to rzeczywiście wątroba – zaczyna. – Obawiam się, że są tam metastazy.

Czasami człowiek słyszy jakieś słowo po raz pierwszy w życiu, ale dziwnym trafem od razu wie, co ono znaczy.

– Czyli przerzuty, tak?

– Tak jest. Chodzi o przerzuty.

Carmen i ja patrzymy na siebie. Przez chwilę jej twarz jest nieruchoma. Potem jej dolna warga zaczyna drgać, a ona zakrywa dłonią usta i z oczu płyną pierwsze łzy. Biorę jej drugą rękę i cały czas patrzę jej w oczy. Prawdziwe *déjà vu* sprzed roku. Ten sam gabinet, te same krzesła, ta sama małomówna doktor Scheltema przed nami. Potem słyszymy, że te czterdzieści procent szans na przeżycie, o których Carmen czytała w Internecie, to mocno na wyrost. Tyle tylko, że nie jest to zero.

– Czy to pewne, że chodzi o przerzuty? – pytam.

– Najlepiej będzie, jak pani sobie zrobi USG wątroby. A potem proszę do mnie przyjść.

Pozwalamy sobą kierować przez korytarze szpitala jak potulne baranki. W końcu

zajmujemy miejsca w jakimś kącie na korytarzu oddziału, gdzie robi się badania USG. Carmen nic nie mówi. Siedzi z pochyloną głową i gapi się na papierową chusteczkę trzymaną w rękę, którą zwija jak bibułę papierosa i z powrotem rozprostowuje. Zwija i z powrotem rozprostowuje. Z gabinetu wychodzi pielęgniarka. W rękę trzyma dokumentację, patrzy na nazwisko, potem na Carmen i pyta:

– Pani van Diepen?

Carmen przytakuje ruchem głowy.

– Pójść z tobą? – pytam.

– Tak, proszę – odpowiada Carmen.

Wchodzimy do gabinetu. Carmen musi się rozebrać i położyć na leżance. Pielęgniarka rozsmarowuje jej na brzuchu błękitny żel. Stoję obok Carmen i trzymam ją za rękę. Drugą ręką gładzę ją po ramieniu. Carmen patrzy na mnie i znowu zaczyna płakać. Czuję, że też wilgotnieją mi oczy. Pielęgniarka bierze do ręki przyrząd, który już znam z badań, które robiliśmy, kiedy Carmen była w trzecim miesiącu ciąży. Wtedy gapiliśmy się szczęśliwi w monitor i kazaliśmy sobie objaśniać, jakie części ciała są już widoczne u tego robaczka cały czas próbującego na ekranie zrobić przewrót głową w przód. Strasznie się z tego z Carmen śmialiśmy. Nadaliśmy temu robaczkowi roboczą nazwę „Hops!”. Carmen uznała, że to najbardziej pasuje, ze względu na te ruchy.

Dzisiaj nie ma śladu tamtej radości i nie mamy najmniejszej ochoty patrzeć na ekran. Twarze obydwu pielęgniarek (a może lekarek? nie mam najmniejszego pojęcia, jaka jest ich ranga czy stanowisko) mówią wszystko. Pokazują sobie coś na ekranie, mamroczą do siebie coś mało zrozumiałego, i jedna z nich wpisuje to do dokumentacji Carmen.

– Bardzo proszę, może się już pani ubrać.

– No i? – pytam.

– Pani doktor Scheltema zaraz wszystko państwu wyjaśni – słyszę w odpowiedzi.

– Nie jest za dobrze – mówi pani doktor, kiedy siadamy naprzeciwko. – Metastaza o rozmiarze trzy na cztery centymetry na górnej krawędzi wątroby.

Spoglądam na Carmen, która znowu zakrywa dłonią usta, co sygnalizuje, że zaraz będzie płakała, ale mimo wszystko decyduję się zadać to pytanie.

– Yyy... to znaczy... ile jeszcze zostało mojej żonie?

– Jeśli szybko czegoś nie zrobimy, najwyżej dwa miesiące...

– A jeśli coś zrobimy? – pytam zaczepnie.

– Szczerze mówiąc, będzie to już tylko wyścig z czasem. Kilka miesięcy dodatkowo przy kuracji taxotere. To inny rodzaj chemioterapii w porównaniu do poprzedniego schematu leczenia CAF. Można wziąć maksymalnie 12 wlewów. Więcej organizm nie wytrzyma. A po zastopowaniu kuracji metastaza natychmiast znowu zacznie rosnać. Możemy liczyć na co najwyżej rok.

– Czy będzie mnie bardzo bolało? – pyta Carmen, szlochając.

– Nie. Oczywiście że nie. Niech pani sobie wyobrazi swoją wątrobę jako fabrykę, która oczyszcza pani organizm z toksycznych substancji. Wskutek pojawienia się guza wątroba w pewnym momencie przestaje funkcjonować. A wtedy zacznie pani mieć coraz mniej energii, będzie pani częściej spała, aż w końcu zapadnie pani w śpiączkę. I wtedy

pani umrze. Wszystko całkiem humanitarne.

– Przynajmniej jedna pozytywna rzecz – mamrocze Carmen przez łzy. W tej sytuacji wszystko może być pocieszeniem.

– Jakie są skutki uboczne takiej kuracji? – pytam panią doktor.

– Takie same jak przy chemioterapii CAF. A więc wymioty, objawy chronicznego zmęczenia, wypadanie włosów, utrata smaku i powonienia. Przy tej terapii będą też protestowały pani mięśnie a skóra nadgarstków i palców stanie się wyjątkowo wrażliwa – tłumaczy doktor Scheltema.

– No dobrze, w takim razie róbmy, co trzeba – mówi Carmen.

– Aha, no i jeszcze straci pani paznokcie – uzupełnia pani doktor.

– Trudno – mówię. Dużej różnicy to już nie robi.

Zoveel te doen, ik heb nog zoveel te doen.
(Tyle do zrobienia, tyle mam jeszcze do zrobienia.)

Toontje Lager, z utworu *Zoveel te doen*
(album *Stiekem dansen*, 1983)

Piętnaście

Może to zabrzmie idiotycznie, ale w zasadzie mi ulżyło – mówi Carmen, zanim jeszcze doszliśmy na szpitalny parking. – Teraz przynajmniej wiemy, w jakim punkcie jesteśmy. Niedługo umrę.

– Carmen, bardzo cię proszę... – To pierwsze słowa, jakie wyszły z moich ust, od kiedy zamknęły się za nami drzwi gabinetu doktor Scheltemy.

– No przecież tak jest. W zeszłym roku wyszliśmy stąd i zupełnie niespodziewanie znaleźliśmy się w sytuacji kompletnej niepewności i bezradności. A teraz mamy pewność.

Jestem zaszokowany tym, co mówi Carmen. Tym, że w ogóle to mówi. Ale coś w tym jest. Wracam myślami do zeszłego roku. Wtedy ten cios był o wiele straszniejszy.

– Chcę wyjechać na wakacje – mówi Carmen z błyskiem w oku. – Tyle razy, ile się da. Chcę jeszcze zobaczyć Irlandię. I tę, no... Barcelonę! Tak, chcę jechać razem z tobą do Barcelony.

Zaczyna mi się to nawet podobać.

– Spytałem Frenka, czy zna tam jakiś dekadenski hotelik – uśmiecham się. – Jeszcze jakieś życzenia, droga pani?

– Chcę wyjechać z wszystkimi przyjaciółmi na weekend do jakiegoś zamku w Ardenach – mówi Carmen w rozmarzeniu. Nagle stała się wzorcowym przykładem radości życia. – Czekał, mógłbyś się zatrzymać przy jakimś barze?

– Po co?

– Kupię sobie papierosa. Wracam do palenia.

Uśmiecham się i zatrzymuję samochód przy znajomym marokańskim barze przy Zeilstraat.

– Zwykle marlboro czy lighty? – pytam przed wyjściem z samochodu.

– Zwykle. Jakiś drobny rak płuc niewiele mi już może zaszkodzić.

*Ik doe wat ik doe en vraag niet waarom,
ik doe wat ik doe en misschien is dat dom,
we doen wat we doen.*
(Robię to co robię i nie pytam dlaczego,
robię to co robię i może to jest głupie,
robimy co robimy.)

Astrid Nijgh, z utworu *Ik doe wat ik doe*
(album *Mensen zijn je beste vrienden*, 1973)

Szesnaście

Z uśmiechem wchodzę do snack-baru. Przede mną stoją dwie osoby. Wyglądam przez okno i widzę Carmen w samochodzie. Patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem. Oszołomiona. Kiedy tak na nią patrzę, uśmiech znika z mojej twarzy.

Co nas jeszcze tak naprawdę teraz czeka?

Różne rzeczy przemykają mi przez głowę. Karetki wzywane w nocy. Gasnąca w oczach Carmen. Strach przed bólem. Łoże śmierci. Śmierć. Śmierć. Czuję skurcz w żołądku. Nagle ogarnia mnie panika. Moja żona umrze. Carmen teraz już naprawdę umrze! Czuję podchodzące do gardła mdłości, boję się, że jeszcze moment i się porzygam. Zaczynam się denerwować, jestem cały mokry od potu.

– Słuchaj, Ahmed, długo jeszcze będę tak czekać? Chcę tylko kupić paczkę papierosów – wybucham nagle.

– Spokojnie, proszę pana, przecież się nie rozdwoję! – mówi gniewnie przyjemny zazwyczaj sprzedawca. Osoby stojące przede mną odwracają się i posyłają mi zabójcze spojrzenia. Kryję się w toalecie. Tam wyjmuję komórkę.

„Są przerzuty, Roos. Mogę do ciebie zadzwonić?”

„Bardzo proszę”.

Ik verzamel mooie momenten.
(Zbieram piękne chwile.)

Herman Brood, w wywiadzie z Henkiem Binnendijkem
(program *Fifty Fifty*, EO) z roku 1994

Siedemnaście

Kochana Luno.

W tej książeczce chcę opisać wszystkie rzeczy, które razem robimy, żebyś zawsze wiedziała, jak bardzo cię kocham. Jestem chora. Mam raka, i kiedy będziesz to czytała, mnie już nie będzie. Mam nadzieję, że ta książeczka będzie dla ciebie fajnym wspomnieniem.

Masz dopiero dwa latka, ale czasami jesteś tak mądra i w dodatku już tak pięknie mówisz. Zeszły rok był dla nas chwilami bardzo trudny i kiedy mnie albo tacie zdarzyło się popłakać, a ty to widziałaś, to przychodziłaś się do nas przytulić i ocierałaś nam łzy z policzków. A wtedy od razu czuliśmy się trochę lepiej. Albo powiedziałaś coś takiego, że mimo łez nie mogliśmy się nie roześmiać i wtedy robiło nam się trochę mniej smutno. Wiele osób przychodzi do nas, żeby nas pocieszyć i nas rozbawić, ale ty robisz to najlepiej ze wszystkich.

Kiedy dziś wieczorem przyszedłam cię jeszcze przytulić przed snem, powiedziałam ci, że bardzo cię kocham. A wtedy ty powiedziałaś, że też mnie kochasz. Nawet nie wiesz, jakie to miłe! Zrobiło mi się od tego całkiem ciepło w środku.

Dużo z tatą rozmawiamy, ponieważ już wiemy, że niedługo mnie już nie będzie. To bardzo smutne, ale mimo wszystko w tym krótkim czasie, który nam jeszcze został, chcemy zrobić dużo fajnych rzeczy we trójkę. Bardzo się z tego cieszę i tak mi jest przy takich okazjach dobrze z moją rodzinką, że aż mi się chce płakać ze szczęścia.

Kocham cię! Twoja mama. Buziaki!

Zo te zien en volgens mij, zijn ze zelf niet zo blij.
(W zasadzie na moje oko nie jest z nimi całkiem spoko.)

Tol Hansse, z utworu *Big City*
(album *Tol Hansse moet niet zeuren*, 1978)

Osiemnaście

Carmen zapisała się do grupy wsparcia. Nazywa tę swoją grupę Muflon.

Muflon = sklepy z gospodarstwem domowym i z odzieżą, wypadły do parków rozrywki jak Centerparcs, magazyny dla kobiet jak Margriet, perfumerie jak Kruitvat i tak dalej. Gdyby Carmen nie miała raka piersi, to w życiu nie odnalazłaby się w grupie takiej jak Muflon. Od czasu do czasu i tak narzeka, kiedy mi opowiada, co się tam u nich na tych spotkaniach dzieje. „Przez pół dnia siedzisz sobie z czterema innymi kobitkami i prowadzisz pogaduszki o raku piersi”.

Najbardziej w porządku jest podobno Toos. Tak jak Carmen jest po trzydziestce, mieszka w Amsterdamie (pozostałe trzy odpowiednio z Zaandam, Mijdrecht i z jakiejś wioski, o której w życiu nie słyszałem) i nie jest brzydka. Może bym nawet powiedział, że ostra z niej laska, gdybym nie wiedział, że też ma tylko jedną pierś.

Wszystkie panie z grupy Muflon straciły już jedną pierś. U jednej z nich nie stwierdzono (jeszcze) przerzutów, jedną już lekarze spisali na straty, a u pozostałych trzech sytuacja jest taka sama jak u Carmen: wcześniej czy później skończy się źle. „W ten sposób za jakiś czas grupa Muflon ulegnie samorozwiązaniu”, dowcipkuje Carmen.

Wszystkie mają też sporo do omówienia, jeśli idzie o swoje związki. Carmen mówi, że jedna z pań rozwiodła się, zaraz jak zaczęła się tragedia z rakiem. Jej mąż sobie nie poradził. A mąż Troos podobno zupełnie nie umie o tym rozmawiać i całe wieczory przesiaduje tylko z komputerem na poddaszu. U trzeciej klubowiczki małżeństwo było w kryzysie, jeszcze zanim zaczął się rak, więc nic się nie zmieniło na gorsze. Podobno wszystkie strasznie się z tego uśmieły.

Spotykają się raz na dwa tygodnie na zmianę w domu każdej z nich. Carmen opowiada, że mężowie też podobno czasem się spotykają. Kiedy to słyszę, robię taką minę, że Carmen powstrzymuje się od pytania, czy nie chciałbym się może do nich przyłączyć.

Carmen dużo te spotkania dają. W Muflonie przynajmniej otwarcie rozmawia się o tym, co to znaczy dla kobiety stracić pierś. A więc temat, którego Anne, Maud, matka Carmen czy dziewczyny z Advertising Brokers nie mają odwagi poruszyć.

W zeszłym tygodniu grupa Muflon była u nas w domu. Kiedy wróciłem z Luną, wszystkie panie jeszcze siedziały. Byłem zakłopotany, kiedy się przedstawiałem, bo wiedziałem, że czasami rozmawiają też o mnie.

– Dzisiaj przyznawałyśmy naszym mężom punkty – oznajmiła mi wieczorem Carmen. – Za to, jak sobie radzą z faktem, że ich żony mają raka, czy zawsze chodzą z żonami do szpitala, czy potrafią o raku rozmawiać i czy nadal są mili, mimo tej tragedii.

- I ile punktów od was dostałem?
- Osiem.
- Osiem? – pytam zdumiony.
- Tak. Kiedy usłyszałam opowieści innych dziewczyn z grupy, to pomyślałam, że jednak nie jesteś jeszcze wcale taki zły.
- To może trzeba kiedyś przy okazji przekazać Thomasowi i Anne wyniki tego spotkania na szczycie? – pytam.
- Nie ma potrzeby – mówi Carmen. – Już to zrobiłam.

*For the ones who have a notion, a notion deep inside,
that it ain't no sin to be glad you're alive.*

(Dla tych, którzy mają pojęcie, tak w głębi siebie,
Że to żaden grzech cieszyć się, że się żyje.)

Bruce Springsteen, z utworu *Badlands*
(album *Darkness On The Edge Of Town*, 1978)

Dziewiętnaście

To lato jest prawdziwym świętem.

Frenk zgodził się, żebym przychodził do firmy tylko w pilnych sprawach i na ważne prezentacje. Przez resztę czasu jestem z Carmen, na ile się tylko da.

Razem z Carmen robimy wszystko, na co mamy ochotę.

Kupujemy bilety na czarnym rynku na wszystkie mecze Pomarańczowych w ramach mistrzostw Europy. Przy czwartym голу Kluiverta w jednej czwartej finału przeciw Jugosławii^[32] Carmen szaleje dokładnie tak samo jak pięćdziesiąt tysięcy widzów na stadionie.

„Ten mecz to był półtoragodzinny orgazm.

Carmen uważa, że było wspaniale!”

– Fajnie by było, jakbym umarła, kiedy holenderska jedenastka zdobędzie akurat mistrzostwo Europy, nie? Skończyłabym wtedy na szczycie... – żartuje sobie. Do tego jednak nie dochodzi. Carmen wytrzymuje dłużej niż holenderska jedenastka. Ale rak ma taki plus, że wszystko relatywizuje. Rekord świata w niewykorzystanych rzutach karnych w meczu z Włochami przyprawia nas o ból brzucha ze śmiechu. Od przegranej się nie umiera. Piłka nożna to przecież tylko gra.

Wyjeżdżamy na weekendy i nocujemy w najlepszych hotelach. W Barcelonie w hotelu Arts. Na najwyższym piętrze, z widokiem na miasto i Morze Śródziemne. Bierzymy największy apartament i bawimy się w chowanego. Carmen jest w tym najlepsza. Znajduję ją dopiero wtedy, kiedy parska śmiechem, bo już trzeci raz przechodzę obok szafy, w której się schowała.

Wieczorami robimy sobie prawdziwe uczty. Doznaję niemal orgazmu, kiedy próbuję tapas w Cerveseria Catalunya przy Carrer de Mallorca.

„Właśnie byliśmy na wspaniałych tapas. Carmen prawie nic nie jadła, ale jest bardzo zadowolona. Ja też”.

„Pieprzony rak. Po tapas próbowaliśmy wrócić na piechotę. Po 5 minutach Carmen śmiertelnie zmęczona.

Musieliśmy czekać prawie godzinę na jakąś taksówkę. Carmen poryczała się z żalu. Zaraz do ciebie zadzwonię, Bogini...”

W Irlandii wybieramy najbardziej luksusowe zamki, żeby zjeść kolację albo przenocować. Carmen ma tak mało energii, że wsiadamy do wypożyczonego samochodu tylko po to, żeby pojechać na lunch do jakiegoś pubu albo na nocleg do kolejnego zamku, ale tydzień jest świetny. Kręcimy filmiki wideo dla Luny, w których motywem przewodnim jest dziecinny humor Carmen & Stijna. Carmen pokazuje, jak można się schować za grubą kobietą w holu hotelu The Morrison w Dublinie. Stijn udaje Red Hot Chili Peppers w czepku kąpielowym z Castle Ballymore na fajfusie. Carmen udaje fokę z protezą piersi na głowie. Stijn udaje Raya Charlesa na klifie Moheru. Carmen odgrywa quiz *Co jest gorsze* (Spalić się czy utonąć? Nie móc siedzieć czy nie móc stać? Nie móc jeść czy nie móc mieć orgazmu? Nie móc zrobić siku czy nie móc zrobić kupy? Mieć raka czy mieć AIDS?). Carmen i Stijn grają w Stijnowo-Carmeńską grę półsłówek (Pradziadek przy saniach. Gra półsłówek. Cijn & Starmen. Mądra Jola. Równy z górki).

„Zabawa przednia, kraj od czapy. Ludzie tu już od 10 rano chodzą narąbani. Kobitki brzydkie jak noc, Carmen mówi, że to najmocniejsza strona Irlandii. Buziaki!”

Po powrocie do Amsterdamu, gdy tylko jest ładna pogoda, płynamy naszą łódką po kanałach. Z rodzicami, przyjaciółmi i dużą ilością wina rosé. Często zatrzymujemy się przy hotelu Amstel i pijemy w ogródku szampana. Albo płyniemy do Oudekerk i robimy sobie dekadencją ucztę w Klein Paardenurg. Kiedy raz przepływamy obok cmentarza Zorgvlied, Carmen mówi, że chciałaby tam być pochowana.

„Chlip. Właśnie przepływaliśmy obok Zorgvlied. Carmen zapytała czy poszedłbym razem z nią poszukać jakiegoś fajnego miejsca gdzie mogłaby być pochowana. Nie zdobyłem się na to”.

Carmen zaprasza grupę przyjaciół, żeby spędzili razem z nami weekend, do zamku w Spa w belgijskich Ardenach. Dwadzieścia trzy osoby, przekrój z całego życia Carmen. Od czasu do czasu w środku jest nawet bardziej mokro niż na dworze.

No i zaczęliśmy polowanie na dom. Właściwie mieliśmy pomieszkać przy Amstelveenseweg jeszcze jakieś trzy lata, żeby z jednym cyckiem, ale mnóstwem pieniędzy, zarobionych w Merk in Uitvoering oraz Advertising Brokers, wyruszyć na poszukiwanie większego domu, ale przerzuty do wątroby zmusiły nas do zmiany planów. To był mój pomysł. Carmen nie była początkowo przekonana do tego pomysłu, ale teraz uważa, że to fajnie, że będzie wiedziała, gdzie będę potem mieszkać z Luną.

– Może nawet sama zdążę tam trochę pomieszkać, jeśli ta kuracja taxotere zrobi swoje – mówi z nadzieją w głosie.

Ja mam nadzieję, że nie, bo jeśli Carmen będzie jeszcze żyła, kiedy przeprowadzimy się do nowego domu, to będzie tylko znaczyło, że tam umrze. A boję się, że wtedy ten nowy dom, tak jak teraz ten przy Amstelveenseweg, będzie dla mnie zarażony skojarzeniem z chorobą i śmiercią. Strasznie bym chciał patrzeć na ten nowy dom jako na symboliczny nowy początek dla Luny i dla mnie. Ale nie chcę się dzielić tą myślą z Carmen.

Mimo wszystko rozmawiamy o przyszłości po śmierci Carmen. Godzinami. W domu, w knajpie, na naszej łodzi, na tarasie. Rozmawiamy o wszystkim.

Razem z tatą rozmawiałam też o tym, że powinnaś mieć zaraz nową mamę. Uważam, że to świetny pomysł. Zarówno dla taty, jak i dla ciebie, to będzie bardzo fajne,

że będzie z wami ktoś, z kim będziecie mogli rozmawiać, śmiać się, klócić i robić fajne rzeczy. I chociaż niedługo mnie już nie będzie, to w myślach i w sercu zawsze będę z wami. Cokolwiek się stanie, zawsze będziesz moim najukochańszym skarbeczkiem, nawet jeśli sama już nie będę mogła z tobą porozmawiać i cię przytulić... Zawsze będę cię kochała, tak samo jak zawsze będę kochała tatę.

Dzięki tym wielu rozmowom znowu się w sobie zakochaliśmy. Cieszymy się byciem razem, każdym dniem, który możemy jeszcze ze sobą spędzić. Stijn i Carmen jako niekoronowani król i królowa Radości z Siebie Nawzajem. A potem żyli krótko i szczęśliwie.

Give me, Give me, Give me the power.
(Daj mi, daj mi, daj mi dość siły.)

Suede, z utworu *The Power*
(album *Dog Man Star*, 1994)

Dwadzieścia

Pomiędzy tym całym korzystaniem z życia jest też zwyczajnie i po prostu do dupy. Skutki uboczne brania taxotere są przerażające. Carmen o jakieś piętnaście lat za wcześnie weszła w menopauzę. Nagle zaczęła mieć uderzenia gorąca, straciła miesiączkę i zaczęła siwieć. To ostatnie zresztą niedługo, bo po trzech wlewach była już znowu łysa. Trzeba było znów wyjąć perukodrapa z szafy. Tym razem wyszły jej też brwi i rzęsy. Przez parę dni próbowała nosić sztuczne rzęsy, ale nic z tego nie wyszło, bo po taxotere bez przerwy łzawią jej oczy. Przez cały dzień chodzi z chusteczką, żeby je ocierać.

Kolejny skutek uboczny jest taki, że ma zapadnięte końce palców, bo odpadają jej paznokcie albo już odpadły. Opuszki palców sprawiają wrażenie, „jakby się je wsadziło między drzwi”. Dzisiaj rano Carmen strasznie płakała, bo nie dała rady zmienić Lunie pampersa. Nie ma już siły w palcach, żeby odkleić te paski z boku. Zaczęła się złościć na siebie, na firmę Procter & Gamble, na raka i na mnie, bo powiedziałem w złości, że przecież mogła mnie poprosić, żebym odpiął pampersa.

– Zrozum, kurwa, że przecież mi zależy, żebym mogła to zrobić sama! – naskoczyła na mnie w odpowiedzi.

Kolejny problem to kaszel. Zwłaszcza nocą. Czasem boję się, że jej tak zostanie. Ale jeszcze bardziej się boję, że to kolejne przerzuty. Płuca to kolejne ulubione miejsce przerzutów przy raku piersi, jak przeczytałem w jakiejś broszurce. Pani doktor nas uspokaja, że to najprawdopodobniej płyn w opłucnej – „czyli zapalenie opłucnej, pani doktor?” – i mówi, że wygląda to na kolejny skutek uboczny kuracji taxotere.

Carmen nie może robić prawie nic, co wymaga jakiegokolwiek wysiłku. Prawie zupełnie nie ma energii. Doktor Scheltema nazwała to efektem kumulacji. Podobno organizm coraz mocniej protestuje przeciwko chemii. Trudno mu się dziwić.

Ale największym problemem jest wkłuwanie wenflonu, którym przez żyły w jej ręku chemia wchodzi do organizmu. To wkłuwanie staje się dla nas symbolem udręki powodowanej przez raka. Wygląda na to, że u Carmen żyły znajdują się głębiej pod skórą niż u większości ludzi. Za każdym razem jest to coraz trudniejsze i bardziej bolesne, i lekarze przez długie minuty próbują się wkłuć w różnych miejscach, zanim im się w końcu uda. Dla Carmen to największa przeszkoda, z każdym tygodniem większa. Za każdym razem jestem przy niej i z trudem powstrzymuję łzy, kiedy lekarz w nieskończoność próbuje się wkłuć w żyłę mojej szlochającej Carmen.

Jeszcze dwa wlewy i mamy za sobą pierwszą sześcioczęściową kurację. Potem trzy tygodnie bez chemii, żeby dać organizmowi Carmen szansę się zregenerować i cały cyrk zacząć się od nowa. Znowu sześć wlewów. Carmen wariuje na samą myśl.

– Żeby tak dało się doustnie, zamiast tego całego kłucia – mówi Carmen, kiedy siedzimy w gabinecie doktor Scheltemy, jak co tydzień przed podaniem chemii. – Dałabym wszystko, żeby to było możliwe.

Kiedy to mówi, znowu nie może się opanować i walczy z łzami.

– Rozumiem – mówi doktor Scheltema krótko – ale takiej możliwości akurat nie ma.

Prowadzę więc moją chlapiącą Carmen do pokoju, na piąty wlew taxotere.

Jeszcze tylko siedem.

„Właśnie ryczałem w kiblu, jak zobaczyłem, jaka Carmen jest cała pokłuta. To okropne, Roos. Zaraz do ciebie zadzwonię, Buziaki”

*Wat me nu na die jaren nog verwondert,
dat ik dat nooit vergeten zal al word ik honderd,
je hebt me belazerd je hebt me bedonderd.*
(Co mnie po tylu latach wciąż zdumiewa,
to to że nie zapomnę tego nawet gdy będę miał lat sto,
bo mnie oszołomiłaś zachwyciłaś jak mało kto.)

Wim Sonneveld, z utworu *Tearoom tango*
(album *Een avond met Wim Sonneveld*, 1966)

Dwadzieścia jeden

Wygląda na to, że można też jednak doustnie.

Carmen dowiaduje się tego od Toos. W Szpitalu im. Antona van Leeuwenhoek, gdzie Carmen brała naświetlania, robią podobno testy z doustnym podawaniem chemii. Już od miesiący. Aż nie chce mi się wierzyć.

Carmen prosi, żebym to ja zadzwonił.

– Na pewno lepiej się dogadasz.

Lekarz ze Szpitala AvL, z którym mnie łączą, potwierdza wersję Toos.

Dowiaduję się, że niestety nie mogą nic zrobić dla pani van Diepen, dopóki jest pod opieką koleżanki lekarki ze Szpitala św. Łukasza. Mówię, że jak najbardziej rozumiem i skontaktuję się w tej sprawie z doktor Scheltemą.

Odkładam słuchawkę. Carmen patrzy na mnie.

– Zgadza się. Można doustnie.

Carmen wybucha płaczem.

Jestem gotów natychmiast jechać do tego pieprzonego szpitala, złapać doktor Scheltemę za rękę i przybić ją do jej biurka tym wenflonem, którym co tydzień kłują Carmen. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Siedem. Osiem. Dziewięć. Dziesięć. Głęboki wdech, a potem dzwonię do Szpitala św. Łukasza i proszę do telefonu doktor Scheltemę. Okazuje się, że jest na urlopie.

Zastępuje ją doktor Tasmiel. Możliwie jak najspokojniej wyjaśniam mu, że cotygodniowe wkłuwanie wenflonu w rękę mojej żony odbywa się z takimi trudnościami i jest tak męczące, że stanowi dla niej ogromne obciążenie psychiczne i że doktor Scheltema została o tym poinformowana, a kończę najzwyczajszą w świecie prośbą o formalne wyrażenie zgody, aby pacjentka pani Van Diepen została przekazana pod opiekę lekarza, który prowadzi testy z doustnym podawaniem chemioterapii w Szpitalu im. Antona van Leeuwenhoek.

Doktor Tasmiel mówi, że nie może mi pomóc w tej kwestii. Wyjaśnia mi, że nie można ot tak po prostu przekierować pacjentki doktor Scheltemy i że jego koleżanka wraca za półtora tygodnia.

Aż się gotuję z wściekłości i mówię mu, że aż do dzisiaj żyłem w naiwnym przekonaniu, że lekarzom ponad wszystko zależy na jakości życia ich terminalnych

pacjentów, a jakość życia mojej żony oscyluje już zatrważająco blisko zera, ponieważ już na kilka dni przed cotygodniowym wlewem bez przerwy płacze na samą myśl, że znowu będą ją kłuli. Następnie zaczynam starą śpiewkę – ale moim zdaniem jak najbardziej teraz uzasadnioną – i mówię, że spodziewałem się trochę większej pokory ze strony lekarzy, ponieważ swój dzisiejszy stan moja żona zawdzięcza błędnej diagnozie jednego z jego kolegów lekarzy, doktora Woltersa, który postawił ją prawie dwa lata temu.

Doktor Tasmil reaguje oburzeniem, mówi, że nic mu na ten temat nie wiadomo i że jego zdaniem nie ma to nic do rzeczy, a ponadto uważa za wysoce niestosowne, że mówię do niego takim tonem.

– Powiedział pan już, co pan miał do powiedzenia? – pytam.

– Tak.

– Świetnie. To teraz ja panu powiem, co ja mam do powiedzenia: otóż nie mam już ochoty tracić czasu na rozmowę z panem!

Następnie dodaję, że jeszcze dzisiaj może się spodziewać ode mnie wysoce nieprzyjemnego faksu z kopią do doktor Scheltemy i lekarza ze Szpitala AvL, ponieważ samopoczucie mojej żony jest dla mnie ważniejsze niż jakiś pieprzony urlop pani doktor.

Carmen pyta, czy nie możemy sprawy zostawić tak, jak jest. Nawet o tym nie myślę. Jestem wściekły. Zostaliśmy zrobieni w konia, wydymani, odesłani na drzewo.

Siadam do komputera. W tekście faksu piszę, że jeśli zajdzie taka konieczność, to pójdę z tą sprawą do prasy, żeby wymusić przyjęcie mojej żony do grupy testowej, i że zastrzegam sobie użycie wszelkich środków, jakimi dysponuję, żeby to przeforsować. Nie mam bladego pojęcia, co to miałoby być, ale moim zdaniem brzmi wystarczająco groźnie.

Następnego dnia po wysłaniu faksu dostaję telefon o wpół do dziewiątej.

– Dzień dobry, mówi doktor Rodenbach, dyrektor medyczny Szpitala im. Antona van Leeuwenhoek. Dostałem pański numer od doktora Tasmia ze Szpitala św. Łukasza.

Dwie godziny później siedzimy w jego gabinecie. Doktor Rodenbach jest jak balsam. Lekarz, który pozwala pacjentowi się wygadać i jeszcze do tego słucha. Mówi, że rezultaty testów z doustnym podawaniem chemii nie są jeszcze do końca pewne, a dotychczasowa kuracja taxotere daje u Carmen dobre wyniki. Odradza więc włączenie się do testów i proponuje rozwiązanie alternatywne, uwalniające Carmen od ciągłego wkłuwania od nowa wenflonu, mianowicie port-a-cath, czyli port naczyniowy. Oryginalna nazwa kojarzy mi się trochę z toaletą chemiczną, ale okazuje się, że chodzi o poręczne urządzenie, które pod narkozą wprowadza się na stałe pod skórę klatki piersiowej pacjenta. A więc drobny jednorazowy zabieg. Zamiast każdorazowego umieszczania wenflonu w żyłę, dokonuje się wkłucia do takiego portu za pomocą specjalnej igły przez silikonową membranę, co jest oczywiście całkowicie bezbolesne i zawsze udaje się za pierwszym razem. A więc żadnego dziobania w żyły. Carmen mówi, że wiedziała o tym urządzeniu już od pół roku, bo dowiedziała się na jakiejś grupie w Internecie. Rozmawiała nawet o tym raz z doktor Scheltemą, ale ta zdecydowanie jej to odradziła twierdząc, że sam zabieg wcale nie jest pozbawiony ryzyka, a urządzenie często ulega zatkaniu. Tak więc jej zdaniem gra niewarta świeczki.

– Cóż... yyy... naszym zdaniem wcale tak strasznie to nie wygląda.

Doktor Rodenbach robi, co może, żeby nie podważać autorytetu doktor Scheltemy

ze Szpitala św. Łukasza. Tej samej doktor Scheltemy, którą już kiedyś pytałem, czy nie lepiej byłoby, gdyby leczenie mojej żony odbywało się w wyspecjalizowanym w terapii raka Szpitalu im. Antona van Leeuwenhoek. Tej samej doktor Scheltemy, która poczuła się dotknięta do żywego, ponieważ dzięki istnieniu Internetu podobno wszelkie informacje na temat raka, wszelkie nowe badania i najnowsze metody ze wszystkich szpitali świata w ciągu kilku godzin docierają do każdego z lekarzy. Ponadto poinformowała nas, że co dwa tygodnie odbywa naradę w sprawie swoich pacjentów z kolegami ze Szpitala AvL.

Najwyraźniej doktor Scheltema nie do końca odrobiła lekcje w ciągu tych ostatnich miesięcy albo po prostu perfidnie nas okłamała, kiedy Carmen z płaczem powiedziała jej, że dałaby wszystko, żeby już tylko jej nie kłuli.

Doktor Rodenbach mówi, że bardziej sobie ceni port naczyniowy niż aplikację doustną, ale że to decyzja Carmen. I proponuje, żeby została jego pacjentką.

Carmen decyduje się na port naczyniowy, na Rodenbacha i Szpital im. Antona van Leeuwenhoek. Widzę, że jest zadowolona, więc też się cieszę.

Szpital im. Antona van Leeuwenhoek (AvL) specjalizuje się w leczeniu raka (nie mylić ze Szpitalem św. Łukasza, który jest szpitalem onkologicznym). Lekarze i pielęgniarki w AvL doskonale rozumieją, co dzieje się w głowach ludzi z zagrażającą życiu lub – jak w przypadku Carmen – terminalną chorobą.

Druga strona medalu to to, że każdy od razu wie, że nie przychodzisz tutaj, bo twoja żona niedawno urodziła albo odbywa rekonwalescencję po operacji wyrostka, ale że chodzi o RAKA. Sam przyłapuję się na tym, że ze współczuciem patrzę na osoby, które obejmując się, idą korytarzem albo w milczeniu siedzą przy automacie z kawą w holu. Pewnie usłyszałbym zaraz, że u matki stwierdzono przerzuty, że u dziadka w każdej chwili można się spodziewać najgorszego albo że lekarze nie dają już żadnej nadziei żonie/mężowi. W zasadzie z AvL jest mniej więcej tak samo jak z dzielnicą czerwonych latarni de Wallen: jak się kogoś tam zobaczy, to od razu wiadomo, dlaczego tam przyszedł.

Zabieg założenia portu naczyniowego to rzeczywiście bułka z masłem i Carmen śpiewająco przechodzi pozostałe wlewy.

Do Szpitala św. Łukasza nie idziemy już ani razu, doktor Scheltema nagrywa się raz na naszą sekretarkę i mówi, że bardzo jej przykro, że tak się stało, jak się stało podczas jej urlopu i że szczerze życzy nam wszystkiego najlepszego. Wierzę jej na słowo i na tym poprzestaję. Carmen też.

Jej życie nie będzie dzięki temu dłuższe, ale może chociaż odrobinę przyjemniejsze.

And when I get that feeling, I want sexual healing.
(A kiedy tak się czuję, to seksu potrzebuję.)

Marvin Gaye, z utworu *Sexual Healing*
(album *Midnight Love*, 1982)

Dwadzieścia dwa

Żeby moje życie też stało się trochę przyjemniejsze, wróciłem do starych przyzwyczajzeń. Znów jestem od nowa uzależniony od Roos.

Dzień po tym, jak stwierdzono u Carmen przerzut, siedzieliśmy w Coffee Company w dzielnicy de Pijp, rano, zaraz po tym, jak odstawiłem Lunę do żłobka.

Coffee Company. Można tu szpanować, ale to zabawa dla zaawansowanych. Im dziwniejsza kawa, tym wyższy status. Trzeba udawać konesera. Żegnaj cappuccino i espresso. Chociaż znasz się na kawie jak krowa na przeciąganiu liny, zamów americano albo ristretto. Wtedy jesteś swój, a o to przecież w tym wszystkim chodzi.

Jak na monofoba bezpieczna pora dnia i dość bezpieczna miejscówka, bo daleko od mieszkania Roos w dzielnicy Oud-West.

Roos słuchała, a ja wyrzucałem z siebie całą frustrację i smutek.

Potem przez całe lato, pomiędzy wakacyjnymi wyjazdami i rejsami łódką z Carmen, potajemnie umawiałem się z Roos w kawiarniach i barach lunchowych. Lękliwie unikaliśmy lokali w pobliżu jej mieszkania, żeby uniknąć ryzyka, że wylądujemy u niej i złamiemy Moje Przrzeczenie Dane Carmen.

Bite cztery miesiące wytrzymałem, trzymając się z daleka od Roos. Od kiedy poznałem Carmen, jeszcze nigdy nie byłem tak długo monogamiczny, czy raczej, mówiąc dokładniej, zerogamiczny – bo poza tym jednym razem w Club Med nic więcej między mną a Carmen nie było. Zaraz potem kuracja taxotere kompletnie odebrała jej ochotę na seks. I tak moje życie seksualne zanikło, ale poczucie winy nie. Po raz pierwszy w życiu moja monofobia zagrała mi na nosie: wciąż prowadziłem podwójne życie, wciąż miałem dwie kobiety, ale z żadną nie mogłem pójść do łóżka. Czasami kutas o mało nie pękł mi z podniecenia, kiedy Roos w kawiarni nieco zbyt intymnie się do mnie przytuliła. Wtedy po przyjsciu do domu ręcznie przynosiłem mu ulgę w kiblu albo pod prysznicem, fantazjując przy tym na jej temat.

Któraś wieczoru po kolejnej chemodramie u św. Łukasza sprawy wymknęły się spod kontroli. Zadzwoiłem do Roos, była akurat w domu i w ciągu piętnastu minut już u niej byłem. Pocieszała mnie. Pocieszanie przeszło w przytulanie, przytulanie w seks. Trochę protestowała, ale nie było odwrotu. Kochaliśmy się na podłodze w kuchni. W minutę potem, kiedy w nią wszedłem, miałem wytrysk. Potem leżeliśmy przytuleni i oboje płakaliśmy.

Przez następne tygodnie coraz bardziej się od niej uzależniałem. Co pół godziny marzyłem, że u niej być. Terminarz moich zajęć przybrał wprost nieludzką formę, jeśli idzie o precyzję rozkładu dnia. Carmen. Luna. Wizyty w szpitalu. Oglądanie domów,

które wybierał dla nas pośrednik. Moja praca. Chociaż to ostatnio regularnie służyło jako alibi dla moich błyskawicznych wypadów do Roos.

Teraz jednak nasz romans to zupełnie co innego niż jeszcze rok temu. W zeszłym tygodniu, kiedy odpoczywaliśmy właśnie w jej łóżku po słodkich igraszkach, Roos powiedziała niespodziewanie:

– Kocham cię, Stijn.

Głupia sprawa, ale w pierwszej chwili odebrałem to bardziej jako coś niezwykle pochlebnego niż zapowiedź poważnych problemów. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się stało. Moje Przyrzeczenie dla Carmen już przecież złamałem, a teraz robi się całkiem trudno.

Kiedy już dotarło do mnie, dlaczego to jej „kocham cię, Stijn” sprawiło mi tak ogromną przyjemność, szczerze mówiąc, aż sam się przestraszyłem. Jej miłosne wyznanie mile łechce moje ego. Znowu czuję się u jej boku mężczyzną, a nie przyjacielem. To kompensacja za moją jednostronną miłość w domu.

Mam pełną świadomość, że taka postawa bynajmniej nie zasługuje na pochwałę. Ale miłość w czasach raka rządzi się własnymi prawami, próbuję sobie tłumaczyć na własny użytek. Roos to jedyna osoba, przy której czuję radość życia, jedyna osoba, z którą jest mi dobrze.

Żaden Frenk, żadna Bastille, żaden alkohol czy ekstazy nie może się z tym równać.

It's my baby callin', says I need you here.
(Dzwoni moja ukochana, mówi że potrzebuje mnie.)

Golden Earring, z utworu *Radar Love*
(album *Moontan*, 1973)

Dwadzieścia trzy

Najpierw myśleliśmy, że tak nam się tylko wydaje, ale po kilku tygodniach nie dało się już temu zaprzeczyć: Carmen ma coraz większy brzuch, chociaż na pewno nie jest w ciąży, a je nawet mniej niż Luna.

Doktor Rodenbach potwierdza nasze przypuszczenia. Taxotere przestało działać. Nie szczędzi czasu, żeby nam dokładnie wyjaśnić, że po wynikach krwi widać, że guz jest znowu aktywny. Wątroba nie pracuje już jak trzeba i zaczyna się jakby pocić. Ten pot to tak zwany płyn puchlinowy, i dla brzucha Carmen jest to sama radość, ponieważ płyn ten zawiera złośliwe komórki rakowe.

Doktor Rodenbach mówi, że jest jeszcze jedna opcja, skoro taxotere przestało działać. Kolejny rodzaj chemioterapii, która nazywa się LV. L oznacza leukoworynę a rzymskie „V” 5-fluorouracyl. Bez skutków ubocznych, wlew raz na tydzień przez port naczyniowy. Patrzymy na siebie z Carmen i wzruszamy ramionami. A co nam zależy. Wszystko w rękę Boga. Tylko że musimy teraz trochę odczekać, ostrzega doktor Rodenbach i ma nadzieję, że kuracja nie okaże się spóźniona, bo można ją rozpocząć dopiero za kilka tygodni. Organizm nie wytrzyma zaaplikowania w krótkim czasie dwóch różnych chemioterapii.

W krótkim czasie brzuch Carmen robi się tak wielki, jakby była w zaawansowanej ciąży. Nie ma się prawie w co ubrać. Carmen jakoś się przemogła i poszła w tym tygodniu do sklepu przy A.J. Ernststraat kupić sobie sukienkę. Ciężową. Kiedy wpadamy niechcący na dawną koleżankę z BBDvW&R/Bernilvy, słyszymy:

– Ale super! Widzę, że drugie w drodze!

Carmen przytakuje z zapałem.

– Tak! Mamy nadzieję, że to będzie chłopiec.

Ale tak ogólnie wcale nam nie jest do śmiechu. Carmen o mało nie pęknie. Doktor Rodenbach mówi, że oczywiście mogą odciągnąć płyn, ale że najserdeczniej nam to odradza. Im częściej się go odciąga, tym szybciej go przybywa. Doktor pyta, czy wytrzymamy jeszcze tych kilka dni do pierwszego wlewu LV.

– Tyle jeszcze dam radę – mówi Carmen.

Wieczorem przed dniem pierwszego wlewu nowej chemii muszę wyjść. Ostatnio tak rzadko chodzę do Merk in Uitvoering, że zaproponowałem Frenkowi, że najpilniejsze rzeczy będę załatwiał raz w tygodniu wieczorem. A wtedy mogę sobie jeszcze spokojnie wpaść na chwilę do Roos.

– Naprawdę wytrzymasz jeszcze do rana z tym brzuchem? – pytam Carmen przed wyjściem do firmy.

– Jakoś dam radę.

Ponieważ wiem, że moja żona oprócz raka choruje też na przesadny optymizm i brak umiejętności skarżenia się, nie bardzo jej wierzę.

– Ale jesteś pewna?

– No przecież mówię. Nie ma problemu.

Ledwie od godziny jestem w biurze, kiedy odzywa się moja komórka.

– Już dłużej nie wytrzymam, Stijn – chlipie Carmen.

– Zaraz będę.

Frenk idzie ze mną. Razem biegniemy do samochodu. W ciągu pięciu minut jesteśmy u mnie i gnam schodami na górę. Po twarzy Carmen widzę, że umiera z bólu.

– Dzwoniłaś już do szpitala? – pytam.

– Nie... nie mam odwagi.

W ciągu 2,43 sekundy wybieram kontakty – szukaj – A – wybierz – AvL – połącz.

– Dobry wieczór, szpital Anto...

– Witam, mówi van Diepen, czy mogę rozmawiać z kimś z nocnego dyżuru na oddziale doktora Rodenbacha?

Kiedy na pytanie lekarza dyżurnego, czy moja żona naprawdę nie wytrzyma do rana, odpowiadam krótkim i węzłowatym: „Nie, natychmiast”, zostajemy poproszeni o przyjechanie w celu zbadania brzucha Carmen.

Frenk zostaje u nas w domu z Luną.

Musimy się dostać na czwarte piętro. Jeśli idzie o przytulność, Szpital im. Antona van Leeuwenhoek'a w żadnym razie nie może konkurować z La Bastille, a pod względem jakości oświetlenia z hotelem Arena, ale późnym wieczorem wygląda jeszcze bardziej ponuro niż zwykle.

Na górze czeka już na nas lekarz, żeby zbadać brzuch Carmen. Może mieć co najwyżej dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat.

– Przyszli państwo na punkcję wodobrzusza? – pyta. Super, znowu nauczyliśmy się jakiegoś słowa. Carmen kiwa głową, że tak. Razem z lekarzem pomagam jej położyć się na leżance. Dostaje znieczulenie i lekarz wprowadza z boku do jej brzucha rurkę o przekroju pół centymetra. Pojemnik powoli zapełnia się płynem. Litr, dwa litry, trzy litry, cztery litry, cztery i pół. Carmen zostaje przechylona na bok jak miska z polewą na naleśniki i lekarz trochę nią rusza tam i z powrotem. Cztery i siedem dziesiątych litra.

Carmen odczuwa wielką ulgę.

– Zupełnie jakby mi się udało wysikać po tygodniu!

Ponieważ ma już pusty brzuch, może w miarę iść. W milczeniu wlecemy się przez ciemny, opuszczony szpital w stronę wyjścia. Piętnaście minut przed północą jesteśmy z powrotem w domu. Frenk siedzi na kanapie i ogląda telewizję. W drodze powrotnej nie odezwaliśmy się do siebie z Carmen ani słowem.

– Napijesz się czegoś? – pytam.

– Może szklankę wody – mówi cicho Carmen.

– Ja sobie naleję kieliszeczek wódki – mówię do Frenka. – Dla ciebie też?

– Wolałbym jakieś piwko.

Siadam i ten wieczór jeszcze raz przesuwa mi się przed oczami. Jest to wieczór,

jakiego zawsze się bałem, od chwili kiedy wiemy, że Carmen ma raka. Panika i konieczność jechania w nocy do szpitala. Ten wieczór wszedł z numerem drugim na listę Top 5 Rakowej Traumatyzacji, zaraz po niekwestionowanym numerze jeden, utrzymującym się na tym miejscu od dawna: goleniu głowy mojej żony. Wybucham płaczem. Carmen przyłącza się do towarzystwa. Frenk ma za krótkie ręce, żeby nas oboje objąć.

– Pewnie powinnam już w południe powiedzieć, że nie dam rady, co? – pyta z poczuciem winy w głosie.

– No pewnie – mówię zły.

– Ale kiedy mnie to tak zbrzydza, że ciągle muszę się skarżyć na ten brzuch...

– Jechanie w panice do szpitala w środku nocy to coś znacznie gorszego.

– Musisz szczerze mówić, jak się czujesz, Carmen – dołącza się Frenk tuż przed wyjściem. – Wtedy przynajmniej Stijn będzie wiedział, że kiedy mówisz, że wszystko OK, to tak naprawdę jest...

Carmen kiwa głową z poczuciem winy, przytula Frenka i wypuszcza go za drzwi.

Chwilę później słyszę nagły wrzask z ubikacji.

– Patrz, co mi się zrobiło! – krzyczy Carmen przerażona.

Po lewej stronie z boku brzucha zrobiła jej się bulwa wielkości kuli bilardowej. Ja też przestraszyłem się nie na żarty. Infekcja? Ciekawe co takiego mogło urosnąć przez trzy godziny od zera do wielkości kuli od bilarda? Udaję spokój. Dzwonimy do lekarza dyżurnego w szpitalu. Nie ma pojęcia, co to może być. Dzwonimy do doktora Rodenbacha.

Pan doktor uwalnia nas przez telefon od przerażenia. Mówi, że to nic poważnego. Ta kula bilardowa to następstwo punkcji, wskutek której powstały perforacje w różnych miejscach powłok brzusznych, i płyn pozostały jeszcze w środku zebrał się pod wpływem siły ciężenia w najniższym położonym miejscu.

– Że też o tym nie pomyśleliśmy – mówi Carmen.

Doktor mówi, że kiedy Carmen się położy, płyn rozleje się z powrotem po całym brzuchu, a do rana te perforacje w zasadzie powinny się zasklepić.

Nim robi się rano, po raz kolejny mam doktora Rodenbacha na linii, ponieważ budzi mnie Carmen, zwiijając się z bólu.

– Panie doktorze, to znowu ja, Stijn van Diepen! – wołam w panice do słuchawki.

– Żona leży obok mnie kompletnie sparaliżowana bólem! Opisuje go jako coś w rodzaju bólów porodowych. Wygląda na to, że jest bardzo silny.

Doktor Rodenbach znowu nie poddaje się panice. Mówi, że za kilka minut wszystko powinno minąć. To znane zjawisko po punkcji wodobrzusza. Po prostu narządy w jamie brzusznej powoli powracają na swoje pierwotne miejsca.

– Żołądek mi się od tego przewraca – mówię.

– Istotnie, tak właśnie należy to sobie wyobrazić.

Biorę Carmen za rękę i szczypię ją mocno, tak jak wtedy, kiedy rodziła Lunę. Chwilę później skurcze przechodzą. Na dworze powoli robi się jasno. Za godzinę obudzi się Luna. Jak gdyby nigdy nic.

Tuż przed tym, zanim śmiertelnie wykończony zapadam w sen, uświadamiam sobie z przerażeniem, że o czymś zapomniałem. Serce wali mi jak szalone.

Dżizaz! Kurwa! Jaki przypał! Kurwakurwakurwakurwa.
Roos cały czas na mnie czeka.

*Een grote bek achter het hek,
een grote bek achter het hek.*
(Walniemy w dziób i będziesz trup,
walniemy w dziób i będziesz trup.)

sektor F Ajaksu^[33]

Dwadzieścia cztery

Roos daje się ugłaskać dopiero po szczegółowej relacji z nocnej wizyty w szpitalu i szesnastu „przepraszam”. Siedzę u niej przy stole w kuchni. Roos ma jeszcze na sobie szlafrok. Odwiozłem Lunę do żłobka i od razu pojechałem do niej. Moja roślina z dzielnicy Oud-West gwałtownie potrzebowała podlania.

– Jest mi coraz trudniej, Stijn... Za każdym razem ta niepewność, czy nie odwołasz spotkania w ostatnim momencie, za każdym razem strach, że u ciebie w domu coś złego się dzieje, kiedy spóźnisz się dziesięć minut, za każdym razem paniczny strach, że może Carmen jakoś się o wszystkim dowiedziała...

– Chcesz powiedzieć, że lepiej, żebyśmy przestali się spotykać? – pytam, zbierając się na odwagę.

– Nie – wzdycha Roos – Oczywiście że nie.

– Nie chcę, żebyś kiedykolwiek czuła się wykorzystywana. Ani teraz, ani zaraz po tym, jak Carmen... yyy... jak już jej nie będzie. Bo już teraz wiem, że zaraz potem będę chciał być przez jakiś czas tylko sam z Luną.

– Daj spokój. Przecież sama o tym wiem. Ale nie chcę tego słyszeć.

– O nie. Musisz to usłyszeć.

Wiem, że to obrzydliwe, ale mówię to absolutnie świadomie. Nawet jeśli jest to szczerłość bardzo egoistyczna, szczerłość, która służy w głównej mierze temu, żeby zmniejszyć moje poczucie, że być może tylko wykorzystuję Roos, żeby jakoś przetrwać ten czas.

A za to powinno się wałnąć mnie w dziób, żebym był trup. Bo wiem, że Roos nigdy mnie nie zostawi w potrzebie.

*I wouldn't wanna take everything out on you, though
I know I do everytime I fall.*

(Nie chciałabym się na tobie wyżywać, chociaż
wiem, że zawsze to robię, kiedy przegrywam.)

All Saints, z utworu *Black Coffee*
(album *Saints And Sinners*, 2000)

Dwadzieścia pięć

Jeśli ta nowa kuracja LV szybko nie zadziała, Carmen nie dociągnie nawet do świąt Bożego Narodzenia. A to by oznaczało, że ta pieprzona kuracja taxotere z tymi wszystkimi męczarniami dała mniej niż pół roku doliczonego czasu gry. Niech to szlag.

Carmen ma już tak spuchniętą wątrobę, że widać ją po prawej stronie jej brzucha jak taką wybrzuszoną bulwę. Wątroba prawie przestała pracować, ale za to tym więcej wydziela płynu. Od czasu ostatniej punkcji Carmen co tydzień musi jeździć na spuszczenie wody z brzucha. Ostatnim razem padł jej nowy osobisty rekord: 7,1 litra. Nie zdziwiłbym się, gdyby był to jednocześnie nowy rekord Holandii i Europy, jeśli oczywiście Carmen nie zostanie zdyskwalifikowana za stosowanie niedozwolonych środków dopingujących.

Powrót narządów na swoje miejsce po każdej punkcji sprawia, że zabieg łączy się z prawdziwą męczarnią. Czasami Carmen przez parę dni zwija się z bólu, tak że nie jest już w stanie tego przede mną ukryć. A wtedy trzeba iść znowu.

Razem z płynem organizm pozbywa się też mnóstwa białka. W sposób widoczny spada jej waga i Carmen z każdym tygodniem ma mniej energii. W dni, kiedy ma pełny brzuch, nie przejdzie nawet stu metrów. W zeszły weekend uparła się, żeby mimo wszystko wyjść z domu. Wzięliśmy wtedy wózek inwalidzki, który dostaliśmy z domowego hospicjum i zrobiliśmy sobie spacer. Skłamałem Carmen, że nie mam żadnego problemu z tym, że ona siedzi na wózku i muszę ją pchać. W rzeczywistości z trudem powstrzymywałem łzy.

Mówiłam ci już, że już nie mogę tak do końca dobrze chodzić i że dlatego będziemy mieli w domu wózek inwalidzki. Wtedy powiedziałaś, że przecież możesz mnie nosić. Było to dla mnie takie miłe a jednocześnie smutne, że aż się rozplakałam, teraz też, kiedy to piszę, łzy same płyną mi z oczu. Czasem to wszystko jest takie trudne. Ostatnio po raz pierwszy podeszłaś do mnie sama i zapytałaś, czy jeszcze jestem chora. A kiedy w tym tygodniu byłaś z nami w szpitalu i zobaczyłaś pana doktora, zapytałaś: „Mama, a czy ten pan cię naprawi?”

Carmen chce wszystkiego, a nie może nic. W zeszłą niedzielę zdecydowała się wziąć poranną zmianę z Luną, żeby chociaż raz mógł się porządnie wyspać. O wpół do dziewiątej przyszła po mnie, bo już dwa razy zdążyła wymiotować.

Carmen dochodzi do siebie dopiero gdzieś koło południa. Dlatego sam ubieram rano Lunę, daję jej płatki i wiozę do złobka. W weekendy jadę z Luną rano do takiego

gospodarstwa w Lasku Amsterdamskim, gdzie są małe kózki, albo na plac zabaw w Vondelpark. Czasami tak mi żal Carmen, że nawet jej nie mówię, gdzie byliśmy.

Prawie każdego dnia udaje mi się wygrzebać z łóżka dopiero około południa. Rano jest ze mną najgorzej. Tata wstaje zawsze rano razem z tobą i wszystko robi. Czasami naskakuję przez to na tatę, bo sama nie mogę tego wszystkiego robić. Ci, którzy są najbliżej mnie, dostają ode mnie największe cięgi, chociaż wiem, że to bardzo niesprawiedliwe. Ale i tak mam wrażenie, że ja i tata jesteśmy teraz mocniej ze sobą związani niż przedtem. Mimo wszystko tata wciąż stara się cieszyć ze wszystkiego, z czego się da, co z kolei dodaje sił mnie, i dlatego próbujemy jeszcze robić razem różne fajne rzeczy, kiedy zdarzy się taki dzień, że lepiej się czuję.

Tylko że takie dni, kiedy Carmen lepiej się czuje, są rzadkością. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że Carmen nie dała rady pójść na spotkanie mikołajkowe do żłobka. Udało jej się zwlec z łóżka, była już ubrana, ale jednak nic z tego nie wyszło. Tak fatalnie się czuła. W żłobku jestem jedynym facetem – nie licząc Świętego Mikołaja i dwóch Czarnych Piotrusiów, jego pomocników – w gronie dwunastu mam.

– Jeśli już nawet takich rzeczy nie mogę robić, to to wszystko nie ma już dla mnie sensu – chlipie Carmen, kiedy wracam z Luną do domu.

Powódź zalała mi policzki^[34].

Zauważam, że także Carmen czuje zbliżający się koniec. Stara się jak najszybciej zrealizować swoje plany, zamierzenia i pomysły.

I tak na przykład powiedziała Maud, Anne, Thomasowi i Frenkowi, żeby zrobili sobie po specjalnej obrączce.

– Niech to będzie taka wspomnieniowa obrączka.

Ja też sobie taką zrobiłem. Już niedługo zamienię na nią moją ślubną obrączkę. Carmen dała na niej wygrawerować „Dla mojej wielkiej miłości. Od Carmen”. Kiedy odbieramy obrączkę, pani, która ją dla nas wykonała, pyta, czy bierzemy ślub.

– Nie, to na inną specjalną okazję – mówi Carmen swobodnie.

– A, to już wszystko wiem – stwierdza pani i wiele mówiącym ruchem głowy wskazuje na brzuch Carmen. – Co za piękny pomysł, żeby to uczcić obrączką!

W mejlu do przyjaciół i znajomych prosi, żeby napisali coś o niej dla Luny. Napływa masa listów. Kupujemy wielkie pudło, do którego składamy listy razem z pamiątkami Carmen, zdjęciami i – to pomysł Frenka – dwoma filmami wideo, na których przyjaciele mówią o Carmen. Już niedługo Luna nie będzie miała mamy, ale jeśli tylko zechce, to może o niej wiedzieć nawet więcej niż dzieci, których mamy żyją.

W broszurce *Fundacja Za Łukiem Tęczy*, która leży w poczekalni Szpitala AvL, Carmen czyta o psychologach dziecięcych wyspecjalizowanych w „przepracowywaniu żałoby z dziećmi”. Łądujemy u psycholożki przy Rapenburgerstraat. Bez Luny, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać.

Gabinet jest pełen dziecięcych zabawek. Na ścianie wiszą rysunki dzieci. Na jednym widać wielki krzyż i laleczkę ze skrzydełkami. „Moja mama” jest na nim napisane dziecięcym pismem. Mam tylko nadzieję, że Carmen nie zobaczy tego rysunku. Psycholożka objaśnia nam, co dzieci później zapamiętują z tego, co dzieje się z ich bliskimi, co rozumieją z pojęcia śmierci, i jaki to ma wpływ na dziecko, kiedy dorastają z

rodzicami. Kiedy mówimy, że Carmen pisze listy do Luny, pani psycholog chwali nas, że to znakomity pomysł. Inaczej bowiem Luna zupełnie nie pamiętałaby mamy. Carmen tego słucha i nie może powstrzymać łez. Pani psycholog odczekuje trochę, a potem mówi, że dzieci w wieku od trzech lat można już z powodzeniem przygotować na śmierć rodzica.

– Tylko proszę tego nie robić zbyt pośpiesznie – ostrzega – wystarczy nie ukrywać, że mama jest chora i że być może za jakiś czas już jej nie będzie.

Daje nam wskazówki, w jaki sposób możemy o tym mówić Lunie i ostrzega przed czymś, co nazywa „mechanizmem odrzucenia”.

– Kiedy dzieci słyszą lub zaczynają się orientować, że tracą kogoś, kogo kochają, czasami zaczynają wtedy być mniej miłe, a czasem wręcz nieprzyjemne dla tej osoby. To instynktowna reakcja psychiczna, mająca na celu ochronę przed bólem, jaki wywoła rzeczywisty brak tej osoby.

Przeraża mnie to, co słyszę, ale nie z powodu Luny. Rozpoznaję w tym moje własne zachowania. Moje wątpliwości, czy nadal Carmen kocham, moja monofobia, która zaczyna przybierać coraz bardziej maniakalne formy. Dziecko Stijn demonstruje mechanizm odrzucenia.

Wieczorem czytam Lunie książeczkę *Żabka i ptaszek*, którą dała nam pani psycholog. Mowa w niej o ptaszku, który leży do góry nóżkami, a jedno zwierzątko myśli, że on śpi, a drugie, że jest zmęczony.

Zajaczek ukląkł przy ptaszku i patrzy uważnie.

– *On nie żyje – mówi po chwili.*

– *Nie żyje? – zdziwiła się Żabka. – A co to znaczy?*

Zajaczek pokazał na błękitne niebo.

– *Każdy umrze – powiedział.*

– *My też? – spytała Żabka zdumiona.*

Tego już Zajaczek nie wiedział na pewno.

– *Może jak będziemy starzy – powiedział^[351].*

Robią ptaszekowi pogrzeb i zakopują go w ziemi i są bardzo smutni. A potem zaczynają się wszyscy wesoło bawić. Kiedy to czytam, Luna gładzi mnie rączką po ramieniu. Widzi, że trudno mi się to czyta i współczuje mi. A ja współczuję jej, bo Luna jeszcze nie wie, że ten ptaszek to jej mama.

Carmen ma swój sposób mówienia na ten temat.

Kupiliśmy kiedyś dwie rybki, które nazwałam Elvis i Beavis. Bardzo ci się podobały. W zeszłym tygodniu nagle zobaczyliśmy, że Elvis pływa w akwarium do góry brzuchem i jest nieżywy. Właściwie niespecjalnie się tym zmartwiłam, bo dzięki temu po raz pierwszy zobaczyłaś na własne oczy, że zwierzątka, tak jak i ludzie, umierają. Zapytałaś, jak to się stało, że on już nie żyje, a ja powiedziałam, że być może był bardzo chory i nie mógł już wyzdrowieć, tak jak to się dzieje czasem z ludźmi. Wtedy też umierają. Powiedziałam też, że Elvis najprawdopodobniej poszedł do nieba dla rybek. Wydało ci się to zupełnie normalne. Potem wrzuciłam Elvisa do ubikacji i spuściłam wodę. Kiedy tata wrócił wieczorem do domu, opowiedziałaś mu, że rybka umarła i poszła do nieba dla rybek. „Jest teraz w ubikacji”, powiedziałas. Niedługo potem Beavis też wyzionął ducha i razem wrzuciliśmy go do ubikacji i spuściliśmy wodę. Nie było to dla ciebie nic strasznego, bo

powiedziałaś, że teraz jest przynajmniej znowu ze swoim przyjacielem Elvisem. Kiedy niedługo umrę ja, to pójdę do ludzkiego nieba, a ty sama powiedziałaś mi, że to jest między chmurami. A więc już zaczynasz troszkę to wszystko rozumieć.

*Een eigen huis, een plek onder de zon,
toch wou ik dat ik net iets vaker simpelweg gelukkig was.*
(Własny dom, własne miejsce pod słońcem,
ale wolałbym po prostu trochę częściej być szczęśliwy.)

Rene Froger, z utworu *Een eigen huis*
(album *Iedereen is anders* 1989)

Dwadzieścia sześć

„Bogini, kupiliśmy dom! W dzielnicy Oud-Zuid, *yeah*. Verhulstraat. Carmen przeszczęśliwa. Fajnie, co?”

Dzielnica Oud-Zuid to rezerwat luksusu w Amsterdamie. Pojemnik winogron kosztuje tu więcej niż miesięczny czynsz w dzielnicy Bos en Lommer. Wszystko jest tutaj takie och i ach, że nawet zwykły snack-bar nosi francuską nazwę Le Sud.

Carmen jest superzadowolona. Dzwoni i mejluje do wszystkich o tym domu. Anne i Thomas przychodzą go obejrzyć, a ja się trochę wstydzę. Dom jest wspaniały, ale absurdalnie wielki. Cztery piętra i trzy razy taki jak ten, w którym mieszkamy teraz. A niedługo będą w nim mieszkały nie trzy, tylko dwie osoby.

W sobotę po podpisaniu umowy kupna idziemy do paru sklepów meblowych na wyspie KNSM. Zdaniem Frenka ma tam swoją siedzibę salon wzorcowy firmy Poggenpohl, produkującej kuchnie, poza tym według niego koniecznie musimy też zajrzeć do World of Wonders oraz Pilat & Pilat, gdzie są meble z prawdziwego drewna. Ale już po dwóch sklepach Carmen jest wykończona. Jej brzuch omal nie pęknie. I tak oto mamy dom jak pałac, dość pieniędzy i dość czasu, żeby go urządzić, ale brakuje nam siły na odwiedzenie paru sklepów.

Jedziemy stamtąd prosto do Frenka i prosimy, żeby nam pomógł. Zgadza się z chęcią i całkowicie angażuje się w projekt. Co wieczór oglądam z nim próbki wykładzin podłogowych, drewna i korka, przeglądam katalogi mebli i foldery z oświetleniem. Wyglądamy jak para, która wygrała główną nagrodę w programie *Honeymoonquiz*.

W niedzielę po tym, jak odebraliśmy klucze, przyjechała matka Carmen, żeby obejrzyć dom. Przeczynałem, co się stanie, ale jednak przeraziłem się, kiedy to się naprawdę stało. Kiedy obejrzeliliśmy już prawie cały dom i stajemy na trzecim piętrze w pomieszczeniu, gdzie będzie pokój Luny, matka Carmen zakrywa dłonią usta, a jej ramiona zaczynają drżeć. Podchodzę do niej i biorę ją w ramiona w przyszłym pokoju jej wnuczki. Obydwoje zdajemy sobie sprawę, że Carmen nigdy już nie będzie tu przytulała Luny, tak jak jej matka robiła to z nią.

Shiny happy people.
(Promienni szczęśliwi ludzie.)

R.E.M., z utworu *Shiny Happy People*
(album *Out Of Time*, 1991)

Dwadzieścia siedem

Nagle kuracja LV zaczyna działać i Carmen czuje się lepiej.

Rano jeszcze czuje się fatalnie, ale w południe ma już trochę energii i często wychodzi z domu. Kupuje na potęgę. Dobrze, że niedługo przenosimy się do nowego domu. Przynajmniej będzie miejsce w szafach na te wszystkie nowe rzeczy.

Z nowym domem idzie jak po maśle. Załatwiam wszystko w banku, organizuję przeprowadzkę, notariusza i sprzedaż starego domu. Carmen nie musi o niczym myśleć i to się dobrze składa, bo od kiedy przestała pracować, pamięć ma dziurawą jak szwajcarski ser^[36]. Kosztuje mnie to wszystko masę czasu, ale przyjemnie jest to robić. Myślę, że to dlatego, że chodzi o przeszłość. Przyszłość. Mhmm. Wypatruję jej każdego dnia.

Wszystkie prace w nowym domu wykonują Manusowie.

Manusowie to znamienity duet składający się z Ricka i Rona. Ja sam nie ruszam nawet palcem. Mam dysleksję, jeśli idzie o pracę fizyczną, i hołduję zasadzie Johana Cruiffa, że należy poprawiać swoje mocne strony, a ukrywać słabe. Bez żenady kultywuję moje dwie lewe ręce. Rick Manus regularnie zostawia karteczki, na których pisze rzeczy w rodzaju „Patrz, Stijn, a to jest młotek!“. Odpowiadam, że nie muszą się popisywać, tylko po prostu ciężko pracować i że obserwuję ich już od tygodni, bo zainstalowałem kamerkę internetową w oczkach Króliczka, pluszaka Luny, który razem z Mafem, jej psem przytulanką, mieszka już na próbę w nowym domu. Dzień później oczy Króliczka są zaklejone taśmą.

Jeśli idzie o tempo, to nie można mieć zastrzeżeń. Manusowie z niezwykłą prędkością doprowadzają do użytku jedno pomieszczenie za drugim. Sypialnia Luny zgodnie z planem jest gotowa jako pierwsza. Jeśli Manusowie i kuracja LV nadal będą działali tak, jak działają, to wygląda na to, że Carmen zdąży jeszcze zamieszkać w nowym domu.

Osoby z naszego otoczenia nie mogą się już w tym wszystkim połapać. Nikt tego wprawdzie głośno nie mówi, ale zauważamy, że nasi przyjaciele zaczynają wątpić, czy rzeczywiście jest aż tak dramatycznie, jak opowiadamy. Od Maud i Frenka usłyszeliśmy, że ktoś w Merk in Uitvoering założył się w czasie lunchu, że Carmen spokojnie dożyje siedemdziesiątki. Sam usłyszałem, jak Thomas powiedział któregoś razu do Frenka, że Carmen ostatnio „tak zdrowo wygląda”, a w czasie jednego ze spotkań firmowych w Advertising Brokers Carmen usłyszała pytanie, kiedy wraca do firmy. Nie czy wraca, tylko kiedy.

Doskonale to rozumiemy. Półtora roku temu powiedzieliśmy, że Carmen ma odmianę raka, przy której szanse na przeżycie są minimalne. Mówiliśmy tak przez cały

rok. A potem powiedzieliśmy, że Carmen już na pewno umrze, bo ma przerzuty. Na początku grudnia wyglądało na to, że się to ziści: Carmen z dnia na dzień była słabsza. A teraz minęło parę kolejnych miesięcy a Carmen wiedzie się śpiewająco! Zobaczycie, że wszystko jeszcze dobrze się skończy. Ogólnie z Carmen jest rzeczywiście coraz lepiej. Odrośły jej włosy, wygląda doskonale, w ogóle nie widać, że nosi protezę piersi, jest strasznie wesoła. No, niby tak, trochę schudła i ten wydęty brzuch nie wygląda najlepiej, ale przecież jest dobrze?

Przyjaciele, rodzina, koledzy i znajomi mają ograniczoną możliwość wczucia się w życie osoby cierpiącej na śmiertelną chorobę. Takiej osobie może się chwilowo polepszyć albo po upływie jakiegoś czasu umiera, to przecież chyba proste?

Otóż to wcale nie jest takie proste.

– Są pacjenci, którzy stosując kurację LV, powstrzymują raka na długie lata – powiedział nam doktor Rodenbach – ale równie dobrze już za tydzień wszystko może przestać działać. Zupełnie tego nie wiemy.

Meta maratonu znowu została przesunięta do przodu. O nieznaną liczbę kilometrów. Zostaliśmy wrzuceni z powrotem w niepewność, w której żyliśmy przez cały pierwszy rok, od momentu, kiedy u Carmen odkryto raka.

No, cóż, dziękujemy, panie doktorze.

*Despite all my rage,
I am still just a rat in a cage.*
(Mogę się wściekać, ile wlezie,
a i tak jestem tylko szczurem w klatce.)

Smashing Pumpkins, z utworu *Bullet With Butterfly Wings*
(album *Mellon Collie And The Infinite Sadness*, 1995)

Dwadzieścia osiem

Teraz, kiedy Carmen czuje się trochę lepiej, nie może oczywiście całymi dniami tylko robić zakupów, chociaż robi, co w jej mocy. Zaczęła znowu myśleć o innych rzeczach. Jak na przykład o moich wyznaniach z Club Med. Na początku to wyparła. Byliśmy razem szczęśliwi i chcieliśmy maksymalnie wykorzystać ten czas, jaki nam pozostał, żeby cieszyć się życiem. Jej ciało do tego stopnia zostawiło ją na lodzie, że cała jej uwaga i energia skupiała się na tym, żeby jakoś przeżyć.

Teraz jednak kwestia mojej monofobicznej przeszłości znów stanęła u niej na wokandzie. Ostatnio coraz częściej do mnie dzwoni w ciągu dnia, żeby sprawdzić, gdzie jestem i coraz częściej dopytuje się, co robiłem, kiedy nie ma mnie chociaż godzinę.

Jeszcze tego wprawdzie nie powiedziała, ale już czuję przez skórę, że będzie chciała postawić pod znakiem zapytania Piątkowe Wyjścia Stijna. Przynajmniej na jakiś czas. Wkurzyłem się maksymalnie, zanim jeszcze w ogóle zdecydowała się o tym wspomnieć. Już na samą myśl. Czy naprawdę nie ma już na tym świecie nic świętego?

Dzisiaj jest piątek. Mój plan jest taki, żeby dziś wieczorem wyskoczyć gdzieś na chwilę z Ramonem, a potem pójść do Roos. Włożyłem moją różową koszulę i buty z wężowej skóry i wchodzę do salonu. Carmen leży na kanapie i ogląda telewizję. Już po wyrazie jej oczu widzę, że moje przypuszczenia były słuszne. Zachowuję się, jakby nigdy nic i całuję ją na do widzenia.

– To widzimy się rano, kochanie – mówię przymilnym tonem.

– Tak właściwie to nie chciałabym, żebyś dziś wychodził.

– Kochanie, jeśli coś by się działo, w ciągu piętnasu minut jestem w domu. Biorę przecież komórkę.

– Nie w tym rzecz. Po prostu chciałabym, żebyś został w domu.

– Że co, proszę? Za dziesięć minut jestem umówiony z Ramonem. Przecież już ci mówiłem! Cały dzień cieszyłem się na to wyjście... To moja jedyna rozrywka w całym tygodniu.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zacząłeś się pieprzyć z tymi wszystkimi babami – mówi Carmen chłodno.

– Carmen, przecież to kom-plet-nie bez sensu! Chyba wystarczająco długo rozmawialiśmy o całej sprawie w Club Med.

– Tak. Ale teraz myślę o tym zupełnie inaczej. Skąd mogę mieć pewność, że dalej mnie nie zdradzasz?

Sam nie mam pojęcia, jak to robię, ale udaje mi się odegrać najświętsze oburzenie.

– Carmen! Zachowuj się normalnie! Chodzę z tobą na chemię, naświetlania, wyklócam się w twoim imieniu z lekarzami, wyciągam ich w twoich sprawach z łóżka, ja... ja... to wszystko robię dla ciebie!

– Wszystko, co dla mnie robisz, nie ma z tym nic wspólnego. To zwyczajnie normalna rzecz. Na dobre i na złe, pamiętasz jeszcze, panie Stijn van Diepen? – dogryza mi.

Teraz to już naprawdę się wściekłem. Niemożliwe, żeby tak powiedziała. Po prostu niemożliwe. Czekam jeszcze przez chwilę, dając jej szansę wyjaśnienia, że nie to miała na myśli.

– To proszę bardzo – mówię załamującym się głosem. Biorę słuchawkę telefonu, rzucam ją na kanapę i mówię: – Jak tak, to dzwoń do Anne, do Maud albo do swojej matki. Niech od tej chwili one się tobą zajmują, skoro to, co dla ciebie robię, jest takie normalne. Przenoszę się do hotelu.

Wstaję i idę ciężkim krokiem do drzwi. Carmen rzuca we mnie słuchawką.

– Znowu uciekasz! Dobra, spadaj pieprzyć się z jakąś babą! – wrzeszczy. – I odpierdol się ode mnie! Nie potrzebuję cię!

Nie potrzebuję cię. Nie potrzebuję cię. Po półtora roku łożenia po szpitalach i gabinetach lekarskich, po tych wszystkich płaczach, strachu i tragediach ona mnie nie potrzebuje.

Nie posiadając się z wściekłości, otwieram drzwi do holu. Nie potrzebuję cię. W takim razie bujaj się sama ze swoim rakiem, Carmen van Diepen. Ja odchodzę. Wściekły wkładam kurtkę i klnąc na czym świat stoi, otwieram drzwi wyjściowe.

I nagle nieruchomieję.

Moja żona ma raka i niedługo umrze. Nie mogę odejść. W żadnym razie nie mogę odejść. Zamykam drzwi i zdejmuję kurtkę. Patrzą na swoje odbicie w lustrze. W żadnym razie nie mogę odejść. Z salonu dobiega cichy głos Carmen.

– Stijn...?

Otwieram drzwi i wracam do salonu. Carmen stoi w progu.

– Przepraszam cię... – mówi cicho. – Przepraszam cię, Stijn...

Patrząc na nią zrozpaczony, podchodzę i biorę ją w ramiona. Opiera się na mnie bezwładnie jak szmaciana lalka i zaczyna rozdzierająco szlochać.

„Ramon, dziś wieczorem nic z tego. Opowiem ci kiedyś”.

„Bogini, kłopoty w domu. Nie mogę przyjść. Zadzwoń jutro. Przepraszam”.

Po godzinnym płaczu, pocieszaniu i wzajemnym przeproszaniu decydujemy się zadzwonić do Frenka i zapytać, czyby do nas nie wpadł. Żeby była jakaś odmiana. Frenk nie może.

– Siedzę w Bep.

– O.

– Coś się dzieje?

Café Bep. Dizajnerska kawiarnia, gdzie pomyślano o wszystkim, nawet o koszach na śmieci. Lokal mieści się przy Nieuwezijds Voorburgwal, która to okolica od dziesięciu lat jest „tym” miejscem dla wszelkiego rodzaju hipsterstwa. Zaczęło się od Seymore

Likely i Schuim (na roku Spuistraat), potem były Diep i Bep. W pewnym okresie chodził tam każdy, kto działał w reklamie (wszystkie ostre asystentki, dziewczyny z telewizji i hostessy), więc i ja z Ramonem przez jakiś czas się stamtąd nie ruszaliśmy. Aż w końcu zebraliśmy się na odwagę, żeby przyznać się przed sobą, że jednak bardziej nam leży Bastille, a wtedy – *Ordnung muss sein!* – życie znowu wróciło do normy.

– Nie, nie, nic. Nie ma sprawy. Baw się dobrze!

– Na pewno będę!

Dzwonię do Maud. Od razu słyszę knajpiane odgłosy.

– Stijn? – krzyczy w komórkę. – Słabo cię słyszę. Siedzę z Natasją w De Pilsvogel. Rozłączam się i piszę esemesa, że to nie było nic ważnego.

– Wszyscy siedzą gdzieś w mieście i chleją – mówię z zazdrością.

Carmen nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy.

Zaczynam jej współczuć.

– Daj spokój, kochanie, już dobrze. Zadzwoń do Anne?

– No coś ty – śmieje się Carmen. – Jak jej powiemy, o co była awantura, to zaraz osobiście dopilnuje, żebyśmy zaraz mieli kolejną.

Dzwonię do matki Carmen. Zaraz wyczuwa, że coś jest na rzeczy i jeszcze zanim zdążyłem zadać jej to pytanie, sama się oferuje, że zaraz przyjedzie. Po półgodzinie jest już u nas. Rozmawiamy o wszystkim i o niczym, ale ani słowem nie zahaczamy o to, co niedawno się tutaj działo. O jedenastej Carmen śmiertelnie wykończona idzie do łóżka. Otwieram jeszcze jedną butelkę czerwonego wina i zostaję z matką Carmen na dole.

Kiedy na górze robi się cicho, matka Carmen pyta, o co była awantura.

– A ty skąd o tym wiesz? – pytam zdumiony.

– Matka wyczuwa takie rzeczy – mówi ona ze śmiechem. Potem patrzy na mnie. – Jakiś czas temu Carmen opowiedziała mi o wszystkich twoich zdradach.

– O? – mówię przestraszony.

– Gdybyś był moim synem, to przetrzepałabym ci spodnie.

Uśmiecham się, żeby jakoś zachować twarz.

– Wiesz, chłopcze – mówi moja teściowa – nie śpię nocami przez tego pieprzonego raka i przez to, co on z wami wyprawia. Jakbym mogła, to najchętniej miałabym tę amputację piersi i chemioterapie zamiast Carmen. Doskonale rozumiem, że może jej czasem odbijać.

– Ja też – przyznaję cicho.

– Ale taki areszt domowy do niczego nie prowadzi. Jutro rano powiem to Carmen. Widzę przecież, jak ci czasem ciężko. I uważam, że wspaniale się wobec niej zachowujesz. – Przytula mnie i głaszcze. – Jestem dumna, że mam takiego zięcia.

Całkowicie ginę w objęciach mojej teściowej.

– Czy nie myślisz od czasu do czasu, jakby to było dobrze, gdyby to się wreszcie skończyło? – pyta.

– Tak. Szczerze mówiąc, zdarza mi się – mówię cicho.

– Doskonale to rozumiem, chłopcze – mówi ona łagodnie. – Doskonale to rozumiem. Nie masz się czego wstydzić.

Całuje mnie w czoło i ociera łzy.

– A teraz zrób mi kawy, gągatkę jeden!

Fuck you, I won't do what you tell me.
(Wal się, nie będę robić, co mi każesz.)

Rage Against The Machine, z utworu *Killing In The Name Of*
(album *Rage Against The Machine*, 1992)

Dwadzieścia dziewięć

Jak ma Ramon na nazwisko? – woła Carmen.

– Del Estrecho – odkrzykuję.

– Del Esterecho... Chyba na dwie osoby.

Cisza.

– Okay. Nie, nie wszystko w porządku, chciałam tylko coś sprawdzić. Dziękuję bardzo.

Rozłącza się.

– Teraz mi wierzysz? – wzdycham, nie podnosząc głowy znad gazety.

Ona też wzdycha i kiwa głową.

– No to zmykaj.

„Będę dziś u ciebie około wpół do jedenastej, Bogini. Buziaki!”

– Co takiego?! Od kiedy?! – wykrzykuje Ramon z ustami pełnymi tatara.

– Od półtora roku – odpowiadam spokojnie.

– Już od półtora roku? – drze się Ramon na cały Le Garage.

– Tak.

– A więc jak poleciliśmy do Miami, to już ze sobą byliście?

Le Garage. Wpadają tu coś przekąsić faceci w rodzaju tytułowego bohatera noweli *Prezes*^[37], w towarzystwie kobiet, wyglądających równie smakowicie, jak jedzenie w Le Garage, ale za to mniej świeżych i mających więcej sztucznych barwników, dodatków zapachowych i środków konserwujących.

– Tak.

– Czemu nigdy mi nie powiedziałeś?

– Bo wszędzie, gdziekolwiek jestem, rozmowa dotyczy Carmen. Cały czas muszę opowiadać, jak ona się czuje. A tego przy tobie nie musiałem robić. Byłeś dla mnie wolną od raka enklawą.

– Niech to szlag... – Gapi się przez chwilę przed siebie. – I cholera jasna... Tak sobie nawet myślałem, że musi być coś na rzeczy – mówi nagle i patrzy na mnie zdumiewająco serio, jak na swoje zwyczaje. – Tylko nie wiedziałem co. Ostatnio jesteś jakiś zmieniony, *amigo*. Od czasu do czasu zarzucasz jakąś pigułę, nagle zaczynasz nosić te swoje ładne koszule, drogie skórzane kurteczki, fryzura też trochę jakby bardziej odlotowa. No to człowiekowi zaczyna coś świtać. Po prostu najwyraźniej strasznie chce ci się odreagowywać to, co masz w domu.

Kopara mi opadła. Ramon, o którym myślałem, że nadaje się tylko do rozmów o piłce nożnej i dupie Maryni, w ciągu dwóch minut łapie to, czego moi przyjaciele, jak na

przykład Thomas, za nic nie chcą pojąć.

– A wtedy, w zeszłym tygodniu, kiedy nie mogłeś przyjść, to było coś złe z Carmen? – pyta z troską w głosie. W jego ustach brzmi to niemal zabawnie.

– Nie, to miało coś wspólnego z moimi zdradami – zaśmiałem się głośno. – U Carmen na razie postawa „zero tolerancji”. Sprawdza mnie na każdym kroku.

– I słusznie robi, skoro ma w domu takiego napalonego pawiana – mówi Ramon tak bezczelnie, jak tylko on potrafi. – Jeśli kiedykolwiek dopuścisz, żeby ona się dowiedziała, że nadal ją zdradzasz, chociaż jest chora, to osobiście obetnę ci głowę, fiucie jeden. Zachowaj to dla siebie i dla swoich przyjaciół^[38], *amigo*. No, dobra, a teraz idziemy do Bastille, zobaczyć, czy są tam jeszcze jakieś napalone laski.

Macha na kelnera o rachunek.

– Nie idę z tobą – mówię. – Jestem umówiony z dziewczyną i powinienem u niej być już godzinę temu.

Oczywiście jak zwykle nie ma szansy na zaparkowanie przy Eerste Helmersstraat. Kurwa, już wpół do dwunastej. Po cholere brałem samochód? Z Le Garage do Roos są trzy przystanki tramwajem.

„Jestem w drodze, Bogini! Trzymaj się!”

Po objechaniu przy akompaniamencie przekleństw dwóch ulic w pobliżu stawiam samochód na miejscu dla inwalidów, oceniając szansę, że o tej porze zostanę przyłapany, na pięćdziesiąt procent. Za piętnaście dwunasta dzwonię do jej drzwi.

– Cześć! – mówię wesoło do mikrofonu umieszczonego obok dzwonka.

W głośniku cisza. Kiedy już wbiegłem te trzy piętra do drzwi jej mieszkania, z miejsca widzę, że Roos jest ponura jak nie przymierzając trener Louis van Gaan w czasie konferencji prasowej.

– Przepraszam. Trochę dłużej mi zeszło z Ramonem.

– Przepraszam?! – wybucha Roos. – To już drugi raz w tym tygodniu, że siedzę jak ta pipa i czekam na ciebie. W zeszły piątek przez cały wieczór, a teraz znowu półtorej godziny.

O nie, na coś takiego nie mam najmniejszej ochoty. Patrę jej prosto w oczy.

– Wiesz, awantury to ja mam w domu. Nie muszę w tym celu przychodzić aż tutaj – mówię lodowatym tonem.

– O, naprawdę tak to widzisz?

– Tak.

– No to wypieprzaj! – wrzeszczy Roos.

I tak właśnie robię. Kiedy Carmen tak do mnie powiedziała, to w drzwiach uświadomiłem sobie, że nie mogę, ale w przypadku Roos nic mnie nie powstrzymuje. Przecież to chyba nie moja wina, że ona mnie kocha?

*Ik heb vannacht gedronken en gezien,
hoe geen vrouw ooit krijgt wat ze verdient.*
(Dziś w nocy chlałem i widziałem, że żadna kobieta
nie dostaje tego, na co zasługuje.)

The Scene, z utworu *Blauw*
(album *Blauw*, 1990)

Trzydzieści

Zatrząskuję z hukiem drzwi samochodu i pędzę jak wariat Eerste Helmersstraat w stronę Constantijn Huygen, a potem w lewo na Overtoom. Przez moment zastanawiam się, czy nie powinienem szybko wysłać przeprosin do Roos. Ale jakoś nie potrafię się na to zdobyć. Zamiast tego piszę do Ramona.

„Jesteś jeszcze w B?”

To samo pytanie wysłałam też do Maud. Mam ochotę się z nią zobaczyć. Ona przynajmniej się nie czepia, tak jak Roos. Jadąc po Stadhouderskade, drę się na całe gardło do utworu De Dijk: – *I nagle pojawia się to uczucie, że może się uda... Nie, jeszcze nie jest za późno, bo tak jak wszyscy, chcemy tylko posiedzieć w blasku słońca.* – Ramon odpisuje: „Tak!” Uśmiecham się od ucha do ucha. – *Wszystko będzie super znów... gdy zaczniemy tak bez słów!*

Chłopaki z zespołu De Dijk znowu mają rację: Maud też odpisuje. Siedzi z Natasją – mmm... – w Pilsvogel, właśnie miały się przenieść do More, ale bardzo chętnie wpadną przedtem do Bastille.

Po objechaniu Lijnbaabsgracht znajduję jakieś miejsce prawie naprzeciwko Bastille. Muszę się powstrzymywać, żeby nie rzucić się biegiem.

Przy barze stoi facet w o dwa guziki za bardzo rozpiętej koszuli, żeby optymalnie było widać jego nie wiadomo po co aż tak umięśnioną klatę. Na jego ramieniu uwiesiła się blondyna, obdarzona gigantycznymi buforami. Przedstawia się jako Debby. O ile Carmen mówi o sobie „eks blond laska z dużymi cyckami”, u Debbie jest odwrotnie: wcześniej miała włosy innego koloru i nie miała takich wielkich cycków. Ale Ramonowi to kompletnie zwisa i powiewa.

– Zmiana planów, *amigo*?

Wzruszam ramionami.

– Dla ciebie też wódka?

Ramon śmieje się na całe gardło, obejmuje mnie za szyję i przejeżdża mi dłonią po głowie. Oferuje mi małą, okrągłą pigułkę. Ach, co tam, czemu nie. Kiwam głową, że tak i popijam ją łykiem wódki. W tym czasie z wesołymi okrzykami wchodzi Maud i Natasja i rzucają mi się na szyję. Aż piszczą z uciechy. Dżizaz, a ja już myślałem, że nic mnie dziś wieczorem nie czeka.

– Stijntje, co jest? Coś taki zestresowany? – pyta Maud. – Coś się stało?

– Nie, wporzo. Wódka z limonką dla was obu?

– Dla mnie breezer – świergocze Natasja i obejmuje mnie ramieniem. – Tylko weź jakiś mocniejszy, bo wtedy język robi mi się zaraz cały słodki. Możesz od razu sprawdzić. Śmieję się zakłopotany.

– Dzisiaj bez Roos? – pyta Natasja jak gdyby nigdy nic, kiedy przynoszę jej breezera.

– A ty skąd wiesz o Roos? – pytam zdumiony i patrzę z wyrzutem na Maud, która pośpiesznie kręci głową na znak, że Natasja na pewno nie wie tego od niej.

– No co? – mówi Natasja, wzruszając ramionami. – Trzeba częściej wyłączać Outlooka, jak się wstaje od kompa, i tyle.

Robię się czerwony jak burak. Maud wybucha śmiechem. Eee, tam, a co mnie to wszystko obchodzi. Jestem w Bastille, właśnie dostałem od Ramona trzecią wódkę z limonką w ciągu pół godziny, pigułka zaczyna działać, oprócz Natasji teraz Maud obejmuje mnie ramieniem w pasie i z dwiema napalonymi laskami u boku idę do More, a z Bastille rozlegają się słowa: „*Bo winna jest tylko ta noc*”^[39], i jest to absolutna prawda.

Jest godzina trzecia nad ranem, kiedy wchodzimy do Club More. Akurat, wchodzimy. Zupełnie jakbym próbował wejść w szaliku Ajaksu na stadion Feijenoordu, przeszukują mnie tak dokładnie, że o mało nie zagląдают mi do tyłka.

O ile RoXy to Marco van Basten nocnego życia, to More jest jak Ton Blanker^[40]. Lokal nigdy nie osiągnął tego, na co się zapowiadał. Miał się stać nowym RoXy. Ale jeśli dobrze rozumiem opinię Frenka, to More nawet nie dorasta RoXy do pięt.

Czuję, że niewielkie są już szanse, żebym za godzinę był w domu. Przekroczyłem już punkt bez powrotu. Pigułka od Ramona i język Natasji są nie do odparcia. Po kolejnym całowaniu patrzę na Maud z poczuciem winy. Ale ona reaguje zupełnie inaczej, niżbym mógł się spodziewać. Widzę po jej zrenicach, że też skorzystała z tego malutkiego okrągłego cacka od Ramona. Obejmuje mnie ramionami i zaczyna całować. Stoimy objęci we troje na parkiecie w More. Natasja szepcze coś do ucha Maud. Ta patrzy na nią przez chwilę, a potem kiwa głową, że się zgadza.

– Masz chęć na coś ekscytującego, Stijn? – pyta Natasja wyzywająco, przekrzykując house’owe basy.

Mogłem się tego spodziewać. Jak się zawsze jest w domu przed wpół do piątej nad ranem, a potem nagle człowiek nawet się nie zgłasza, chociaż jest już wpół do szóstej, to aż sam się prosi o takie coś.

Drrryń... drrryń... drrryń...

Daję Maud i Natasji znak, żeby były cicho.

– Gdzie jesteś, gnoju? – pyta Carmen zapłakany głosem.

– Yyy... zaraz będę... już wracam.

– Jest już za piętnaście szósta, jakbyś nie wiedział! – wrzeszczy z wściekłością.

Serce podchodzi mi do gardła. Maud siedzi, dygocąc na łóżku. Natasja obojętnie zapala papierosa.

– Trzymaj się – szepcze mi Maud do ucha, kiedy wychodzę. Natasja tylko puszcza do mnie oko.

Biegnę do samochodu, który stoi zaparkowany trzy ulice dalej przy Ceintuurbaan. Rozglądam się, czy nie ma policji i przejeżdżam przez tory w stronę Hobbemakade.

Wyjmuję płytę De Dijk, która ciągle jest w odtwarzaczu, i wkładam Bruce'a *Live*. Przerzucam kolejne utwory, aż rozlega się przejmująca harmonijka ustna z *The Promised Land*. Światła przy Roelof Hartstraat zmieniają się na żółte, kiedy jestem pięćdziesiąt metrów od skrzyżowania. Dociskam gaz i przelatuję na czerwonym. Adrenalina buzuje mi w żyłach. Śpiewam na całe gardło rozpaczliwy tekst Springsteena

– *Czasem czuję się taki słaby...* – wyhamowuję trochę na łagodnym zakręcie przy stacji Shella – *...chcę po prostu eksplodować...* – i znowu dociskam gaz, kiedy już wchodzę w zakręt – *eksplodować i roznieść w drobny mak to miasto* – samochód zaczyna ścigać w lewo. Kontruję kierownicą, żeby ominąć wysepkę – *...weź nóż...* – ale mój chevy zaczyna tańczyć na jezdni – *...i wytnij ten ból z mojej piersi*^[41] – a potem przechyliła się, słyszę głuchy huk i zgrzyt i rozpryskujące się szkło i razem z przewróconym na bok samochodem sunę ileś metrów po asfalcie.

A potem zapada cisza. Ogłuszająca cisza.

Już nie ma muzyki Hazesa. Nie ma zespołu Dijk. Nie ma Springsteena. Nie ma house'u. Wiszę bokiem w pasach. Przez kilka sekund jestem kompletnie oszołomiony. A potem wszystko naraz przelatuje mi przez głowę. Żyję. Ból? Żadnego bólu. Poruszać rękami i nogami. Daje się. Szkło. Wszędzie pełno szkła. O kurwa! Carmen! Niebezpieczeństwo pożaru? Wysiąść! Na samym środku jezdni. Uciekać stąd! Czy coś może wybuchnąć? Wysiąść! Wygramolić się. Szybko. Policja. Jestem nachlany. Kurwa. O kurwa. Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Otwieram drzwi od strony pasażera i gramolę się z samochodu. Prawie nie posiadam się ze zdziwienia, kiedy widzę przed sobą jego spód. Zupełnie jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie, mój chevrolet o szóstej nad ranem pozwala, żebym oglądał jego spód. Zupełnie, jakby się poddał.

Przechodzę na chodnik. Tam opieram się o barierkę mostu. Powoli zaczyna do mnie docierać, co to wszystko znaczy. Doszło do wypadku. Mój wóz. Moje prawo jazdy. Musiałby zdarzyć się cud, gdyby wykryli u mnie krew w alkoholu^[42]. To mnie może kosztować nawet więzienie. Mogłem zginąć. Luna... O, a Roos myśli, że jestem już od dawna w domu. Boże jedyny, co Carmen...

Dzwonię do niej. Nie odbiera. Nagrywam się na pocztę głosową, że miałem wypadek, że na szczęście nic mi się nie stało, ale jeszcze trochę potrwa, zanim wrócę do domu.

Podjeżdża radiowóz na sygnale. Wkładam do ust miętówkę.

Na komisariacie muszę oddać telefon, portfel i klucze, zdjęć pasek i sznurowadła. Proszą mnie, żebym zechciał poczekać w tym pomieszczeniu. Zamykają się za mną drzwi.

To pomieszczenie to cela. Drzwi to ciężkie, metalowe drzwi z zakratowanym wizjerem. Siadam na przyśrubowanej do ściany ławce.

W domu siedzi moja żona, która niedługo umrze i przez całą noc czeka, kiedy wrócę. W dzielnicy Oud-West leży w łóżku kobieta, która już od miesiący pomaga mi przez to wszystko przejść i pewnie też całą noc płacze. A ja siedzę tutaj.

Mija cała wieczność, zanim znowu wychodzę z celi. W rzeczywistości to tylko dwadzieścia minut. Składam oświadczenie i wolno mi zadzwonić po taksówkę, żeby wrócić do domu. Jest za piętnaście siódma.

Carmen siedzi w salonie na łóżku wypożyczonym z domowego hospicjum. Ma łysą głowę i szary szlafrok i zabija mnie wzrokiem.

– Gdzie byłeś, jak do ciebie dzwoniłam?

– Z dziewczyną.

Plask!

Po raz pierwszy w życiu dostałem w twarz od kobiety.

Nawet nie mogę jej mieć tego za złe.

– I jakby tego było mało, nawalony jak stodoła siadasz jeszcze za kierownicą! – A potem mówi to: – Jeszcze trochę, a Luna nie będzie miała nie tylko matki, ale też ojca!

*Jestem jak jakiś pieprzony król Midas.
Czegokolwiek dotknę, zamienia się w gówno.*

z serialu *Rodzina Soprano* (1999)^[43]

Trzydzieści jeden

Kiedy się budzę, Carmen już nie ma obok mnie. Patrzą na komórkę i widzę esemesa od Ramona. Na szczęście Carmen go nie przeczytała. Ramon pyta, czy fajnie było z dziewczynami. No masz. Bardzo mi było dobrze. I ciągle jeszcze jest. Wstaję, biorę prysznic i schodzę na dół. Carmen siedzi z czerwonymi od płaczu oczami i karmi Lunę.

– Czas, żebyś poszedł z tym do psychologa. Samo nigdy się nie skończy.

Nie odzywam się ani słowem. Carmen idzie na górę, a ja niczym zombi podaję Lunie ostatnie łyżki śniadaniowej kaszki.

Za chwilę Carmen znowu schodzi na dół. W rękę trzyma dużą torbę.

– Wychodzę.

– Dokąd? – pytam delikatnie.

– Do Thomasa i Anne.

– Kiedy wrócisz?

– Jeszcze nie wiem – mówi z płaczem – jeszcze nie wiem, Stijn.

Z Luną na rękach odprowadzam ją do drzwi. Carmen daje Lunie całusa, mówi „zadzwoń”, wsiada do swojego garbusa i odjeżdża, nawet się nie oglądając.

Luna całuje mnie w usta i przytula się do mnie. Mówię jej, że byłem bardzo niegrzeczny.

– Tatuś wypił dużo piw, a potem jechał samochodem i samochód się przewrócił.

– Seflolet?

– Tak...

– I mama na ciebie zła?

– Tak.

Przytulamy się do siebie i śpiewam razem z nią naszą piosenkę:

Tatuś i Lunusia, to jest fajna para. Lubią się okrutnie, każde z nich się stara. Tatuś i Lunusia, to jest fajna para. Lubią się okrutnie, każde z nich się stara^[44].

Dzwonię do Frenka i mówię, że przyjdę do firmy później. Biorę rower i zawożę Lunę do żłobka. Stamtąd jadę do warsztatu, w którym mój chevrolet spędzi pewnie najbliższe miesiące. Łatwiej dodzwonić się do biura obsługi klienta w Ajaksie niż dostać zamówioną część do chevroleta w ciągu miesiąca. Prawo jazdy odzyskam najwcześniej po rozprawie, więc i tak nie ma to większego znaczenia.

Przestraszyłem się nie na żarty, jak zobaczyłem samochód. Cały bok od strony kierowcy wygląda jak u zawodnika po udanym wślizgu na murawie stadionu Arena.

– Że też panu nic się nie stało – mówi mechanik, kręcąc głową.

Mój ubezpieczyciel, który stoi obok, mówi, że firma oczywiście odmawia pokrycia szkody wycenionej na dwadzieścia pięć tysięcy euro, ze względu na fakt prowadzenia w

stanie wskazującym. Zapewnił mnie, że zrobi, co w jego mocy, żeby firma leasingowa nie skreśliła mnie z listy klientów. I dodaje, że strasznie głupio postąpiłem. Przyznaję mu rację. Mechanik śmieje się w kułak.

Natasji nie ma, wzięła sobie wolne. Maud jest w firmie. Pytam ją, czy nie wyszłaby ze mną na chwilę na dwór. Opowiadam jej o wypadku i o Carmen. Maud robi się blada. Znika w toalecie i bardzo długo nie wychodzi.

Opowiadam o wypadku Frenkowi.

– Carmen pewnie wściekła?

– Dzisiaj rano wyniosła się z domu.

– Dżizaz, Stijn...

Dzwoni Ramon. Zawiadomiła go Maud. Dzwoni i wyzywa mnie przez telefon od dupków.

– Gdybym wiedział, że przyjechałeś samochodem, sam osobiście wypieprzyłbym ci kluczyki do kanału, głupi kutasie. *Amigo*, co się z tobą w ogóle dzieje?

Chwilę później dostaję mejla od Maud.

Nadawca: maud@creativeandstrategicmarketingagencymerkinuitvoering.nl

Data: Thursday, March 22, 2001, 14.31

Adresat: stijn@creativeandstrategicmarketingagencymerkinuitvoering.nl

Temat: Wczoraj

Za nic nie powinniśmy tego wczoraj robić. Dopiero dziś rano uświadomiłam sobie tak naprawdę, jak daleko się posunęliśmy po tej pigułce i alkoholu. Nie będę mogła spojrzeć Carmen w oczy. Jestem zła na Natasję, na ciebie i na siebie samą. I martwię się o ciebie. Sam za cholerę sobie nie pomożesz. Nie potępiam cię, ale moim zdaniem musisz iść do psychologa. Sam nie dasz rady się z tego wygrzebać.

PS. Może byś mnie zabrał ze sobą, to dostaniemy zniżkę za wizytę grupową :–)

Aż dziw, na co pomaga takie małe trio^[45]. Z ciężkim westchnieniem kasuję mejla. Kolejna osoba, która zaczyna marudzić na temat wizyty psychologa. Daj sobie spokój. A co miałbym temu facetowi powiedzieć? Że mając 3,5 promila alkoholu we krwi miałem wypadek samochodowy, bo jechałem jak ostatni debil po odebraniu telefonu od żony, kiedy leżałem w łóżku ze stażystką i moją byłą – która oczywiście jest dobrą przyjaciółką mojej żony, panie doktorze – a to wszystko dlatego, że wcześniej tego dnia wieczorem miałem awanturę z przyjaciółką, którą mam oprócz żony i z którą, mimo przyrzeczenia żonie, że nie będę jej już zdradzał aż do śmierci (bo moja żona, panie doktorze, ma raka i niedługo na niego umrze), ciągle się pieprzę – i czy mógłby mi pan coś poradzić w tej sprawie? A może powinienem wypowiedać się z tego wszystkiego Carmen, skoro już o tym rozmawiamy, panie doktorze?

*You're no good, you're no good, you're no good,
baby you're no good, I'm gonna say it again,
you're no good, you're no good, you're no good,
baby you're no good.*

(Jesteś niedobry, jesteś niedobry, jesteś niedobry,
kochanie jesteś niedobry, powtórzę to raz jeszcze,
jesteś niedobry, jesteś niedobry, jesteś niedobry,
kochanie, jesteś niedobry.)

Linda Ronstadt, z utworu *You're No Good*
(album *You're No Good*, 1974)

Trzydzieści dwa

Carmen dzwoni dopiero po dwóch dniach, czterech godzinach i osiemnastu minutach.

Mówi, że dzisiaj wraca do domu. Jest opryskliwa, ale przynajmniej dzwoni. Pozwalam, żeby była dla mnie świniowata i nie odzywam się ani słowem. Jak nabroił, to nie podskakuj. W dodatku nadal tak się wstydzę, że nawet cieszę się, z wrogiej postawy Carmen. Dobrowolnie pozbyłem się na chwilę poczucia własnej wartości. A po półlitrowce wódki z wczoraj wieczorem taki telefoniczny opieprz da się jakoś przeżyć.

Wódka była od Frenka. Który niespodziewanie zadzwonił do drzwi. W firmie nie rozmawialiśmy już o wypadku. Wczoraj wieczorem opowiedziałem mu więc o wszystkim (choć ocenzurowałem imiona i charakter działań Natasji i Maud). Frenk mnie objął, a ja kompletnie się rozkleiłem. Po dwóch dniach ponizania w domu, wizycie na policji, w warsztacie i w firmie, wyplakałem się na ramieniu Frenka. Pod koniec wieczoru czułem się już nawet troszkę lepiej.

Ale dziś rano już nie. Obudził mnie płacz Luny, miałem kaca i ciężką deprechę. Ledwo zwlokłem się z łóżka, dałem jeść Lunie, ubrałem ją i zawiozłem do żłobka. Potem zadzwoniłem do Maud, że dzisiaj nie przyjdę do pracy, i walnąłem się z powrotem do łóżka. To zupełnie jak zabawa w chowanego, w wykonaniu Luny – zasłonić rękami oczy i uważać, że nikt nas nie widzi.

O spaniu nie ma oczywiście mowy, godzinę po telefonie Carmen nastrój mam jeszcze bardziej gówniany. Boję się dzisiejszego dnia. Czuję się jak uczeń, z którego nabija się cała klasa, który budzi się rano ze świadomością, że wszystko zaraz zacznie się od początku, gdy tylko przekroczy próg szkoły. Może powinienem przez te dwa dni pisać za karę:

Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.

Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.

Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.

Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.

Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.

Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.
Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.
Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.
Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.
Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.
Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.
Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.
Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.
Nie będę się pieprzył z innymi kobietami ani prowadził przy 3,5 promila.

Patrzę na budzik w radiu i widzę, że jest wpół do pierwszej. Za parę godzin Carmen wróci do domu. Im bliżej jest tej chwili, tym bardziej jestem niespokojny. Chcę dobrze, dobrze dla mojej Carmen, ale mam u niej kompletnie przesrane. Carmen zupełnie mnie już nie rozumie. Nikt mnie już nie rozumie. Maud jest na mnie zła. Frenk prawie też, kiedy powiedziałem dzisiaj rano, że nie przyjdę do pracy. Ramon nazwał mnie głupim kutasem. A Thomas i Anne po dwóch dniach pocieszania Carmen też z pewnością nie będą specjalnie miło o mnie myśleć. Nawet Roos jest na mnie zła, a nawet jeszcze nie wie tego, co wie reszta. Aha, no i ja sam też uważam się za fiuta. Czuję się winny, skacowany, smutny, wściekły, przerażony, depresyjny, egoistyczny, słaby, zły, pokrzywdzony, beznadziejny, obłudny, niedoceniony, wyczerpany, złamany, niemoralny, aspołeczny, nierozumiany, tchórzliwy, zakłamany i nieszczęśliwy.

Jednym słowem nie jest ze mną najlepiej.

Wzdycham głęboko i miotam się po łóżku. Idę do toalety. Wracam do łóżka. Wstaję. Wyglądam przez okno. Znowu idę do łóżka. Kładę się na plecach. Kładę się na brzuchu. Wstaję z łóżka. Wypijam w kuchni szklankę mleka. Wracam do łóżka. Za dwanaście pierwsza. Kładę się na lewym boku. Płaczę. Kładę się na prawym boku. Na lewym. Na prawym. Na plecach. Dzwonię do Roos.

Roos jest zła.

– Czemu, do cholery jasnej, nie zadzwoniłaś łaskawie wcześniej? Przez dwa dni i dwie noce leżę zapłakana, czekając na telefon albo esemesa od ciebie!

Opowiadam jej, że po wyjściu od niej poszedłem jeszcze do miasta i że miałem wypadek samochodowy, bo za dużo wypilem. Roos jest przerażona.

– Co takiego?! Taki tchórzliwy gostek jak ty? I... i... coś ci się stało?

– Nie...

– Całe szczęście... – wzdycha z ulgą. Jest pierwszą osobą, która mówi mi dzisiaj coś miłego.

Uświadamiam sobie, że cały ten wypadek traci nieco ze swojego dramatyzmu, jeśli opuścić fragmenty z Maud/Natasją i ten o powrocie do domu, do Carmen.

– Carmen odeszła ode mnie dwa dni temu.

– Co takiego?!

– Wściekła się na mnie z powodu tego wypadku i tego, że się nawaliłem i że powinienem być w domu parę godzin wcześniej...

– Jaki z ciebie nieprawdopodobny dupek, Stijn... Potrafisz być taki miły, ale to, jak ostatnio postępujesz z różnymi ludźmi, w głowie się nie mieści. To jakieś nienormalne!

Czemu nie pójdziesz do jakiegoś psychologa albo coś!

– Ty też zaczynasz?! Nie ma mowy! Nie pójde do żadnego psychologa!

Roos milczy przez jakiś czas.

– Wspominałam ci już kiedyś o Norze? – pyta w końcu.

– Nie. A kto to taki?

– Nora udziela wskazówek duchowych.

– Życzę szczęścia.

– Może to by było coś dla ciebie.

– Chyba nie wierzę w Boga.

– A czy ja mówiłam coś o Bogu?

– No, niby nie, ale na czym w takim razie miałyby polegać te duchowe rady? Jak postawić patelnię na gazie?

– Możesz się wyśmiewać, ale jednak ci opowiem.

– Proszę bardzo.

Roos nic sobie nie robi z mojego cynizmu.

– Możesz uznać, że to jakieś dyrdymały i może się też okazać, że to nie dla ciebie, ale Nora ma dar. Nie jest uzdrowicielką ani kimś takim, żadna tam guru czy ktoś z misją, jak Jehowi, tylko raczej ktoś w rodzaju, jakby ci tu powiedzieć, ktoś, kto ma duchowy dar i w ten sposób pomaga ludziom. Odpowiada im na pytania o ich życie.

– A skąd ma te odpowiedzi?

– Ona... ona je dostaje.

– Od kogo?

– Ze świata duchowego.

– Proszę, proszę.

Próbuję udawać obojętnego, ale coś w tym, co ona mówi, zaczyna mnie ciekawić. Nie mam pojęcia z jakiego powodu.

– Mogę ci zaraz przysłać jej numer esemesem.

– Jak tam sobie chcesz – mówię tak nonszalancko, jak tylko potrafię.

– No to powodzenia dzisiaj...

„Nora. 06-42518346. Zadzwoń do niej teraz... buziaki”

Gapię się właśnie na numer telefonu na wyświetlaczu komórki, wzruszam ramionami i wpisuję go do kontaktów. Na wszelki wypadek nadaję mu nazwę SOS. Nie mam ochoty wyjaśniać zaraz Carmen, co to za Nora, skąd mam jej numer i że się z nią nie pieprzyłem.

*Had je mijn schoenen aan,
wat had jij gedaan, ga in mijn schoenen staan.*
(Gdybyś była na moim miejscu,
to co byś zrobiła, spróbuj stanąć na moim miejscu.)

De Dijk, z utworu *Ga in mijn schoenen staan*
(album *Muzikanten dansen niet*, 2002)

Trzydzieści trzy

Słyszę, jak otwierają się drzwi wejściowe. Wchodzi Carmen, stawia torbę na ziemi, zdejmuje kurtkę i siada przy stole w kuchni.

– Chcesz kawy?

Kręci głową, że nie.

– A ja się napiję, jeśli ci to nie przeszkadza.

Czuję, że cały czas na mnie patrzy, kiedy robię sobie kawę.

– Dzisiaj rano zadzwonił do mnie Frenk – mówi. – Powiedział, że byłeś strasznie przybity i że dzisiaj nie przyszedłeś do firmy.

– Yyy... no tak...

– Słuchaj, Stijn. Czuję się przez ciebie oszukana. Anne i Thomas też są takiego zdania.

– Co ty powiesz, a to zaskoczenie – mamroczę pod nosem.

– Byłoby miło, gdybyś od czasu do czasu zaufał opinii przyjaciół. Anne to się jeszcze za tobą ujęła. Przekonywała mnie, że gdybym była na twoim miejscu, to być może też wyładowywałabym swoją frustrację. Kto wie, czy na przykład nie doprowadziłabym nas do bankructwa, wykupując wszystko co się da, z luksusowych sklepów przy P.C. Hoofstraat. Poza tym stało się coś jeszcze.

– Co takiego?

– Toos rozwiodła się ze swoim mężem. Tym, który nigdy nie poszedł z nią na chemię, ponieważ mówił, że nie czuje się na siłach. Tym, z którym przestała rozmawiać. To mi dało do myślenia. Tyle już razem przeszliśmy, a to się przecież liczy. Co się stało, to się nie odstanie, a my musimy po prostu iść dalej.

Kiwam głową jak dziecko, które właśnie usłyszało od mamy, że jest już dobrze i przestała się gniewać.

– Choć tu do mnie, łajdaku – mówi Carmen z uśmiechem i głaszcze mnie po włosach. – Wybaczenie to też jest część miłości^[46].

*Al geven ze geld toe en dringen ze aan,
ik denk er niet aan om uit Mokum weg te gaan,
je kunt hier nog lachen, er is hier nog gein,
ik zou echt niet weten, waar ik liever zou zijn.*
(Nawet gdyby mi zapłacili i zmusić chcieli mnie,
to ani myślę z Mokum wyprowadzać się,
tutaj jest jeszcze zabawa, ze śmiechu można tu wyć,
naprawdę nie mam pojęcia, gdzielepiej może mi być.)

Danny de Munk, z utworu *Mijn stad*
(album *Danny de Munk*, 1984)

Trzydzieści cztery

Od początku się tego obawiałem.

W tym tygodniu już trzy razy pytałem Carmen, czy nie byłoby lepiej, gdyby na dzień przeprowadzki przeniosła się do Anne. Mógłbym wtedy z ekipą przeprowadzkową przewieźć wszystkie rupiecie z Amstelveenseweg na Johannes Verhulstraat, przygotować sypialnię i salon, a wtedy Carmen wieczorem przyjechałaby do wstępnie urządzonego już domu. Nie chciała o tym słyszeć.

Za piętnaście minut ma przyjechać ekipa, a Carmen jest na wpół zdechła. Tak jak się tego spodziewałem, jej ciało przed dwunastą w południe istnieje tylko *pro forma*. Dopóki śpi albo leży bez ruchu, wszystko jest dobrze, ale kiedy tylko nawet trochę się napnie, jej ciało w nadzwyczaj efektywny sposób protestuje przeciwko takiemu marnotrawstwu energii, beztrósco wyrzucając z siebie wszystko, co w ciągu paru ostatnich godzin się w nim znalazło. W ciągu ostatniej godziny Carmen już trzykrotnie rzygała do kubła.

Czekam, aż przyjedzie ekipa, wtedy mówię, że kawa już gotowa a na stole czekają rożki nadziewane jabłkami, a ja jeszcze tylko szybko przeprowadzę żonę i kubek do rzygania. Pomagam się Carmen ubrać, podpierając, prowadzę ją do samochodu, wracam na górę, łapię z sypialni poduszkę, koc i kubek, wrzucam wszystko do opla astry z wypożyczalni i z najwyższą ostrożnością, unikając ostrych zakrętów i wszelkich gwałtownych ruchów kierownicą, jadę na Johannes Verhulstraat. Tam lecę najpierw z kołdrą i poduszką po schodach do sypialni, chwalebę Pana Boga i sklep z łózkami wodnymi, że na czas dostarczono zamówiony mebel, śpieszę z powrotem na dół do samochodu i na niższym biegu wracam z Carmen raz jeszcze na górę. Pomagam jej się rozebrać i układam ją na miękkim wodnym łóżku. I leży tam sobie: niecałe pięćdziesiąt kilogramów człowieka, blada jak prześcieradło, na wielkim wodnym łóżku w jeszcze większym pokoju, w którym nie ma nic więcej poza kubłem do rzygania.

– Jak teraz szybko zrobisz przeprowadzkę, to się jeszcze zdążę przespać w naszym nowym domu – mówi Carmen, chichocząc.

Wybucham śmiechem. Jakże mi już niedługo będzie brakowało tego jej poczucia

humoru.

Wat ben je lelijk van dichtbij.
(Ależ ty jesteś brzydka z bliska.)

Huub Hangop, z utworu *Wat ben je lelijk van dichtbij*
(album *De allerergste van Huub Hangop*, 1993)

Trzydzieści pięć

Przyjechała nasza dziewczyna do dziecka. Na umowę, z Czech, autobusem.

Znaleźliśmy ją z Carmen na stronie World Wide Au Pair, i to już parę miesięcy temu. W tamtym czasie nawet nie przypuszczaliśmy, że Carmen ją jeszcze zdąży zobaczyć, ale dzięki kuracji LV tak się jednak stało. Carmen mówi, że to bardzo fajnie, że udało jej się ją poznać.

Co jeszcze fajniejsze, przynajmniej dla Carmen, to fakt, że ta dziewczyna w realu jest jeszcze brzydsza niż na zdjęciu. Boże jedyny, aleśmy sobie dziwoląga zainstalowali w nowym domu!

Nasza dziewczyna do dziecka wygląda jak skrzyżowanie wokalistki gotyckiego zespołu i Furby'ego z kolczykiem w dolnej wardze. Ale Luna uwielbia Furby'ego, więc jest zadowolona. Carmen też. Z wielką radością mejluje do wszystkich swoich przyjaciółek, że teraz może być przynajmniej pewna, że do niej na pewno nie będą się próbował dobierać. A Rick Manus, który robi w naszym domu ostatnie poprawki, domaga się esemesem specjalnego dodatku od ryzyka, na wypadek gdyby spadł ze schodów, po ewentualnym niespodziewanym spotkaniu z nianią.

Łatwo nie jest.

Przez ten czas, jaki zużywam, żeby wytłumaczyć jej, co ma kupić, jak to się nazywa po niderlandzku, zapisać na kartce i jeszcze raz wyjaśnić, zdążyłbym trzy razy pójść sam do marketu.

A kiedy wreszcie udaje mi się jej wyjaśnić, co to jest „ćwierć kilo mielonego”, ona mi mówi, że tego nie kupi. Nie ma mowy, żeby weszła do działu mięsnego w supermarkecie. Nasza niania jest bowiem weganką i nie kupuje ani nie gotuje niczego, co wiązałoby się z cierpieniem jakiegoś zwierzęcia albo co jest z jakiegoś zwierzęcia zrobione.

Jeździć na rowerze też nie chce. Myślałem nawet, że i w tym przypadku chodzi o jakiś religijny czy filozoficzny zakaz, ale kiedy któregoś razu zmusiłem ją, żeby spróbowała, to mi już wystarczyło. Masakra. Dalej sam wożę Lunę do żłobka.

Ponadto oprócz bariery językowej, jej wrodzonej gapowatości i szpetoty oraz zasadniczej różnicy zdań w kwestiach kulinarnych, jest jeszcze jeden problem. Bardzo szybko odkryliśmy, że nasza *au pair* nie będzie promyczkiem słońca w naszym domu. Każdą naszą prośbę o zrobienie czegoś kwituje obrażonym westchnieniem, zupełnie jakbym jej kazał połknąć ten kolczyk z wargi. Jest tak zdziwaczała, jak nie przymierzając Kurt Cobain. (W sumie nawet to rozumiem – no bo jak nastolatka w szkole tylko podpira ścianę, podczas gdy jej koleżanki flirtują z fajnymi chłopakami, to nie robi się od tego

radosna).

Faktem jest oczywiście, że – przy akompaniamencie westchnień, ale jednak – prasuje, sprząta, zamiata, odkurza i że przekazałem jej obsługę zmywarki, pralki, suszarki i worków na śmieci, bo inaczej znalazłbym się z powrotem w punkcie wyjścia, lecz tracę na to w zasadzie tyle samo czasu, co wtedy, kiedy jej nie było i mam dodatkowy problem w domu.

Mimo wszystko jednak muszę uczciwie przyznać, że dzięki temu, że u nas jest, mogę być nieco bardziej elastyczny. W weekendy przejmuje ode mnie poranną zmianę z Luną, a wieczorami, kiedy Carmen po dwóch tabletkach nasennych śpi już jak zabita, też się nią zajmuje. A wtedy mogę wyjść do sklepu, trochę popracować w Merk in Uitvoering albo kochać się z Roos.

Always look on the bright side of life.
(Zawsze patrz na jaśniejszą stronę życia.)

Monthy Python, z filmu *Żywot Briana* (1979)

Trzydzieści sześć

Kolejnym plusem deprymującej obecności u nas dziewczyny do dziecka jest to, że z każdym dniem jestem bardziej dumny z mojej Carmen. Wygląda przy niej tak pięknie.

Carmen nie może już dodać sobie dni do życia, więc dodaje życia dniom. Nasza dziewczyna do dziecka nie wie nawet, co to życie. Nigdy nie ma na nic ochoty. Ale to naprawdę nigdy.

W dni, kiedy trochę lepiej się czuje, Carmen kipi radością życia. Zachciało jej się na przykład wprosić dzisiaj na jakąś kolację do Thomasa i Anne. Ja nie mam na to ochoty, więc wcale mi specjalnie nie przeszkadza, że Carmen czuje się akurat fatalnie.

Ale ona koniecznie chce jechać. W takich razach marzyłaby mi się żona, która grzecznie zostałaby w domu, kiedy coś jest w poprzek. Ale moim zdaniem Carmen chce po prostu jeszcze wyjść parę razy z domu, zanim niedługo będzie już martwa i pogrzebana.

Od czasu mojego podwójnego flipflapa w chevrolecie nie rozmawiałem z Thomasem. Kiedy wysiadam z opla astry, nie mam nawet odwagi popatrzeć mu w oczy. Carmen wchodzi do środka przede mną. Thomas łapie mnie za rękę.

– Tylko ani słowa o karnawale, OK? – mówi nerwowym szeptem.

Gapię się na niego, nie kapując, o co mu chodzi.

– No wiesz... wtedy z Maud. – Wymawia jej imię z takim obrzydzeniem, jakby mówił o karaluchu, ale po jego oczach widzę, że wspomnienia tamtej nocy są całkiem żywe w jego głowie. Na jego twarzy pojawia się nawet coś jakby uśmiech. Robię ręką taki ruch, jakbym zasuwiał zamek błyskawiczny na ustach. Thomas puszcza do mnie porozumiewawcze oko. Jednym słowem, chyba nie docenia się plusów zdrady. Dzięki temu człowiek staje się jakby bardziej tolerancyjny.

Anne i Thomas zrobili wszystko, żebyśmy się czuli u nich dobrze. I Carmen, i ja. Nie słowami, nie dotykiem, jak robi to Frenk, tylko na swój własny sposób. Na przykład nie mówiąc ani słowa na temat mojego wypadku i opla astry, którym przyjechaliśmy. Albo stawiając na stole butelkę soku z limonki, który Thomas kupił specjalnie dla mnie. Albo co chwila znikając w kuchni, tak jak właśnie dzisiaj robi to Anne. Dzisiejszego wieczoru chce nas dopieścić, jak mówi. Carmen przemilcza fakt, że cały dzień wymiotowała i dzielnie je razem ze wszystkimi.

Po przystawce idzie do ubikacji. Przystawka wędruje do kibla.

Po daniu głównym idzie do ubikacji i wyrzuca danie główne do kibla.

Po deserze idzie do ubikacji i wyrzuca deser do kibla.

– Dzięki za wspaniały wieczór – mówię. Anne całuje mnie trzy razy w oba policzki i puszcza do mnie oko. Thomas wali mnie z całej siły w ramię.

Carmen jest blada, ale jej oczy błyszczą.

– Dziękuję wam, kochani. Miałam wspaniały wieczór.

Thomas ni stąd ni zowąd obejmuje ją i przytula i w pewnej chwili zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle kiedyś ją puści.

Kiedy odjeżdżamy, widzę, że Thomas obejmuje Anne, a wolną ręką ociera z oczu łzę.

Podwójne urodziny i pogrzeb^[47].

Trzydzieści siedem

Pierwszą osobą z Muflona, która umiera, jest Toos.

Carmen jest w rozsypce. Trzy tygodnie temu Toos usłyszała, że chemia nie ma już w jej przypadku sensu. A teraz nie żyje.

Jej były mąż nie widział się z Toos od dnia rozwodu. Teraz może ją jeszcze raz zobaczyć – w trumnie.

– Ale przynajmniej nie mogą się już pokłócić – żartuje Carmen.

Carmen mówi, że chce iść na pogrzeb. Kiedy mi mówi, że to w przyszły wtorek, mało nie trafia mnie szlag. Akurat w urodziny moje i Luny. Nasze trzecie urodziny z rzędu, stojące pod znakiem Raka. I ostatnie, co do tego nie ma wątpliwości. I akurat tego dnia Carmen chce iść na pogrzeb? Zupełnie, jakby chciała zobaczyć, jak to będzie wyglądało w jej przypadku.

– Nie wydaje ci się, że to może być dla ciebie trochę... yyy... zbyt trudne przeżycie?

– Przecież wasze urodziny i tak urządzamy w niedzielę. We wtorek nikt nie da rady przyjść. A poza tym, to tylko parę godzin.

Opanowuję się jakoś, ale Carmen widzi, że nie jestem specjalnie zadowolony.

– Czuję, że nie mogę tego zrobić Toos, żeby nie pójść.

– A mnie i Lunie możesz, tak? – wrywa mi się, zanim zdążyłem ugryźć się w język.

W niedzielę dom pęka w szwach. Moi przyjaciele, rodzina, koleżanki Luny ze żłobka. Widzę, że matka Carmen jest w szoku, kiedy wchodzi. Ostatni raz widziała swoją córkę trzy tygodnie temu. Ze swoim wyдутym brzuchem Carmen wygląda jak niedożywiona ciężarna. Stoimy sobie w parę osób w kuchni i gadamy. Przychodzi Luna i pokazuje się dumna w nowej sukience księżniczki z anielskimi skrzydełkami. Carmen kuca, żeby wszystko dokładnie obejrzeć.

– Ale piękne! – mówi do Luny wzruszona, traci równowagę i przewraca się, pociągając ją za sobą.

Luna jest przestraszona i zaczyna płakać.

– Mogłabyś chyba trochę uważać! – krzyczę na Carmen przestraszony. – Wiesz przecież, do cholery, że już nie masz siły w nogach!

Cały incydent i moja reakcja sprawia, że Carmen czuje się poniżona i też zaczyna płakać. Początek urodzin nie jest najlepszy.

– Czy na wtorek w dniu waszych urodzin macie jakieś plany na przyjemne spędzenie czasu? – pyta Anne.

– Carmen tak. Wybiera się na pogrzeb Toos, takiej koleżanki z tej jej grupy wsparcia.

– To pogrzeb jest akurat w ten wtorek?

– Tak.

Anne marszczy czoło.

Wieczorem po imprezie Carmen mówi, że jednak nie pójdzie na wtorkowy pogrzeb.

– Anne mnie przekonała. Położę tu w domu ładny bukiet kwiatów dla Toos. Podoba mi się ten pomysł. Myślę, że Toos to zrozumie.

– Jestem nawet bardziej niż pewien, że tak – odpowiadam z ulgą.

*Er zijn er twee jarig, hoera, hoera,
dat kun je wel zien dat zijn zij/dat vinden wij allen zo prettig
ja, ja/en daarom zingen wij blij/zij leven lang, hoera, hoera.*
(Urodziny dziś mają, hurra, hurra,
i cieszą się, i serce im rośnie, Taki piękny to widok,
ha,ha, ha, ha, że aż wszyscy śpiewamy radośnie:
Niech żyją nam długo hurra, hurra.)

piosenka dziecięca

Trzydzieści osiem

Niech żyją nam długo. Niech ktoś spróbuje to zaśpiewać, mając świadomość, że niedługo umrze. Carmen się to udaje. Widzę po tym wszystkim, co Carmen robi, że chce się jakoś odplacić za to, że zamierzała akurat dzisiaj iść na pogrzeb Toos. Luna i ja dostajemy śniadanie do łóżka. Carmen je przygotowała i poprosiła nianię, żeby je zaniosiła na górę. Luna chrupie croissanta z masłem orzechowym i kromeczkę chleba z mąki kokosowej, ja dostaję chleb i serek brie, Carmen ze wstrętem wpycha w siebie sześć łyżeczek płatków kukurydzianych z kawałkami suszonych owoców.

Dzisiaj nie będzie łatwo. Wszystko, co się dzisiaj dzieje, powoduje u mnie przypływ wzruszenia. Kiedy Frenk przysyła mi esemesa, że się cieszy, że jestem jego przyjacielem i że potrwa to jeszcze wiele lat. Kiedy esemesuje Anne, że bardzo się cieszy, że Carmen, Luna i ja wspólnie świętujemy nasze urodziny mimo tego, co się stało. I kiedy Carmen daje mi powiększone odbitki serii swoich nagich zdjęć, które zrobiłem jej, kiedy dopiero co się poznaliśmy.

Po śniadaniu widzę, że Carmen jest zmęczona i źle się czuje.

– Może położysz się na godzinkę, żeby trochę odpocząć? – proponuję.

– Myślisz, że to nie będzie nie w porządku? – pyta ostrożnie.

Kręcę głową, że absolutnie nie.

– Idź się trochę prześpij. Może wyjdę teraz na pół godziny na miasto. W niedzielę dostałem od Maud bon na płytę.

Bawię się potem przez godzinę z moim słoneczkiem, a potem proszę nianię, czy nie mogłaby posmażyć z Luną naleśników. Ponieważ jej niezdarność przybrała już teraz rozmiary wręcz mityczne, uczulam ją, żeby bardzo uważała, żeby Luna nie spadła z taboretu, który stoi przy blacie w kuchni.

– *Trust me* – mówi nasza czeska niania. Brrr. Zdążyłem już ją poznać na tyle, że tego typu deklaracje budzą we mnie dreszcz przerażenia. Ale nie mogę przecież przez cały czas za nią chodzić i sprawdzać, czy nie robi czasem mojej córce krzywdy.

Idę jeszcze na górę. Carmen postawiła kubek przy łóżku. Zaglądam do środka i widzę, że nie bez powodu. Płatki kukurydziane, które dzisiaj rano z takim trudem w siebie wmusiła, na coś się przydały.

Z szybkością strzały pędzę na rowerze do sklepu z płytami przy Van Baerlestraat.

W mniej niż kwadrans wymieniam mój bon na płytę Coldplay, kupując sobie w ten sposób alibi.

Potem jadę do Roos. Opakowała się w czerwone koronki jako mój urodzinowy prezent.

*Co to było? To było twoje życie, chłopie,
o... ale szybko przeszło...
czy mógłbym dostać jeszcze jedno?*

z serialu *Hotel Zacisze* (1976)^[48]

Trzydzieści dziewięć

Nudzę się jak mops w poczekalni gabinetu doktora Rodenbacha. Gratisowy tabloid „Spits” wyłożony przy wejściu, już przeczytałem. Zaczynam przeglądać dokumentację Carmen. Pielęgniarka, która właśnie spuściła płyn z brzucha Carmen, dała nam ją z prośbą o przekazanie doktorowi Rodenbachowi. Czytam tam, że od listopada Carmen już szesnaście razy miała spuszczać płyn. Podliczam cyferki.

- Wiesz, ile litrów płynu spuścili ci już z brzucha?
- Nie mam pojęcia.
- Siedemdziesiąt jeden litrów z kawałkiem.
- Hahaha... To więcej niż ważyłam, zanim to się zaczęło!

Carmen waży już tylko 47 kilogramów. Widać, że codziennie jest chudsza. Pół roku temu ważyła jeszcze prawie siedemdziesiąt. Z powodu braku tkanki tłuszczowej przez ostatnie tygodnie ciągle jej zimno. W salonie termostat mamy cały czas ustawiony na 24 stopnie, łóżko wodne ma temperaturę o cztery stopnie wyższą niż zalecana w instrukcji. Całe szczęście, że mamy to łóżko. Każdy zwykły materac byłby dla Carmen za twardy. Między jej kośćmi a łóżkiem jest już tylko skóra, nie ma ani grama tłuszczu.

Nie mamy zbyt dobrych przeczuć przed rozmową z doktorem Rodenbachem, która nas zaraz czeka. Punkcje, które na początku kuracji LV ograniczały się do jednej na dwa tygodnie, znowu trzeba robić co kilka dni. I w dodatku stają się coraz bardziej nieprzyjemne. Wygląda na to, że narządy w jamie brzusznej są już tak opuchnięte, że po każdej punkcji ich powrót na miejsce staje się coraz bardziej bolesny. Po zabiegu ból jest straszliwy. Nawet po zastrzyku morfiny Carmen wymiotuje z bólu. Mam wrażenie, że do końca życia zostanie mi uraz w postaci obrazu żony pochylonej nad kuwetą, podczas gdy z jej brzucha wychodzi plastikowy wąż, którego koniec znika w kubie, powoli wypełniającym się kolejnymi litrami mętnego żółtawego płynu.

- Proszę usiąść – mówi doktor Rodenbach przyjaznym tonem.

Od czasu przenosin do Szpitala im. Antona van Leeuwenhoek'a spotkaliśmy się z nim już sześć razy. Darzymy się wzajemnie szacunkiem. On wie, że nie marudzimy i nie narzekamy, jak to się pewnie dzieje w przypadku większości innych pacjentów, my z kolei wiemy, że on nie będzie nam wciskał żadnej ciemnoty, jak to robili nasi poprzedni lekarze.

Siadamy na krzesłach przy jego biurku. Ja automatycznie zajmuję to po lewej, a Carmen to po prawej. Stało się to już rutyną. Zupełnie jak w Bastille, gdzie zawsze staję w głębi przy toaletach, w czasie koncertów w Paradiso na schodkach z tyłu przy barze, a w De Bommel z przodu z prawej. Człowiek musi mieć przecież w życiu coś stałego.

Za chwilę doktor Rodenbach doda coś nowego do naszej pewności.

– Markery nowotworowe znowu podskoczyły. Kuracja LV przestała działać.

– I... i... co to oznacza? – jąkam. Doskonale wiem, co odpowie.

– Obawiam się, że czas ostatecznie złożyć broń.

A więc jednak. Koniec eksperymentów.

Rezygnuję z leczenia Carmen. W trzy tygodnie po czymś takim Toos już nie żyła.

Carmen siedzi, zasłaniając ręką usta i patrzy na mnie. Ja trzymam ją za drugą rękę i patrzę na nią.

– To idziemy? – pytam ostrożnie.

Carmen potakuje.

Umawiamy się na kolejną wizytę u doktora Rodenbacha za trzy tygodnie. Bo nawet jeśli Carmen do tego czasu nie umrze, to rola doktora Rodenbacha się skończyła. Jedyne, co będzie mógł zrobić dla Carmen, to wypisać kolejne recepty na morfinę, kytril, kodeinę, prednison i temazepam. Terapia bólu.

Zapalam silnik i wyłączam płytę CD. Zespół De Dijk jest nie na miejscu.

Już nie pasuje.

Część III
CARMEN

*I'd tell all my friends but they'd never believe me,
they'd think that I have finally lost it completely.*
(Powiedziałbym to przyjaciółom, ale oni za nic by mi nie uwierzyli,
pomyśleliby pewnie, że mi odbiło.)

Radiohead, z utworu *Subterreanean Homesick Alien*
(album *OK Computer*, 1997)

Jeden

Zadzwońm do Nory. W dzień po otrzymaniu wiadomości od Rodenbacha.

Tylko Roos o tym wie. W domu trzymałem to w ścisłej tajemnicy. Carmen uznałaby to za idiotyzm, że nie idę z moimi problemami do normalnego psychologa, jak mi to już często proponowała, tylko do kogoś takiego jak Nora.

Sam też nie do końca wiem, dlaczego zadzwoniłem. Myślę, że to przez ten wypadek samochodowy. Fakt, że wyszedłem z niego bez żadnego zadrapania, podczas gdy cały bok chevroleta był w strzępach, jest co najmniej tak samo niewytłumaczalny, jak gol Marco van Bastena, strzelony w meczu z Rosją w finale mistrzostw Europy z 1988 roku.

Frenk i Maud też nie wiedzą, że idę dziś do Nory. Poprosiłem Natasję, żeby umieściła w głównym terminarzu informację, że biorę wolny dzień. Popatrzyła na mnie pytająco, puściła do mnie oko i zrobiła palcami ruch imitujący kopulację. Nie zareagowałem.

Nora, doradczyni duchowa, ma swój gabinet w szeregowcach z lat sześćdziesiątych w dzielnicy Buitenveldert. Dzwonię do niej z bijącym sercem.

Nora jest niepozorną szczupłą kobietą o czarnych włosach. Prowadzi mnie na górę, do gabinetu i pyta, czy napiję się herbaty. Mówię, że bardzo chętnie. Wychodzi. Wystrój gabinetu całkowicie współgra z moim nastrojem. Kamienie z różnymi malunkami ustawione zgodnie z zasadami feng shui. Aromatyczne kadzidelka, których zapach znam z czasów urlopu w Indiach. Muzyka, które jest pewnie na szczycie list przebojów w Himalajach. Ulotki z warsztatów *Objaśnianie snów*, które Nora ma prowadzić w przyszłym tygodniu.

Widok z okna na bloki stanowi pewien dysonans z uduchowionym wystrojem wnętrza. O blokach można powiedzieć wszystko, ale nie to, że nie są wyraziste. Ten widok mnie uspokaja. Przypomina mi trochę moją dzielnicę Breda-Noord.

Nora uśmiecha się przyjaźnie, wracając z tacą. Wygląda na to, że herbata jest całkiem zwyczajna.

– Poczuleś potrzebę przyjścia tutaj – mówi. Nagle mam wrażenie déjà vu. Moje rozmowy z psychoterapeutką prawie dwa lata temu! Gdzie ja wylądowałem? Znowu jestem w kabarecie! Surrealistyczny kabaret, sezon drugi. – To może zacznijmy po prostu od początku, dobrze? – mówi Nora, widząc moje nieufne spojrzenie. Mówi mi, że posługując się moim imieniem i datą urodzenia, które podałem jej przez telefon, ściągnęła z innego świata wiadomość dla mnie. I że jest ona w liście, który zaraz mi odczyta. Nawet

słowem nie wspominam, że nie wierzę w takie dyrdymały. Nora bierze list i zaczyna czytać.

Mężczyzna, dla którego otrzymujesz te słowa, dysponuje dużą energią, ale teraz musi tę energię oszczędzać. Przyszedł czas na dokonanie wyborów. Pragnienie wszystkiego naraz prowadzi do chaosu, co on już zauważył.

Ta świadomość jest dobra. Niech ją do siebie dopuści i przyjmie. Ona jest dobra.

W najbliższym czasie dużo będzie się od niego żądać. Nie może już wpływać na sprawy. Musi po prostu wypełniać swoje powinności. Nie może już przed nimi uciekać.

Sprawy biegą tak, jak biegą. On może się z tym pogodzić, chociaż jeszcze nie ma takiego zamiaru.

Powiedz mu, żeby zaufał swojej intuicji. Żeby kierował się energią swojego serca. To mu pomoże i doda siły.

On może się z tym pogodzić. Powiedz mu, żeby zaufał. Otaczamy go dużą pomocą z naszego świata.

No pięknie. Pieprzenie naćpanego wieszca.

Nora spokojnie odkłada list i czeka przez chwilę.

– Poznajesz coś z tego?

– No cóż, jak by tu powiedzieć... To może się odnosić do każdego...

– Tak uważasz? – uśmiecha się. – A ten chaos, wspomniany w liście?

Nie ukrywam, parę kobitek jeszcze mi się podoba.

– No, może. Ale jak dla mnie to zwykle ogólniki, jak w horoskopach. A kto z nas nie znalazł się czasem w sytuacji, którą można nazwać chaosem? Wystarczy pójść do supermarketu w czasie wyprzedaży.

Nora wybucha śmiechem.

– Mam jednak wrażenie, że w tym liście jest mowa o trochę większym chaosie.

Postanawiam dać jej szansę.

– Jakiś czas temu miałem przykry incydent z samochodem i można powiedzieć, że spowodowało to porządny chaos.

– Wypadek?

Potwierdzam ruchem głowy.

Ona też odpowiada kiwnięciem głowy.

– Pewnie wiesz, że my, ludzie, jesteśmy ochraniani przez siły, których istnienia nawet sobie nie uświadamiamy? – *o, czyżbyśmy się wybierali na rower?* – Ten wypadek był sygnałem, że ta ochrona zbliża się do końca^[49]. – *Hm. Wcale mi się to nie podoba. To znaczy, nawet jak się nie wierzy w Boga, w coś takiego jak los, czy inne rzeczy tego rodzaju, to jednak usłyszeć, że nikt cię już nie chroni, to zupełnie inna sprawa.*

– No, ale chyba przyszedłeś tutaj, bo ktoś jest ciężko chory, zgadza się? – *Szok.*

– Yyy... no tak. Moja żona.

– Jak ma na imię twoja żona?

– Carmen.

– Carmen jest gotowa umrzeć.

Po plecach przechodzi mnie dreszcz... Że doktor Rodenbach oznajmił nam, że Carmen zostało już niedużo życia, to jeszcze da się jakoś zrozumieć, ale że jakaś obca

kobieta z szeregowego domku z lat sześćdziesiątce w dzielnicy Buitenveldert...

– Nie powinieneś się tego bać. Ona się nie boi. Tak jest dobrze.

Przetykam ślinę. Chociaż nadal wcale nie wierzę we wszystko, co ona mówi, to jednak mnie poruszyła.

– Kiedy ja mam takie poczucie, że mamy jeszcze tyle do przegadania... – słyszę swoje słowa.

– Będziesz miał jeszcze okazję... – *zaraz, no chyba ona nie ma tak naprawdę dojścia do tych... no... wyższych sfer?* – ...Postaraj się, jak najwięcej czasu spędzać teraz z nią... – *No tak, znowu to samo. Tyle to ja sam wiem na zdrowy rozum, o ile taki mam w ostatnim czasie. Spróbuję ją może zaszokować. Takie wyznawczynie ezoterycznych poglądów najczęściej nie za bardzo sobie z tym radzą.*

– Od ponad roku jestem w pozamałżeńskim związku. – *1:0 dla Stijna! Zabrzmiało dość prowokacyjnie. No dobra, teraz twoja kolej, koleżanko naszego najsłynniejszego holenderskiego medium, niejkiej Jomandy.*

Nora nadal jest uosobieniem spokoju. Daje mi znak gestem, żebym mówił dalej. Nie bardzo wiem, co tu jeszcze powiedzieć. Chociaż, może? W głębi serca doskonale wiem, dlaczego tu przyszedłem. Spróbujmy zebrać się na odwagę. Po prostu zapytam i już.

– Carmen o niczym nie wie. Czy powinienem jej powiedzieć, póki jeszcze mogę?
Nora milczy przez chwilę.

– Ona już to wie. Od dawna o tym wie... – *Co takiego?! – ...jeśli o to zapyta, powinieneś powiedzieć jej prawdę... – brrr – ...ale ona nie zapyta... – nawet by mi to odpowiadało – ...od dawna wie, jaki jesteś. Lepiej niż ty sam. Od jakiegoś czasu przestało ją to dręczyć... – chyba polubię tę Norę. – ...Jak ma na imię kobieta, z którą masz romans?*

– Roos...

– To nie wzięło się znikąd, że spotkałeś Roos, kiedy Carmen zapadła na chorobę – mówi Nora spokojnym głosem. – To było potrzebne. – *No proszę! Tak, Nora pewnie jednak swoje wie. Spróbujmy zinterpretować wątpliwości na jej korzyść. Takie cyniczne gadanie nie posunie mnie ani o krok do przodu.*

– Czy Carmen jest ze mnie generalnie zadowolona? Nigdy nie byłem jej wierny, w ogóle jestem w zasadzie... yyy... hedonistą.

– Bez twojej umiejętności czerpania z życia ona nigdy nie zniosłaby swojej choroby – mówi Nora zdecydowanie. – Nie musisz mieć poczucia winy. Ona jest z ciebie bardzo zadowolona. I niepotrzebnie wstydzisz się swoich słabości... – *może jednak powinienem podać jej numer Thomasowi? – ...Carmen już załatwiła swoje sprawy tutaj, ty jeszcze nie... – mam taką nadzieję. – ...W głębi serca ona już dawno ci przebaczyła... – ciekawe, czy ona wierzy w to co mówi. – ...Ale teraz musisz ją jeszcze wspierać. Odłóż wszystko inne na bok i opiekuj się nią teraz z całą miłością, jaką masz w sobie... – Ja w roli Florence Nightingale? Naprawdę nie dam rady... – Przekaż wszystkie obowiązki domowe komuś innemu. Dałoby się to zrobić?*

– Yyy... mamy w domu dziewczynę do dziecka. Zajmuje się moją córką i domem. Ale tylko, kiedy zdecydowanie ją o to poproszę.

– To dobrze. Nie wahaj się przekazać jej wszystkich obowiązków, które nie mają

nic wspólnego z Carmen. Jak ma na imię twoja córka?

– Luna. Właśnie skończyła trzy latka. Ma urodziny tego samego dnia, co ja – mówię z taką dumą, że aż się czerwienię.

– To dużo wyjaśnia. Ty i córka macie więc o wiele silniejszą, niż ci się wydaje...

– *O, fuj, zaraz znowu zaczniesz się ckiwie, droga Noro.* – ...Kiedy niedługo twojej żony zabraknie, nie będziesz już potrzebował niani... – *o? czyżby przypadkiem ją znalazła?* – ...wtedy sam będziesz się zajmował córką... – *Nie ma mowy. A kto będzie się nią zajmował, kiedy będę w pracy, a żłobek będzie zamknięty? Albo, co gorsza, kiedy będę chciał sobie wyjść?* – ...Zajdą w tobie duże zmiany – *o czym ona znowu mówi?* – ...Staniesz się zupełnie innym człowiekiem. – *Nie, no, kobieto, opanuj się, proszę!* – ...I twoja żona będzie cię w tym wspierać. Mimo że jej już nie będzie. – *Jako Carmen, miły duszek, tak? Bądź grzeczny, bo cię postraszę!*

Nora widzi moje przestraszone spojrzenie i wybucha śmiechem.

– Uwierz mi – mówi. – Ty i Carmen znacie się znacznie dłużej, niż ci się wydaje. Ona cię kocha. *Z całej duszy...* – *Nic na to nie poradzę, że się od tego wzruszam i znowu muszę przelknąć ślinę, żeby zniknęła mi ta klucha w gardle.* – Jesteście pokrewnymi duszami. Na zawsze.

Cisza. Mrugam oczami.

– Czy Carmen wie, że tu jesteś?

– Ona jest zbyt racjonalna na takie... mało konkretne sprawy.

– Powiedz jej o tym przy okazji. To jej dobrze zrobi.

– No, sam nie wiem... – mówię z wahaniem. – Może uzna, że to śmieszne i będzie zła. Odnoszę wrażenie, jakbyśmy ostatnio bardzo się od siebie oddalili, i teraz złości ją praktycznie wszystko, co zrobię...

Nora zdecydowanie kręci głową.

– Powtórzę to jeszcze raz: Carmen kocha cię z całej duszy. Nie życzy sobie, żeby wspierał ją ktokolwiek inny – bum! – ...Na twoim miejscu pojechałabym prosto do domu. To wszystko zaczniesz się szybciej, niż ci się wydaje... – BUM! – ...Będzie ci za to bardzo, ale to bardzo wdzięczna. I ty jej też. Masz teraz szansę oddać żonie to wszystko, co przez te lata od niej otrzymałeś...

Kiedy siedzę już w samochodzie, w głowie mi dudni. Masz teraz szansę oddać żonie to wszystko, co przez te lata od niej otrzymałeś...

Ustawiam odpowiednio wsteczne lustro i patrzę na siebie. Ze zdumieniem widzę na swojej twarzy uśmiech. I czuję się cholernie szczęśliwy. *Masz teraz szansę oddać żonie to wszystko, co przez te lata od niej otrzymałeś. Z energią, której mógłby mi pozazdrościć sam Edgar Davids^[50].*

A wszystko dzięki Norze i jej suflerom, kimkolwiek są.

*I was unrecognizable to myself,
I saw my reflection in the mirror, didn't know my own face,
I can feel myself fading away, and my clothes don't fit me no more.*
(Zupełnie siebie nie poznawałem,
widziałem swoje odbicie w lustrze, nie poznawałem własnej twarzy,
czuję wręcz jak znikam, i dawne ubrania już na mnie nie pasują.)

Bruce Springsteen, z utworu *The Streets Of Philadelphia*
(muzyka do filmu *Filadelfia*, 1993)

Dwa

Włączam z powrotem komórkę i widzę, że mam dwie wiadomości głosowe. To Carmen. Czy mogę zadzwonić. Od razu poznaję, że nie jest dobrze.

– Stijn, bez przerwy wymiotuję – mówi, szlochając. – Tak strasznie się boję...
– Zaraz będę.

Cztery minuty i pięćdziesiąt jeden sekund później wbiegam po dwa stopnie do sypialni naszego domu. Carmen siedzi właśnie pochylona nad kubłem i próbuje wymiotować.

Siadam przy niej i głaszczę ją po krótkich, ufarbowanych na czerwono włosach.

– Tak się cieszę, że jesteś – mówi. Jej głos brzmi głucho z powodu kubła, do którego prawie wsadziła głowę. – Przez całe rano jest mi niedobrze, ale nie mam już czym rzygać.

Nagle zaczyna się krztusić i z jej ust wypływa cienka strużka wymiocin. Widzę, że to żółć. Żadnego jedzenia. Trudno, żeby było, skoro nie ma go w żołądku.

Doktor Bakker, nasz lekarz domowy, który przychodzi po godzinie, zapisuje preparat odżywczy w płynie, dwie ampułki primperanu i jedną kytrilu, żeby jakoś powstrzymać wymioty. Kiedy Carmen zasypia, idę do apteki przy Cornelis Schuytstraat, żeby wykupić ten rozrywkowy zestaw.

Po drodze dzwonię do Roos. Czuję w jej głosie ulgę, kiedy słyszy, że jestem zadowolony z wizyty Nory. Mówię, że z Carmen jest nie najlepiej i że pewnie przez jakiś czas nie będę się mógł z nią widywać. Odwołałem nasze spotkanie w najbliższy piątek. Roos reaguje ze spokojem. Życzy mi dużo siły i mówi, że od tej chwili będzie paliła dla Carmen świeczkę na komodzie w dużym pokoju. Dla kobiety, której nigdy w życiu nie widziała na oczy, ale o której wie już tyle, jakby ją знаła od nie wiadomo ilu lat.

Wieczorem przyjeżdża matka Carmen.

Idziemy w czwórkę posiedzieć w ogródku kawiarni King Arthur.

Ogródek lokalu King Arthur leży w samym centrum rezerwatu luksusu, na placu między ulicami Cornelisa Schuyta i Johanna Verhulsta. Męska klientela jest bardziej irytująca (adwokaci z kancelarii przy De Lairesestraat i angielscy krawaciarze mieszkający w Hiltonie, którzy wyrwali się od pań żon), dla kobiet też nie ma co tu przychodzić (okoliczne skamieliny). Ale słońce świeci na ten placyk prawie o godzinę dłużej niż w ogródkach w dzielnicy de Pijp i Oud-West. Nasza dzielnica jest tak nobliwa,

że stać ją nawet na dodatkowe godziny słońca.

Matka Carmen ma na sobie cienką jedwabną bluzkę, Luna i ja jesteśmy w T-shirtach. Wieczór jest piękny i ciepły.

Carmen siedzi na wózku inwalidzkim w grubej kurtce i w okularach przeciwsłonecznych.

– Chyba jest trochę rześko, co nie? – pyta ostrożnie, kiedy dostajemy napoje.

– No, raczej tak – kłamię.

– Chyba trochę rzeczywiście – wtóruje mi matka Carmen.

Pięć minut później jesteśmy już z powrotem w domu.

Na skórę i kości nie pomoże żadne wieczorne słońeczko.

*You're packing a suitcase for a place
none of us has been,
a place that has to be believed to be seen.*
(Pakujesz walizkę, wybierając się w miejsce,
w którym żadne z nas jeszcze nie było,
w które trzeba uwierzyć, by się urzeczywistniło.)

U2, z utworu *Walk On*
(album *All That You Can't Leave Behind*, 2000)

Trzy

Mam taką wielką nadzieję, że wszystko szybko pójdzie – mówi matka Carmen i zaczyna płakać, zakrywając dłońmi oczy. Obejmuję ją ramieniem i przyciągam do siebie.

Matka, która ma utracić córkę. Córkę, którą widzi śmiertelnie chorą, przykutą do łóżka po chemiach. Córkę, która z płaczem pokazuje jej miejsce, gdzie kiedyś była pierś, a teraz jest gęsto zszyte cięcie. Córkę, która, jak ma nadzieję, nie będzie się już długo męczyć. Powinno się uchwalić takie prawo, żeby matki nigdy nie widziały cierpień swoich dzieci.

Matka Carmen bierze mnie za rękę i całuje w policzek.

– Jakoś to wszystko wytrzymamy, nie?

Przytakuję. Frenk siedzi w milczeniu i przygląda się tej scenie. Jest źle, więc jest Frenk. Żelazna reguła. Anne zresztą też jest. Uświadamiam sobie, że jej ciepłe objęcia dobrze mi robią, dokładnie tak samo jak dwa lata temu, kiedy stanęła z Thomasem na progu naszego domu przy Amstelveenseweg.

– Pójdę na chwilę do Carmen – mówię i idę na górę.

Carmen jeszcze dosypia po drzemce. Uśmiecha się, kiedy wchodzę do sypialni.

– Cześć, przyjacielu... – mówi szeptem.

– No i jak tam? – pytam, siadając przy niej na łóżku. Biorę ją za rękę. Boże, jaka ta ręka jest chuda.

– Ja już dłużej nie chcę, Stijn... Skoro ma być tak jak teraz, to wolę, żeby się jak najszybciej skończyło... – Patrzy na moją dłoń, którą głaszczę jej rękę. Widzę, że chce coś powiedzieć, ale tylko przetyka ślinę.

– O co chodzi? – pytam. Wiem już, co chce powiedzieć, ale siedzę cicho. Chcę, żeby sama zaczęła rozmowę na ten temat.

– Chciałabym się dowiedzieć, jakie są zasady, gdybym tak... yyy... gdybym tak chciała to zakończyć sama. I co ty o tym sądzisz.

– Masz na myśli eutanazję?

– Tak – przytakuje z ulgą, zadowolona, że to ja wymieniłem imię bestii.

– Mam zadzwonić do naszego lekarza i zapytać, jak to się ma do jego powinności?

Przytakuje ruchem głowy. Biorę ją w ramiona. Wydaje się bardziej krucha niż nowo narodzone dziecko.

– Zadzwonię do niego. Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- Byłoby mi miło, gdyby jutro przyszło parę osób...
- Proszę bardzo. A kto?
- Thomas i Anne. Maud. Frenk.
- Anne już jest i Frenk też.
- Wspaniale. Powiedz, żeby przyszli do mnie na górę.
- Dobrze. Czy chciałabyś tymczasem coś zjeść?
- W zasadzie muszę, co?
- Od dzisiaj zupełnie nic już nie musisz.

Laat me mijn eigen gang maar gaan.
(Pozwól mi pójsć moją własną drogą.)

Ramses Shaffy, z utworu *Laat me*
(album *Dag en nacht*, 1978)

Cztery

Od kiedy Luna zrozumiała, co to znaczy się przytulać, każdego dnia rano robimy sobie w łóżku we trójkę zbiorowe przytulanko.

Proszę Frenka, który tak jak matka Carmen dziś w nocy spał u nas, żeby rano zrobił nam zdjęcie, jak się przytulamy. Trzymam w ramionach moje tryskające zdrowiem słoneczko (lat 3) i moją wychudzoną na szkielet, ale wciąż jeszcze promienną żonkę (lat 36). Carmen ma na sobie jedwabną piżamę w kolorze fiołków, Luna białą w misie. Obie uśmiechnięte od ucha do ucha. Widzę, że Frenk z trudem może utrzymać aparat.

Jemy śniadanie z Frenkiem i matką Carmen przy jej łóżku. Na lunch przychodzi też Maud. Zaraz po przyjściu mocno przytula Carmen i wybucha płaczem. Wchodzą też Anne i Thomas. Nawet nasza *au pair* z własnej inicjatywy przysiadła koło Carmen. Carmen cieszy się z tego tłoku. Sama nic nie je. Wygląda, jakby znowu straciła na wadze. Oceniam ją na jakieś czterdzieści dwa kilogramy.

Przychodzi doktor Bakker. Zadzwoiłem do niego wczoraj i dokładnie mi wyjaśnił, jak to wygląda z eutanazją. Carmen musi wystosować pismo, w którym musi określić, pod jakimi warunkami chciałaby wykonania eutanazji. Potem musi to podpisać. Później odbywa rozmowę z doktorem Bakkerem a potem z drugim niezależnym lekarzem. Obydwaj lekarze podpisują następnie, że chodzi o „przypadek beznadziejny, wiążący się z nieludzkim cierpieniem”. I że nie było żadnych nacisków ze strony rodziny ani osób trzecich. Od tego momentu Carmen sama podejmuje decyzję, kiedy chce umrzeć.

Oczywiście, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Doktor zadzwonił, że nadwerżył sobie plecy i czy koniecznie musi dzisiaj przyjść na rozmowę z Carmen. Mówię, że to jest konieczne.

Zdyszany wchodzi do sypialni na drugim piętrze naszego domu. Opowiada Carmen o swoich plecach. Carmen pyta zatroskana, czy bardzo go boli i czy nie byłoby lepiej, gdyby może przyszedł jutro.

– Wziąłem pigułki i jakoś da się wytrzymać – mówi lekarz. – A ty? Bardzo cię boli?

– Coraz bardziej... od wczoraj doszedł jeszcze ból w plecach – mówi Carmen ku mojemu zdumieniu. Mnie nic o tym nie powiedziała.

Doktor Bakker bada miejsce, które mu Carmen pokazuje.

– Obawiam się, że to kolejny przerzut.

– Pewnie tak – odpowiada Carmen sucho.

– Przepiszę pastylki z morfiną. Słyszałem od Stijna, że chciałabyś przygotować wszystko na wypadek, gdybyś już całkiem miała dosyć?

Carmen kiwa głową. Doktor Bakker mówi, że może jeszcze dzisiaj przysłać kolegę,

żeby przygotować kwestię eutanazji pod względem prawnym.

– Byłabym wdzięczna – odpowiada Carmen.

Drugi lekarz przychodzi pod koniec dnia. Bardzo formalny człowiek. Pytam, czy mam wyjść. Skąd mam wiedzieć, jak to się odbywa? A może tak, jak w tym starym teleturnieju dla par małżeńskich Kto Pierwszy, Ten Lepszy, gdzie mąż nie mógł słyszeć, co odpowiada jego żona i dlatego czekał w słuchawkach gdzieś w jakimś kącie.

Wolno mi zostać. Carmen mówi, jak to bardzo chciałaby zdecydować o tym, czy i kiedy zakończy swoje cierpienia związane z chorobą. Wygląda to zupełnie jak rozmowa kwalifikacyjna. Jakby musiała się jak najlepiej sprzedać. Lekarz bez specjalnych dodatkowych pytań wypełnia stosowny formularz. Carmen dziękuje. Widzę, że jest zadowolona. Zupełnie jakby właśnie dostała kluczyki do nowego samochodu.

– Ty chyba naprawdę jesteś zadowolona? – pytam, zdumiony jej radością.

– Tak. Bo wiesz, znowu mam wybór. Znowu mogę sama zdecydować, co dalej z moim życiem.

What you don't know you can feel it somehow.
(Czego nie wiesz, potrafisz jakoś wyczuć.)

U2, z utworu *Beautiful Day*
(album *All That You Can't Leave Behind*, 2000)

Pięć

Oprócz matki Carmen i Frenka, także Maud postanowiła w ramach pomocy duchowej i organizacyjnej koczować w naszym domu, dopóki Carmen jeszcze żyje. Frenk i Maud mają spać w jednym łóżku w jednym z pokoi gościnnych. Carmen strasznie się z tego nabija i kiedy Frenk wychodzi, próbuje namówić Maud, żeby mu dała w nocy popalić.

– Musisz po prostu na nim usiąść, jak będzie spał i zacząć jęczeć: pieprz mnie, pieprz mnie, leniwe ścierwo!

O mało nie pękną obie ze śmiechu. Carmen znowu jest dzisiaj w humorze.

– Możemy dzisiaj wszyscy zjeść kolację tutaj? – pyta z nadzieją w głosie.

– Nie sądzisz, że zrobi ci się niedobrze od zapachu ciepłego jedzenia?

– Może i tak, ale może dzięki temu wreszcie coś ze mnie wyjdzie.

Nasza *au pair* przygotowuje kolację. Carmen nic nie je, reszta o tyle, o ile. Jedzenie pachnie zupełnie jak zawartość kubła Carmen. Ryż z czymś zielonym i żółtym. W tym żółtym rozpoznaję kukurydzę, to zielone to może być wszystko. Carmen patrzy, jak jemy, rzucając od czasu do czasu szybkie spojrzenie na sąsiedni talerz i wybucha śmiechem. W ten sposób nasza *au pair* złapała jeszcze jedną fuchę, mianowicie jako nieświadomy nadworny błazen przy łożu śmierci Carmen.

Po kolacji zostają przy Carmen. Reszta schodzi na dół.

– Stijn... yyy... chce mi się kupę...

– Chcesz, żebym wyszedł?

Dostaliśmy dzisiaj z domowego hispanicjum coś w rodzaju fotela do robienia kupy. Wygląda jak fotel kempingowy z dziurą w siedzisku, na której jest deska klozetowa. Pod dziurą wisi plastikowy pojemnik.

– Wiesz, poczekaj chwilkę... nie wiem, czy dam radę sama wstać.

Bardzo powoli Carmen próbuje podnieść się z łóżka. Kiedy już prawie stoi na nogach, przewraca się do tyłu. Zaczyna płakać.

– Nie mam już siły w nogach... – chlipie.

– Pomogę ci – mówię.

Przysuwam fotel jeszcze bliżej łóżka i biorę ją pod ramiona. Carmen sama opuszcza spodnie od piżamy i majtki. Powoli sadzam ją na fotelu.

– Ha, ha, ha... babuleńka usiadła! – śmieje się Carmen.

Kiedy już zrobiła kupę, widzę, że się waha.

– Podetrzeć cię? – pytam.

Carmen kiwa głową, że tak i wstydzi się spojrzeć mi w oczy.

– Boję się, że inaczej się przewrócę...

– Oprzyj się o mnie. Wiesz, dzięki temu przynajmniej znowu dobioreę ci się do tyłka, a ty nie będziesz mogła zaprotestować – mówię, puszczając do niej oko.

Carmen śmieje się przez łzy. Stoi teraz twarzą do mnie, ręce zarzuca mi na szyję.

– Kochany przyjaciel... – szepcze.

Jedną ręką trzymam ją pod pachy, a drugą wycieram jej pupę. Potem uginam trochę kolana. Carmen trzyma się uwieszona na mojej szyi, prawie nie opierając się na nogach. Wolną ręką podciągam jej majtki i spodnie od piżamy.

– Czy są może jakieś rzeczy, co do których wiesz, że wolałabyś, żebym ich nie robił przez jakiś czas po tym, kiedy cię już nie będzie? – pytam, kiedy Carmen leży z powrotem na łóżku, ciężko dysząc z wysiłku.

– Nie.

– Chciałabyś może, żebym przez jakiś czas powstrzymywał się od seksu?

– Nie – uśmiecha się Carmen. – Rób po prostu to, na co masz ochotę. Chociaż... Mam nadzieję, że nigdy już nie zrobisz tego z Sharon. Ona jest jakby symbolem twoich zdrad. Czy ona była tą pierwszą, z którą mnie zdradziłaś?

– Nie... To chyba było z którąś z moich byłych. Może Merel. Albo Emma. Ale Sharon była pierwszą, o której się dowiedziałaś.

Oboje wybuchamy śmiechem.

– Wystarczająco dużo ich jeszcze zostało, żeby od którejś zacząć. Ale uważaj, będziesz zwierzyną łowną. Wolny, własna firma, piękny dom i wspaniała córka. Doskonała partia. Powiedziałam już Anne, Frenkowi i mojej mamie, żeby się za bardzo nie zdziwiły, jeśli się okaże, że ożenisz się szybciej, niż się tego spodziewają. Taki po prostu jesteś.

– O? – mówię, trochę przestraszony.

– Spokojnie, to nic nie szkodzi. Mam nadzieję, że szybko odnajdziesz szczęście. Z nową kobietą. A ja ci w tym pomogę, musisz przecież mieć kogoś, kto jest ciebie wart i nie da się stłamsić.

– Jeszcze jakieś życzenia?

– Musi być niewyżyta do granic.

Znowu wybucham śmiechem.

– Ale koniecznie musisz coś zrobić z tymi zdradami, Stijn.

– Tak, tak, wiem, monogamia...

– Nie o to chodzi. To się prawie nikomu nie udaje przez całe życie. Tobie na pewno się nie uda. Ale za nic nie wolno ci doprowadzić do tego, żeby twoja żona czuła się robiona w konia. Żebyś pieprzył się z połową lasek w Amsterdamie i Bredzie, i tylko ona jedna o niczym nie wiedziała. Jeśli już, to postaraj się, żeby nikt nie wiedział.

– Tak jak o tobie i Pimie...

– No właśnie. Zachowaj to dla siebie. Uważam, że nikt nie jest w stanie przyjąć takiej postawy emocjonalnej, żeby uważać zdradę za coś zupełnie niezależnego od miłości. Bardzo bym chciała tak umieć...

W poczuciu winy wbijam wzrok w ziemię. Trochę się waham, ale ostatecznie jednak decyduję się zapytać o coś, co nie daje mi spokoju. Pytam trochę naokoło.

– Czy są jeszcze jakieś rzeczy, o których chciałabyś wiedzieć? Coś, o co nigdy nie miałaś odwagi mnie zapytać?

Carmen znowu się uśmiecha.

– Nie. Nie musisz mieć poczucia winy. Wiem wszystko, co chciałam wiedzieć.

– Jesteś pewna?

– Tak. I niech tak zostanie.

Czuję się taki mały przy tej kobiecie. Uśmiecham się i idę do ubikacji, gdzie opróżniam pojemnik z fotela i kubek, i myję je do czysta.

Kiedy wracam, Carmen przygląda się, jak zawieszam z powrotem pojemnik pod fotelem.

– Tyle dla mnie zrobiłeś, od kiedy jestem chora – mówi ze wzruszeniem w głosie – a teraz jeszcze doszły ci kupa i siki...

Przypominam sobie słowa Nory. *Masz teraz szansę oddać żonie to wszystko, co przez te lata od niej otrzymałeś.*

Chwilę się waham, ale w końcu mówię:

– Byłem wczoraj u kogoś, o kim ci jeszcze nie miałem odwagi wspomnieć...

– O! Opowiadaj! – prosi z zaciekawiona.

Trochę zmieszany mówię jej o Norze i o tym, co powiedziała.

Carmen słucha uważnie, kiedy czytam jej list, który dała mi Nora. Widzę, że jest wzruszona.

– Uważam, że mądrze zrobiłeś, że tam poszedłeś i strasznie się cieszę, że ci to dobrze zrobiło. To naprawdę miłe...

– Mówisz poważnie? Ale czy ty w ogóle wierzysz w takie rzeczy? – pytam zdumiony.

– Nie wiem, w co wierzę, ale to, co powiedziała ci Nora, nie wygląda na jakieś bzdury. Coraz bardziej mi się wydaje, że to nie jest przypadek, że ja umieram. Wygląda na to, że jestem po prostu na to gotowa.

– I wierzysz w to, że w ten czy inny sposób będziemy nadal razem, kiedy ciebie już nie będzie?

– Tak – mówi Carmen zdecydowanie. – Zaraz będę znowu dla ciebie i dla Luny.

– Też w to wierzę – mówię – ale często się słyszy, że ludzie zaczynają wierzyć w Boga i życie po śmierci tylko dlatego, że stoją u kresu życia. Że to coś w rodzaju samoobrony organizmu...

– O nie – mówi Carmen z przekonaniem – to coś więcej. Znacznie więcej. Ja po prostu czuję, że zaraz znowu przy was będę. To zupełnie tak, jak się czuje, że się kogoś kocha. Po prostu się to wie i już. Tak samo wiedziałam w zeszłym roku w Club Med, że to bzdura, kiedy powiedziałeś, że nie wiesz, czy mnie jeszcze kochasz. Czuję się zupełnie tak, jakbym od zawsze cię kochała, jeszcze zanim cię w ogóle spotkałam...

W tym czasie położyłem się obok niej na łóżku.

– Mimo mojego egoistycznego postępowania?

– Po prostu zawsze umiesz o sobie zadbać – mówi Carmen ze śmiechem – i rzeczywiście nie zawsze było to w porządku wobec mnie. Pamiętasz, jak dwa lata temu zawlokłeś mnie do Vondelpark w czasie Dnia Królowej?

– No tak, zrobiłem to w pierwszym rzędzie dla siebie samego – przyznaję z uśmiechem.

– To bez znaczenia. To było takie symboliczne. Często myślałam o tamtej chwili, kiedy siedziałam taka stłamszona i nie miałam na nic ochoty.

– A gdybyś wiedziała wcześniej, jak to u mnie jest z kobietami, to też byś za mnie wyszła? – pytam.

Carmen patrzy na mnie, uśmiecha się tym swoim uśmiechem, który tak dobrze znam, lekko unosząc z jednej strony górną wargę.

– Tak. Jak najbardziej.

Trzymamy się za ręce, zakochani, nic więcej nie mówiąc. Leżymy tak długie minuty. Widzę, że zamknęła oczy. Chwilę później już śpi.

Schodzę na dół, gdzie Maud, Frenk i matka Carmen siedzą przy butelce wina rosé. Promienieję i uśmiecham się od ucha do ucha.

– Wyglądasz na szczęśliwego – mówi Maud.

– Bo jestem – mówię radośnie. – To było cudowne.

„Witaj, Bogini... Jestem zmęczony, wzruszony, ale czuję się godnie. Stijn w roli Florence Nighingale. Opowiedziałem Carmen o Norze. Była zadowolona. Ja też. Buziaki”.

Wij tweeën hier samen, dit kan wel eens het moment zijn.
(My tutaj, we dwoje, to może być ten moment.)

Tröckener Kecks, z utworu *Nu of nooit*
(album *Eén op één miljoen*, 1987)

Sześć

Rano Luna leży przy mnie w łóżku. Carmen leży z drugiej strony, pogrążona w głębokim śnie. Mówię szeptem do Luni, że może byłoby fajnie pójść do pokoju gościnnego, bo tam śpią Frenk i Maud. Luna zrywa się z entuzjazmem.

– Ciiiiii! – mówię szeptem, przestraszony. – Mama jeszcze śpi!

– Ojej! – mówi Luna, zakrywając sobie rączką buzię.

Wchodzimy do pokoju, gdzie śpią Frenk z Maud. Frenk jeszcze śpi. Maud jest w samym podkoszulku, leży i czyta. Nie wygląda, jakby mieli za sobą dziką noc. Szkoda. Carmen by się to podobało. Maud macha do Luni, która z zachwytem wskakuje do niej na łóżko.

Wracam do sypialni i kładę się przy Carmen, która ciągle jeszcze śpi. Patrzę na nią zakochanym wzrokiem, ujmuję jej dłoń i jak najdelikatniej przytrzymuję w swojej. Oddech Carmen jest ciężki. Powolny, z nieregularnymi przerwami. Czy mi się wydaje, czy te przerwy naprawdę stają się coraz dłuższe? Gdyby tak umarła teraz, we śnie, to byłoby właściwie pięknie. Wygląda na zadowoloną. Nagle uświadamiam sobie, że nie mam najmniejszego doświadczenia w patrzeniu na czyjaś śmierć. Jak to w ogóle jest? W którym momencie organizm decyduje, żeby przerwać bicie serca, zakończyć oddychanie? Czy to się dzieje stopniowo? Widać, kiedy się to zaczyna? Czy przedtem coś konkretnego się dzieje? I co wtedy robić? Dzwonić jak najszybciej po lekarza, czy po prostu pozwolić, żeby się stało? Nie mam pojęcia, co mówi etykieta umierania, czy raczej pozwolenia komuś, żeby umarł. Opieram się wyłącznie na moim wewnętrznym odczuciu, a ono mi mówi, że Carmen jest teraz tak spokojna, że jeśli o mnie chodzi, to mogłaby spokojnie zasnąć już na zawsze.

To powolne oddychanie trwa jakieś dziesięć minut. A potem Carmen znowu zaczyna oddychać normalnie. Tak jak robiła to całe życie. Dobre i to.

Niech to będzie po prostu zwykły fajny dzień.

I have become comfortably numb.
(Czuję przyjemne odrętwienie.)

Pink Floyd, z utworu *Comfortably Numb*
(album *The Wall*, 1979)

Siedem

Kiedy Carmen się budzi, pytam, czy ma ochotę coś zjeść.

– Tak. Pół tabletki morfiny.

– Znowu cię boli?

Kiwa głową.

– I to porządnie. Plecy.

– To dam ci całą.

– Na pewno powinniśmy?

– A w czym problem? Boisz się, że od tego umrzesz?

Carmen wybucha śmiechem.

– Żeby tak się dało...

Nagle jej twarz chmurnieje.

– Nie sądzisz, że już czas powiedzieć Lunie, że niedługo już mnie nie będzie?

– Dzisiaj już trochę ją na to przygotowywałem.

– I co ona na to?

– Że... – przetykam ślinę – ...to byłoby dobrze, gdyby już nic cię nie bolało i nie musiałabyś ciągle wymiotować.

Płaczymy obie nad losem naszego słoneczka.

– Już lepiej? – pytam po jakimś czasie. Carmen kiwa głową, że tak. – Przeczytać ci mejle, które do ciebie przyszły?

Carmen znowu kiwa głową, że tak. Jak prawdziwa gwiazda filmowa odpowiada na listy swoich fanów. Ja jak prawdziwa sekretarka piszę odpowiedzi, które dyktuje mi Carmen. We wszystkich mejlach powtarza, jaka jest teraz szczęśliwa.

– W swoim pamiętniku napisałaś bardzo piękny tekst dla Luny – mówię. – Bardzo chciałbym go odczytać w kościele w czasie nabożeństwa żałobnego.

– O, a który?

Wyjmuję pamiętnik, który Carmen pisze dla Luny, otwieram na stronie, którą zaznaczyłem żółtą karteczką samoprzylepną i zaczynam czytać.

Mam wielką nadzieję, że pozostawię coś w ludziach i że oni ci o tym powiedzą. Wydaje mi się mianowicie, i to nie tylko dlatego, że jestem chora, że jeśli w życiu naprawdę czegoś chcesz, to po prostu musisz to zrobić. Że musisz się cieszyć z każdego dnia, bo nigdy nie wiadomo, co się potem może zdarzyć. Może to brzmi strasznie trywialnie, ale naprawdę nie wiem, jak inaczej miałabym to wyrazić.

Kiedy byłem kiedyś na wymianie w Londynie, bardzo dużo wychodziłam z przyjaciółmi i przesiadywałam w pubach. Doskonale pamiętam, że w pewnym momencie

miałam tylko jedne buty, które miały dziury w podeszwach. Nie miałam pieniędzy, żeby je oddać do szewca. To znaczy, kiedy miałam do wyboru nowe zelówki albo mieć na wyjście wieczorem z przyjaciółmi do pubu, zawsze wybierałam to drugie. Bo sobie myślałam tak: będę o wiele bardziej szczęśliwa, spędzając wieczór z przyjaciółmi, niż siedząc sama w domu w butach z nowymi zelówkami.

Potem wyruszyłam w podróż dookoła świata. Od wielu osób słyszałam, że też miały takie marzenie, ale że nic z tego nie wyszło. Luna, często jest sto powodów, żeby czegoś nie zrobić, ale jeśli jest chociaż jeden powód, żeby to zrobić, to on powinien ci wystarczyć. Bo potem będzie ci bardzo żal tych wszystkich rzeczy, których nie zrobiłaś, bo tak to już jest, że nauczyć się można czegoś tylko z rzeczy, które się zrobiło.

– Całkiem zgrabne, chociaż to moje słowa – mówi Carmen, rumieniąc się.

Potem otwieram walizkę, w której Carmen zbiera pamiątki dla Luny. Czytam jeszcze kilka listów, które napisali dla Luny przyjaciele, rodzina i rodzice jej koleżanek i kolegów ze żłobka.

Ramon pisze do Luny, że chociaż spotkał Carmen osobiście zaledwie raz czy dwa razy, w czasie imprez w firmie, gdzie jej tata i mama wtedy razem pracowali i dlatego niewiele może powiedzieć o charakterze jej mamy, to jednak bardzo dokładnie ją zapamiętał. „Doskonale pamiętam, jak dumny był z niej twój tata, kiedy ją przedstawiał. I jak bardzo mu wtedy zazdrościłem. Luna, pozwól, że powiem bez owijania w bawełnę i tak jak to czuję: twoja mama była niewiarygodnie piękną kobietą. Powiem tacie, żeby ci to dał do przeczytania dopiero, jak będziesz w odpowiednim wieku, ale twoja mama miała cy... ehm... piersi, od których każdy facet dostawał oczopląsu. No. To przynajmniej teraz też już wiesz. Buziaki. Ramon, *amigo* twojego taty”.

Carmen uśmiecha się szeroko.

– Miło z jego strony, że tak pisze...

Czytam mejle, które przysły wczoraj i dzisiaj. Podczas kiedy czytam na głos, Carmen od czasu do czasu zapada w drzemkę. A potem nagle znowu się budzi.

– Stijn, a dałeś do powiększenia nasze ślubne zdjęcie?

– Co takiego?

– Nasze ślubne zdjęcie. Żeby było takie duże. Do postawienia na kominku.

– No, jeszcze nie...

– Tego się właśnie obawiałam – mówi z uśmiechem. – Gites proch^[51], ta morfina...

Cisza.

– Co mówisz, Stijn?

– Nic skarbie... naprawdę...

Carmen wzdycha.

– Jestem strasznie zmęczona... idę spać. Potem zjecie jeszcze raz tutaj?

„Carmen ma czasem halucynacje przez morfinę. Ale nadal wszystkim się cieszy. Jestem z niej dumny i zadowolony. Buziaki”.

*Dan gaan we drinken zeven dagen lang,
dan zullen we drinken, wat een dorst,
er is genoeg voor iedereen, dus drinken we samen,
sla het vat maar aan, dan drinken we samen,
wat een dorst, dan zullen we eten,
zeven dagen lang, dan zullen we eten...*
(A potem będziemy pili przez siedem dni,
a potem powinniśmy pić do upadłego,
starczy dla wszystkich, więc pijmy wszyscy wraz,
otwórzcie beczkę, będziemy pić razem do upadłego,
a potem będziemy jedli,
przez siedem dni, potem będziemy jedli...)

Bots, z utworu *Zeven dagen lang*
(album *Voor God en Vaderland*, 1976)

Osiem

Sklepikarze przy ulicy Cornelis Schuytstraat zacierają ręce, kiedy zbliża się finał życia Carmen. Sprowadzamy tony cateringu, jak dla armii. Nugteren, arystokracja wśród dostawców warzyw i owoców, wysyła nam pojemniki suszonych na słońcu pomidorów, winogron i surówek. Nan, supermarket z delikatesami, nie nadąża z codziennymi dostawami porcji mleka, pasztecików z pieprzem, rostbefu (który nasza *au pair* przygotowuje przy wtórce gwałtownych protestów) i tataru, wiejskich serów, sałatki jajecznej i mięsnych kulek *tijgerbolletjes* na domowe śniadanie i lunch dla Stijna & Carmen & Luny & Maud & Frenka & mamy Carmen & innych. Apteka przy Cornelis Schuytstraat podejrzewa nas zapewne, że sami chcemy zacząć handlować lekami albo zaopatrujemy jakąś drużynę kolarską. Każdego dnia ktoś przychodzi z nowym zamówieniem dla pani Carmen van Diepen. Apteka nie może nadążyć z codziennymi dostawami prednisonu, kytrilu, paracetamolu z kodeiną, temazepamu, primperanu, napojów witaminowych, morfiny i nasączanych sokiem cytrynowym wacików, które neutralizują smak wymiocin w ustach Carmen. Pasteuning, sklep z winami, pyta z uśmiechem, czy mamy jakieś święto, kiedy dzwonię po kolejne dwa tuziny butelek wina rosé. Co wieczór schodzą co najmniej cztery. Przy czym nie liczę tego, co schodzi po południu. Za każdym razem, kiedy schodzę na dół, widzę nowych ludzi siedzących w ogrodzie, w salonie i w kuchni. I wszyscy są współjedzący^[52]. Takie łożo śmierci to może być, jak widać, niezwykle miła okoliczność towarzyska, ale kosztuje majątek. Teraz już rozumiem, dlaczego się mówi, że coś jest „drogie jak nieszczęście”.

– Pieniądze szczęścia nie dają, ale można się za nie dobrze zabawić – mówi Carmen. Bardzo jej się podoba, że nasz dom wygląda jak hotel w Burgundii. Każdy chce się jeszcze z Carmen zobaczyć. Nikt nie chce niczego przegapić. Jest w tym coś z imprez takich jak Pinkpop, Dance Valey, Parade, karnawał czy Festiwal Jazzowy w Bredzie.

Totalny odjazd. Człowiek zaczyna wręcz mieć nadzieję, że będzie to impreza powtarzająca się corocznie.

To łożo śmierci trwa już od tygodnia, tymczasem Carmen czuje się znakomicie. Nawet lepiej niż na początku tego tygodnia. Dzięki morfinie udaje się jej niemal bez bólu przeżyć cały dzień.

– No a te halucynacje to już zupełnie osobna sprawa – zauważa. Wymiotami też przestała się przejmować. Stały się czymś tak zwyczajnym, jak wysmarkanie nosa.

– Czyli że nie zamawiamy na razie w aptece wiadomej mieszanki? – dopytuje się nasz lekarz.

– Nie. Powiedzmy, że mamy teraz coś w rodzaju doliczonego czasu gry – mówię.

– Albo dogrywkę według zasady „nagłej śmierci” – uzupełnia Carmen ze śmiechem.

Doktor Bakker patrzy na nas lekko zdziwiony, ale dochodzi do wniosku, że eutanazja w tym klubie imprezowicza^[53] to był trochę przedwczesny pomysł.

Carmen prosi, żebym zrobił może jakiś terminarz odwiedzin na najbliższe dni. Oprócz pewnych powtarzających się wizyt rodziców i jej najlepszych przyjaciółek, chętnie spotkałaby się też z kolegami i koleżankami z Advertising Brokers, paroma przyjaciółkami ze szkoły średniej i paniami z Muflona. Dzwonię do wszystkich i rozpisuję sztywny grafik. Kiedy na górze u Carmen są dziewczyny z Advertising Brokers, słyszę od czasu do czasu głośne śmiechy. Po półtorej godzinie idę na górę, żeby ogłosić, że audycja skończona, bo gwiazda musi trochę odpocząć. Za godzinę przyjdą panie z Muflona (przynajmniej te, które jeszcze żyją), a potem zjawi się też przedsiębiorca pogrzebowy.

*I never say die and
I never take myself too seriously.*
(Nigdy nie powiem umrzyj
i nigdy nie traktuję siebie zbyt poważnie.)

Fun Lovin' Criminals, z utworu *The Fun Lovin' Criminal*
(album *Come Find Yourself*, 1996)

Dziewięć

Przedsiębiorca pogrzebowy usiadł przy łóżku Carmen, która bardzo chciała mieć coś do powiedzenia w kwestii swojego „przyjęcia pożegnalnego”, więc poszukałem trochę w informatorach branżowych i zaprosiłem go do domu.

Pokazujemy mu projekt tekstu na zaproszenia.

– No proszę – mówi ten człowiek zdumiony. – Przygotowaliście państwo nawet projekt na żałobne karty.

– Na zaproszenia – poprawia go Carmen.

– Aha... no tak. Na zaproszenia.

Mówimy mu, że życzylibyśmy sobie, żeby trumna ze zwłokami Carmen była wystawiona w domu. I że chcielibyśmy zamówić mszę w pobliskim kościele Obrechtkerk. Tak żebyśmy z Luną, dopóki tu będziemy mieszkać, mogli co pół godziny wspominać Carmen, słysząc bicie kościelnych dzwonów. Zaznaczamy wyraźnie, że mszę chcemy zorganizować sami, to znaczy wspólnie z rodzicami i przyjaciółmi. Pokazujemy mu płytę CD ułożoną przez Carmen już parę miesięcy temu i mówimy mu, które utwory kiedy chcemy usłyszeć w kościele. Pan przedsiębiorca mówi, że musi sprawdzić, czy w kościele jest sprzęt nagłaśniający. Uspokajam go, że nie ma takiej potrzeby, bo wszystko sami załatwimy.

Mówimy, że Carmen chciałaby być pochowana na cmentarzu Zorgvlied i że potem chcielibyśmy się czegoś napić w De Mirandapaviljoen.

– I zjeść – dodaje Carmen. – Brownie, krajanka z lukrecji, wafelki z karmelem, bagietki z lososiem i kremowym serkiem i lody Häagen-Dazs. Macademia Nut Brittle.

– Nie musi pan nic zapisywać – mówię, widząc, że pan przedsiębiorca chce robić notatki. – Dwójka naszych przyjaciół zajmie się jedzeniem.

Nasze podejście zaczyna mu się podobać.

– Czy mogę służyć państwu pomocą w wyborze trumny, czy to również załatwiliście już we własnym zakresie? – pyta rozbawiony.

– Zobaczmy najpierw, co tam pan ma ciekawego w ofercie – mówi Carmen.

Wybieramy prostą trumnę ze zwykłego drewna z białym obiciem w środku.

– Na takim tle moja błękitna sukienka z Replaya będzie wyglądała najładniej – mówi Carmen. Patrzy na mnie. – Pod warunkiem że twoim zdaniem będzie fajnie, jak ją włożę.

Odpowiadam, że moim zdaniem bardzo ładnie w niej wygląda. Słowo „fajnie”

jakoś nie chce mi przejść przez gardło.

– A samochód po kościele? – pyta przedsiębiorca pogrzebowy.

– Biały. Nie za bardzo wypasiony.

– Dobrze.

– Chyba już wszystko. Ehm... no to, jak by tu powiedzieć... do widzenia – mówi Carmen.

Przedsiębiorca śmieje się bekliwie jak owca i wychodzi.

– Ale by było zabawnie, gdyby mi życzył przyjemnego końca – mówi Carmen, kiedy drzwi się za nim zamknęły.

Tego wieczoru znowu jemy wszyscy kolację przy łóżku Carmen. Zwyczajowa zielona pasza, którą nasza *au pair* serwuje nam od tygodnia, kompletnie mi już zbrzydła. Powiedziałem dzisiaj do tłumów zebranych w naszym domu, że jestem gotów zamordować za zwykły frikandel, jakąś rybę czy nawet porządne chińskie żarcie. Wyglądało na to, że więcej osób jest mojego zdania, więc dałem dzisiaj naszej *au pair* wychodne.

Maud i Frenk zamówili coś na wynos u Chińczyka. Od wielu dni nie jedliśmy nic, co nie byłoby zielone albo żółte, więc *babi pangang* oraz *koe loe youk* zostały powitane w sypialni Carmen głośnymi okrzykami radości. Sam świąteczny prosiak, jak mówi o sobie Carmen, zadowolili się dwiema łyżeczkami jogurtu.

W ciągu paru minut robi jej się niedobrze. Robi, co może, żeby zwymiotować, ale jej się nie udaje. Wkłada sobie palce do gardła, próbując wywołać odruch wymiotny, ale wszystko na nic.

– Szlag jasny, czemu to nie chce ze mnie wyleźć! – klnie z rozpaczy.

I nagle wszystko z niej chlusta, łącznie z tymi paroma łyżkami płatków z suszonymi owocami, które zjadła rano. Kiedy Carmen wymiotuje, całuję ją w czoło. Podaję jej papierowe chusteczki. Nikt nic nie mówi. Po ostatniej porcji wymiocin z kubła dochodzi głos Carmen:

– Jezu, ale się zrobiło cicho! Umarł ktoś, czy co?

Przez chwilę nadal panuje cisza, a potem wszyscy wybuchamy śmiechem.

*Though nothing, will keep us together,
we could steal time, just for one day,
I, I will be king, and you, you will be queen,
we can be heroes, just for one day.*

(A więc nic już nie pomoże nam być razem,
moglibyśmy skraść czas, tylko na jeden dzień,
ja, ja będę królem, a ty, ty będziesz królową,
możemy być wielcy, na jeden chociaż dzień.)

David Bowie, z utworu *Heroes*
(album *Heroes*, 1977)

Dziesięć

Na sukienkę nałożę tę nową marynarkę Diesla – mówi Carmen rano po przebudzeniu. – Nie jestem tylko jeszcze do końca pewna co do butów. Pewnie moje pumy.

Nie mam pojęcia, o których mówi. Przez ostatnie miesiące co tydzień przychodziła z nowymi butami, botkami i ubraniami.

– A ty? Chyba też kupisz sobie coś nowego?

– Pewnie tak, ale jeszcze nie wiem. Ostatnio widziałem gdzieś taki piaskowy garnitur, będę potem mógł w nim chodzić do pracy. Albo taki błyszczący kremowobiały od Joopa, który widziałem w P.C. Hooft. Ale ten to by się potem nadawał co najwyżej na imprezy.

– No to kup go! – woła Carmen z entuzjazmem. – Wolę, żebyś mnie potem kojarzył z imprezami niż z pracą.

Śmieję się wzruszony i przytulam ją. Trochę nieprzyjemnie pachnie. Już od tygodnia się nie kąpała.

– Mam ochotę cię porozpieszczać. Idziesz do wanny.

– Stijn, proszę, nie, to się nie uda...

– Zaufaj mi – mówię i idę do łazienki. Napuszczam całą wannę wody i robię piankę z jej ulubionego płynu do kąpieli. Biorę najdelikatniejszy ręcznik, jaki udaje mi się znaleźć w szafie, przygotowuję dwie rękawice do mycia, czyste majtki i czystą piżamę. Żeby zabezpieczyć jej wychudzoną, kościstą pupkę, kładę na dnie wanny trzy podwójnie złożone ręczniki. Potem wracam do sypialni.

– Podnieś dupkę – rozkazuję. Zdejmuję jej spodnie od piżamy i aż się wzdrygam. Przez ostatnie dni schudła jeszcze bardziej. Pośladki całkiem zniknęły, podobnie jak to zagłębienie w kształcie litery V nad nimi, które zawsze tak mnie podniecało.

Pomagam jej usiąść. Zdejmuję górę od piżamy i znowu aż się wzdrygam. Można jej policzyć wszystkie zębra. Jej ocalała pierś jest już tylko pustym workiem w rozmiarze D. Carmen dygoce z zimna. Szybko okrywam ją płaszczem kąpielowym, a potem sadzam ją w wózku i wiozę do łazienki. Ustawiam wózek równoległe do wanny. Carmen się boi.

– Spokojnie, kochanie. Na pewno cię nie upuszczę.

Zdejmuję dzinsy i skarpety, staję jedną nogą w wannie a drugą obok. Kiedy już mam pewność, że jestem dobrze oparty, podnoszę ją z wózka i mówię, żeby wsadziła do wody tylko jedną nogę, że nie musi się na niej opierać. Potem druga. Uginam kolana i proszę Carmen, żeby zrobiła to samo. Chwilę później leży już w ciepłej wodzie. W jej oczach pojawiają się łzy, tak jej dobrze. Zanurzam rękawicę do mycia w ciepłej wodzie, wyciskam trochę mydła z dozownika i zaczynam ją myć.

– Ooo... jak cudownie... – mówi Carmen, zamykając oczy. Śmiertelnie zmęczona, ale wewnętrznie szczęśliwa. Myję jej wychudzone ciało. Od stóp przechodzę do nóg. Potem krocze i brzuch. Myję jej ocalałą, pokurczoną pierś, a potem, wstrzymując oddech, przesuвам dłoń na prawo. I po raz pierwszy w życiu dotykam tego miejsca, gdzie kiedyś była jej pierś. Staram się to robić tak, jakby to było coś najzwykleszego w świecie.

Carmen otwiera oczy i ciepłym głosem mówi:

– Chodź tu...

Pochylam głowę w jej stronę. Carmen całuje mnie w usta.

– Kocham cię – szepcze.

Po skończonej kąpieli wycieram ją ręcznikiem i wykonuję te same czynności, co przedtem, tylko w odwrotnej kolejności. W sypialni ubieram ją w czystą piżamę. W ciągu niecałych dwóch minut Carmen już śpi.

W ubikacji piszę esemes.

„Jestem kompletnie rozbity, Roos. Koniecznie muszę cię usłyszeć. Buziaki?”

Oddzwania natychmiast. Opowiadam jej, co właśnie zrobiłem i wybucham płaczem. Roos pociesza mnie i mówi, że te tygodnie z pewnością będą dla mnie potem prezentem na całe życie. I że dzwonił do niej dzisiaj Frenk i dokładnie jej opowiedział, co się dzieje. Roos mówi, że jest ze mnie dumna.

Po zakończeniu rozmowy idę do sypialni i delikatnie całuję moją śpiącą Carmen w czoło. Z uśmiechem szczęścia na twarzy zapadam w sen.

Baby, is there no chance, I can take you for a last dance.
(Kochanie, czy nie ma szans na ostatni taniec z tobą.)

The Troggs, z utworu *With A Girl Like You*
(album *With A Girl Like You*, 1968)

Jedenaście

Stijn?

– Tak? – mówię zaspany. Orientuję się, że światło jest zapalone. Patrzę na zegarek. Jest piętnaście po pierwszej w nocy. Wszyscy w domu śpią.

– Jeść mi się chce...

– Na co miałabyś ochotę?

– Na... racuszki...

– To chwilę musisz poczekać.

Nieco później siedzimy w środku nocy na łóżku i zajadamy racuszki.

– Chyba jednak założę trampki od Gucciego zamiast tych Pумы.

– Że co?

– No, do trumny. Będą pasowały do błękitnej sukienki.

Trochę to trwa, zanim dociera do mnie, o czym ona mówi. A wtedy wybucham śmiechem. Za nic nie mogę się opanować. Carmen też się to udziela.

– Przestań, przestań, bo się zsikam... – mówi, płacząc ze śmiechu. Jej zwieracze już nie pracują tak jak dawniej.

– Nastawić jakąś muzykę? – pytam, kiedy się w końcu uspokoiiliśmy. – Którąś z twoich płyt? Dasz radę?

Carmen kiwa głową, że tak. Nucimy do kolejnych piosenek, jedząc racuszki. Piosenka numer sześć to był nasz pierwszy taniec na weselu.

– Zatańczymy? – spytałem.

– Świrus!

Podnoszę ją. Jej stopy tylko lekko dotykają podłogi. Carmen wisi w moich ramionach, obracam się kołyszącym ruchem. Tańczymy wolniej niż w dniu ślubu, ale tańczymy. Ja w gatkach, Carmen w swojej jedwabnej piżamie. Cichutko nucę jej do ucha tekst piosenki: *I want to spend my life with a girl like you... And do all the things that you want me to... I tell by the way you dress that you're so real fi ne... And by the way you talk that you're just my kind... Till that time has come and we might live as one... Can I dance with you...*^[54]

Kiedy piosenka się kończy, całuję ją, wkładając jej język do ust. To nawet bardziej intymne niż seks.

Pół godziny później coś wyrywa mnie ze snu. To Carmen zwraca racuszki.

– Wszystko w porządku – mówi znad miski. – Były naprawdę bardzo smaczne.

Bierze chusteczkę i wyciera usta.

– OK. No to teraz mogę iść z powrotem spać. Dobranoc.

Waiting for that day.
(Czekając na ten dzień.)

George Michael, z utworu *Waiting For That Day*
(album *Listen Without Prejudice*, 1990)

Dwanaście

Mija ósmy i dziewiąty dzień umierania Carmen. Od czasu do czasu płacze. Kiedy ból w plecach staje się zbyt silny. Kiedy kaszle i zauważa, że popuszcza mocz. Kiedy znowu traci na jakiś czas przytomność przez morfinę, której potrzebuje coraz więcej, żeby chociaż na chwilę uwolnić się od bólu. Dużą część dnia chodzi tak odurzona, jak włoski turysta zaliczający coffeeshopy z marychą.

Płacze też z powodu Luny. Którą mogła się nacieszyć tylko przez trzy lata.

– Ale to była słodka dzidzia – mówi, śmiejąc się przez łzy, kiedy ogląda film wideo, na którym siedzi razem z Luną na łóżku i oglądają razem *Ulicę Sezamkową*.

Wieczorami, już w łóżku, kiedy reszta towarzystwa raczy się na dole winem rosé, płacemy czasem razem. Kiedy wspominamy swoje wspólne wakacje, przyjaciół, jakieś fajne momenty, które razem przeżyliśmy. Ale częściej się śmiejemy.

Każdego ranka Carmen pyta podniecona, jaki mamy plan dnia. Kto dzisiaj przyjdzie. Zdążyła już tymczasem zobaczyć wszystkich, których chciała. Nawet to policzyłem: w ciągu dziewięciu dni przy jej łóżku było łącznie trzydzieści sześć osób. Niektórzy przychodzili tylko raz, innych trudno było się pozbyć.

Przyjaciółki i przyjaciele schodzą niekiedy z góry zapłakani.

– Właśnie powiedziała, że tak jej strasznie przykro, że jesteśmy tacy smutni – pochlipuje Anne, po spędzeniu z Carmen godziny. Idę na górę zobaczyć, czy Carmen też jest taka wzruszona. Kiedy wchodzę do sypialni, Carmen siedzi na brzegu łóżka i pali papierosa. Macha swoimi chudymi nóżkami, ręka trzymająca papierosa dygoce tak, że z trudem trafia nim do ust. Na twarzy uśmiech od ucha do ucha. Zupełnie jakby nigdy nic. Mentalnie jest w ostatnich dniach silniejsza od nas wszystkich.

Wszystkie dni przebiegają według tego samego schematu. Lunch i kolację zjadamy wszyscy razem w sypialni Carmen, która niczym się nie przejmując, rzyga jak kot, nasza *au pair* wzdychając i sapiąc, zajmuje się domem, Maud, Frenk i matka Carmen przyjmują gości i bawią się z Luną, a ja kilka razy dziennie sadzam i zdejmuję Carmen z fotela toaletowego i wynoszę jej kupy i rzygi do ubikacji.

Wątroba najwyraźniej całkowicie przestała pracować: kupa Carmen jest szara, mocz ciemnobrązowy. Oczy ma już tak żółte, jak samoprzylepne karteczki. Gałki oczne są zapadnięte. Wyjąłem dzisiaj rano zdjęcia, jakie robiłem Carmen z każdym, kto był u nas w ciągu tego tygodnia. Tak sobie myślę, że nikt nie będzie ich chciał. Na niemal wszystkich zdjęciach, zwłaszcza na tych z ostatnich dwóch dni, Carmen wygląda przerażająco. Waży już chyba mniej niż czterdzieści kilogramów. Wydaje mi się, że tak chyba jest.

Kiedy po raz nie wiadomo który wynoszę do ubikacji kubek z rzygami, słyszę, jak mnie woła.

– Stijn! Błagam, szybko... strasznie chce mi się siku...

Wkładki Tena Lady, które jej wczoraj kupiłem, sprawdzają się może w przypadku popuszczania moczu w czasie kaszlu czy śmiechu, ale nie kiedy trzeba się normalnie wysikać. Wybiegam z ubikacji.

– Leż spokojnie, nie ruszaj się. Zaraz cię posadzę na fotelu.

– Nie... już nie wytrzymam! – woła Carmen w panice. – Oooo, zaraz się posikam, Stijn...

Szybko wyjmuję z szafy kilka ręczników, zsuwam Carmen spodnie od piżamy, podkładam jej złożony podwójnie ręcznik pod pupę, a drugi przykładam do krocza. Zasikuje obydwu. No i siedzę tak przy niej. Z ręcznikiem na jej cipce. Tej cipce, która zawsze mnie tak podniecała. Tej cipce, którą setki razy lizałem. Do której wkładałem kutasa, palce, język i wszystko, co nam przyszło wspólnie do głowy. Tej cipce, w której pierwszej nocy, kiedy się ze sobą kochaliśmy, dochodziłem raz za razem, raz za razem, raz za razem. Tej cipce, którą rozchyłała dla mnie obiema rękami, żeby mnie podniecić jeszcze bardziej, niż już byłem. Tej cipce, w którą miałem ją pieprzyć mocniej i mocniej, tak jak się tego na cały głos domagała. I tę właśnie cipkę osuszam teraz wielkim ręcznikiem, ponieważ moja ukochana nie mogła już utrzymać moczu. Carmen płacze ze wstydu.

– Nie trzeba, kochanie... nie trzeba... – szepczę do niej łagodnie. Przytulam ją i całuję wszędzie. Moja mała kupka wspaniałego człowieka.

Kiedy już obmyłem jej krocze i uda, kładę się przy niej i gładzę ją po twarzy. Carmen jest smutna.

– Ty chyba też nie dasz tak długo rady, Stijn – mówi, pochlipując. – Boję się, że czekają mnie jeszcze tygodnie takiego leżenia i że będzie już tylko coraz gorzej. Nie wiem, czy chcę to dłużej ciągnąć...

Doznaję lekkiego szoku. Zastanawiam się, co jej powiedzieć.

– Kochanie, mogę razem z tobą omawiać wszystko i kiedy tylko chcesz, ale tę decyzję musisz podjąć całkowicie samodzielnie. Jestem szczęśliwy, że mogę ci jeszcze jakoś pomóc i będę to robił nawet przez całe tygodnie. Ale jeśli ty zdecydujesz, że już dłużej nie chcesz, to też to zrozumieć. Cokolwiek zdecydujesz, ja się z tym zgodzę.

Carmen kiwa głową.

– To dobrze. Zobaczyłam się już ze wszystkimi, z którymi chciałam się zobaczyć i zrobiłam wszystko, co chciałam zrobić. Powiedziałam wszystko, co chciałam powiedzieć. Chcę z tym skończyć. Jutro.

– Jesteś tego pewna?

– Tak.

– To dzwonię do lekarza.

*I've lived a life that's full,
I travelled each and every Highway.*
(Żyłem pełnią życia,
podróżowałem każdą z możliwych autostrad.)

Frank Sinatra, z utworu *My Way*
(album *My Way*, 1969)

Trzyście

Nasz domowy lekarz z wolna wspina się przede mną po schodach. Demonstracyjnie stara się prostować plecy. Nie mam zamiaru o nic go pytać. Wzdychania naszej *au pair* jakoś znoszę, bo fajnie jest potem sobie z tego pożartować z Frenkiem, Maud i matką Carmen, ale doktor nie ma prawa narzekać. Zwłaszcza, kiedy moja żona jest cały czas na morfinie, a jutro umrze.

– I jak tam twoje plecy? – pyta Carmen, kiedy wchodzę razem z doktorem Bekkerem do jej sypialni.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, rzucam mu groźne spojrzenie.

– Och, już dobrze, dziękuję. Ale u ciebie chyba jakieś znaczne pogorszenie, jak słyszę? – mówi pośpiesznie.

– Tak. Mam o wiele większe bóle niż wczoraj i coraz częściej tracę przytomność. Nie chcę już dłużej tego ciągnąć. Jutro chcę z tym skończyć – mówi zdecydowanym tonem.

Doktor Bakker uważnie słucha tego, co ona mówi.

– Dobrze – kwituje. – Powiem ci w takim razie, co się będzie działo. Jutro przyniosę ci tę specjalną mieszankę. Będziesz ją musiała sama wypić. Wtedy w ciągu dwudziestu minut zakończysz życie. Nic nie poczujesz.

– Brzmi nieźle – mówi Carmen.

Nasz lekarz domowy wybucha śmiechem.

– Czy chciałabyś, żeby jutro ktoś przy tym był?

– Tylko Stijn – mówi Carmen bez chwili wahania.

Pęcznięję z dumy, zupełnie jakby mnie zaprosiła do łoża VIP-owskiej, żebym razem z nią oglądał Ligę Mistrzów.

– W takim razie jeszcze jutro rano zadzwonię, żeby usłyszeć, czy podtrzymujesz swoją decyzję, i jeśli tak, to przyjdę pod koniec dnia – podsumowuje doktor Bakker.

Już teraz myślę z niepokojem o tej chwili, kiedy usłyszę dzwonek do drzwi późnym popołudniem jutrzejszego dnia. Zupełnie jakby na progu miał czekać kat.

Schodzę na dół i mówię wszystkim, że jutro Carmen chce dokonać na sobie eutanazji. Wszyscy odczuwają ulgę. A więc teraz już wszystko wiadomo. Frenk, Maud i matka Carmen zajmą się przygotowaniem pokoju, w którym zostanie umieszczona trumna ze zwłokami Carmen. Anne zabiera Lunę do miasta, żeby poszukać dla niej spinek do włosów ze słonecznikami. Ja wychodzę z laptopem do ogrodu, żeby na bazie listu Carmen

do Luny przygotować najpiękniejszą przemowę, jaką w sobie noszę.

Pod koniec dnia idę do Carmen.

– Mam już gotową przemowę...

– Mogłabym usłyszeć? – pyta Carmen z błyskiem w oku.

– No, tak.

Zaczynam czytać. Carmen słucha z zamkniętymi oczami.

...– ...Napisałaś do Luny, że chciałabyś coś z siebie podarować ludziom. Że powinni cieszyć się każdym dniem. Twoim pogrzebem. Resztą swojego życia. Miłością, przyjaźnią, ładnymi ubraniami, drobnymi przyjemnościami i dekadencjami też. Radość to sztuka życia. Pod tym względem ty byłaś prawdziwie profesjonalną Artystką Życia.

– A potem odczytam to, co napisałaś dla Luny.

Patrzę na Carmen, która ociera łzy z twarzy.

– Jesteś moim bohaterem... – mówi szeptem.

„Carmen zdecydowała pożegnać się ze światem jutro rano. Chcę być przy niej. Czy będziesz miała dla mnie czas we wtorek wieczorem? Będę cię potrzebował. Buziaki”.

*Gdy ci życie da popalić, nie narzekaj,
tylko zagwiźdź, życie śmiechu warte, jak i śmierć.*

Monty Python, z utworu *Always Look At The Bright Side Of Life*
(z filmu *Żywot Briana*, 1979)

Czternaście

W nocy długo nie mogę zasnąć. Z powodu, o którym nikomu nie mogę powiedzieć. Obawiam się tej chwili, kiedy po raz pierwszy w życiu będę „na żywo” świadkiem czyjejs śmierci. Widziałem już oczywiście paru zmarłych. Dwoje w trumnie i raz kogoś na drodze, ale na szczęście był pod samochodem, więc nie widziałem go dokładnie. Czyli, że w zasadzie się nie liczy.

Tych dwoje w trumnach to była moja ciotka – której się prawie nie przestraszyłem, bo za życia też nieprzyjemnie było na nią patrzeć – i moja babcia, której nie znosiłem. Ale i tak niespecjalnie było mi przyjemnie patrzeć na zwłoki tych osób, chociaż w zasadzie nic mnie z nimi nie łączyło. Nie, zdecydowanie nie jestem fanem śmierci. A patrzeć „na żywo”, jak ktoś umiera, to już naprawdę musi być coś okropnego.

Uważam zresztą ten swój strach za naprawdę niegodny. Carmen się nie boi, a przecież ona musi tej śmierci doznać. A ja będę ją tylko widział. Ale to jednak nadal będzie śmierć. Po raz pierwszy w życiu zobaczę, jak ktoś umiera, i będzie to od razu nie kto inny, jak moja żona. Chodzi mi o to, że jak się gra w piłkę, to na początku sezonu są mecze najpierw z jakąś mało znaną drużyną, prawda? Dlaczego więc nie mogę nabrać wprawy, patrząc na początek na śmierć osoby, która jest mi obojętna? Jakiegoś zwykłego przechodnia na ulicy albo kibica na trybunie stadionu, który dostał zawału? Dlaczego od razu musi to być Carmen?

I jeszcze coś: jutro rano muszę zadzwonić do przedsiębiorcy pogrzebowego, żeby go uprzedzić, że istotnie mamy zamiar skorzystać z opcji przygotowania ciała, najchętniej bezpośrednio – i to możliwie szybko – po śmierci Carmen zaplanowanej na mniej więcej siódmą wieczorem. Z tolerancją powiedzmy godziną. Czy to możliwe, czy też coś takiego trudno w tak krótkim czasie zaplanować? Czy trzeba wcześniej dokonać rezerwacji? A może lepiej zadzwonić już dziś wieczorem, bo może usłyszę, że o takich rzeczach trzeba powiadamiać z dużym wyprzedzeniem, a teraz przed nami czeka już sześćcioro zmarłych, tak że nasza kolej przyjdzie najwcześniej pod koniec przyszłego tygodnia?

A co potem? Czy w dwie godziny po tym, jak Carmen umrze w naszym małżeńskim łóżku, zostanie obmyta i włożona do trumny, ja mam się w tym łóżku położyć na noc? A może mam prawo powiedzieć, że dla mnie to trochę makabryczne?

No proszę, o takich rzeczach nie ma ani słowa na stronie o eutanazji.

*And I know it aches, and your heart it breaks,
and you can only take so much, walk on, walk on.*
(Choć wiem, że to boli, i że łamie ci serce,
i choć więcej nie możesz już znieść, idź dalej, idź dalej.)

U2, z utworu *Walk On*
(album *All That You Can't Leave Behind*, 2000)

Piętnaście

Budzi mnie Carmen. Jest wpół do siódmej rano. Płacze.

Biorę ją w ramiona i mocno przytulam.

– To mój ostatni dzień...

– Może wolisz jeszcze poczekać?

– Nieee... jednak muszę... to wszystko takie zwariowane... Zrobisz coś dla mnie?

– Co takiego?

– Czy mógłbyś poprosić wszystkich, którzy mają dzisiaj przyjść, żeby potem wyszli? Dla mnie to byłoby za trudne... A nie chcę stracić nawet minuty z tego czasu, który mogę spędzić z tobą i Luną...

Wczoraj Carmen sama mi powiedziała, ile czasu chce spędzić z daną osobą, kto ma przyjść z kimś, a kto indywidualnie. Zupełnie jak gwiazda rocka planująca wywiady.

– I możesz zadzwonić do doktora Bekkera? Powiedz mu, że nic się nie zmieniło.

„Cześć. Zapowiada się ciężki dzień. Wszyscy są smutni, ale też odczuwają ulgę, że już dziś będzie po wszystkim. Myśl dużo o mnie i zapal dodatkową świeczkę dla Carmen. Buziaki”.

Pierwsi idą na górę Thomas i Anne. Siedzą u Carmen prawie godzinę. Potem schodzą na dół. Anne trzyma się dzielnie. Thomas pyta, czy mogę z nim wyjść na chwilę. Idziemy do kuchni. Thomas ma zaczerwienione oczy.

– Niech to szlag, już mi jej brakuje – mówi.

Obejmuje mnie ramieniem, potem ujmuję moją głowę w swoje wielkie dłonie i całuje mnie w czoło. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam Niedźwiedź z Maarssen mnie pocałował.

– Stijn, wiesz... yyy... nie zawsze byłem dobrym przyjacielem... yyy... w ubiegłym roku. Nie jestem wielkim mówcą, jeśli o to chodzi. I może czasem się co do ciebie myliłem... Carmen opowiedziała mi o tej kobiecie, jak ona się nazywała, a, Toos, z Muflona. Że rozwiodła się z mężem. I o tych chemiach, na których wy byliście jedynymi, którzy przychodzili razem. I jak jej przez ten cały czas pomagałeś. I jak bardzo ją uszczęśliwiłeś przez ostatnie tygodnie. Jestem... no, jestem... z ciebie dumny, bracie.

Przyciska mnie do piersi z taką siłą, że zaczynam się obawiać, że zaraz nabawię się takiej samej kontuzji pleców, jak nasz domowy lekarz, ale chwila jest dla mnie zbyt piękna, żebym miał marudzić. Płaczymy. Obaj. A na koniec wybuchamy śmiechem.

– Dobra, wystarczy tego mazania się, cioto... – rzucam, pociągając nosem.

– Masz rację, fiucie.

– Kutas.

– Palant.

Objęci ramionami wychodzimy do ogrodu. Maud patrzy na nas z takim zdziwieniem, jakby zobaczyła Louisa van Gaala śpiewającego w duecie z Johanem Cruiffem.

Frenk schodzi z góry z bladym uśmiechem na twarzy.

– Było miło. Strasznie się jeszcze pośmialiśmy.

Maud wraca zapłakana.

– Było pięknie. Ona chyba odczuwa ulgę.

Większość nie schodzi sama na dół i muszę im łagodnie przypominać o zakończeniu widzenia. Carmen leży na łóżku jak królowa i cieszy się tymi wszystkimi miłymi rzeczami, które słyszy i przyjemnymi rozmowami. Bardzo szybko łapiemy półtorej godziny opóźnienia w stosunku do grafiku. Nie mam serca jak surowy policjant wypraszać ludzi, którzy nawet jeszcze u niej nie byli. Z drugiej strony niezbyt podoba mi się perspektywa, że ja sam dostanę się do niej na szarym końcu i nie będę miał wystarczająco dużo czasu z nią dla siebie.

– Może jednak zadzwonię do doktora Bakкера, że wszystko się trochę opóźni? – proponuję.

– No, chyba trzeba. Tak miło się zrobiło. Chyba nie ma pośpiechu?

Dzwonię do doktora Bakкера i pytam, czy mógłby przyjść nie o wpół do szóstej, tylko o wpół do ósmej.

– Carmen przeżywa takie przyjemne chwile.

Matka Carmen jest ostatnia przed Luną i mną. Wraca po kwadransie. Jestem przygotowany, żeby ją pocieszyć, ale ona wcale nie jest rozdygotana. Wygląda raczej na szczęśliwą.

– Wszystko już sobie powiedziałyśmy wcześniej – oznajmiła. – Powiedziała jeszcze tylko „do zobaczenia w piątek na moim pogrzebie”.

*Never forget who you are, little star,
never forget where you come from, from love.*
(Nigdy nie zapomnij kim jesteś, małą gwiazdką,
nigdy nie zapomnij skąd się wzięłaś, z miłości.)

Madonna, z utworu *Little Star*
(album *Ray Of Light*, 1998)

Szesnaście

Dzisiaj Luna poszła na pół dnia do żłobka. Nie chciałem, żeby przez cały dzień patrzyła na zapłakanych ludzi. Po drodze wyjaśniłem jej, że lekarze nie mogą już bardziej naprawić jej mamy. Luna zareagowała rzeczowym „O!”. Powiedziałem jej, że dzisiaj będzie widziała mamę po raz ostatni. I że potem mama umrze.

– Tak jak ten ptaszek? – spytała.

– Tak – mówię przełykając ślinę. – Tak jak ten ptaszek.

– I tak jak Elvis i Beavis?

– Tak – śmieję się. – Tak jak Elvis i Beavis.

– Ale mama nie pójdzie do nieba dla rybek?

– Pewnie, że nie. Mama pójdzie do nieba dla ludzi. I będzie tam najpiękniejszym aniołkiem ze wszystkich.

Właśnie ją odebrałem. Opiekunki, które przez ostatnie tygodnie informowałem o rozwoju sytuacji na froncie, powiedziały, że Luna z wielką dumą opowiadała innym dzieciom, że dzisiaj jej mamusia umrze i zostanie aniołkiem. Dzisiejszego dnia Luna z miejsca stała się najpopularniejsza w całej grupie.

Czuję ucisk w żołądku, kiedy wchodzę z Luną do sypialni. Kiedy Carmen nas widzi, z miejsca wybucha płaczem.

– Wyjaśnisz jej? – pyta drżącym głosem.

Kiwam głową, że tak.

– Luna, możesz mi usiąść na kolanach? – proszę. Siadamy tuż przy łóżku Carmen. Luna jest całkowicie spokojna. W wielkim skupieniu patrzy na mamę. Nie odwraca wzroku i cały czas na nią patrzy.

Zaczynam.

– Mówiłem ci, że mama jest bardzo chora i że dzisiaj umrze, prawda?

Luna kiwa głową, że tak.

– Niedługo przyjdzie pan doktor, który przyniesie mamie takie specjalne picie. Mama wypije to picie i sobie zaśnie. Ale nie będzie to taki prawdziwy sen, bo mama już się z niego nie obudzi. Wtedy już nic jej nie będzie bolało i już nie będzie chora.

– I już nie będzie wymiotowała?

– Nie. Wtedy już... – przerywam na chwilę, bo widzę, jak po policzkach Carmen toczą się łzy – ...wtedy już nie będzie wymiotowała.

Carmen bierze w swoje dłonie rączkę Luny i zaczyna ją głaskać.

– A potem mamusia umrze. Bardzo spokojnie.

– I będzie musiała być w trumnie?

– Tak. Potem mama będzie w trumnie.

– Tak jak Śpiąca Królewna?

– Tak. Tylko jeszcze ładniejsza... – mówię, mając policzki mokre od łez.

Luna patrzy na mnie i całuje mnie w policzek. Mówię dalej:

– Trumna będzie stała na dole w salonie i będzie miała takie szklane wieko. Mama będzie ubrana w swoją najładniejszą sukienkę.

– A którą? – pyta Luna z wielkim zainteresowaniem.

– Tę niebieską – mówi Carmen.

– Poczekaj, wyjmę ją.

Wyjmuję sukienkę od Replaya, która już od wielu dni wisi gotowa w szafie za łóżkiem.

– Piękna, prawda? – pytam.

Luna kiwa głową, że tak.

– A potem będziemy mogli jeszcze przez kilka dni patrzeć na mamę, tak długo, jak będziemy chcieli, tylko że mama już nic nie będzie mówiła.

Luna znowu przytakuje ruchem głowy. Wygląda na to, że dla niej to logiczne.

– Kiedy już upłynie kilka dni, pójdziemy do kościoła, razem z mnóstwem przyjaciół mamy, żeby śpiewać piosenki i opowiadać miłe rzeczy o mamie. A potem pochowamy mamę. Zupełnie tak samo, jak tego ptaszka z książki, pamiętasz?

Widzę, że Luna jest trochę rozczarowana.

– Ale ja myślałam, że mama pójdzie do nieba.

Carmen wybucha śmiechem.

– To prawda. Ale to akurat trudno wytłumaczyć. Dorośli też tego do końca nie rozumieją – mówię. – Wydaje mi się, że ciało mamy zostanie pochowane, ale mama dostanie nowe w niebie.

– I będzie aniołkiem! – woła Luna z zapalem.

– Tak... – mówię, zagryzając wargi.

– Szkoda mi, że mama musi umrzeć.

– Ja też żałuję – szepcze Carmen. – Ja też.

– I już cię więcej nie zobaczę?

– Nie. Kiedyś później, jak już będziesz bardzo, bardzo stara, to też umrzesz i też zostaniesz aniołkiem, i wtedy znowu się zobaczymy... – mówi Carmen.

– O...

– Dlatego razem z mamą przygotowaliśmy mnóstwo różnych rzeczy dla ciebie od mamy i włożyliśmy do tamtej walizki. Jak trochę dorośniesz, będziesz mogła je sobie czytać i oglądać.

– Poza tym tata w każdej chwili będzie ci mógł o mnie wszystko opowiedzieć. I nowa mama niedługo też – mówi Carmen.

Cisza.

– No to co? – pytam Carmen, nie bardzo wiedząc, jak ją zapytać, czy jest już gotowa na pożegnanie z córeczką.

– Miejmy to już za sobą – płacze Carmen.

Wyciąga ramiona. Stawiam Lunę na podłodze. Stoi teraz tuż przy łóżku Carmen.

– Kocham cię, mój skarbeczku – mówi Carmen.

– Ja ciebie też bardzo – odpowiada Luna zmieszana.

A potem zaczyna Carmen całować. Po całej twarzy. Wszędzie. Tak jak jeszcze nigdy tego nie robiła. Luna całuje Carmen w policzek, w oko, w czoło, w drugi policzek, w usta... Luna ociera łzę z policzka Carmen. Czuję ból w sercu, dałbym wszystko, żeby tylko móc to zmienić, ja bym... ja bym...

Ale nic nie mogę zrobić.

Poza tym, żeby uklęknąć przy Carmen i Lunie i po raz ostatni zakosztować naszego grupowego przytulania.

A potem uwalniam się z ich objęć i ruszam z Luną w stronę drzwi. Carmen kiwa głową.

– Trzymaj się, skarbeczku – mówi raz jeszcze, bardzo, bardzo smutna.

Luna nic nie mówi. Macha do Carmen, drugą ręką trzymając moją dłoń. I posyła Carmen całusa. Carmen zakrywa usta dłonią i dalej płacze.

Wychodzę z Luną z sypialni. Carmen i Luna już nigdy się nie zobaczą.

Boże, błagam cię, spraw, żeby było niebo, w którym będą się mogły kiedyś znowu zobaczyć.

Błagam.

Błagam.

Błagam, Boże.

*Ga nu maar, ik blijf nog even hier,
maar ik wil je nog bedanken,
voor wat je hebt gedaan,
het afscheid komt altijd te vroeg.*
(Idź już, ja jeszcze trochę zostanę,
chciałbym ci jeszcze tylko podziękować,
za wszystko co zrobiłaś,
pożegnania zawsze przychodzą za wcześnie.)

Tröckener Kecks, z utworu *Een dag zo mooi*
(album *Andere plaats andere tijd*, 1992)

Siedemnaście

Powiedzieliśmy sobie już wszystko. Ale nagle mamy jeszcze przed sobą półtorej godziny do przyjścia lekarza. Zupełnie jakbyśmy byli na urlopie i czekali przez ostatnią godzinę na autobus, który ma nas zawieźć na lotnisko. Staram się, żeby było to pożegnanie w stylu Carmen. Wyciągam kamerę wideo i filmuję tekst, który dzisiaj rano Maud i Frenk namalowali na ścianie salonu. Zdejmuję džinsy i T-shirt i wkładam błękitną koszulę, którą przygotowałem sobie rano. Ma ten sam kolor, co sukienka Carmen. Potem wyjmuję z plastikowej torby kremowy garnitur od Cornelianiego Ogera i wkładam na siebie.

W sypialni staję przed łóżkiem i rozkładam ramiona.

– Patrz – mówię. – *Shopping is healthy.*

Oczy Carmen rozbłyskują.

– A jednak go kupiłeś!

– Dla ciebie. No i jak?

– Ależ piękny... – Carmen jest wzruszona. Śmieje się i płacze jednocześnie. Każe mi się obrócić. – Jest naprawdę wspaniały... Wyglądasz w nim rewelacyjnie. Czy będziesz o mnie myślał za każdym razem, kiedy go włożysz?

– Zawsze. Przy każdej okazji, kiedy będę go na sobie miał.

– To już wiem, że często będziesz o mnie myślał – mówi ze śmiechem.

Kładę się przy niej i obejmuję ją, na ile się da. Przez długie minuty nie odzywamy się ani słowem.

– Jestem ciekawa, jak tam jest po drugiej stronie – mówi nagle Carmen. Mówi to takim tonem, jakby właśnie miała się wybrać na film, o którym bardzo dużo słyszała. – Cieszę się, że to już. I chociaż bardzo mi będzie brakowało Luny i ciebie, to jednak cieszę się, że nie będę na waszym miejscu. Sama z Luną, bez ciebie... Nie miałabym na to siły. Nie chciałabym się z tobą zamienić...

– A ja z tobą...

– Ale nam dobrze... – mówi Carmen ze śmiechem.

Rozmawiamy, i jak to często się działo przez ostatnie tygodnie, rozmawiamy o Nas. Dlaczego się w sobie zakochaliśmy, co w sobie ceniliśmy, czego się od siebie nawzajem

nauczyliśmy, co razem przeżyliśmy. Cieszymy się, że tworzyliśmy Nas. Pieprzyć wszystkie kłótnie, pieprzyć wszystkie problemy, pieprzyć raka, pieprzyć ten wieczór, kiedy miałem wypadek, pieprzyć Pima, pieprzyć Sharon i pieprzyć wszystkie kobiety z którymi spałem, oprócz Roos. I Maud.

– Zdejmiemy obrączki? – pytam niepewnie.

– Tak...

Każde z nas bierze dłoń drugiego i powtarzamy ten sam rytuał, co w czasie ślubu. Tylko w odwrotną stronę. Wkładam obrączki do srebrnego pudełka na biżuterię i chowam do walizki ze wspomnieniami dla Luny.

Carmen patrzy na drugą obrączkę, którą mam na palcu serdecznym drugiej dłoni.

– Czy mogę ci ją jeszcze raz włożyć? – pyta zakłopotana.

Zdejmuję z palca obrączkę, którą dostałem od niej pół roku temu i podaję jej. Próbuje przeczytać tekst wygrawerowany na wewnętrznej powierzchni obrączki, ale jej się nie udaje.

– *Dla mojej wielkiej miłości. Od Carmen* – czytam na głos.

– O tak... – mówi Carmen, patrząc z zadowoleniem na obrączkę.

Próbuje wsunąć mi ją na palec, ale nie ma tyle siły. Robimy to razem.

– Będziesz ją nosił?

– Zawsze.

– To dobrze – mówi łagodnie.

Cisza.

– Mam jeszcze coś, żeby cię trochę rozerwać – mówię.

Wyjmuję kamerę wideo. Przez ostatnie dni sfilmowałem cały nasz dom. Dom, który wspólnie kupiliśmy i z którego przez ostatnie jedenaście dni, poza piętnastominutową kąpielą w łazience, Carmen widziała jedynie sypialnię. Na taśmie słychać mój komentarz.

– Cześć Carmen. Minęło już trochę czasu, więc możesz go nie poznać: to nasz ogród. Tutaj widzisz nowy parasol, pod którym również dzisiaj Frenk, Maud i twoja matka już od samego rana siedzą i raczą się winkiem, podczas gdy ich najlepsza przyjaciółka i córka leży na górze śmiertelnie chora. – *Śmiech* – Może jeszcze zdobędziecie się przynajmniej na toast za Carmen? – *Słychać okrzyki*. – Jak widzisz, Maud ledwie jest w stanie podnieść kieliszek, a twoja matka już ledwie mówi – *okrzyki protestu* – ...

...Carmen wybucha śmiechem...

– Następnie wchodzimy do holu i patrzcie państwo: oto zawieszony w największym pośpiechu przez Ricka Manusa żyrandol, który kupiłaś już wiele tygodni temu, a on był cały czas zbyt leniwy, żeby go powiesić. A tu widzimy – *wchodzę po schodach* – wspaniałe zdjęcia, które kupiliśmy w Irlandii, wreszcie wiszące w miejscu, które tobie się nie podobało, a mnie wprost przeciwnie, bo sobie pomyślałem, a co mi tam, powieszę je tutaj, skoro ty i tak nie możesz już wstać z łóżka...

...Carmen śmieje się w głos...

– ...a potem do salonu. Widać Anne i Thomasa, jak każde je krokietą, o przepraszam, poprawka, Thomas ma dwa, jak widzę, pewnie w celu uzupełnienia właśnie

spożytej wegetariańskiej karmy dla myszy, przyrządzonej przez naszą *au pair*. – *Cześć, Carmen!!! – Wrzeszczą wszyscy z pełnymi ustami do kamery. – Widzimy wyraźnie, że nasza okolica schodzi na psy, od kiedy regularnie pojawiają się u nas nasi przyjaciele, bo jak widać mówienie z pełnymi ustami to nadal przyjęty zwyczaj w Maarssen. A tu mamy jeszcze nagie zdjęcie, które dostałem od ciebie na urodziny, które najwyraźniej podnieca ją nawet Frenka...*

...Carmen śmieje się, kręcąc głową...

– A tu, na koniec – *kamera robi najazd na tylną część pokoju w kształcie L, gdzie pod ścianą stoją wazony na kwiaty, połowa z nich jeszcze pusta – widzisz pomieszczenie, gdzie... – głos na taśmie na chwilę milknie i staje się łagodniejszy – niedługo będziesz leżała...*

...Carmen przełyka ślinę i chwytą mnie za rękę, a ja pytam, czy wyłączyć kamerę, ale ona kręci głową, że nie...

– ...widzimy tutaj zdjęcie, na którym jesteś ty, ja i Luna, które zrobiliśmy tuż przed tym, kiedy po raz drugi wypadły ci włosy. Wczoraj powiesiłem je tutaj w salonie...

...Carmen kiwa z zadowoleniem głową i mówi cicho:

– Ładne miejsce...

– ...*no i last but not least – kamera przechodzi od jednej ściany poprzez stół przy oknie, na którym stoją już przygotowane wazony na kwiaty, do drugiej ściany – tekst, który Frenk i Maud na moją prośbę namalowali jeszcze dzisiaj rano i który będzie mi zawsze ciebie przypominał, jak długo Luna i ja będziemy tu mieszkali... – kamera oddala się i pokazuje dwa słowa rozciągające się na całą długość ściany, wypisane wielkimi literami szarosrebrzystą farbą; głos milczy, kiedy kamera przez kilka sekund pokazuje te dwa słowa...*

– *Carpe diem...* – mówi szeptem Carmen, patrząc bez ruchu na wyświetlacz kamery. Kiwa głową i patrzy na mnie z czułością. – Wspaniale. Nawet dom jest już wykończony.

Rozlega się dzwonek do drzwi.

No alarms/no surprises, silence.
(Żadnych sygnałów alarmowych,
żadnych niespodzianek, cisza.)

Radiohead, z utworu *No Surprises*
(*OK Computer*, 1997)

Osiemnaście

Nasz lekarz rodzinny wchodzi na górę z torbą lekarską w ręku. Jest w świetnym humorze i pogodnie ściska dłoń Carmen i mnie.

– No – mówi i siada na krześle przy naszym łóżku.

– Już trochę lepiej z plecami? – pyta Carmen.

Lekarz zaczyna się rozwódzić nad tym, co jest nie tak z jego kręgosłupem i jak długo to jeszcze potrwa, zanim mu przejdzie, no i w ogóle jakie to uciążliwe. Carmen słucha z zainteresowaniem. Ten jeden raz pozwalam mu się wygadać. Trochę łagodzi to napięcie.

– No ale przecież tu nie chodzi o mnie, młoda damo – zmienia nagle temat. – Taka odmiana raka w tak młodym wieku to ogromna rzadkość. Miałaś straszliwego pecha, nie ma co...

– Pewnie tak... – mówi Carmen, patrząc na mnie.

Nie wierzymy w pecha. Coś takiego jak pech nie istnieje. Nie ma też czegoś takiego jak przypadek. Wiara w przypadek to obraza dla życia. Stało się, jak się stało. Nigdy już się nie dowiemy dlaczego. Za godzinę Carmen może się dowie. Prawie jej tego zazdroszczę.

– To co, przygotować wszystko? – pyta doktor Bakker.

Przytakujemy bez słów. Doktor wyjmuje z torby butelkę z płynem.

– Znajdziesz jakąś dużą szklankę? – zwraca się do mnie.

Zbiegam szybko po schodach do kredensu i patrzę na kieliszki i szklanki. Hm... ciekawe, jaką szklankę powinno się wybrać do czegoś takiego. Ostatecznie biorę neutralną szklankę do drinków, starając się zapamiętać, żeby ZARAZ POTEM JĄ WYRZUCIĆ. Bo jeszcze nie daj Boże wieczorem ktoś się przypadkiem z niej napije i nagle będę musiał załatwiać dwa pogrzeby jednocześnie.

Doktor Bakker ostrożnie przelewa zawartość butelki do szklanki. Zapelnia się do połowy.

– Wygląda jak woda – mówi Carmen.

– Ma smak anyżkowy. Musisz to wypić powoli, jednym tchem.

Carmen kiwa głową.

– W ciągu mniej więcej dziesięciu sekund poczujesz senność. Dlatego powinniście się pożegnać, zanim to wypijesz, bo czasem wszystko dzieje się bardzo szybko.

– Dobrze.

– Czy jesteś gotowa? – pyta doktor uroczyście.

– Jak najbardziej – odpowiada Carmen z uśmiechem.

– W takim razie możecie się teraz pożegnać.

Leżę po mojej stronie łóżka obok Carmen i przysuwam głowę do jej głowy. Obydwoje jesteśmy trochę idiotycznie przejęci. Mówimy do siebie szeptem.

– Bardzo się cieszę, że mogłam być twoją żoną – powiedziała Carmen. – Jestem teraz szczęśliwa.

– Ludzie, którzy nie byli z nami blisko, nigdy by w to nie uwierzyli...

– Ale kiedy tak jest naprawdę. Dziękuję ci za wszystko. Kocham cię. Na zawsze. Przelykam ślinę.

– Ja też zawsze będę cię kochał, Carm...

Lekarz siedzi odwrócony do okna, z rękami założonymi na piersi i patrzy w dal.

– Ciesz się życiem – mówi Carmen łagodnie i gładzi mnie po policzku.

– Będę. I będę się jak najlepiej opiekował naszą córeczką.

– Do zobaczenia, moja wielka miłości...

– Do zobaczenia, moja kochana...

Całujemy się i Carmen zwraca się do doktora, mówiąc, że jest już gotowa.

– Pomożesz mi posadzić Carmen prosto i podłóżysz jej poduszki pod plecy?

Łatwiej się wtedy pije.

Pomagamy Carmen usiąść prosto. Nie wymaga to specjalnego wysiłku.

Lekarz podaje jej szklankę.

Carmen patrzy na mnie raz jeszcze. Uśmiecha się do mnie. Biorę ją za rękę.

– No to do dzieła – mówi. Przykłada szklankę do ust i zaczyna pić.

Podczas gdy lekarz obserwuje to w skupieniu, powtarzając spokojnie „pijemy... pijemy... pijemy...”, po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich dwóch lat jestem niewypowiedzianie dumny z odwagi mojej żony.

Szklanka jest już pusta.

– Całkiem niezłe w smaku – żartuje Carmen. – Trochę jak *ouzo*...

– Prawda? – mówi doktor Bakker, wyjmując jej w tym czasie poduszki spod pleców.

Carmen znowu leży na płask. Raz jeszcze patrzy na mnie. Zadowolona, spokojna, pełna miłości.

– Mm... przyjemne uczucie – mówi po kilku sekundach, zupełnie jakby leżała w ciepłej kąpiel. Oczy jej się zamykają.

Bakker spogląda na mnie i puszcza oko. Hm, na pewno zrobił to w dobrej wierze.

Przez cały czas głaszczę rękę Carmen. Doktor Bakker ujmuje nadgarstek jej drugiej ręki i patrzy na zegarek.

– Widzisz, już jej nie ma – mówi łagodnie, spoglądając teraz na Carmen.

Patrzę na Carmen. Moją Carmen. Nie rusza się.

– Wcale nie, jeszcze jestem – mówi nagle Carmen, bardzo cicho i na moment otwiera oczy.

Nie przeraża mnie to, tylko wywołuje u mnie uśmiech.

Potem Carmen nic już więcej nie mówi. Jej oddech staje się coraz wolniejszy. Lekarz mówi, że jej tętno też.

– Za minutę już jej nie będzie – mówi.

Mija minuta. Oddech Carmen od czasu do czasu zamiera.

– Niech cię to nie przeraża – uspokaja mnie lekarz. – Ona już nic nie czuje.

Mijają dwie minuty. Carmen wciąż jeszcze od czasu do czasu oddycha.

– No, już, moja droga, nie broń się – mówi lekarz.

Mija kolejna minuta.

– Ależ ona jest silna! Kto by pomyślał.

Znów jestem dumny z mojej Carmen, chociaż tak naprawdę nie wiem, czy to właściwy powód do dumy, że ciało mojej żony nie chce się poddać, chociaż jego właścicielka, sama Carmen, już zrezygnowała.

Znów mija trochę czasu. Carmen oddycha bardzo powoli. Chwilami cicho rzezi.

– Bez obawy, to tylko tak przerażająco wygląda – uspokaja mnie lekarz.

Wcale nie uważam tego za przerażające. Jak na razie uważam tylko, że to straszne dla jej matki, która na dole w ogrodzie z pewnością zadaje sobie pytanie, co też tam, na miłość boską, dzieje się w tej sypialni. Czyżby Carmen nagle się rozmyśliła?

Pięć minut później – przez ten czas lekarz opowiada mi o prawnych aspektach aktywnej i biernej eutanazji, o pomocy przy samobójstwie i innych okołoterminalnych sprawach, a ja tylko odpowiadam półgębkiem i przez cały ten czas ani na sekundę nie spuszczam Carmen z oka – doktor Bakker proponuje, że za parę minut może jednak zrobić jej dodatkowy zastrzyk prosto do żyły.

– Czy ona na pewno nic już nie czuje?

– Absolutnie nic.

– I wtedy jej ciało się podda?

– Tak. Wtedy natychmiast umrze.

– W takim razie proszę to zrobić.

Doktor Bakker szuka czegoś w swojej torbie. Wyjmuje strzykawkę, napełnia ją taką samą bezbarwną cieczą i kładzie na stoliku przy łóżku. Po pewnym czasie zaczyna szukać nadającej się do wkłucia żyły. Ale nie może znaleźć. Nagle przypominam sobie problemy z wkłuciem, jakie pojawiły się w czasie chemioterapii. Najwyraźniej żyły Carmen są ukryte głęboko pod skórą. Doktor Bakker przewiązuje ramię Carmen opaską uciskową i szuka, szuka... Nic. Zero.

– Mógłbyś przesunąć się bardziej na skraj? – prosi i przełazi przez Carmen leżącą na wodnym łóżku, w jednej ręce trzymając strzykawkę, a na drugiej opierając się całym ciężarem ciała. Moim zdaniem to dość ryzykowny kaskaderski numer i nie bardzo wiem, czy patrzeć na to z przerażeniem, czy raczej skwitować to śmiechem. Jeśli doktor nagle straciłby równowagę, nadziałby się prosto na igłę strzykawki z trucizną. Coś na zasadzie: kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Czyżbym miał zaraz mieć przed sobą martwego doktora i prawie martwe ciało Carmen? I wytłumacz się potem policji.

Doktor Bakker nie może znaleźć żyły także na drugiej ręce Carmen. Próbuje kilka razy, ale na próżno. Igła za nic nie chce trafić na żyłę. Trochę mnie to śmieszy. Jej ciało jest tak przywiązane do życia, że za nic nie chce z niego zrezygnować.

– W tej sytuacji spróbuję w pachwinę – mówi Bakker.

Minęło już dwadzieścia pięć minut od chwili, kiedy Carmen wypila swój koktajl.

– Udało się! – mówi doktor Bakker z entuzjazmem.

Piętnaście sekund później Carmen już nie oddycha.

Gładzę jej dłoń, całuję w czoło i czuję, jak po policzku spływa mi łza.

– Żegnaj, moja kochana Carmje... – szepczę.

Nasz domowy lekarz już mnie nie słyszy. Właśnie rozmawia przez telefon z innym lekarzem, który musi zaraz przyjechać i potwierdzić, że eutanazja przebiegła jak należy pod względem technicznym i prawnym.

Schodzę na dół, do ogrodu i oznajmiam, że Carmen odeszła. Wszyscy reagują ze spokojem. Odczuwając ulgę, choć nie mając odwagi tego powiedzieć.

Frenk i Maud kiwają głowami.

Thomas gapi się nieruchomo przed siebie. Anne trzyma go mocno za rękę.

Luna jest radosna i gaworząc, szczypie matkę Carmen w nos.

Jej matka, jej córka, ich przyjaciółka, moja żona nie żyje.

Liefde, wat is dan liefde?
(Miłość, cóż to jest miłość?)

André Hazes, z utworu *Wat is dan liefde?*
(*'n Vriend*, 1980)

*Soms is 't beater iets moeis te verleeze,
beater verleeze dan dat ge nooit het gehad.*
(Bo czasem lepiej pięknego coś utracić,
lepiej utracić to, niż gdybyś nigdy nie miał tego mieć.)

zespół Rowwen Hèze, z utworu *Heilige Anthonius*
(*Water, lucht en liefde*, 1997)

Epilog

Patrzymy na *The Artist Formerly Known as Carmen*^[55].

No, cóż. Co tu powiedzieć? Ciało nie wygląda już tak, jak wyglądała Carmen. Carmen odeszła – Bóg jeden wie dokąd – całkowicie beztriosko pozostawiając tutaj swoje ciało. Obojętnie w którą stronę by to wszystko odwracać i przekładać – co właśnie zaczynają bezwstydnie robić asystenci z zakładu pogrzebowego, w swoich ochronnych rękawiczkach, tak że jak najszybciej wynosimy się z pokoju – to już tylko ciało. Zimne i martwe.

To nawet dobrze, że Carmen już nie żyje, bo gdyby tak zobaczyła tych dwóch, którzy właśnie zaczęli... hm, preparować jej ciało, to dostałaby zawału. Kiedy niedawno zobaczyłem ich na dole, wchodzących do domu za swoim szefem, niemal bezgłośnie, z dłońmi pobożnie zaplecionymi na brzuchach – po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Uścisnęli dłoń mnie i matce Carmen i z zawodową rutyną złożyli nam szeptem kondolencje. Jeden wygląda jak postać żywcem wyjęta z komiksu o Lucky Luke'u: zapadnięte policzki, krótko ostrzyżone włosy i postawa oraz spojrzenie sępa. Zgięty wpół, czyhający na szansę zabrania się wreszcie do dzieła. Jego kolega przypomina grubasa z *Rodziny Addamsów*. Jest całkowicie łysy, korpulentny i podejrzewam, że z trudem tylko powstrzymuje się, żeby się nie ślinić na myśl o tym, że zaraz zajmie się ciałem Carmen. Ech, tak czy inaczej ich praca niewątpliwie jest także ich hobby.

Podczas gdy przedsiębiorca pogrzebowy stoi w części naszego salonu ozdobionej napisem *Carpe Diem*, objaśniając mi zasadę działania instalacji chłodniczej, na której stanie trumna z ciałem Carmen, widzę sępa wchodzącego na górę po schodach. Dostrzegam błysk noszy, które taszczy razem z grubasem. Nie chcę na to patrzeć. Szybko wychodzę do ogrodu.

Wreszcie możemy z matką Carmen spojrzeć na rezultat ich pracy.

Bierzemy głęboki wdech i wchodzimy do salonu. Zaraz zobaczę ciało mojej żony w trumnie.

Wygląda całkiem nieźle. W jasnoniebieskiej sukience marki Replay, w dżinsowej kurtce od Diesla bardzo jej do twarzy. Jutro Anne robi jej makijaż. Przynajmniej tak obiecała. Zależy nam, żeby ciało Carmen było tak samo zadbane, jak zadbana była Carmen.

Anne i Thomas żegnają się i wracają do siebie, do Maarsen. Matka Carmen kładzie się spać. Frenk, Maud i ja otwieramy jeszcze jedną butelkę wina. Rozmawiamy o tym, co

będzie do załatwienia w najbliższych dniach. Pogrzeb odbędzie się w piątek.

– Dzwoniliście do wszystkich? – pytam.

– Tak, rodzina, przyjaciele, znajomi z pracy. Do wszystkich.

– Dobra – mówię, patrząc na swój kieliszek wina rosé.

– Roos już wie? – pyta Frenk.

– Jeszcze nie – odpowiadam, kręcąc przecząco głową. – Wyślę jej esemes.

Frenk kiwa głową.

– Chciałbym was o coś zapytać – mówię, patrząc po kolei w oczy Maud i Frenkowi.

– Ale musicie odpowiedzieć szczerze.

Kiwają potakująco głowami.

– Zamierzam poprosić Roos, żeby przyszła na pogrzeb.

Obydwoje nie odzywają się przez chwilę.

– Jak najbardziej – mówi w końcu Frenk.

Maud zastanawia się jeszcze przez chwilę, potem też kiwa głową.

– Tak. Też uważam, że możesz.

O wpół do dwunastej w nocy idę do łóżka. Trochę się boję, wchodząc do sypialni.

Moje spojrzenie samo z siebie wędruje na to miejsce na łóżku, gdzie Carmen leżała przez jedenaście dni. Jest puste. Rozbieram się i kładę się pod kołdrę. Matka Carmen zmieniła już pościel i wyrzuciła stare prześcieradła. Mimo to nie kładę się pośrodku, tylko na moim miejscu.

Potem sięgam po komórkę.

„Carmen odeszła w spokoju dziś wieczorem o godzinie ósmej piętnaście. Byłem przy niej. W tej chwili czuję się w miarę dobrze. Zadzwoń jutro. Przyjdiesz w piątek na pogrzeb?”

Następnie sięgam po pilota od telewizora. Szukam na telegazecie, jaka będzie jutro pogoda. Dwadzieścia jeden stopni, słonecznie. Hm. Rano w błogiej samotności poczytam gazetę i wypiję filiżankę cappuccino w ogródku kawiarni Het Blauwe Theehuis.

Kiedy odkładam pilota na nocny stolik, dostrzegam w kącie pokoju parę białych tramppek z zielono-czerwono-zielonymi sznurówkami. Kręcę głową z uśmiechem. Trampki od Gucciego, których Carmen tak długo szukała. Zaraz rano będę musiał zadzwonić do przedsiębiorcy pogrzebowego, żeby założyli jej na nogi. Nie, no przecież to nonsens. Wstaję z łóżka, wkładam szlafrok i sięgam po trampki. Ostrożnie, żeby nie obudzić Luny, schodzę po schodach. Trzymając trampki w ręku, z lekkim zdenerwowaniem otwieram drzwi salonu, gdzie cicho burczy agregat chłodniczy, umieszczony pod trumną Carmen.

*You're so vain, I'll bet you think
this book is about you
don't you, don't you, you're so vain.*
(Jesteś taki próżny, założę się, że myślisz,
że ta książka jest o tobie,
no właśnie, no właśnie, jesteś taki próżny.)

Carly Simon, z utworu *You're So Vain*
(album *No Secrets*, 1972)

Słowo wyjaśnienia

Niewykluczone, że niektórzy lekarze, chirurdzy, psychoterapeuci i osoby leczące metodami alternatywnymi rozpoznali siebie w pewnych osobach, wydarzeniach i spotkaniach. Nie dla każdego z nich jest to zapewne przyjemne. Pocięszam się myśleć, że powieść z definicji jest fikcją.

Pozostałe postacie występujące w tej książce są owocem mojej interpretacji oraz przemieszania cech wielu realnie istniejących osób. Zabieg ten był niezbędnie konieczny, powiedział mój redaktor, czytając pierwotną wersję maszynopisu: „prawie czterysta gęsto zapisanych stron formatu A4 z rozpaczliwą mnogością kompletnie zbędnych i w dodatku słabo opracowanych literacko postaci (ze względu na te wszystkie imiona i nazwiska, które koniecznie chciałeś zachować, czytało się to miejscami jak dziewiętnastowieczną powieść biograficzną Louisa Couperusa, tyle że – na szczęście – o wiele ciekawszą choć – niestety – o wiele gorzej napisaną), tasiemcowe opisy niezliczonych wizyt w szpitalach, szeroko zakrojone opisy scen erotycznych, godne zafascynowanego tematem nastolatka, a przede wszystkim mnóstwo trudnych do zrozumienia debiutanckich rozważań filozoficznych na temat sensu życia”.

Natomiast pojawiające się w książce szpitale, lokale gastronomiczne, turystyczne i hotelowe oraz pozostałe miejsca akcji istnieją naprawdę.

Podziękowania

Brendzie, Donowi, Kurtowi oraz Naat za bezlitośnie krytyczną lekturę pierwszej wersji maszynopisu. Bartowi H. Bartowi V., Engin, Ericowi H., Ericowi L., Geertowi, Hugonowi, Janowi, Marco, Marsowi, Siebowi, Sikko i Yonneke za wasze działania wokół maszynopisu, muzyki, strony internetowej, projektu, gry i prezentacji.

Janneke i Joostowi za waszą wiarę.

André, Bono, Brettowi, Bruce'owi, strefie F, Hansowi, Huubowi H., Huubowi van de L., Janowi, Johanowi, Michaelowi, Rickowi, Milanowi, Ramsesowi, Ronaldowi, Sándorowi, Thomowi i innym osobistościom, które wramplowałem, za inspirację.

Juut za twoje przyzwolenie i twoją siłę.

Naat za wszystko, co dla mnie robisz i nie robisz.

Evie za twoje „przyszłam ci tylko dać całuska, tatusiu” podczas pisania.

Przypisy

[1] Finał Ligi Mistrzów, 24 maja 1995, Wiedeń, Stadion im. Ernsta Happela, 1:0 (Kluivert). Van der Sar, Reiziger, Blind, F. de Boer, Rijkaard, Seedorf (Kanu), Litmanen (Kluivert), Davids, Finidi, R. de Boer, Overmars.

[2] Wrample (czyli fragment tekstu utworu użyty na potrzeby nowego utworu) z utworu *Een dag zo mooi* kapeli Tröckner Kecks (album *Andere plaats andere tijd*, 1992).

[3] Ajax Panathinaikos, 3 kwietnia 1996, 0:1. Van der Sar, F. de Boer, Blind, Reiziger, Bogarde, R. de Boer, Litmanen (Musampa), Davids, Finidi, Kanu, Kluivert. Na wyjeździe Ajax wygrał łatwo 0:3.

[4] Wrample z utworu *Bobby Jean* (z albumu *Born in the USA*).

[5] Wrample z powieści *De Avonden* Gerarda Reve (1947).

[6] Carl Simonton *Powrót do zdrowia*, przeł. Jerzy Morka.

[7] Liga Mistrzów 9 kwietnia 1997. 1–2. Van der Sar, Melchiot, Blind, F. de Boer, Musampa, Scholten, Litmanen, Witschge, Babangida, R. de Boer, Overmars. 0–1 Amoruso, 0–2 Vieri, 1–2 Litmanen. Za nic nie udało się wydrzeć nic lepszego (Lombardo, Vieri, Amoruso, Zidane).

[8] Z utworu *Everybody Hurts* zespołu R.E.M. (album *Automatic For The People*, 1992).

[9] Wypowiedź tenisisty Richarda Krajicka.

[10] Wrample zaczerpnięty z wypowiedzi aktora Wima T. Schippersa.

[11] Boccaccio, nadużyte potem również przez Ronalda Gipharta w jego powieści *Ik omhels je met duizend armen* (Obejmuję cię po tysiącokroć).

[12] Najnudniejszy zawodnik Ajaksu wszech czasów. Potem w PSV bardziej mu pasowało.

[13] Julia Roberts do Hugh Granta. Warto przy tej okazji zaznaczyć, że jeśli idzie o samą Julię Roberts, to ona w ogóle nie ma cycków, a przynajmniej takich, które dałoby się zauważyć gołym okiem.

[14] Wrample z *De Videokeizer* zespołu Koot & Ble (album *Mooie Meneren*, 1982)

[15] Surinamski piłkarz. Jego ego to jedyne, co może się mierzyć z wysokością, na jaką przestrzeliwuje karne.

[16] Zwramplowane z kabareciarza i felietonisty Youpa van't Heka, z wywiadu noworocznego w 2002 r.

[17] Wrample tytułu powieści *Miłość w czasach zarazy* Gabriela Garcii Márqueza (1985).

[18] Nigeryjski ulubieniec publiczności z czasów stadionu De Meer. Wykonywał niesamowite ruchy nogami, jakby chodził na szrudłach i stawiał stopy jak nasz słynny klaun Pipo.

[19] Wrample ze Smerfów.

[20] Wrample z utworu *Op de dansvloer* rapera Extince (album *Binnenlandse Funk*, 1998)

[21] Z utworu *Substitute For Love*.

[22] Z utworu *Ray Of Light*

[23] Z utworu *Skin*.

[24] Piłkarz (Ajax Amsterdam, FC Barcelona), którego libido w najlepszych latach było tak wielkie, jak jego konto bramkowe. Z biegiem lat jedno i drugie zmniejszyło się do przeciętnych proporcji.

[25] Z utworu *Sky Fits Heaven*.

[26] Dawny piłkarz Ajaksu z początku lat dziewięćdziesiątych. Lewoskrzydłowy na dobrą pogodę, którego akcje indywidualne potrafiły doprowadzić widzów do ekstazy, za to skuteczność do rozpaczki.

[27] Wrample z utworu *Redding* zespołu Tröckener Kecks (album *Met hart en ziel*, 1990).

[28] Ajax–Torino Calcio, 0–0, Olympisch Stadion, 13 maja 1992. Wynik pierwszego meczu 2–2 (Jonk, Pettersson). Menzo, Silooy, Blind, Jonk, F. de Boer, Winter, Kreek (Vink), Alflen, Van't Schip, Pettersson, Roy (Van Loen).

[29] Menzo lepiej umiał rozprawiać akcje, niż bronić, a to mało przydatne dla bramkarza. Ale był tak miłym chłopcem, że nikt nie miał odwagi mu tego powiedzieć. Poza trenerem Louisem van Gaalem. Cały stadion De Meer był mu za to po cichu wdzięczny.

[30] Były zawodnik Ajaksu, pochodzenia egipskiego. Samozwańczy supertalent. Nieprzewidywalny, instrukcja obsługi gdzieś zaginęła. W tej chwili siedzi pewnie za konkretną kasę na ławce gdzieś w jakimś drugorzędnym południowoeuropejskim klubie.

[31] Wrample z książki *In liefdesnaam* Adriaana van der Veena (1975).

[32] 6:1. Cztery razy Kluiwert (ostatecznie jego czwarta bramka została zaliczona jako samobójczy gol Dejana Govedarica), dwa razy Overmars. 25 czerwca 2000. Van der Sar (Makaay), Numan, Stam, F. de Boer, Zenden (Westerveld), Cocu, Davids, Bosvelt, Kluiwert (R. de Boer), Bergkamp, Overmars.

[33] Wrample z repertuaru kibiców sektora „F”. Na melodię *When The Saints Go Marching In*. Kiedy kibice drużyny przeciwnej śpiewają coś nieprzyzwoitego na temat drużyny Ajaksu albo kibiców tego klubu.

[34] Wrample z powieści *De kleine blonde dood* Boudewijna Bücha (1985).

[35] Wrample z książeczki *Žabka i ptaszek* Maksa Vethuijsa (1991).

[36] Wypowiedź Johana Cruyffa: „Ich obrona jest dziurawa jak szwajcarski ser”.

[37] Ronald Giphart (1999).

[38] Wrample z Hansa Teeuwena (z show *Dat dan weer wel*, 2001).

[39] Tytuł singla Roberta Leroy'a z r. 1996.

[40] Pod koniec lat siedemdziesiątych nazywano go największym talentem w Ajaksie od czasów Johana Cruyffa. I na tym się skończyło.

[41] Z utworu *The Promised Land* (album *Darkness On The Edge Of Town*, 1978).

[42] Z dużą dozą poetyckiej swobody zwramplowane z utworu *Leo Rii Valk* (1982).

[43] Tony Soprano do swojego psychiatry w odcinku 12 (*Isabella*) serialu *Rodzina Soprano*.

[44] Tekst: Stijn, na melodię klubowej piosenki PSV. Autor nieznan i tak musi zostać.

[45] Wrampel z książki *Rachathukum* Jana Wolkersa (1969; wyd. pol. 1990, przeł. Andrzej Dąbrówka).

[46] Wrample z utworu *Wat is dan liefde* André Hazesa (album *'n Vriend*, 1980).

[47] Swobodna interpretacja tytułu filmu *Cztery wesela i pogrzeb* (1994).

[48] John Cleese filozofuje w ten sposób w serialu *Hotel Zacisze*.

[49] Wrample z powieści *Most przez wieczność: opowieść o miłości* Richarda Bacha (1984, wyd. pol. 1999, przeł. Jerzy Kozłowski).

[50] Koktajl Mołotowa wśród piłkarzy.

[51] Wrample z belgijskiego komika Urbanusa.

[52] Wrample z Wima Sonnevelda *De jongens* (konferansjerka, 1970).

[53] Wrample z utworu *Harm met de harp* Henka Elsinka (album *Harm met de harp*, 1969).

[54] Z utworu *With A Girl Like You* zespołu *The Troggs* (1968).

[55] Nawiązanie do „The Artist Formerly Known as Prince”.